

# Planeta śmierci 5

HARRY HARRISON

ANT SKALANDIS

Przekład

Inessa Kim

## Część I

### Flibustierski raj

1

Cassylia - trzecia planeta w systemie żółtego karła Sunpride (FG233-16) w południowej części zewnętrznego ramienia Galaktyki. Środowisko tlenowe typu ziemskiego. Zagospodarowana jako jedna z pierwszych w początkowym okresie Wielkiej Ekspansji. Etniczny skład mieszkańców - przeważnie Europejczycy. Język państwowy - międzyjęzyk. Stolica - Goldenburg, około półtora miliona mieszkańców. Wysoki poziom rozwoju technologii informacyjnych oraz łączności. Członek Ligi Planet z 200-letnim stażem. Epoka wojen galaktycznych dotknęła Cassylię w sposób nieznaczący. Planeta, która była międzygwiazdowym centrum finansowym, a potem stała się również uzdrowiskiem oznaczeniu galaktycznym i powszechnie znanym centrum rozrywki, nigdy nie miała mocnej floty kosmicznej. Dwa razy uczestniczyła w wojnach z najbliższym sąsiadem - drugą planetą systemu (Darkhan), ale wszystkie działania bojowe toczyły się tylko w przestrzeni międzyplanetarnej, bez niszczenia miast i obiektów przemysłowych. W dzisiejszych czasach Darkhan i Cassylia utrzymują stosunki dyplomatyczne w granicach niezbędnego minimum, ale nieprzerwanie toczy się między nimi wojna informacyjna, ideologiczna i ekonomiczna.

#### *Z oficjalnej informacji o planecie Cassylia*

Ogromne okno ze złocistego lustrzanego szkła, o wysokości przynajmniej dziesięciu metrów i szerokości nie mniej niż sześciu, pękło i posypało się na szeroki chodnik deszczem błyszczących odłamków. Na szczęście ulica przed fasadą Narodowego Banku Cassylii była prawie pusta i śmiertelne szklane okruszki dosięgły tylko jednego ochroniarza i jednego przypadkowego przechodnia, który podszedł do drzwi banku, zapewne po pijanemu. Syrena awaryjna zawyła wcześniej niż pierwszy odłamek dotknął ceramicznej płytki chodnika, a już po dwudziestu sekundach z przybyłego minibusu wyskoczył specjalny oddział policji i otoczył budynek. Sprawdzono wszystkie piętra, zablokowano wszystkie linie komunikacyjne. Ulicę szybko oczyszczono ze wszędobylskich cudaków, których ciekawość jest silniejsza od strachu. Pojedynczy wybuch nie narobił, jak się okazało, większych szkód, a tylko dużo hałasu i straż pożarna, która pojawiła się wkrótce, nie znalazła wiele do roboty. Kto mógł przewidzieć, ile pracy będzie miała trochę później?

Następnego dnia pierwsze strony wszystkich stołecznych gazet prawie w całości poświęcono reportażom o obrabowaniu kasyna, bo dziwny napad na bank okazał się tylko manewrem, odwracającym uwagę. Dziennikarze prześcigali się w pomysłach co do tożsamości zuchwałego przestępcy. Nazwano go Nowym Jasonem, Jasonem Piętnaście Miliardów (właśnie taką sumę skradziono) albo po prostu super-bohaterem. W

całym zamieszkanym wszechświecie chyba tylko Cassylianie są zdolni do uwielbienia dla zwykłego bandyty i skupiają się na aspekcie finansowym sprawy nawet wtedy, gdy dzieje się prawdziwa tragedia.

Tak, rzeczywiście, wiele lat temu Jason diAlt, który przybył nie wiadomo skąd, potrafił wygrać i zabrać z najbardziej znanego kasyna „Cassylia” ponad trzy miliardy kredytów, za co doczekał się dumnie brzmiącego przezwiska Trzymiliardowy Jason. Oczywiście, dom gry niechętnie rozstawał się ze swoimi pieniędzmi i w rezultacie strzelaniny zginęło sześć osób. Wszyscy byli ochroniarzami organizacji mafijnych, kontrolujących „Cassylię”, albo wojskowymi z lądowych służb portu kosmicznego, to znaczy ludźmi, których trudno zaliczyć do kategorii „ludność cywilna”. Ale tym razem było niewybaczalnie dużo ofiar, w większości zupełnie przypadkowych: sto dwadzieścia trzy osoby, z których trzydzieści osiem to rdzenni mieszkańcy planety. W dodatku, chociaż działo się to w nocy, zginęło troje dzieci.

Oto jak przebiegały wydarzenia.

Okolo północy w domu gry „Cassylia” pojawił się człowiek z wypchaną torbą. Ochrona go sprawdziła i okazało się, że w torbie nie ma nic niebezpiecznego; zawierała tylko pieniądze - prawdziwe, wrywkowo sprawdzone banknoty o nominale pięćdziesięciu tysięcy, stu tysięcy i miliona kredytów. Człowiek ten usiadł do gry w pokera i powiększając stawki w ciągu godziny przegrał wszystko, to znaczy prawie półtora miliarda. Zachowywał się jak zupełny idiota, a w oczach płonął mu ogień szczerzej nadziei rewanżu. Ostatnie milionowe banknoty jeszcze nie zdążyły trafić do kasy kasyna, a gracz już dzwonił do kogoś z prośbą o wsparcie. Pięciu kolegów pechowego gracza zjawili się dość szybko, każdy z taką samą wypchaną torbą. Można się było tylko domyślać, ile pieniędzy przynieśli, ale krupier był człowiekiem dyskretnym i praktycznym. Uznał, że lepiej będzie policzyć pieniądze, kiedy trafią już do kasy.

Chcąc uczynić grę bardziej emocjonującą, kasyno postanowiło włączyć do niej jeszcze jednego uczestnika - podstawioną osobę, która miała dodatkowo śrubować stawki. By jednak ten „naiwniak” mógł jak równy z równym grać z szalonym hazardzistą i jego kolegami, potrzebował odpowiedniej sumy.

Krupier razem z właścicielem kasyna zdecydowali, że poproszą o pomoc finansową Bank Narodowy, który był jednym z udziałowców domu gry „Cassylia”. Gotówkę dostarczono do sali sekretnym tunelem, biegnącym pod ulicą. Zaczęła się najbardziej niewiarygodna w historii gra, w której najmniejszą stawką było sto milionów. Jeden z największych w Galaktyce domów gry nie jest miejscem, które odwiedzają ludzie biedni. Oprócz dwóch głównych bohaterów znalazło się jeszcze kilku ochotników gotowych zaryzykować duże pieniądze i wystawić na próbę swoje nerwy. W ten sposób po jakiejś półgodzinie ogólna ilość gotówki, skoncentrowanej w sali gry „Cassylia”, przekroczyła dwadzieścia miliardów. Gra nie była już teraz nudna i przebiegała ze zmiennym szczęściem - ściśle według scenariusza kasyna. Właśnie wtedy nastąpił wybuch w budynku naprzeciwko. Pękła witryna Banku Narodowego.

Ochrona kasyna zareagowała błyskawicznie. Kto nie wie, co trzeba robić w takich przypadkach? Skończyć grę, wziąć pod lufę wszystkich obecnych i ogłosić: „Rzucić broń! Położyć się na podłogę!” Niestety towarzysze człowieka, który przegrywał duże sumy, nie mieli zamiaru się podporządkować. Po pierwsze, okazało się, że było ich nie sześciu, a co najmniej trzy razy więcej - reszta do tej pory grała rolę znużonej albo nieznużonej publiczności. Po drugie, wszyscy oni działali z zaskakującą precyzją i w błyskawicznym tempie. Bez żadnego ostrzeżenia rozpoczęła się strzelanina. Ochroniarzy zabito prawie natychmiast. Przy okazji zginęło jeszcze kilka osób, które na swoje nieszczęście znalazły się na linii ognia. Wybuchła panika i przez to policja, która pojawiła się prawie od razu, nie zdołała zapobiec kradzieży. Całą gotówkę znajdującą się w kasie kasyna, na stołach i w kieszeniach klientów szybko i sprawnie zapakowano do ogniotrwałych worków. Zabijano każdego, kto próbował się przeciwstawić.

Specjalna grupa komandosów potrafiła tylko trochę opóźnić ucieczkę rabusiów z budynku kasyna na ulicę. Policjanci nie chcieli strzelać w obecności cywilów, za to bandyci strzelali na prawo i lewo, nie zwracając uwagi na nic oprócz własnego bezpieczeństwa. Właściwie nawet o to nie bardzo się troszczyli, tylko dokładnie osłaniali tych, którzy nieśli worki z pieniędzmi. Na pomoc policji wezwano jednostki wojskowe. Teraz bandytów z pewnością dałoby się zatrzymać, gdyby nie to, że w tym momencie nad miastem pojawił się ciężki wojskowy statek kosmiczny - krążownik liniowy klasy „PQ”. Zauważono go na wieży kontrolnej portu kosmicznego Digo, ale statek nie stosował się do żadnych rozkazów wydawanych z ziemi. Wbrew wszelkim zasadom od krążownika oderwała się lekka desantowa kanonierka. Pod osłoną huraganowego ognia z najróżniejszych rodzajów broni, nawet takiej, której nie powinno się używać w atmosferze, bo samemu można wylecieć w powietrze, bandyci załadowali się razem z pieniędzmi na niedużą, ale mocną łódkę i wrócili na statek kosmiczny. Pozostawili tylko dwóch zabitych. Pancierz gigantycznego krążownika był całkowicie odporny na ataki Cassylian. Złodzieje albo o tym nie wiedzieli, albo po prostu nie myśleli o liczbie przyszłych ofiar. Tak czy inaczej, wystartowali w trybie awaryjnym, co oznaczało eksplozję gorącej plazmy i w rezultacie pożar w samym centrum gęsto zasiedlonego miasta.

Tak zakończyła się tragedia, która pochłonęła sto dwadzieścia trzy ludzkie istnienia i zamieniła w dymiące ruiny jeden z najbogatszych i najładniejszych domów gry Galaktyki.

Władze cassylijskie zachowały się bardzo lekkomyślnie. W dodatku technika, jakiej używali Cassylianie, nie dorównywała tej, jaką dysponowali przestępcy. W rezultacie nie udało się ich zatrzymać. Nikt na planecie nie miał nadziei na sprawiedliwą karę. Cassylianie w ogóle obojętnie odnoszą się do śmierci. Tak już jest od dawna w tym wszechświatowym centrum przyjemności i rozrywki, gdzie ani w dzień, ani w nocy nie cichnie aktywne i wesołe życie. Nikogo nie wzruszają beznamietne dane statystyczne, głoszące, że na przykład w głównym mieście Cassylii Goldenburgu codziennie giną setki ludzi, przeważnie mieszkańców obcych planet. Ponoszą śmierć w wypadkach drogowych i bandyckich strzelaninach, w pijackich bójkach i krwawych turniejach sportowych, umierają z przedawkowania narkotyków i na nieznanne choroby, sprowadzone z odległych planet. Albo po prostu dlatego, że nie bardzo cenili swoje życie. Śmierć na Cassylii to zwyczajna i normalna rzecz. Niektórzy goście planety specjalnie jej szukają i znajdują właśnie w Goldenburgu. Wygodnie jest umierać w miejscu, gdzie nikt nikogo nie szuka i o nic nie pyta, gdzie przypadkowe morderstwo w ogóle nie podlega karze. Ci, którzy mordują z premedytacją, teoretycznie powinni być ukarani, ale tak naprawdę bardzo rzadko stają przed sądem. Są to przeważnie prawdziwi fachowcy, którzy umieją nie tylko popełnić przestępstwo, ale również uniknąć odpowiedzialności.

Ale obrabowanie kasyna poruszyło nawet obojętnych, opanowanych Cassylian. To już była przesada.

Nie jest tajemnicą, że w całym wszechświecie istnieją planety, których mieszkańcy słyną ze zdziczenia i demoralizacji. Tych planet nie można przyjąć do cywilizowanej wspólnoty ani nawet mierzyć zwyczajną, cywilizowaną miarą. I to jest zrozumiałe. Jednak rasa, która dysponuje nowoczesnymi systemami łączności, porozumiewa się w powszechnym międzyjęzyku, ma rozwiniętą technikę wojskową, a jednocześnie nie przestrzega żadnych ludzkich praw, etycznych, religijnych, cywilnych czy karnych, stanowiła ewenement. Taką rasę mieszkańcy Cassylii spotkali po raz pierwszy. Większość z nich nie chciała nawet spekulować, z jakiej części Galaktyki przybyły te moralne potwory. Chociaż policja bardzo szybko dowiedziała się, z kim miała do czynienia, nikomu nie poprawiło to humoru.

Kiedy na planetę przybywają ze wszystkich bliższych i dalszych gwiazdnych skupisk znudzeni bogaci ludzie, którzy chcą zabawić się i odpocząć, na pewno trafiają się wśród nich również osoby z podejrzaną reputacją. Policja cassylijska nie ma więc czasu się nudzić. Rośli faceci w granatowych mundurach są świetnie

wyszkoleni i jeszcze lepiej poinformowani. Umieją działać w najbardziej nietypowych warunkach. Są prawdziwą dumą planety. Rząd nazywa ich supermanami i demonstracyjnie nie używa żadnych robotów-ochroniarzy, chociaż takie maszyny produkuje się masowo w Galaktyce i na innych planetach używa regularnie, podobno nie bez sukcesu. Cóż, Cassyilia ufa tylko ludziom. Owszem, są narażeni na niebezpieczeństwo, ale praca to praca. Policjanci ryzykują dobrowolnie, a przecież niejednokrotnie wychodzili obronną ręką z zupełnie beznadziejnych sytuacji.

Tym razem jednak Cassyilia przeżyła gorycz druzgocącej porażki. Jedni nie mogli sobie wyobrazić, a drudzy zdążyli zapomnieć, że istnieją na świecie tak okrutni i bezlitośni bandyci, dysponujący supernowoczesnymi osiągnięciami techniki.

Sprawę obrabowania kasyna rozpatrywała specjalnie powołana komisja rządowa. Najwyżsi urzędnicy policji, pracownicy kontrwywiadu, właściciele największych spółek i banków połączyli wysiłki, porównali swoje bazy danych i doszli do jednoznacznego wniosku. Cassyilia została napadnięta przez tych samych ludzi, którzy niegdyś nazwali się Gwiezdną Ordą. Ordę rozbito, ale z jej niedobitków, jak się teraz okazało, powstała całkiem nowa banda. Jej organizatorów nazywano kosmicznymi piratami; ich wodzem był niejaki Henry Morgan. Komputer policyjny od razu go rozpoznał, o żadnym błędzie nie mogło być mowy.

2

Po co podsunąłeś mi tę mapę, Archie?

- Popatrz uważniej. Czerwona linia pokazuje trasę ostatniej migracji diablrogów, a ta zielona kierunek masowego przelotu żądłopiórów. Gdyby w teorii przeprowadzić płaszczyznę przez port kosmiczny imienia Welfa i Miasto Otwarte, te linie będą symetryczne, jak przedmiot i jego odbicie w lustrze.

- I co z tego? - zapytał Jason, głośnym pacnięciem zabijając komara na czole.

- Wariantów może być kilka. Na początek przychodzą mi do głowy dwa: albo te stworzenia poruszają się wzdłuż linii pola magnetycznego planety, albo... ktoś jednak kieruje naszymi zwierzątkami.

- Wesóło - powiedział Jason w zamyśleniu i popatrzył na swoją dłoń.

Ostatnie słowa Archiego tak go zaskoczyły, że ręka zastygła w powietrzu i Jason nie strącił komara z czoła. Malutki krwiożerca zawisł przyklejony do skóry. Krwiożerca... Owad... Niechby nawet bardzo mały. . . Skąd się wziął?!

Widocznie Archie pierwszy zrozumiał, że pojawienie się komara w pomieszczeniu budynku badawczego jest jeszcze bardziej tajemnicze niż jego niespodziewane odkrycie z symetrycznym odbiciem. Idealna hermetyczność wszystkich modułów i dokładna sterylizacja ubrania, broni i w ogóle wszystkich przedmiotów, wnoszonych z zewnątrz, została ostatnio uzupełniona jeszcze innym, dobrze sprawdzonym środkiem - ekranem bioenergetycznym. Mądre pole nie przepuszczało do wewnątrz niczego żywego bez specjalnego kodu. Komar znający odpowiedni kod - to już przesada. Inna oczywista hipoteza to owad-cyborg. Ale przecież cyborg to organizm, który musi zawierać żywą substancję. Czyli, że jest to stuprocentowy robot, elektroniczny komar. Ale numer!

Tak lekkomyślnie zabiją (zepsutą?) przez Jasona unikalną istotę (urządzenie?) natychmiast schowali do kontenera z gazem obojętnym. Archie zawołał Bruciego - głównego specjalistę od pyrrusańskiej flory i fauny. Tamten obiecał, że przyleci, ale od razu zastrzegł, że wątpliwe, by w tak malutkim organizmie ukryto wielkie tajemnice. A jeżeli nawet, to nie na poziomie biologii. Archie zgodził się z tą opinią i zaproponował, że osobiście przeprowadzi fizyko-mechaniczną ekspertyzę obiektu po entomologicznych testach starszego kolegi.

Archie - Archibald Stover z dalekiego Uctisu - jeszcze półtora ziemskiego roku temu zrezygnował z astrofizyki na rzecz niepewnych, jeżeli chodzi o wyniki, ale za to niesamowicie wciągających: badań środowiska Planety Śmierci. Młody naukowiec od razu został wciągnięty nie tylko w projekty naukowe, ale również do kilku ekspedycji, które, zgodnie z opinią wojowniczych Pyrrusan, były dość banalnym przedsięwzięciem, natomiast mieszkańcy innych planet uznaliby je za szalone awanturnictwo. Archie uczył się od Jasona spokojnego podejścia do dziwactw Pyrrusan i powoli zmienił swój stosunek do środowiska. Był dość młody, by szybko adaptować się do podwójnej grawitacji. Skończył intensywny kurs sztuki walki, szybko przyswoił niezbędne minimum wiedzy biologicznej i nawet przestał zwracać uwagę na szalone przeciążenia podczas lotów, które zdarzały się szczególnie wtedy, gdy za sterem siadali mieszkańcy Pyrrusa. Wreszcie przywykł na dobre do stałego poczucia śmiertelnego niebezpieczeństwa i nauczył się, że zawsze trzeba być przygotowanym, aby stawić opór nieprzyjacielowi. Taki tryb życia stał się dla przybysza z obcej planety, Archiego, czymś zupełnie naturalnym.

Był teraz innym człowiekiem i zupełnie tego nie żałował. Przekonał się o tym ostatecznie, kiedy po niewiarygodnie ciężkiej, ale wyjątkowo ciekawej podróży do centrum Galaktyki znalazł sobie żonę, młodą Midi z niebezpiecznej, ale pięknej planety o starożytnej nazwie Egrisi. Jego życie potoczyło się nową drogą i nie było już powrotu do cichej pracy naukowej na spokojnym, nudnym i szczęśliwym krańcu Wszechświata - na planetach Zielonej Gałęzi. Teraz Archie stał się fanatykiem Pyrrusa. Nie dawały mu spokoju ekologiczne zagadki tej planety i wszystkie starożytne tajemnice z nią związane. Zachwycał się odważnym charakterem Pyrrusan, a bystry umysł Jasona w połączeniu z niewiarygodną wytrzymałością i zuchwałym uporem były wzorem dla młodego Uctisanina.

Midi też okazała się dziewczyną dociekliwą. Starła się w niczym nie ustępować mężowi. Zawsze była dobrze zorientowana w jego sprawach i pomagała mu w pracy. Jasonowi wszędzie towarzyszyła Meta. Cała czwórka pracowała teraz w niedawno zbudowanych laboratoriach kompleksu badawczego, stanowiących nowoczesną miniaturę szczelnie zamkniętego miasta, położonego wśród dzikiej dżungli. Dżungla zresztą nie była zagrożeniem, a najnowsza technika zabezpieczała pomieszczenia kompleksu badawczego przed każdą niespodzianką. Zabezpieczenie zabezpieczeniem, a z pistoletami Pyrrusanie nie rozstawali się nawet tutaj. Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Jason świetnie to rozumiał w ciągu długich lat obcowania z Planetą Śmierci. A teraz Archie też uważał się za Pyrrusanina. Nawet Midi nosiła broń, chociaż raczej z poczucia solidarności z mężem niż z wewnętrznego przekonania.

I oto cztery pistolety, nie mówiąc już o systemach zabezpieczenia, które skompromitowały się zupełnie, okazały się bezsilne przeciwko jednemu tajemniczemu komarowi.

Jason poczuł, że lekko kręci mu się w głowie. Z powodu intensywnego myślenia? Nie, to chyba raczej komar. Trujące świństwo! Jednak nie można cały czas myśleć o takich bzdurach. Wyciągnął rękę i odruchowo skorzystał z medpakietu. Informację o jadzie komara wprowadzono do komputera, obróbka danych zajęła ułamek sekundy i od razu wstrzyknięto niezbędne lekarstwo do zatrutej krwi. Jason pozbył się nieprzyjemnego uczucia i od razu przestał zaprzętać sobie głowę tym problemem. Oczywiście, biochemiczna analiza też może dużo dać, ale o tym nie ma na razie co myśleć. A więc o czym?

Archie powiedział: „Ktoś kieruje naszymi zwierzątkami”. To znaczy, że komarami też. Oto pierwszy krok ku rozwiązaniu zagadki. Jason uśmiechnął się. Siedzieli teraz w pokoju wypoczynkowym, który był jednocześnie czymś w rodzaju poczekalni dla zwiedzających. Midi zrobiła wszystkim kawę. Jason trzymał w ręku filiżankę aromatycznego napoju, który w dziwny sposób pobudzał pamięć. Wspomnienia były jakieś niewyraźne i poplątane. Gdzie, kiedy, na jakiej planecie zdarzyła się identyczna sytuacja? Plecami do niego, przy pulpicie

głównego ekranu siedzi Meta. Archie zgrabnie przebiega palcami po klawiszach przenośnego komputera, szlifując matematyczny model kolejnego skomplikowanego procesu. Midi przegląda ostatni wydruk danych biofizycznych i chyba wszystko rozumie. Bardzo zdolna dziewczyna!.. Chyba jednak nigdy przedtem tak nie siedzieli. Nie zdarzyło się nic podobnego. Więc do czego uśmiechnął się Jason? Do jakich dziwnych wspomnień?

Przyszła mu do głowy myśl zupełnie absurdalna z punktu widzenia nauki: jeżeli oni przybliżyli się do rozwiązania tajemnicy Pyrrusa, to znaczy, że gdzieś we wszechświecie miało miejsce inne niezwykle wydarzenie, na tyle ważne, że teraz dla nich wszystkich (a już na pewno dla niego, Jasona) przyroda Pyrrusa i wszelkie odkrycia w tej dziedzinie staną się drugorzędne.

- Meto, kochana - poprosił - połącz się z lądowiskiem. Czy ktoś tam przypadkiem nie nadleciał? A może jakiś łajdak woła mnie z orbity? Dowiedz się, proszę. Mam jakieś przeczucie.

Na to słowo, które Jason wymówił powoli i z naciskiem, Meta odwróciła się, popatrzyła uważnie na Jasona i odpowiedziała: W porcie kosmicznym nic ciekawego się nie działo. Łączą się z nami regularnie, a pilna informacja dociera tu praktycznie od razu. Przeczucie zwodzi cię, Jasonie. Uspokój się. Lepiej posłuchaj, bo może cię to zaciekawić: przyszła pilna wiadomość z Międzygwiazdnej Agencji Informacyjnej.

- Na jaki temat? - szybko zapytał Jason, choć wcale nie chciał usłyszeć niepożądanego informacji. Poczucie niejasnej twógi pojawiło się w jego umyśle i gdy urosło do granic wytrzymałości, zmieniło się w przeświadczenie o nadchodzących kłopotach. Uczucie było na tyle wyraźne, że Midi, mająca spore zdolności telepatyczne, które Jason zauważył jeszcze na Egrisi, drgnęła nagle i chwyciła się za głowę. Jason wysoko oceniał własny talent w tej dziedzinie i przyzwyczał się ufać pojawiającym się w głębi mózgu przeczuciom.

- O czym jest ta wiadomość? - powtórzył, bo Meta w milczeniu studiowała tekst, przebiegający po ekranie.

- O napadzie na kasyno „Cassylia” - powiedziała i jakby mimochodem dodała: - Zdaje się, że grałeś tam kiedyś.

Świetnie pamiętała, kiedy to było. Nie mogła nie pamiętać. Przecież właśnie od tamtej nocy w „Cassylii” wszystko się zaczęło: brutalne wtargnięcie Kerka w życie Jasona, a także znajomość z Metą, znajomość, która przekształciła się we wspaniałą miłość. Wtedy nastąpiła radykalna zmiana w życiu zuchwałego międzygwiazdowego szulera, a razem z nią nowa epoka w historii Planety Śmierci.

Nie mogła o tym nie pamiętać. Dlaczego więc mówi o tym tak niedbale? Żeby uspokoić ukochanego? Efekt był jednak dokładnie odwrotny. W mózgu Jasona wybuchła cicha bomba: „To nie jest przypadek!”.

- Dlaczego to takie pilne? - zapytał ochryłym głosem i mimo woli sięgnął po papierosa.

- Przecież umówiliśmy się, że nie będziemy tutaj palić - przypomniała Midi, która przyłączyła się do kampanii antynikotynowej z poczucia kobiecej solidarności z Metą.

Jason nie odpowiedział, może nawet nie usłyszał jej słów. Meta odwróciła się razem z fotelem i zaczęła tłumaczyć, nawet nie starając się udawać spokoju. Lęk Jasona udzielił się także jej.

- Dlatego, że jest bardzo dużo niewinnych ofiar - wytłumaczyła. - Tak bezwzględnego przestępstwa dawno już nikt tutaj nie popełnił. Żeby ukraść piętnaście miliardów kredytów, ci dranie spuścili na miasto ciężki wojenny statek kosmiczny, zabrali swoich bandziorów i od razu wystartowali. Wyobrażasz sobie?

- Wyobrażam. Bardzo dobrze pamiętam Cassylię. Pamiętam miasto i wiem, jakie tłumy chodzą w samym centrum... Kim są ci łajdacy? Udało się ich przynajmniej rozpoznać?

- Udało się rozpoznać, ale nie zatrzymać. To kosmiczna banda Henry'ego Morgana.

- Morgana? - zdziwił się Jason. - Czeka, czekaj . . . Gwiazdna Orda! Tak?

- Tak - przyznała Meta. - To on nam wtedy uciekł.

- Zaraz, zaraz, chłopaki - wtrącił Archie. - Ja też pamiętam, kto to jest Morgan. Przecież to typowy kosmiczny pirat, tyle że dosyć znany. Dawno już porzucił przyzwyczajenia rodem z Gwiezdnej Ordy, przestał działać na planetach i, jeżeli wierzyć plotkom, z niewielką bandą atakuje tylko statki w przestrzeni międzygwiazdnej. Dzięki temu jeszcze żyje i nie został złapany przez Korpus Specjalny. Przynajmniej tak mi opowiadał Berwick.

- No właśnie - powiedziała ze smutkiem Meta. - Przestał napadać na planety, a teraz znowu napada.

- Morgan zwariował - powiedział Jason dziwnym głosem. Nikt nie wiedział, czy to żart, czy Jason mówi poważnie. Kiedy się podniósł i mocno zgniótł niedopałek w popielniczce, wszyscy od razu zrozumieli: kierownik nowego kompleksu badawczego nie żartuje.

- Trzeba lecieć na Cassylię - oświadczył.

Nikt z nich trojga się nie zdziwił. Nawet jedyna wśród nich Pyrrusanka, dla której nie było nic ważniejszego od własnej planety, teraz już rozumiała, że najkrótsza droga do zwycięstwa nad Pyrrusem wiedzie przez obce dalekie światy.

- Od Cassylii tylko zaczniemy. Czy dobrze rozumiem? - W pytaniu Mety była ledwo zauważalna nutka wątpliwości. - A potem będziemy musieli złapać Henry'ego Morgana. - To było już stwierdzenie.

- Oczywiście, kochana, właśnie to miałem na myśli.

3

Brucco ustalił, że komar jest obiektem biologicznym z elektronicznymi mikroschematami, zamiast systemu nerwowego. A zatem typowy cyborg. Archie ze swojej strony potwierdził obecność w organizmie owada półprzewodnikowych płytek krzemowych, irydowych styków i słonecznych elementów ładowania. Odkryto też fenomenalne ultraminiaturowe urządzenie do lokacji, kodowania i deszyfrowania. Krótko mówiąc, komar zachował się jak szpieg i w najbardziej bezczelny sposób wykorzystał w swoich celach wymyślone przez Pyrrusa hasło. Było się nad czym zastanawiać po takim odkryciu! Archie nie myślał teraz o niczym innym. Do jego badań aktywnie włączyli się i stary Brucco, i najbardziej uzdolniony z jego młodych uczniów Tekka, i największy geniusz techniczny Pyrrusa Stan, i oczywiście Midi, która nie miała wprawdzie solidnego wykształcenia i doświadczenia życiowego, ale interesowała się starożytnymi tajemnicami centrum Galaktyki i szczerze chciała pomóc swojemu Archie.

Tylko Jason nie włączył się do tej grupy. Jeszcze będąc w stacji naukowej polecił przygotować do wylotu „Temudżyna”, połączył się przez wideofon z Kerkiem i wytłumaczył mu sytuację. Nie można powiedzieć, żeby stary pyrrusański przywódca ucieszył się z nagłego odlotu Jasona i Mety w nieznaną, ale, nauczony doświadczeniem ostatnich lat, musiał się z tym pogodzić.

Inny przedstawiciel wyższych władz planety, Rhes, nie miał nic przeciwko nowemu pomysłowi Jasona, chociaż uznał go za ekstrawagancki. Bo dlaczego słynny na całą Galaktykę gracz, bogatszy niż większość bankierów, który na wszystkich planetach zwyciężył swoim bystrym umysłem, nagle zmienia romantyczne *emploi* międzygwiazdowego włóczęgi i nowy zawód naukowca na pracę prywatnego detektywa? Przecież nie po to, żeby wszystkich zaskoczyć. Jednak Rhesa nie bez powodu przyjęto do Stowarzyszenia Gwarantów Stabilności i nie przypadkiem został nieśmiertelnym wcześniej od Jasona i Kerka: szacowny starzec zawdzięczał to swojemu wybitnemu umysłowi. Teraz także zrozumiał sens lotu na Cassylię. Zrozumiał, ale nic nie powiedział. Odprowadzając Jasona i Metę w daleką podróż, uśmiechał się tajemniczo, ale z dobrocią. Nikt więcej nie przyszedł żegnać statku. Pyrrusanie to rasa pragmatyków, są pozbawieni sentymentalizmu i ciekawości.

Ostatnie instrukcje swoim podwładnym w centrum naukowym Jason wydawał przez radio, póki lecieli nad dżunglami w uniwersalnej kanonierce. W porcie kosmicznym imienia Welfa wsiedli na statek i od razu wystartowali w przestrzeń międzygwiazdną.

Chcieli być na Cassylii jak najszybciej. Jason nawet zaniedbał sprawdzenia aktualnej sytuacji na planecie, chociaż powinien to zrobić. Kiedyś uważano go tam za przestępcę, potem stał się bohaterem - Trzymiliardowym Jasonem, a jego imię wykorzystywano jako darmową reklamę kasyna „Cassylii”. Potem niejaki Mikah Samon groził, że odda go pod sąd, który skaze go na karę śmierci. To też działo się na Cassylii. Jason zapomniał wtedy wyjaśnić, co to za Partia Prawdy (a może Sprawiedliwości?), którą reprezentował szalony Samon a potem miał ważniejsze sprawy na głowie. Teraz mogło to okazać się bardzo ważne. Jeżeli na Cassylii doszli do władzy miłośnicy prawdy, to jaki los zgotują niespodziewanemu gościowi? Nietrudno się domyślić. Ale Jason lubił ryzykować. Intuicja podpowiadała byłemu graczowi, że na tej planecie go nie aresztują. Za dużo czasu minęło. No właśnie, ile? Nie mógł sobie przypomnieć. Niewiele też wiedział o tym, co zaszło od tamtej pory na Cassylii. Chyba nie zajrzał do odpowiedniego pliku w bibliotece Solvitza.

W pośpiechu Jason nie wziął mikrodysków z materiałem informacyjnym, a lekka kanonierka „Temudżyn” nie była wyposażona w jump-nadajnik. Teraz, kiedy lecieli w kierunku Cassylii, a wyjście z nadprzestrzeni planowano w minimalnej odległości od planety, nie było możliwości zdobycia informacji. Podczas lotu Jason oszczędzał czas, a o reszcie po prostu nie myślał.

Dni i noce spędzali przyjemnie. Smakołyków na „Temudżynie” nie brakowało, dobrych napojów też było pod dostatkiem, programy rozrywkowe na dyskach urozmaicały kosmiczne życie, a we własnym towarzystwie, też się nie nudzili. Zwłaszcza, że między nimi zaistniała zupełnie nowa sytuacja: byli zaręczeni. To słowo pachniało zamierzczłą przeszłością. A skoro się zaręczyli, dobre byłoby wziąć ślub w kościele. Tylko w którym? Może w kościele Wielkiego Dzeveso? Jason lubił historię, dużo wiedział o religiach, ale, niestety, słabo je rozróżniał.

„Bóg z religiami!” - pomyślał Jason i uśmiechnął się z tej gry słów. Najważniejsze, że jest im dobrze ze sobą w ciągu tych czterech dni i trzech nocy lotu, jeżeli liczyć według ziemskiej miary.

A ostatniego dnia, kiedy pokładowy komputer ogłosił, że do skoku z nadprzestrzeni zostało osiem godzin, nagle zrobiło im się przykro - może było to zmęczenie lenistwem, a może dopadł ich jakiś kosmiczny smutek. Przy kieliszku altairskiego szampana narzeczony z narzeczoną rozmawiali o wieczności, o miłości w sensie filozoficznym, o życiu i śmierci, o dobrym i złym, o pięknie i racjonalności, o poznawalności świata.

Jason przypomniał sobie, jak fatalnie skończył się jego poprzedni lot do centrum Galaktyki. Po zdobyciu Złotego Gwintoroga, po pokonaniu podstępnych wrogów, po odnalezieniu ojca i matki, z radości popuścił sobie cugli i stracił wszystko, co wcześniej zdobył. Matka Jasona, Nivella, dostała wtedy pilną wiadomość, której nikt prócz niej nie zrozumiał (nawet nie została kopia w dzienniku pokładowym) i w szalonym pośpiechu opuściła „Argo”. Z liniowca zniknął wtedy nie tylko statek Nivelli, ale również pierwszy „Baran”, z takim trudem odbity na lolce przez oddział Pyrrusan. Obydwa statki kosmiczne zniknęły w przestrzeni. Ajzon, oczywiście, też odleciał razem z żoną. A swojemu synowi i wybawicielowi poskąpił nawet krótkiego wytłumaczenia.

Krótko mówiąc. zero informacji. Dalej nie wiedział, dlaczego pragnęli pokonać cały świat. Dla kogo? Czy dla Uctisanina Archiego, który znalazł swoje szczęście na Egrisi? Czy dla Mety, która teraz jest najsłynniejszą dziewczyną Pyrrusa, a także narzeczoną wielkiego gracza i międzygwiazdowego włóczęgi Jasona dinAlta? Kogo zapytać? Kto udzieli odpowiedzi? Może Revered Berwick? Tak, Berwick powinien coś wiedzieć na temat wydarzeń na Cassylii. To sprawa Korpusu Specjalnego, czyli trzeba połączyć się z Berwickiem od razu, jak tylko statek wejdzie w zwykłą przestrzeń. O tym też rozmawiali.



Potem Jason zapytał:

- Meto, jak myślisz, czy oni mieli prawo zabijać ludzi? Kto? - drgnęła zaskoczona Meta. - Ci bandyci?

- Tak. Przecież zabijali bez zastanowienia.

- Nie można mordować Bogu ducha winnych ludzi - twardo oświadczyła Meta.

- Też tak uważam - kiwnął głową Jason i dodał: - Wiesz, myślę, że ludzi w ogóle nie wolno zabijać. Byłoby wspaniale, gdyby już nikt nigdy nikogo nie zabijał.

Powiedz o tym Henry'emu Morganowi. Koniecznie - uśmiechnęła się smutno Meta.

Jason nie zapomniał połączyć się z Berwickiem, jak tylko weszli na orbitę planety, jednak wielkiego galaktycznego przywódcy nie było ani na planetach Zielonej Gałęzi, ani w jego rezydencji na Lussuozo, ani w ogóle nigdzie, gdzie można byłoby się go spodziewać. Trzeba się będzie obejść bez dodatkowych danych o Cassylii i Morganie. Odległość od planety była już na tyle mała, że systemy nawigacyjne „Temudżyna” automatycznie przestawiły się na standardowe sygnały lądowania. Statek, po przejściu na lot orbitalny, już po minucie zawisł nad jednym z największych w Galaktyce portów kosmicznych międzygwiazdowym portem Digo, co w tłumaczeniu z esperanto oznacza „zapora, tama”. Widocznie pierwsi przesiedleńcy z czasów Imperium Ziemi chcieli mieć mocną ochronę przed obcymi z wrogiego wszechświata, ale efekt był akurat odwrotny do zamierzonego: tama cassylijskiego lądowiska zapobiegała przenikaniu od wewnątrz, a nie napadom z zewnątrz. W otwartym zawsze i dla wszystkich popularnym uzdrowisku i centrum biznesowym południowej części Galaktyki pełno było ludzi, a w przestrzeń międzyplanetarną wyciekał wąski, wyselekcjonowany strumyk wygnańców, bankrutów i przegranych albo po prostu zmęczonych, przesyconych rozrywką gości.

Radiooperatorzy Digo przyjęli sygnał „Temudżyna” i bardzo szybko zorganizowali lądowanie. Wątpliwe, żeby ktoś na Cassylii pamiętał numer rejestracyjny planety Szczęście, a oprócz tych cyfr pyrrusańska kanonierka nie miała żadnych znaków rozpoznawczych. Mieszkańcy Świata Śmierci do tej pory nie potrafili wymyślić nawet wspólnego godła dla swoich dwóch planet. Najprawdopodobniej automatyczny kontroler po prostu zajrzał do generalnego katalogu głównego komputera Ligi Planet, w którym już ponad dwa lata figurowała daleka, na pół dzika, ale teraz już rzeczywiście szczęśliwa planeta. To, że „Temudżyna” przypisano do floty kosmicznej Szczęście, a nie do pyrrusańskiego Welfa, było czystym przypadkiem związanym raczej z historią statku. Pyrrusanie z reguły nie zwracali uwagi na takie drobiazgi. Ale teraz takie zamieszanie okazało się pomocne. Przecież Jason nie miał zamiaru ujawniać na Cassylii, z jakiej przybywają planety. Paszporty i tak mieli ogólnogalaktyczne, jakie od niedawna zaczęła wydawać Liga Planet przedstawicielom niektórych profesji, których życie i praca nie były związane z jedną konkretną planetą.

Przy wejściu do terminalu i przy wyjściu z niego dokumenty podróżników z planety Szczęście były długo i dokładnie sprawdzane. Za pomocą specjalnych urządzeń prześwietlono skromny bagaż, zażądano wypełnienia deklaracji celnych na temat nielegalnego wwozu zakazanych rodzajów broni, mocnych trucizn, narkotyków i rzadkich zwierząt. Było tam jeszcze co najmniej dziesięć pozycji, w których wymieniono rzeczy, jakich nie tylko Mecie, ale nawet Jasonowi nigdy nie przyszłoby do głowy taszczyć na obcą planetę: dzieła sztuki narodowej, instrumenty muzyczne starożytnych narodów, muszle mięczaków oceanicznych, rękopisy wierszy, monety, znaczki pocztowe i inne tego rodzaju bzdury. W rubryce „cel przybycia” obydwójce, nie zastanawiając się, wpisali „turystyka”. I choć dziwnie brzmiało, takie sformułowanie było bliskie prawdy. Przecież Jason przyleciał na Cassylię w celu wyłącznie poznawczym, nie miał zamiaru ani zadzierać z władzą, ani nawet oczyszczać po raz kolejny kasy domu gry. Zresztą, jeżeli chodzi o jego ulubione kasyno „Cassylia”, taka możliwość nawet nie istniała: poprzedni goście nie tylko oczyścili, ale też zniszczyli jeden z najstarszych budynków miasta.

Likwidacja szkód szła pełną parą. Jason zauważył to już z daleka, kiedy kierowca helitaxi, tradycyjnego na Cassylii środka transportu, przeprosił go i wytłumaczył, że dalej nie da się podjechać: dzielnica jest zablokowana z powodu dużych prac remontowych. Uniesione w górę ramiona dźwigów potwierdzały jego słowa. Jason uważał, że wybrał najkrótszą drogę do kasyna, w końcu nieźle pamiętał miasto, ale z powodu zwalów gruzu, głębokich jam i ogradzających taśm z barwnymi chorągiewkami trzeba było cały czas krążyć, tak, że do miejsca katastrofy podjechali z zupełnie niespodziewanej strony.

Zniszczona przez piracki statek kosmiczny ulica stanęła im przed oczami. Smutny był to obraz. Szczególnie przygnębiające wrażenie zrobił na Jasonie jego własny portret, który jeszcze niedawno ozdabiał fasadę kasyna nad głównym wejściem, a teraz walał się wśród góry gruzów. Ogromne plastikowe paneau podczas wybuchu złamało się na dwie prawie równe części; ocalała prawa połowa była zabrudzona szarym błotem, spod którego widniała ręka rzucająca na zielone płótno złociste kości do gry.

- Panie dinAlt! - przez hałas budowy dotarł do niego głos dobrze ubranego młodego mężczyzny z radiostacją w rękę. Ochroniarz? Pracownik zniszczonego banku? Agent służb specjalnych? Co za różnica! Tak czy owak musi z nim porozmawiać. Przecież po to tu przyleciał.

Już trzeci raz rozpoznano Jasona. Pierwszy był celnik, który życzył szanownemu obywatelowi Cassylii dobrego wypoczynku. Drugi - taksówkarz, który przez całą drogę wypytywał o sekret dużej wygranej w kasynie. Trzeci - ten młody człowiek o niejasnej profesji. Jason i Meta przeszli niewysokim, ale niewygodnym chodniczkiem ułożonym z metalowo-plastikowych konstrukcji, żeby dostać się do wołającego ich faceta.

- Panie dinAlt, pan Wayne życzy sobie osobiście spotkać się z panem.

Zostało to powiedziane takim tonem, że wydawało się nieprzyzwoitością zapytać, kim jest pan Wayne. Jason mgliście przypominał sobie, że gdzieś już słyszał to nazwisko, ale nie kojarzył go z nikim.

- To niedaleko - dodał młody człowiek. Meta zrobiła na to zdziwioną i oburzoną minę, zupełnie jakby nie rozumiała, gdzie i po co ją ciągną. Przewodnik uznał za stosowne wyjaśnić: - Sir Rodger Wayne to prezes Narodowego Banku Cassylii.

Tymczasowy gabinet prezesa banku, którego siedziba uległa zniszczeniu podczas napadu piratów, znajdował się w podobnej do bunkra piwnicy, na tej samej ulicy. Sam pokój, dość przestronny, miał ozdobny sufit i luksusowe umeblowanie. Droga do tej twierdzy finansisty wiodła przez co najmniej tuzin ciężkich pancernych drzwi, które nie zostawiały gościom złudzeń, że mogą samodzielnie wydostać się na zewnątrz. Na każdym progu Meta uważnym spojrzeniem oceniała, czy potrafiłaby pokonać taki zamek. W końcu zdecydowała, że te stalowe konstrukcje nie tylko dla niej, ale nawet dla Kerka są stanowczo za mocne. Jason też był przygnębiony, czuł, że wpadł w pułapkę. Jediną pociechą były pistolety, których na razie nikt nie kazał im oddać. Okazało się, że istotnie zna Wayne'a, choć widział go tylko raz w życiu. Są takie twarze, nawet niezbyt charakterystyczne, które zapamiętuje się na zawsze.

Wayne przytył, wyłysiał, twarz mu trochę pociemniała, ale nadal był tym samym śliskim typkiem o przymilnych manierach. Kilka lat temu był wicedyrektorem małego banku na skraju miasta. Sprawdzał wtedy osobiście wszystkie milionowe banknoty, które Kerk wręczył Jasonowi, i wymieniał na tysiące. Jason wyraźnie przypominał sobie, jak wyglądała twarz początkującego bankowca, kiedy przyjmował od niego banknoty o tak wysokich nominałach. Widać było, że nigdy w życiu nie miał w ręku tylu pieniędzy naraz. Cóż, to teraz historia. Wayne stał się multimilionerem, jeśli nie miliarderem; nazywał się sir Rodger Wayne, ale w dalszym ciągu bladł, kiedy był zdenerwowany. Na widok Jasona posiniał z lekka, a fioletowe wargi rozciągnęły się w nienaturalnym, nieprzyjemnym uśmiechu.

- Tak się cieszę, że znów pana widzę na naszej planecie! - zawołał.

Trudno byłoby uznać ten okrzyk za szczery. W odpowiedzi Jason uśmiechnął się niewyraźnie i schylił głowę, jak wymagała grzeczność. Ale Meta, która nie uznawała żadnych reguł, była najwyraźniej wściekła.

Pamiętam, jak zaproponowałem panu ulokowanie pieniędzy w naszym banku, a pan skromnie odpowiedział: „Nie teraz”. Pamiętam, pamiętam - skrzeczał sir Rodger. - Czy dzisiaj nadszedł na to czas, panie dinAlt? Pan stał się bogaty i my również! Teraz możemy współpracować.

- To nie jest wykluczone uprzejmie odpowiedział Jason. Ale nie po to tu przyjechaliśmy. Zresztą mógłbym ulokować pieniądze w pańskim banku nie ruszając się ze swojej planety, za pomocą międzygwiazdnej sieci komputerowej. W tej chwili interesują mnie okoliczności niedawnego napadu na kasyno „Cassylia” i pańskie przypuszczenia co do miejsca pobytu Henry'ego Morgana. Zamierzam go dopaść i zmusić, by zwrócił to, co ukradł, plus rekompensata za straty materialne i moralne. Może pan je ocenić?

- Dodatkowe dziesięć miliardów - powiedział szybko Wayne. Jasonowi wydawało się, że to za dużo, ale nie protestował. Dobrze. Z tego wynika, że Morgan odda dwadzieścia pięć miliardów.

Wayne uśmiechał się wyrozumiale, powstrzymując się na razie od komentarzy.

- Na pewno odzyska pan swoje dwadzieścia pięć miliardów powtórzył Jason z akcentem na słowa „na pewno”.

- Na jaką część tej sumy mogę liczyć?

Odpowiedź padła natychmiast: - Dwadzieścia procent.

- To śmieszne - zaprotestował Jason. - Pięćdziesiąt. - Dwadzieścia pięć - zaproponował Wayne.

- Pięćdziesiąt.

- Trzydzieści trzy... to moje ostatnie słowo. - Pięćdziesiąt - jeszcze raz powtórzył Jason. Wreszcie Wayne nie wytrzymał i roześmiał się.

- Jasonie, pan jest bardzo przenikliwym człowiekiem. Od razu pan zrozumiał, że te piętnaście miliardów z kasyna należało do mnie. Dlaczego więc pan nie zauważył, że nie wierzę w sukces pańskiego przedsięwzięcia? Macie zamiar we dwójkę wystąpić na swoim żalonym statku przeciwko całej armadzie piratów?

- Panie Wayne! - powiedziała urażona Meta. - Z pańskiej piwnicy każdy statek będzie się wydawał żalony. Możliwości mojej kanonierki można porównać z możliwościami średnich rozmiarów liniowca...

- Ale oczywiście, nie w tym rzecz - włączył się Jason, by przerwać spór.

- Przepraszam, nie miałem racji - niespodziewanie poddał się Wayne. - Teraz niech pan mówi, Jasonie.

- Powiem krótko, panie Wayne. Raz już zmierzyliśmy się z tą grupą w otwartej walce, w uczciwym kosmicznym boju. Zwyciężyła nasza flota. Henry Morgan był wtedy tylko jednym z przywódców źle zorganizowanej gwiazdnej szajki. Po bitwie po prostu uciekł. Ale dzisiaj nie mam zamiaru zmienić się z nim w otwartej walce. Istnieje wiele sposobów na pokonanie wroga. Myślę, że pan zna niektóre z nich. Jestem zawodowym graczem, nieprzyzwyczajonym do odkrywania własnych kart. Musimy ustalić ogólne zasady. Wykonanie bierzemy z Metą na siebie.

Wayne odchylił głowę do tyłu i słuchał z wyraźnym zainteresowaniem.

- Nie wiadomo dlaczego zaczynam wierzyć w twój sukces, Jasonie dinAlt - powiedział zamyślony.

- Najwyższy czas. Ci, którzy nie wierzyli, kiepsko na tym wyszli. - Mam nadzieje, Jasonie, że pan nie próbuje mi grozić - powiedział Wayne twardo. - Taka pewność siebie jest dobra dla gracza, ale w walce może tylko przeszkadzać. Niech pan się nie spieszy zanadto i posłucha mnie. Nasi policjanci przyznali, że wobec Morgana są bezsilni, głównie dlatego, że mogą działać tylko na tej planecie. Cassylijskiej policji brakuje po prostu kosmicznego wyposażenia. Więc kto jeszcze może nam pomóc? Wojenna Flota Ligi Planet? To są mocne, ale

bardzo nieruchawe jednostki. Może Korpus Specjalny... Przepraszam, czy pan wie, co to jest Korpus Specjalny?

- Tak - odpowiedział Jason niedbale. - Nie są mi obce nazwiska Inskippa, Colby'ego, Reverda Bronsa. Tego ostatniego poznałem nawet osobiście. Twierdzenie o znajomości z Bronsem było lekką przesadą, ale przecież Berwick rzeczywiście proponował kiedyś Jasonowi wizytę u tego zastępcy naczelnika Korpusu.

- Świetnie- kiwnął głową Wayne. - Jednostka uderzeniowa Korpusu zgubiła ślad Morgana z bardzo prostej przyczyny: piraci zademonstrowali światu swoją techniczną przewagę. Ich cały sprzęt jest znacznie nowocześniejszy niż wyposażenie Korpusu.

- Ale ich mózgi razem wzięte są mniejsze niż mój.

- Brawo, Jasonie! - roześmiał się Wayne. - Jeszcze jedno podobne zdanie i, słowo honoru, powiem, gdzie szukać Morgana. Jason milczał. I ten facet oskarża mnie o nadmierną pewność siebie, pomyślał. Czy to blef?

- Czy ma pan wystarczające podstawy, żeby przypuszczać... wtrąciła się Meta.

- Proszę nie kończyć - przerwał Wayne. - Ja naprawdę wiem, gdzie on teraz jest. Chociaż... wszyscy wiemy, że odnaleźć to jeszcze nie znaczy schwytać. Żeby was przekonać, spróbuję wyjaśnić sytuację na naszej planecie. Mamy tu premiera i jego gabinet, mamy parlament, istnieje sąd, prasa, służby specjalne. Ale realną władzę mają tutaj tylko pieniądze, proszę mi wierzyć. A pieniądze to ja. Kontroluję wszystkie operacje finansowe na Cassylii. Podkreślam: wszystkie. Reszta obywateli, od dziennikarza do premiera, od tajnego agenta do przewodniczącego parlamentu, pracuje wyłącznie dla mnie. A skoro statek Morgana odleciał z mojej planety z moimi pieniędzmi na pokładzie, czy mogę nie wiedzieć, gdzie się udał? Ale ja też mogę mieć swoje tajemnice.

- Nie interesują mnie pańskie tajemnice - podkreślił Jason.

I tak wszystko jest dla mnie mniej więcej jasne. Oprócz jednego: gdzie Morgan jest teraz?

- Powiem - obiecał Wayne. - Tylko proszę odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie. Ostatnie, ale dla mnie najważniejsze. Po co panu Morgan? Przecież są pewniejsze i nawet ciekawsze sposoby zarabiania pieniędzy.

- Oczywiście, nie chodzi o pieniądze - zgodził się Jason. - Ale Morgan zniszczył kasyno „Cassylia”. Kasyno ma dla mnie specjalną wartość jako miejsce mojego triumfu. Pan tego nie zrozumie. Widział pan, co on zrobił z moim portretem? Ten pirat obraził mnie osobiście. To wszystko. Zadowolony pan takie tłumaczenie? - zapytał Jason napastliwie.

Wayne pomyślał chwilę i odpowiedział krótko: - Zadowolony.

- No to jak z moim procentem? - zapytał Jason.

- Cóż, pięć lat temu, kiedy Cassylią rządzą bandyci i gospodarka opierała się na międzyklanowych ustaleniach, połowa sumy za odzyskanie pieniędzy to był przyjęty standard. Zgadzam się na pięćdziesiąt procent.

Jason z godnością kiwnął głową. Potem Wayne nacisnął jakiś guzik na dużym pulpicie - prawdopodobnie włączył system zasłony informacyjnej - i powiedział cicho, prawie szeptem:

- Henry Morgan jest teraz na Darkhanie, w mieście Burun-ghi, hotel „Lulu”... Ej, dokąd to? - krzyknął do swoich gości, widząc, że jak prawdziwi profesjonaliści, bez pożegnania, odwrócili się i ruszyli do drzwi. - Nie trzeba tak się spieszyć. I broń Boże nie lecieć własnym transportem. Przybycie obcego statku na Darkhan musi zostać zauważone, proszę mi wierzyć. Żeby nie przestraszyć Morgana, trzeba udać się tam zwykłym statkiem pasażerskim. Już dzwonię po samochód. Jeśli chcecie, dostarczą was prosto do trapu odlatującego za pół godziny statku kosmicznego „Duma Darkhanu”.

- Tego samego? - syknął przez zęby Jason. Tego samego - potwierdził Wayne.

- O, ciemności przestrzeni! Ile może być zbiegów okoliczności!
- Nie masz racji, wszystko tu jest zaplanowane - warknęła Meta, kiedy szli w towarzystwie ochroniarza przez korytarze, mijając automatycznie otwierające się przed nimi ciężkie drzwi. - Dlaczego zgodziłeś się na jego warunki? Czyżbyś myślał, że rzeczywiście chce nam pomóc?
- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się Jason. - Tacy ludzie pomagają tylko sobie. Jednak przyznaj, że dał nam dobrą radę. W końcu w tej chwili rzeczywiście mamy wspólne cele. Powinnaś zrozumieć najważniejsze: tutaj, na Cassylii, jesteśmy całkowicie od niego zależni. Gdyby zechciał, mógłby w ogóle nie wpuścić „Temudżyna” na orbitę. Jedyne sposoby, by wydostać się stąd i lecieć dalej, to grać według jego reguł. Jason dopiero teraz zauważył, że Meta trzyma pistolet w ręku. Ciekawe, od jak dawna. Dobrze, że nie zaczęła go używać w kabinie.
- Schowaj go - poradził Jason. - Na razie nie ma do kogo strzelać. - Nie schowam - odburknęła Meta. - Okropnie mnie męczy granie według cudzych reguł. Pozwól mi chociaż przez minutę poczuć się sobą.

4

Podwieźli ich do statku międzyplanetarnego minutę przed startem i wpuścili do środka przez specjalne wejście, dzięki czemu ominęli kontrolę paszportową. Wskazano im miejsca w pierwszym salonie; wygodne, miękkie fotele, chyba najlepsze na statku, wyposażone w taką masę urządzeń technicznych, że trzy godziny lotu nie wystarczyły by skorzystać ze wszystkich przycisków i manetek. Jason zaniepokoił się. Każde z tych urządzeń mogło jednocześnie służyć jako mikrofon, kamera albo, co gorsza, aparat do napromieniowania. Jak tylko skończyły się startowe przeciążenia, a sympatyczna ciemnoskóra stewardesa poinstruowała pasażerów o zasadach bezpieczeństwa i pozwoliła wstawać, Jason podniósł się i szepnął do Mety:

- Nie chcesz przejść się do ekranu widokowego?

Meta kiwnęła ze zrozumieniem głową i na użytek wszystkich, którzy ich słuchali, powiedziała niewinnie:

- Dawno nie latałam statkami pasażerskimi. To zabawne, prawda Jasonie?

- Oczywiście, kochanie. Też odzwyczaiłem się od takich lotów. Przy ekranie widokowym zabawili tylko minutę, żeby się upewnić, czy ktoś ich nie śledzi. Potem wrócili do salonu, ale już nie do pierwszego, a do ostatniego - dla palących. Tam było sporo wolnych miejsc, a pozostałe zajmowała dość podejrzana publiczność. Sądząc po zapachu, palono tutaj nie tylko zwykły tytoń. Jason i Meta wybrali rząd najgorszych foteli, z rozprutymi obiciami, zdewastowanymi lampkami, klimatyzacją, elektrycznymi maszynkami do golenia, zapalniczkami i innymi przedmiotami codziennego użytku.

Na prawo od nich siedzieli trzech skośnookich obywateli, przypominających Jasonowi jeźdźców z plemienia Temudżyna, nie tylko rysami twarzy, ale również ubraniami pozszywanymi z pstrokatych kawałków skóry. Wszyscy ssali kalian. Z lewej strony bardzo czarny, czarniejszy od stewardesy, prawie nagi młody człowiek, a z nim tak samo antracytowa i jeszcze bardziej rozebrana dziewczyna oddawali się namiętym igraszkom. Nie wyglądali na tajnych agentów. Zresztą Jason nie sądził, żeby tylko ze względu na nich zamontowano urządzenia podsłuchowe przy każdym fotelu „Dumy Darkhanu”.

Jason zapalił dla pozorów (a także dla przyjemności) i zwrócił się do Mety:

- Omówmy plan działań. Najpierw muszę ci wyjaśnić, że mam zamiar bliżej poznać Morgana, usposobić go do siebie przychylnie, dowiedzieć się o nim jak najwięcej, a dopiero potem zwabić w pułapkę. Brałem pod uwagę wariant siłowy, ale po rozmowie z Wayne'em zrozumiałem, że osiągnąć coś można tylko sprytem. Musimy dołączyć do bandy Morgana. Jeżeli uwierzą w szczerą naszą zawiadłość, wygramy.

- Bardzo cenię twoje aktorskie umiejętności - mruknęła Meta, ale myślę, że wszystko będzie zależało od tego, czy on się domyśli, skąd jesteśmy, i ile wie o planecie Pyrrus.

- Masz rację. Jeśli ktoś zna Pyrrusa nie tylko z opowiadań, nigdy nie uwierzy, że mogliby zostać członkami bandy przestępców. Ale na Cassylii naród jest zadziwiająco ciemny. Nawet Wayne chyba nigdy nie słyszał Planecie Śmierci, a nie sądzę, żeby piraci wyróżniali się szerszą wiedzą. Mogli słyszeć, z czyją pomocą admirał Djukich rozbił ich Gwiazdną Ordę w pobliżu Ziemi. Ale takie opowieści bardzo zniekształcają prawdę, więc uważam, że to nas nie zdekonspiruje.

- No cóż, miejmy nadzieję - zgodziła się Meta. - Duszno tutaj. Prawdę powiedziawszy, wróciłabym chętnie do swojego komfortowego fotela.

- Proszę bardzo. Wszystko, co najważniejsze, już ci powiedziałem. Cały czas pamiętaj o naszej roli: jesteśmy bandytami, mamy kłopoty z władzą, chcemy przystąpić do Morgana, bo jest silny i sławny. Nie zapominaj o tym, a wszystko nam się uda.

Meta pogrążyła się na chwilę we własnych myślach. Potem odezwała się:

- Jasonie, przypomniałam sobie, o co chciałam cię zapytać jeszcze w drodze na Cassylię: po co w ogóle tutaj przylecieliśmy? Tylko mów prawdę. Specjalna wersja dla Rodgera Wayne'a to nie dla mnie Jason zapalił drugiego papierosa. Długo milczał.

Prawdę mówiąc - powiedział wreszcie - ja sam nie wszystko rozumiem. Intuicja mi podpowiadała, że rozwiązania tajemnicy Pyrrusa trzeba szukać bardzo daleko, może nawet w innym wszechświecie. Ale teraz... Rozumiesz chyba, że najbardziej na świecie chce odnaleźć statek kosmiczny „Baran” i swoich rodziców. Bardzo wielu rzeczy o nich... i o sobie... nie zdążyłem się dowiedzieć.

- No, proszę! - wykrzyknęła Meta. - Próbujesz oszukać sam siebie. Przyznałeś się.

Ale kto, jak nie moi rodzice, pomoże nam dotrzeć do Solvitza? Solvitz wie bardzo dużo o tajemnicach Pyrrusa. Jestem pewien że...

- Stop - przerwała Meta. - Ja tam nie jestem wcale tego pewna ułożmy to sobie po kolei. Najpierw, nie oglądając się na nic, wskakujesz do statku jakiegoś wariata i cudem wyciągam cię, półżywego, z dzikiej planety Appsala. Potem, nie rozwiązując naszych problemów, ruszamy oswajając planetę Felicity. Po pokonaniu Gwiazdnej Ordy i zawładnięciu liniowcem „Argo” wracamy nagle do rodzinnego świata. Nie wyjaśniliśmy nic do końca, a znowu ruszamy nie wiadomo gdzie, żeby bić się z asteroidem Solvitza. Rozwiązani naszych tajemnic, nie wiadomo dlaczego, ma się znajdować właśnie tam. Już mamy sukces w garści, ale nagle okazuje się, że zdobyta na Solvitzu wiedza jest nic nie warta. Kryształy zawierają informację, ale nie da się jej odczytać nigdzie indziej poza Solvitzem. Trzeba więc zbudować identyczny asteroid albo odnaleźć ten, który uciekł do obcego Wszechświata. Ale zamiast zajmować się tym, nagle znowu ruszamy do Centrum Galaktyki na poszukiwanie Złotego Gwintoroga. Odnajdujemy go z wielkimi trudnościami i tracimy zadziwiająco łatwo. A wreszcie, kiedy Archie zbliża się do rozwiązania problemu Pyrrusa tradycyjnymi, to znaczy czysto naukowymi metodami, nagle ni z tego, ni z owego w naszym życiu pojawia się Henry Morgan. No i teraz z jego pomocą masz nadzieję odnaleźć swoich rodziców, Złotego Gwintoroga i statek kosmiczny „Baran”. Mam rację?

Meta zrobiła przerwę, ale na tyle krótką, że najwyraźniej nie oczekiwała odpowiedzi od Jasona.

- A kiedy zgubimy Morgana, zaczniemy go szukać przy pomocy jakiegoś innego kosmicznego łajdaka albo szalonego naukowca i na zawsze zapomnimy o Planecie Śmierci. Tylko z przyzwyczajenia będziemy sobie od czasu do czasu powtarzać, że wszystkie nasze bohaterские czyny są poświęcone jednemu: uratowaniu planety Pyrrus od wrogich człowiekowi potworów. I tyle.

Jason słuchał i nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pyrrusanie w ogóle, a jego ukochana w szczególności nigdy nie wyróżniali się elokwencją. Mieszkańcy Planety Śmierci nie umieli wygłaszać długich przemówień. Tymczasem Meta mówiła i mówiła, jakby nie miała sił, by przestać. Widocznie gniew i niezadowolenie zbierały się w jej duszy zbyt długo. Teraz to wszystko wylało się na Jasona burzliwym strumieniem emocji.

Był tak zdumiony, że przez jakiś czas nie mógł wykrztusić słowa.

- Powiedz, czy nie mam racji?! - agresywnie zapytała Meta.

- Nie masz - spokojnie zapewnił ją Jason.

Pistolet pojawił się w jej dłoni, ale od razu wrócił do kabury. Jason uśmiechnął się: Pyrrusanka, która potrafi tak szybko zapanować nad emocjami... nadzwyczajne.

- Nie masz racji, kochanie - powtórzył. - Nigdy nie zapomniałem o naszym głównym celu. Po prostu jestem graczem z natury. Rozumiesz? A w grze zdarzają się wzloty i upadki, powodzenie i błędy, obrona i gwałtowne ataki. Przeszedłem przez to wszystko w swoim życiu, ale nigdy, zapamiętaj, nigdy nie przegrywałem w grze o wielkie stawki. A to dlatego, że jestem graczem wyjątkowym. Tajemnicy mojej niezwykłości nie rozwiązałem nawet ja sam. Może jest w jakiś dziwny sposób związana z tajemnicą planety Pyrrus. Właśnie dlatego lecimy dzisiaj z Cassylii na Darkhan. Ale wkrótce wrócimy na Planetę Śmierci, na pewno. A na razie... wrócimy do naszych komfortowych foteli. Zamówimy jakiegoś drinka i może zdążymy jeszcze się zdrzemnąć przed lądowaniem. Podejrzewam, że na tej planecie czeka nas ciężka praca.

Para z lewej strony z nieustającym entuzjazmem kontynuowała pieśczęty. Trzej żółtoskórzy z prawej wpadli w tak głęboki trans, że trudno było sobie wyobrazić, jak opuszczą statek po lądowaniu na Darkhanie.

Przy kontroli paszportowej pojawiły się niespodziewane trudności. W paszportach Jasona i Mety widniał duży czerwony orzeł - godło Cassylii. Ta pieczęć służyła jako wiza dla turystów. Ponury funkcjonariusz straży granicznej z twarzą koloru przestrzeni międzygwiazdowej oznajmił, powołując się na oficjalny regulamin, że wjazd na planetę Darkhan z cassylijską wizą turystyczną jest kategorycznie zabroniony. Stał pod dużym transparentem z napisem, która wyglądał dość ironicznie: „Aħłan wa saħłan Darkhan”, tuż obok wisiało tłumaczenie w międzyjęzyku: „Witamy na Gorącej Planecie!” Nie wiadomo dlaczego przetłumaczyli nawet nazwę planety. Ta głupota strasznie irytowała Jasona. Przedstawiciel władzy kiepsko władał językiem międzygalaktycznym, ale można było zrozumieć sens jego wypowiedzi.

Dwie sąsiednie planety nigdy nie były ze sobą w szczególnie serdecznych stosunkach. Do historii weszło sześć czy siedem cassylijsko-darkhańskich wojen i mniej więcej tyle samo paktów o nieagresji. Ale zakaz honorowania cassylijskich wiz? Podobnych idiotyzmów dawniej nie bywało. Kiedy Kerk wysyłał przez Darkhan ogromny statek transportowy z bronią, kupioną na Cassylii za pieniądze wygrane w kasynie, nie spotkali żadnych problemów z wizami.

Dlaczego bankowiec nie uprzedził ich o nowych regułach? Może zawiadomił któregoś ze znajomych urzędników i nieporozumienie zaraz się wyjaśni?

Jason już był gotów posłużyć się nazwiskiem Wayne'a jako tego kto poradził im przylecieć na Darkhan, ale zrozumiał, że człowiek mający znaczne wpływy polityczne na Cassylii nie musi być autorytetem na innej planecie. Trzeba było szybko wymyślić wiarygodną historyjkę.

Turyści, włączający się po wszystkich planetach bez różnicy, na pewno nie byli tu mile widziani. Jason szepnął nieugiętemu strażnikowi, że wypełnia misję Korpusu Specjalnego. Nazwę tej organizacji powtórzył na wszelki wypadek w czterech językach, ale nie zrobiło to na celniku specjalnego wrażenia, tak samo, jak i nazwisko Bronsa. Inksippa Jason nie odważył się wymienić, bo nie znał go osobiście. A imienia Berwicka nie miał zamiaru używać.

Dalej Jason rozmawiał z przedstawicielem darkhańskiej władzy w esperanto, w którym tamten mówił znacznie lepiej niż w międzyjęzyku. Ostatnie zdanie upartego czarnoskórego celnika było jednoznaczne:

- W naszej służbie, *camarado* *dinAlt*, nie jest przyjęte ufać słowom. Poproszę dokumenty.

Jason pożałował, że nie przyjął propozycji Berwicka, który chciał umieścić go w strukturach Korpusu Specjalnego. Trzeba było załatwić sobie tę robotę. Przynajmniej zawsze miałby przy sobie niezbędny dokument. Jason zupełnie zapomniał, że istnieją jeszcze we wszechświecie biurokratyczne porządki i twardogłowi urzędnicy.

Meta tym bardziej nie była skłonna zrozumieć, co się dzieje. Jej prawa ręka ścisnęła pistolet; na szczęście jeszcze go nie wycelowwała w twarz celnika.

- *Camarado* - powiedział grzecznie Jason - moja żona trochę się denerwuje. Niech pan nie zwraca na nią uwagi, na pewno nie strzeli. Planeta, z której przylecieliśmy, to nie Cassylia. To zupełnie inny świat, a ludzie tam są... hmm... dość agresywni. Czy pan rozumie, *camarado*? Na waszej planecie mamy wiele spraw do załatwienia. Jeżeli pójdzie nam pan na rękę, wtedy my chętnie pójdziemy na rękę wam. Proszę mnie dobrze zrozumieć, *camarado*!

Ale *camarado* nic nie chciał rozumieć. Propozycje Jasona odczytał widocznie na swój sposób, bo nagle zaczerwienił się i wrzasnął:

- Jestem *mufattiszem*! Nie każdy zasługuje na ten dumny tytuł. My, *mufattiszowie*, jesteśmy znani w całej Galaktyce z punktualności, surowości i nieprzekupności! Jak pan śmie rozmawiać ze mną w taki sposób?

Potem zamilkł, wziął się w garść i ciągnął już prawie spokojnie:

- Bardzo mi się nie podoba pańskie zachowanie. Pana tłumaczenia nie są przekonujące. Agent Korpusu Specjalnego bez odpowiednich dokumentów! Niesłychane! A zresztą, w waszych paszportach nie jest odnotowane, że jesteście małżeństwem. To znaczy, że kłamiecie! Cały czas kłamiecie. Będę musiał was odesłać na kontrolę bagażu i na rewizję osobistą.

Dumny z siebie, *mufattisz* nacisnął guzik i już po kilku sekundach pojawiło się obok niego dwóch uzbrojonych po zęby policjantów.

Szybko wymienili parę zdań w lokalnym języku, którego Jason nie znał mimo swoich ogromnych zdolności lingwistycznych. Nauczył się kiedyś paru słów po darkhańsku, ale to było dawno. a język bardzo się różnił od wszystkich innych rozpowszechnionych w Galaktyce. Z potoku słów, które nie tylko ciężko było zrozumieć, ale nawet powtórzyć, udało mu się wyróżnić tylko dwa często powtarzane wyrazy, których znaczenia raczej się domyślał: „*afsz*”, to znaczy „bagaż” i „*mucharrib*” - obraźliwe określenie samego Jasona. Jednak sytuacja rozwijała się tak szybko, że nie było czasu na praktyczny kurs darkhańskiego.

Nagle Jason wyobraził sobie, jak ta wspaniała grupa zaczyna obszukiwać Metę, i skrzywił się. Cóż, niedługo będą mieli na sumieniu trzy trupy, a potem... potem prawdopodobnie trupami będą oni sami. Przecież nie uda się Mecie, żeby była nie wiadomo jak dobra, zastrzelić całego personelu policji Darkhanu.

- *Camarado*, proszę mnie posłuchać - miękko zaczął Jason zadowolony, że Meta nie zna ani słowa w esperanto. - Naprawdę nie ma sensu nas przeszukiwać i kontrolować. Ta kobieta, z którą na razie jesteśmy tylko zaręczeni, ale nie braliśmy jeszcze ślubu, nie znosi poufałego traktowania i wszelkiej przemocy. Muszę pana poinformować, że jest mistrzynią w strzelaniu, a w dodatku z jej nerwami nie wszystko jest w porządku...

- Współczuję panu, *camarado* odezwał się czarnoskóry *mufattisz*, który teras, gdy poczuł swoją przewagę, zachowywał się prawie przyjaźnie. Współczuję, ale prawo jest prawem. Jeżeli pan coś źle zrozumiał, spiesz się wyjaśnić, że pana damę będą przeszukiwać kobiety.

Nacisnął na inny guzik i pojawiły się dwie miłe dziewczyny o delikatnych rysach i skórze koloru grafitu.



- Proszę przejść do pokoju kontroli osobistej - ogłosił celnik i uśmiechnął się tak obleśnie, że Jason od razu zrozumiał: przeszukają Metę te czarne dziewczyny, ale przyglądać się będzie nie tylko pożądlivy celnik, ale zapewne jeszcze cała grupa jego kolegów. Na pewno w tamtych pomieszczeniach są zamontowane kamery do obserwacji, a policjanci już zacierają ręce w oczekiwaniu na tę atrakcję. Cóż, chłopaki, nie doczekacie się. Wiele lat temu Jason był na Darkhanie. Odpoczywał nad ciepłym morzem po trudnym okresie gry na planecie Mahauta. Darkhan zawsze był specyficznym miejscem we wszechświecie. Tutaj w państwie religijnych fanatyków, ściśle stosujących przykazania jakiegoś starożytnego proroka, zabraniali prawie wszystkiego: narkotyków, alkoholu, tytoniu, prostytucji, gier hazardowych, homoseksualizmu, marszów ulicznych, głośnych rozmów w starożytnych językach, głośnej muzyki (powyżej pięćdziesięciu decybeli), plucia i publicznego smarkania, chodzenia na rękach... Ostatnia pozycja wydawała się Jasonowi śmieszna, dopóty, dopóki nie wyjaśniono mu, że chodzenie na rękach jest rozszerzone na każde dotknięcie ziemi przednimi kończynami. Krótko mówiąc, jeżeli spadło ci coś na ziemię lub na podłogę - zapomnij o tym. Wszystko, co spadło na ziemię, zbierają po zachodzie słońca przedstawiciele niższych kast. A ludzie o szlachetnej krwi nie mają prawa dotknąć ziemi nawet palcami. Każde naruszenie miejscowego prawa było surowo karane. Do odpowiedzialności pociągano każdego, bez względu na płeć, wiek i obywatelstwo winnego. Zdarzało się, że przedstawiciele bardzo bogatych planet spędzali w koszmarnych więzieniach Darkhanu po kilka miesięcy, a w tym czasie trwały targi na szczeblu rządowym o wielkość kaucji za oskarżonego. Za każdym razem chodziło o astronomiczne sumy.

Tak, planeta Darkhan była świetnym miejscem do wypoczynku dla ludzi cnotliwych, dbających o swoje zdrowie, takich, którzy nie uważali nudy za główne zło we wszechświecie. Natomiast zwolennicy prawdziwej rozrywki, ze wszystkim, co dozwolone i niedozwolone, lecieli na sąsiednią Cassylię. Cassylijskie morza i rzeki na całe pół roku pokrywały się lodem, latem było tam z reguły chłodno, za to w miastach, pod dachami luksusowych solariów, restauracji, ogrodów zimowych, kasyn, burdeli i dansingów panowało prawdziwe gorąco. Krążyło powiedzenie: na Cassylii jest dozwolone wszystko, nawet to, co jest zabronione. Na Darkhanie jest zabronione wszystko, nawet to, co jest dozwolone.

Rdzenni mieszkańcy Darkhanu byli od dzieciństwa pozbawieni praktycznie wszystkich życiowych przyjemności. Wyrastali potem na potajemnych narkomanów, potencjalnych zabójców i maniaków seksualnych; za wszelką cenę dążyli do zabronionych przyjemności. Jason pamiętał, jak wokół dużej międzynarodowej plaży w Darkhanie siedzieli Darkhańczycy, zawinięci w tradycyjne, przepisane przez religię granatowe chałaty i godzinami obserwowali przez mocne lornetki kąpiące się w wąziutkich bikini kobiety z innych planet. Prawo zabraniało Darkhańczykom, tak mężczyznom, jak i kobietom, obnażać swoje ciało publicznie, a do plaż międzynarodowych nie wolno było im podchodzić bliżej niż na pięćset metrów. Jason współczuł tym ludziom i jednocześnie go to bawiło. Ale teraz nie było mu do śmiechu. Ci zboczeńcy zamierzali upokorzyć Metę, a Meta umie się bronić. Nikt nie zdąży jej upokorzyć. Zaraz, zaraz! O czym on myśli?! Przecież to śmieszne! Każdy normalny policjant zacznie od rozbrojenia jej. A rozbrojenie Pyrrusanina - czy nawet Pyrrusanki kończy się, jeszcze zanim się zacznie. To nieciekawe zadanie.

Jason jeszcze podczas lotu przewidywał, że na tej surowej planecie prędzej czy później dojdzie do konfliktu z władzami. Ale żeby zaczynać walkę z policją od razu na lądowisku... to nie było częścią jego planu. Gorączkowo szukał wyjścia z tej sytuacji.

Pomoc przyszła, jak zawsze, niespodziewanie. Mocno opalony człowiek wyrósł nagle obok nich jak spod ziemi i oślepił wszystkich perłowym uśmiechem. Miał na sobie eleganckie jasne ubranie ze śnieżnobiałym kołnierzem podkreślającym urodę złocisto czekoladowej skóry i czarnych włosów.

- *Camaradoj, mi parolas pardonpeto* - zaczął trochę łamanym esperanto - *tio ci niaj amikoj, amikoj dela nia planedo.*\* Poskutkowały nie tyle słowa, ile ranga tego człowieka. Krótco błysnął tęczowym znacznikiem na nadgarstku - Jason nie zdążył przeczytać napisu na blaszce - i już wszyscy Darkhańczycy stali na baczność, prawie trzaskając obcasami z gorliwości. Jason zrozumiał, że niebezpieczeństwo minęło. Głośno wypuścił z płuc powietrze, przymknął na chwilę oczy i zwrócił się do nieznanego w międzyjęzyku:

- Zdążył pan w ostatniej chwili. Dziękujemy bardzo.

- Jestem szczęśliwy mogąc przywitać państwa na naszej planecie - odezwał się tamten, z radością porzucając esperanto. - Nazywam się kapitan Cortez. Proszę za mną.

Meta przeniosła wzrok ze smolście czarnego, surowego celnika na czekoladowego Corteza z perłowym uśmiechem. W jej oczach Jason wyczytał: „Wart jeden drugiego”. Jednak oczywiście lepiej było iść dalej niż stać w miejscu.

Droga do wyjścia wiodła przez długi pusty korytarz bez drzwi, przypominający teleskopowy trap. Czy przypadkiem tajemniczy Cortez nie prowadzi ich do innego statku kosmicznego, zamiast zaprosić do gościnnego miasta Burun-ghi? Jednak teraz na pewno szli w kierunku przeciwnym do pasów startowych. Nikt nie kazał im się rozbierać ani oddawać bagażu. Rozmawiali cicho między sobą. Cortez szedł przodem nie oglądając się do tyłu.

- Jeśli wolno spytać... jaką organizację pan reprezentuje? - zapytał z ciekawością Jason.

Meta rozglądała się wokół, spodziewając się, że ktoś lada chwila pojawi się z tyłu. Jednak korytarz był pusty.

- Chciałbym, żebyście uważali mnie za przedstawiciela Darkhanu. Jestem kapitanem floty i współwłaścicielem największej na planecie firmy turystycznej. Zamierzamy pokazać państwu wszystkie nasze zabytki. Potem możecie spędzić czas na złotych piaskach najlepszych plaż Galaktyki albo wziąć udział w polowaniu na gigantycznego pustynnego snichobirdona czy na oceanicznego fokoogona. Jeżeli zechcecie, razem z pobożnymi Darkhańczykami odbędziecie romantyczną pielgrzymkę do starożytnych świątyń Durnenda. Przeznaczaliśmy dla was apartamenty w najlepszych hotelach Burun-ghi, Durbaydu i Dzugischiny...

Cortez trajkotał monotonna, jak automatyczna sekretarka w solidnej firmie. Jason zrozumiał, że sprytny lis po prostu gra na czas. Trzeba było jak najszybciej przerwać mechaniczny potok słów.

- Przepraszam, a czy można zarezerwować pokój w hotelu „Lulu”?

Plecy Corteza jakby drgnęły, ale Jason mógł się pomylić: niektórzy ludzie tak reagują na wszystkie niespodziewane pytania.

- Oczywiście, że można - serdecznie odpowiedział przedstawiciel firmy turystycznej.

- Tylko uprzedzam, że to nie jest najlepszy hotel w mieście.

- Kiedyś się tam zatrzymywałem - skłamał Jason. - Chętnie powspominam dawne czasy. Zresztą życzenie klienta jest najważniejsze, prawda?

- Oczywiście, panie dinAlt! - wykrzyknął Cortez z przesadnym entuzjazmem, ale nawet na chwilę się nie odwrócił.

Trzeba zmusić go, żeby spojrzał im w oczy. Co to za idiotyczna maniera, ustawiać się tyłem do rozmówcy.

- Panie kapitanie, a jak pan się dowiedział o naszym przyjeździe?

Był przygotowany na to pytanie i skłamał bez zastanowienia: - Trafiają do nas listy pasażerów zarejestrowanych w porcie kosmicznym Cassylii na każdy rejs „Dumy Darkhanu”. Czy mogliśmy przeoczyć tak znane nazwisko?

Źle działacie, chłopcy, pomyślał Jason. Śledziliście nas koło banku, ale, jak widać, zgubiliście w porcie kosmicznym, skoro nie wiecie, że przylecieliśmy nie zarejestrowani na żadnej liście. Głupi błąd, i tyle.

Trzeba było coś zrobić. Na końcu korytarza pojawiło się wyjście: plamy słoneczne, zieleń, parking. Tam takich Cortezów będzie znacznie więcej. A trafić w łapy „firmy turystycznej” Jason nie miał ochoty. Meta była gotowa do zdecydowanych działań w każdej chwili - wystarczyło dać znak.

Trzeba się z nią porozumieć w języku, którego przeciwnik nie zna. Ale kto wie, skąd pochodzi ten kapitan i jakimi językami włada? Jest jeszcze jedna dobra metoda - zaskoczyć go i odezwać się w jego ojczystej mowie. Żeby tylko wiedzieć, jaka to mowa...

Szybciej, Jason, myśl szybciej! - przynaglał sam siebie. Czas leciał zbyt szybko; Jason wysiłkiem woli przedłużał każdą sekundę próbując wymyślić następny ruch. Tę metodę „zwalniania czasu” wykorzystywał czasami podczas gry w karty, ruletkę albo kości. Nie potrafiłby nikomu wytłumaczyć, jak to robi. Ta umiejętność była dla niego taką samą tajemnicą jak telekineza.

Kapitan wyraźnie zwolnił kroku. W uszach im zabręczało a światło w korytarzu jakby trochę przygasło. Meta powoli uniosła rękę z pistoletem. Jason bez słów dał jej do zrozumienia, że strzelanina w tym miejscu jest wykluczona. Na razie skoncentrował się na wyborze języka, w którym miał wypowiedzieć najważniejsze zdanie. Nazwisko Cortez pamiętał z historii Starej Ziemi, przypomniało mu się nawet imię - Ferdynand Cortez. Hiszpania. Źle znał hiszpański - tylko parę słów, za to włoskim posługiwał się prawie płynnie i nawet nauczył Metę porozumiewać się w tym języku. Eureka!

- Ten typek cały czas kłamie - powiedział Jason po włosku, wyraźnie wymawiając każde słowo. - Może nadszedł czas, żeby prysnąć? Popatrz, tam jest jakieś przejście.

Rzeczywiście po lewej zobaczyli boczny korytarz, pierwszy od początku drogi. Na jego końcu, w odległości trzydziestu metrów. błyszczało lustro niedużego, obłożonego kamieniami stawu, obok stał srebrzysty samochód, a przy samym wyjściu sterczał policjant w beżowym uniformie.

Mięśnie Corteza pod lekką tkaniną marynarki wyraźnie się napięły. Zrozumiał czy nie rozumiał? Musiał w każdym razie poczuć zaskoczenie, że tych dwoje za jego plecami zaczęło rozmawiać w innym języku. Jednak się nie odwrócił.

- A jeżeli... on rozumie... jak my... powiemy? - starannie, choć nie całkiem prawidłowo dobierając słowa, zapytała Meta.

Jason odpowiedział z uśmiechem, wtrącając po hiszpańsku jedno słowo, które właśnie sobie przypomniał;

- Co może zrozumieć ten *cabron*?

Cortez odwrócił się momentalnie, a w oczach miał zimną wściekłość. Sięgnął pod marynarkę i otworzył usta do krzyku. Ale nie zdążył się dowiedzieć, co miał zrobić. Meta stosując się do polecenia Jasona by nie strzelać w pomieszczeniach portu kosmicznego, wymierzyła pechowemu agentowi błyskawiczny cios lewą ręką w szczękę, a dla pewności poprawiła pistoletem w czubek głowy. Naprawdę lekko, bo niepisany kodeks honorowy zabraniał zabijać tych, którzy nie mieli zamiaru zabić ciebie. A Pyrrusanie zawsze uważali się za nieustraszonych i bezlitosnych, ale uczciwych.

Policjantowi przy wyjściu, który nie zdążył zareagować, po prostu zabrali na wszelki wypadek broń i wepchnęli go do stawu, żeby go na jakiś czas unieszkodliwić. Jasonowi zrobiło się okropnie gorąco. Czyżby to złość mnie tak grzała? - przeleciało mu przez głowę. A może włączyli jakieś urządzenia? Ale nie było czasu się nad tym zastanawiać. Ciemnoskóre postacie w białych ubraniach wyskakiwały z każdej strony, nie było szans, by się wywinąć. Najwyraźniej nikt nie zamierzał zabijać Jasona i Mety, chcieli tylko ich złapać, związać, porwać... Ale fatalnie trafili.

Co za fuszerka! - dziwił się Jason, nawet nie wiedząc, kogo krytykuje. Przecież oni nic o nas nie wiedzą! Powinni ich uprzedzić, że nawet batalion żołnierzy, nie poradzi sobie z nami bez specjalnych urządzeń.

Oni też nie chcieli nikogo zabijać. Jason starał się trafić w bolesne punkty, a Meta, mając pod każdym względem przewagę nad przeciwnikiem, przeważnie korzystała ze swojej ulubionej metody - łamała atakującym kończyny, zarówno górne, jak i dolne, z taką samą łatwością, jak gospodynie łamią makaron, jeżeli nie mieści się w garnku. W takiej sytuacji korzystanie z pistoletu wydawało się po prostu czymś nieprzyzwoitym. Nagle zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Ciężko było oddychać i myśleć.

Co zrobią, jak już pokonają tamtych? Będą musieli gdzieś się ukryć, w mieście albo w lasach. A tymczasem nawet nie wiedzą gdzie się znajdują. Czy ten wewnętrzny dziedziniec stanowi część portu czy posiadłość prywatną? Bardzo tu dużo zieleni, ale środkiem przechodzi gładka droga. Chyba nie mają wyboru i muszą skorzystać z tego samochodu, który dostrzegli jeszcze z korytarza. Co prawda za kierownicą siedzi taki sam frajer w białym ubraniu. Widocznie czeka, aż „szanownych gości” Darkhanu zwiążą, żeby zawieźć ich w bagażniku prosto do właściciela. Cóż, chyba on też będzie musiał wejść do gry.

Kierowca wysiadł z samochodu i błyskawicznie się wyprostował.

W rękach trzymał karabin, długi i ciężki, niespotykanego typu albo plazmowy, albo neuroparalizator. Chyba że to zwykły gazowy, tylko z usypiającym świństwem. Na to ostatnie też nie byli przygotowani - nikt nie lubi eksperymentować na sobie. Przykro mi, chłopcze, nie mamy czasu się zastanawiać, pomyślał Jason.

Meta zajmowała się jeszcze dwoma ostatnimi młodzieńcami którzy wyskoczyli z krzaków z bardzo mocną i prawie niewidoczną siecią. Właśnie kończyła ich wiązać, kiedy drań, który wyszedł z samochodu, wycelował w nią karabin. Pierwszy zareagował Jason i celnym strzałem wybił broń napastnikowi, rozwalając mu przy okazji rękę. Przepraszam, bracie, pomyślał Jason, ale sam się o to prosieś.

Po usłyszeniu strzału Meta od razu włączyła się do akcji. Na szczęście nie zaczęła strzelać na oślep; skoczyła jak tygrysyca na kierowcę i odrzuciła go jak najdalej od samochodu. Jason już siedział za kierownicą. Z transportem naziemnym radził sobie lepiej niż jego narzeczona. Pyrrusanka za każdym razem próbowała odebrać się od ziemi i kierownicę ciągnęła do siebie, a pedał gazu wbijała w podłogę już na pierwszym biegu.

Na planetach o takim poziomie rozwoju jak Cassylia i Darkhan spotykało się jeszcze tego rodzaju samochody - ze sprzęgłem, skrzynią biegów, z trzema pedałami, którymi trzeba było zgrabnie manipulować, zamiast wciskać wszystkie na raz. Przedpotopowy elektromobil łatwo dawał się prowadzić; niestety, jak szybko zrozumiał Jason, był uzależniony od drogi, biegnącej nad gigantyczną elektrodą. Dzięki poduszce magnetycznej i próżniowemu systemowi mocowania kół samochód rozwinął szaloną, jak na naziemny pojazd, prędkość - na prostych odcinkach z półtora tysiąca kilometrów na godzinę, nie mniej. Później z obydwu stron zaczęły się najpierw dzielnice przemysłowe, potem osiedla mieszkaniowe, a wreszcie biurowo-handlowe centrum. Tu należało zmniejszyć prędkość i zastosować inną taktkę. Elektromobil sunął teraz w gęstym strumieniu pojazdów. Rozpaczliwie manipulując między pasami, Jason szybko zrozumiał, że na ogonie siedzą im co najmniej dwa samochody. Na trasie ich nie widział. Ale prawdopodobnie przekazano informację do miasta i włączono do pościgu tutejszych pracowników.

Ciekawe tylko, kto tym steruje, pomyślał. Pochłonięty prowadzeniem samochodu, pięknymi widokami za oknem i omawianiem z Metą szczegółów ostatniej walki, nie miał dotąd czasu, by zastanowić się nad tym problemem.

- Jak myślisz - zapytał Metę - kto próbował nas złapać?

- Jacyś bandyci - powiedziała niezdecydowanie. Zawahała się, uznając absurdalność takiego przypuszczenia i dodała idąc dalej w tym kierunku: Albo agenci Rodgera Wayne'a.

- Po co? - zdziwił się Jason.

- Nie wiem - wyznała Meta. - Ale on mi się nie spodobał. Czysto kobieca logika.

Jak na agentów Wayne'a, mają za mocną sieć na wrogiej w końcu planecie. A jak na bandytów... Zbyt bezczelnie zachowują się na oczach policji. Oczywiście, wszystko tutaj mogło się zmienić, ale niegdyś na Darkhanie prawie nie było mafii i korupcji, zwłaszcza w porównaniu z Cassylią. Mieli najniższy wskaźnik przestępczości w całym zamieszkanym wszechświecie. Myślę, że albo są to goście z innego, dalekiego świata, którzy znieścacka zaskoczyli miejscową władzę, albo jest to sama władza. W każdym państwie przeżywającym okres postindustrialny... tak, wiem, to niezgrabne słowo, ale właśnie tak wygląda tutejsza gospodarka i polityka... istnieją co najmniej dwie policje: zwykła i specjalna, tajna. Pierwsza próbowała nas zatrzymać w porcie lotniczym, druga, jako bardziej wpływowa, wyzwoliła nas od pierwszej w sobie tylko wiadomym celu. A my, rzecz jasna, nie mamy zamiaru służyć niczym interesom. Na mroki przestrzeni! Jak tu pozbyć się ogona, kiedy wszystkie pojazdy poruszają się tylko po elektromagistralach?!

Pierścień wokół nich powoli się zacieśniał. Prześladowujące ich samochody nie wyglądały na policyjne, w każdym razie nie miały specjalnego oznakowania. Jason skręcił do centrum, gdzie od elektroulicy coraz częściej odchodziły w różne strony chodniki dla pieszych. W jednym z takich zaułków zobaczyli policyjny wóz z zieloną świecą kula na dachu i obrzydliwie wyjąca syreną, który blokował przejazd. Widocznie do tej chwili Jason zdążył złamać niejedną zasadę ruchu drogowego. Cóż, robi się naprawdę wesoło - pomyślał. Sprawnie wyminął samochód policyjny, poruszany heliosilnikiem albo silnikiem jądrowym (policja nie mogła być uzależniona od zasilania elektrycznego) i ruszył prosto po ciągłej linii do na najbliższego skrzyżowania, gdzie w kłębach kurzu pracował agregat budowlany. Ruch w tym miejscu, mimo że okrężny, był znacznie spowolniony. Spocony, błyszczący jak świeżo umyty bakłażan policjant kierował ruchem ulicznym w śnieżnobiałym hełmie i kremowej koszuli. Rozpaczliwie machał rękami, ale chyba nikt nie słuchał jego poleceń. Tylko patrzeć, jak powstanie ogromny korek. Jason postanowił przyspieszyć ten proces. Zahamował gwałtownie i nie prawidłowo, skręcił elektromobilem prawie w poprzek drogi, taranując przy tym dwa czy trzy samochody, które z kolei zahaczyły o tuzin innych. Nikt z kierowców i pasażerów przy tym nie ucierpiał, ale krzyków i brzęku stłuczonych karoserii było co niemiara. Żeby zrobić jeszcze większe zamieszanie, Jason, wyskakując z samochodu, rzucił w tłum parę małych świec dymnych. Przeciskając się między autami, a czasem skacząc po maskach, przebili się na środek skrzyżowania.

Krzętał się tam, ciągnąc za sobą kłęb kabla, ciężki pomarańczowy robot, cały w czarnych stróżkach oleju maszynowego, jak spocony górnik na przodku. Spod brzucha robota wyszedł poruszający się leniwie tęgi, niemłody robotnik, pozostawiony, by pilnować archaicznych urządzeń. Tępo popatrzył na Jasona, a raczej na to, co znajdowało się za jego plecami, i nagle krzyknął z niespodziewaną u melancholijnego grubasa ekspresją:

- *Khata-a-!* Później Jason sprawdził, że to słowo znaczy „Uważaj! Ostrożnie!”, ale w tamtej chwili wystarczył sam gwałtowny wrzask - zadziałał jak syrena alarmowa.

Plac budowy był ogrodzony. Kiedy Jason minął niewysoki prowizoryczny płot, odwrócił się. W samą porę. W chmurze dymu, po drugiej stronie zatrzymanego potoku elektromobili, stało dwóch facetów i celowało w nich z pistoletów, prawidłowo trzymając broń obiema rękami. Jason padł na ziemię, jednocześnie popychając do przodu Metę. Upadli w zakurzoną trawę, a kule gwizdnęły im nad głowami i zaćwierkały na żelaznym korpusie robota. No, no, pomyślał Jason. Albo teraz ścigają nas inni, albo tamci dostali nowe instrukcje. Albo po prostu się zdenerwowali. W każdym razie żarty się skończyły.

Jason rzucił w ich stronę oślepiający granat i jeszcze trzy świece dymne. Podnieśli się gwałtownie, przemknęli między leniwie stąpającymi nogami maszyny budowlanej i znaleźli się po drugiej stronie skrzyżowania, gdzie

potok elektromobili powoli, ale pewnie płynął do przodu. Zatrzymali pierwszą taksówkę i szybko opuścili nieszczęsny plac.

Taksówkarz trafił im się melancholijny. Nawet nie od razu zapytał, dokąd ma jechać. Właściwie byłoby to pytanie retoryczne: na razie poruszać się można było tylko w jedną stronę, a po wyglądzie pasażerów nawet ostami kretyn domyśliłby się, że po prostu muszą jechać - dokądkolwiek. Później się nad tym zastanowią, kiedy przyjdą do siebie, poprawią ubrania, policzą rany i wreszcie przetrą chusteczką spocone i brudne twarze. Dopiero teraz Jason się domyślił, dlaczego było im tak gorąco. W porcie kosmicznym i w każdym samochodzie nieprzerwanie działała klimatyzacja, natomiast miejscowy klimat nie sprzyjał bieganiu, strzelaniu i bójkom.

- Powiedz, przyjacielu - zwrócił się do taksówkarza - jaka jest dzisiaj temperatura za oknem?

- Dzisiaj jest chłodno - zawiadomił tamten bez cienia uśmiechu - czterdzieści trzy. Wczoraj o tej samej porze było czterdzieści dziewięć.

- Celsjusza? - na wszelki wypadek postanowił wyjaśnić Jason. - Jakiego Celsjusza? - nie zrozumiał taksówkarz.

- To był taki naukowiec, który wymyślił, jak mierzyć temperaturę. - Też mi naukowiec! Przecież nawet dla fokoogona jest jasne, jak się mierzy temperaturę. Termometrem. Proszę mi lepiej powiedzieć, gdzie mam jechać.

- Do hotelu... - zaczęła Meta, ale albo zapomniała jego nazwy, albo zwątpiła w słuszności swojej decyzji.

- Jaki znów hotel! - wtrącił się Jason. - W taką pogodę trzeba jechać nad morze. Jedź na plażę, przyjacielu.

- Poopalać się, a potem zanurzyć w fale! - marzycielsko dodała Meta.

- Proszę bardzo - melancholijnie zgodził się taksówkarz. - Tylko... sami państwo widzicie, co się dzieje w mieście. Zanim przejedziemy przez centrum, słońce już zajdzie. Ale jeśli pani chce...

- Lubimy się kąpać o zachodzie słońca - zapewniła niewzruszona Meta.

- Taaak - przeciągnął taksówkarz. - I opalać się po zachodzie. Proszę bardzo.

Dalej jechali w milczeniu. Kierowca nie wyraził zainteresowania wybuchami na placu, w ogóle o nic nie pytał swoich pasażerów, ale podejrzanie smutniał z każdą minutą. Kiedy już pokonali wszystkie korki, minęli ruchliwe ulice i jechali stosunkowo cichymi dzielnicami, prawdopodobnie w stronę morza, Jason zaczął podejrzewać coś niedobrego. Podczas swojego poprzedniego pobytu na Darkhanie odpoczywał w Durbaydzie i miasta Bu-run-ghi w ogóle nie znał, ale wydawało mu się, że jadą złą drogą. Nie sądził wprawdzie, żeby taksówkarz był w zмовie z tymi w białych ubraniach, ale mógł się okazać zwyczajnym złodziejaszkiem czy szantażystą. Sam jeden nie przedstawiał zagrożenia, ale gdyby zawiózł ich do swojej meliny... O, piękne gwiazdy! Po tym, co się wydarzyło, nawet Meta nie miała ochoty na jeszcze jedną bójkę.

- Niech pan się zatrzyma tutaj - poprosił Jason, dopóki jechali starymi dzielnicami miasta, gdzie łatwo było się zgubić w wąskich uliczkach wśród pasażerów handlowych, licznych salonów fryzjerskich, barów i warsztatów.

- Ale stąd do morza jest dobry kawałek, proszę pana - uznał za swój obowiązek uprzedzić taksówkarz.

- Zmieniliśmy zdanie - włączyła się Meta, jakby dając do zrozumienia, że kobiety są zmienne.

Kierowca uśmiechnął się leniwie, wziął pieniądze i odjechał. Na ulicy było nie tylko gorąco - było potwornie gorąco. Jak w maszynowni przedpotopowego statku międzyplanetarnego, w którym nawalił reaktor jądrowy. Pachniało gorącym asfaltem, smażonym mięsem, tanią wodą toaletową i jeszcze - bardzo mocno - jakimiś przyprawami. Z wysokiej wieży najbliższego kościoła rozchodził się monotony głos miejscowego duchownego, nazywanego tutaj mufattiszem albo mucharribem - Jason nie mógł sobie przypomnieć.

Czuł się nieswojo, przede wszystkim dlatego, że zupełnie nie miał pojęcia, dokąd teraz iść i co robić. Jasonowi rzadko zdarzało się taki moment niepewności, ale Meta, popatrzawszy na ukochanego z nadzieją, natychmiast

wszystko zrozumiała. Pociągnęła go za rękaw, bo stali na skraju chodnika, jakby w oczekiwaniu na kolejną taksówkę. Ruszyli na chybił trafił między dwa domy. Stanęli jak wryci, kiedy pośrodku przejścia, w odległości trzech metrów przed nimi wyrósł wysoki, ciemny brunet w śnieżnobiałym ubraniu. Nie mawiając się, nawet nie patrząc na siebie, ruszyli przez ulicę i rozdzielili się. Każde poszło w inną stronę.

5

Jason odwrócił się i zauważył, że mężczyzna w bieli wszedł do najbliższego sklepu, nie zwracając na nich żadnej uwagi. Coś podobnego! Czyżby się pomylił? W pobliżu nie było widać innych funkcjonariuszy wrogich służb. Ale nie miał czasu, żeby się nad tym teraz zastanawiać: Meta, nie oglądając się i nie zwalniając tempa, uciekała w przeciwnym kierunku. Nie rozumiejąc, co się dzieje. Jason zawrócił i ruszył za nią. Ścigać Pyrrusankę to w ogóle niewdzięczne zajęcie, tym bardziej w obcym mieście. Strasznie bał się ją zgubić, ale jeszcze bardziej bał się krzyczeć. Tutaj, gdzie za każdym rogiem mógł się chować agent darkhańskiej służby specjalnej, było to nie do pomyślenia. Po prostu samobójstwo.

Jason biegł, potykając się o stoiska z zabawkami i owocami. Potrzącał co chwila kruchych, jakby wysuszonych słońcem starców i kobiety w półmaskach, zakrywających dolną część twarzy jak u chirurgów, chwytając za słupy latarni, żeby nie stracić równowagi na ostrych zakrętach, ślizgał się w lepkich kałużach, odrzucał kopniakami puste pudła, rozrzucone na tyłach sklepów i straszył dziwne, chude, prawie łyse koty o długich nogach. Powtarzał co chwila jedno z niewielu znanych mu darkhańskich słów:

- *Mut'asif! Mut'asif!* Przepraszam! Przepraszam!

Słońce schowało się za horyzont i w mieście zaczęło się robić ciemno. Latarnie świeciły ekonomicznie tylko połową mocy, a zapalające się tu i tam reklamy nie oświetlały drogi, tylko oślepiały, powiększając ryzyko zgubienia jedyne punktu orientacyjnego – jaskrawo-niebieskiej, a teraz, w gasnącym świetle dnia, fioletowej zgrabnej sylwetki Mety w lekkim desantowym kombinezonie.

Ludzie byli tu poubierani tak rozmaicie, że nikogo nie obchodził ich wygląd. Nie zwracali uwagi na kombinezony, tak samo jak na suknie wieczorowe, na wátowane szlafroki i najcieńsze tuniki, na grube brezentowe uniformy i jaskrawe mundury wojskowych. Większość obywateli nosiła długie, luźne i najczęściej białe ubrania, które prawie zupełnie zakrywały ciało. Turyści wyróżniali się koszulkami i szortami. To był najwyższy dopuszczalny stopień obnażania się. Niezależnie od upału, kąpielówki i bikini można było nosić tylko na plaży. Właśnie, plaża!

Wąska, krzywa uliczka nagle opadła w dół i jasną kreską między miastem a niebem błysnęło morze. Teraz Jason był już pewny, że dogoni Metę. Przestał przyspieszać, nawet trochę zwolnił, marząc o tym, by odrobinę odpocząć. W pobliżu wody było bardziej rześko. Upał odchodził razem ze słońcem.

Po obu stronach ulicy ciągnęły się wysokie płoty, białe i czyste, jakby wyrzeźbione z cukru. Bramy ukrytych za nimi rezydencji wychodziły widocznie na morze albo na magistralę. Krótko mówiąc, nie było gdzie się ukryć. Szalony pościg zbliżał się do końca.

Meta siedziała na piasku nad samą wodą, obejmując rękami kolana. Obojętnie patrzyła na zielone fale, biegnące po błękitnym morzu. Obok leżała jej otwarta torebka, a dalej na piasku wałał się przenośny nadajnik radiowy. Widocznie Meta miała zamiar szukać Jasona w eterze. Powinna użyć psi-nadajnika, pomyślał fason. Sygnały radiowe są łatwiejsze do przechwycenia, a tutaj wyraźnie polują na nich.

- Meto zagadnął, kiedy stanął obok niej - co się stało? Nawet nie drgnęła.

Nic. Po prostu mam już dość wszystkiego. Rozumiesz, jestem zmęczona.

- Nie rozumiem. Przecież jesteś Pyrrusanką.

- Jestem Pyrrusanką, ale również kobietą, czego wy, faceci, nie chcecie zrozumieć. Nikt z was! Kobiety czasami mają humory, zwłaszcza jeżeli przez długi czas są zmuszane do robienia tego, czego nie chcą. Zabroniłeś mi strzelać na tej planecie. Zgodziłam się. Ale przynajmniej nie zabraniaj mi uciekać.

- Przed kim? - zapytał ogłupiały fason. - Przed samą sobą - burknęła Meta.

W tym momencie fason, który kątem oka cały czas obserwował wychodzące na plażę, wąskie przejście między płotami zobaczył wysokiego młodego bruneta z ciemną twarzą i w śnieżnobiałym ubraniu. Oczywiście wszyscy tu mieli ciemną skórę, z wyjątkiem niedawnych przybyszów z obcych planet, czarne włosy też spotykało się na każdym kroku, a po ciemku trudno było rozpoznać marz bruneta. Jednak wielki gracz dinAlt już w dzieciństwie przestał wierzyć w zbiegi okoliczności. Pistolet jakby sam znalazł się w jego dłoni, chociaż nieznajomy na plaży raczej nie mógł zobaczyć tego z daleka. Jason szepnął do Mety, nie odwracając głowy:

- Uwaga! Niebezpieczeństwo!

Odwróciła się leniwie, kiwnęła głową z roztargnieniem i znowu zaczęła patrzeć na morze.

Jason się zaniepokoił. Cały czas trzymając na muszce białe ubranie, wyciągnął medpakiet i przyłożył do nadgarstka Mety. Czyżby jednak coś jej zdążyli zrobić?

- Jasonie, po co? - zapytała Meta beznamiętnie. - Źle się czujesz - odpowiedział zdecydowanie.

- Tak myślisz? Mówiła jak we śnie. - A ja uważam, że wszystko w porządku. Bardzo mi się tu podoba... Patrz, medpakiet nie ustalił żadnej diagnozy i nie ma zamiaru aplikować mi lekarstwa.

- W takim razie zrobię ci zastrzyk ogólnego stymulatora.

- Nie wiem, czy warto - obojętnie powiedziała Meta.

- Warto - zapewnił ale nie zdążył tego zrobić bo w tym momencie nieznajomy podszedł na dziesięć metrów, nie więcej. Słychać było szelest piasku pod jego nogami. Morze o tej godzinie było zupełnie ciche. Jason postanowił milczeć. W napięciu obserwował człowieka w bieli.

Domniemany agent spokojnie, nie rozglądając się dookoła, rozebrał się do majtek i niespiesznie ruszył w kierunku morza. Jason pomyślał, że jeszcze trochę i zwariuje. Absurd sytuacji sięgnął szczytu.

Nieznajomy wszedł do wody, zanurzył się i popłynął, rozcinając leniwe fale szerokimi ruchami rąk. Po chwili prawie nie było go widać w gęstniejącym mroku. Jason rozejrzał się ostrożnie, wstał i trzema skokami dotarł do ubrania pływającego w dal nieznajomego. Wystarczyło mu pół minuty by dokładnie je przeszukać. Nie znalazł nic ciekawego: zapalniczka, paczka papierosów z metką firmy Stelo, prowadzącej sieć całodobowych sklepów w tysiącach międzygwiazdnych portów kosmicznych, grzebień, portfel napchany galaktycznymi kredytami i miejscową darkhańską walutą. Żadnej broni. A już przypuszczał, że przypadkowy nocny pływak to superagent, którego niedbale porzucone na brzegu ubranie jest naszpikowane mikrobombami i inną miniaturową elektroniką.

- No i jak? Rozbroiłeś go? - zapytała Meta, kiedy Jason wrócił i usiadł obok niej na piasku.

Jason nie odpowiedział. Meta nagle dostała ataku śmiechu Uspokoila się dopiero po zastrzyku.

Nad brzegiem zajaśniały miękkim światłem różnobarwne lampiony, tworząc wzór na tle nieba. Przewody były niewidoczni w mroku i cała iluminacja wyglądała bardzo efektownie. Niedaleko zamigotała reklama kawiarni. Plaża ożyła. Słychać było wesołe głosy, pojawiły się kolorowe sylwetki. Zaczynało się uzdrowskie życie.

W końcu przyjechali do kurortu, mniej rozrywkowego niż Cassylia, ale wygodnego, popularnego i świetnie urządzonego. Ludzie tutaj odpoczywali. Facet w bieli chyba też.

Tylko Jason i Meta przylecieli tutaj, żeby oszaleć.

A może wszystko im się przyśniło? Może nie było żadnych prześladowań ani strzelania do żywych tarcz?



Brunet wrócił na brzeg, zadowolony i uśmiechnięty. Otrząsnął się jak duży pies, popatrzył na Jasona i Metę jak na starych znajomych i powiedział:

- Woda jest świetna, dlaczego się nie kąpiecie?

Wcale nie był podobny do Corteza. Zwykły człowiek, pewni inżynier albo pracownik banku.

Odpowiedziała mu Meta:

- My wolimy później, jak woda będzie chłodniejsza.

- No, to sprawa dyskusyjna zauważył filozoficznie brunet. - Bywa, że woda robi się cieplejsza w nocy.

Wytrzeł się ręcznikiem i zaczął się ubierać. Do rozmowy włączył się Jason, który do tego momentu zdołał opanować przygnębiające poczucie absurdalności tego, co się tu działo. W rozpaczliwym pragnieniu normalności zapytał:

- A ta pana marynarka... eee, garnitur... to skąd?

- Kupiłem go tutaj - z ochotą wyjaśnił mężczyzna. - Ostatnia moda. Pół miasta tak się ubiera... mam na myśli turystów...

Jason już go nie słuchał. Coś zaskoczyło mu w mózgu. Nigdy jeszcze nie czuł się tak głupio. A więc to nie był uniform służby specjalnej! Zresztą jaka służba specjalna chodzi umundurowana? Najczęściej chcą się maksymalnie upodobnić do reszty. Jak on mógł nie zrozumieć?

- Chodźmy popływać - odezwał się do Mety. - Proszę.

- A czy tutaj jest dozwolone pływanie po zachodzie słońca? - spytała niespodziewanie Meta, zwracając się nie tyle do Jasona, co do nieznanego, który dopiero wyszedł z wody.

Pytanie było całkiem naturalne. Turysta, który już miał zamiar odejść, wytłumaczył uprzejmie:

- W tym miejscu można. Tylko nie rozbierajcie się do naga i nie dotykajcie rękami piasku, nawet jeżeli zrobi się zupełnie ciemno. Tutaj czasami chodzą patrole z latarkami. Widziałem je.

- Dziękujemy - powiedział Jason.

Czuł się zupełnie rozbity. Teraz należałoby wziąć głęboki oddech, otrząsnąć się, zanurzyć w morzu, wyrzucić wszystko z głowy. Przynajmniej na dziesięć minut. A potem dobrze zjeść i przespać się. Chociaż... lepiej nie spać w najbliższym czasie. Nie szkodzi. Odkąd stali się nieśmiertelni, mogli nie spać nawet tydzień.

Woda rzeczywiście była bardzo przyjemna, jakieś dwadzieścia pięć - dwadzieścia sześć stopni, a więc chłodniejsza od powietrza, ale nie za zimna. Musiała zawierać dużo soli, bo dobrze trzymała; można było leżeć prawie bez ruchu.

Kąpali się po kolei. Wiedzieli co prawda, że tutaj nie kradną, to nie jest przyjęte. Ale... strzeżonego Pan Bóg strzeże. Głupio byłoby znaleźć się prawie na golasa, bez pieniędzy i urządzeń technicznych na mało znanej i wrogiej planecie. Po kąpieli obudził się w nich wściekły apetyt i jeszcze gorsze pragnienie.

Przy wejściu do kawiarni czarny jak węgiel człowiek handlował sokami. Sprzedawał je nie w opakowaniach, do czego przyzwyczała się już cała Galaktyka, ale wyciskał ze świeżych owoców na oczach klienta. Spodobało im się to, tyle że w obfitości proponowanych owoców jakoś nie mogli znaleźć żadnego chociaż trochę znanego. Były tutaj jaskrawo-niebieskie włochate obwarzanki i skręcone w bezkształtne kłębki zielone korzenie, i bursztynowo-żółte jagody, oblepione wokół gałęzi, i długie, półprzezroczyste beżowo-różowe serdelki, i podobne do gigantycznych malin jadowicie purpurowe piramidki, i pasiaste kulki, niczym karłowate arbuzy... Wreszcie z ulgą zauważyli rodzime cytrusy, więc oczywiście zamówili sok pomarańczowy. Okazał się mało pomarańczowy, raczej zielonkawy, ale najważniejsze, że smakował jak należy.

- *Alf snukran* - podziękował Jason w miejscowym języku, czym tak wzruszył sprzedawcę, że dostał całą resztę w darkhańskich drobniakach. Innym, płacącym kredytami, jak zdążył zauważyć Jason sprytny handlowiec starał się zaokrąglić cenę w górę.

Kawiarnia wyglądała na zwykły bar szybkiej obsługi a chcieli zjeść przyzwocie, tym bardziej że ceny na Darkhanie były bardzo przystępne poszli więc do pobliskiej restauracji. W przytulnej sali z przytłumionym światłem czuli się trochę dziwnie jedząc morskie delikatesy, sałatki, obfite porcje pieczeni, a wszystko to bez kropli alkoholu. Tutaj nawet o piwie nie było mowy. Nie mogli nic na to poradzić. Zawzięci palacze wychodzili na papierosa do toalety, ale Jason nie upadł jeszcze tak nisko. Postanowił, że wytrzyma do hotelu.

Wreszcie trochę się uspokoił. Dowiedzieli się, która godzina (było po północy), wyjaśnili, gdzie się teraz znajdują (zachodnia dzielnica, początek strefy plażowej) i wreszcie odkryli, jak dotrzeć do hotelu „Lulu”. Nie było to blisko, ale taksówką nie więcej niż godzina. Nie było się po co spieszyć.

W dodatku nie mieli na to ochoty. Trochę ich to dziwiło. Wyrwali się z rodzimej planety, zapominając o wszystkim, nawet o wielu niezbędnych w podróży rzeczach, żeby zdążyć, dogonić, nie przegapić... A teraz woleliby leżeć na plaży, kąpać się w morzu i marnować czas w przytulnej knajpie, popijając zimny koktajl z owoców tropikalnych. Ale tylko w ten sposób można było tutaj działać. Jason już to zrozumiał. Jeżeli biegasz, denerwujesz się, szarpiesz następuje zapaść. U kobiet histeria, u mężczyzn apatia. Taki klimat. W rezultacie tracisz więcej niż zaoszczędziłeś.

Jedli więc dużo i bez pośpiechu, jakby chcieli sobie zrekompensować wszystkie posiłki, które opuścili podczas szarpaniny na Cassylii i w drodze, kiedy w ogóle nie chciało się jeść, bo oboje tracili apetyt podczas lotów międzyplanetarnych. Wreszcie tutaj w rezultacie potyczek i pościgów stracili sporo kalorii. W dodatku ten niesamowity upał...

Nie mogli już tknąć nawet najbardziej apetycznych ciasteczek ani wykwintnych w smaku, wymieszanych z wodą mineralną soków. Żołądki mieli pełne po brzegi, a noc nie chciała się skończyć. Jason zrozumiał, że podświadomie czeka na świt. Meta, która właściwie pojechała na tę wyprawę jako jego ochroniarz, przestała chyba rozumieć dziwne plany narzeczonego. Traktowała ich wyjazd jako podróż poślubną. A może przedślubną. Co za różnica? Zawsze wszystko robili inaczej niż zwykli ludzie.

Zgodnie z tym, co powiedzieli miejscowi, do świtu zostawało jeszcze półtorej godziny. Trzeba było jakoś je spędzić. Jason zadał naturalne pytanie: co tutaj robią w nocy, jeżeli nie śpią?

Z turystami wszystko było oczywiste. Rozpędzają się po swoich kwaterach i tam, w zamkniętych na klucz pokojach hotelowych, gdzie już nie działają ascetyczne prawa Darkhanu, oddają się wszelkim grzesznym radościom, jaki wymyśliła ludzkość w ciągu długich tysiącleci swojej historii. A miejscowi? Dalej jedli (to nie było zabronione), kąpali się w morzu (w ubraniach), grali w sportowe (nie hazardowe) i intelektualne (nie hazardowe) gry - cudowne zajęcia na noc. No i wreszcie chodzili do kościoła. To było najbardziej egzotyczne. Warto by na to popatrzeć. Ale popatrzeć nie pozwolili.

Czarny człowiek w białym ubraniu w drzwiach przepięknej świątyni z ostrołukowymi sklepieniami i smukłymi wieżami wytłumaczył Jasonowi i Mecie, że są niewierni.

- Jak to niewierni?! - oburzył się Jason. W jakim sensie? Mety nic już nie oburzało.

- Nie wierzycie w Jedyne Boga - wyjaśnił człowiek.

- Nie tylko nie wierzymy - zgodził się Jason - ale nawet nie mamy pojęcia, jak on wygląda. Ale chcieliśmy wejść i zobaczyć.

- To, co teraz mówicie, obraża Boga. Jedyne Bóg nie ma żadnej postaci cierpliwie tłumaczył czarny człowiek. - Ci, którzy nie wierzą, i tak niczego nie zobaczą. Dlatego my, słudzy ołtarza, nie wpuszczamy do świątyni niewiernych.

- W porządku - zgodził się Jason. A co tam robią wasi wierni? Proszę nam przynajmniej opowiedzieć, jeżeli nie możemy wejść.

- Wierzący poprawił sługa ołtarza. - Wierzący przychodzą do kościoła, by połączyć się z Bogiem. Po prostu klęczą i rozmawiają z nim. W milczeniu.

- Przez całą noc? - zdziwił się Jason.

- Kto ile wytrzyma. Jedni tylko kilka minut, inni całą noc, jeszcze inni - i noc, i dzień. A są tacy, którzy rozmawiają z Bogiem kilka dni pod rząd.

- To godne szacunku - powiedział Jason prawie serio.

Sługa kiwnął głową, ale nie skomentował słów obcokrajowca. Meta patrzyła na potok parafian ze zdziwieniem i obrzydzeniem. Wyraźnie chciała jak najszybciej stąd odejść.

- Przecież oni wszyscy są walnięci! - przestała się wreszcie hamować Pyrrusanka i poprawiła wysuwający się z kabury pistolet.

Odeszli już dość daleko i podświetlony kościół, podobny do lekkiego międzyplanetarnego liniowca, który miękko wylądował na ogonie, całkowicie zniknął za wysokimi drzewami nieznanego gatunku. Dla uproszczenia Jason i Meta nazywali wszystkie te wybujałe rośliny palmami, chociaż, oczywiście, nie były to żadne palmy. Ale przylecieli tutaj nie po to, by zajmować się botaniką.

Sam bym doszedł do takiego wniosku, gdyby nie oszałamiające sukcesy Darkhanu powiedział Jason. - Po prostu w głowie się nie mieści, jak można wyznawać taką prymitywną religię i jednocześnie osiągnąć szczyty nowoczesnej technologii, handlować z całym Wszechświatem, mieć potężną flotę kosmiczną, pretendować do roli niemal drugiej stolicy finansowej Galaktyki! Wiesz ile jest międzygwiazdnych banków w Durbajdzie, Burunghi i Dzugischinie? Więcej niż na Cassylli, Kliandzie i Lussuozo razem wziętych.

- To znaczy, że cała Galaktyka zwariowała! - podsumowała Meta.

- Jesteś bliska prawdy - uśmiechnął się Jason.

- Chodź, jeszcze się wykąpiemy - zaproponowała Meta, która nie umiała długo snuć filozoficznych rozważań.

- Z przyjemnością.

Przywitali świt nad wodą. O tej porannej godzinie na plaży nie było prawie nikogo. Piasek był jaskrawo-różowy, morze - delikatnie niebieskie, a nisko nad falami latały duże cytrynowo-żółte ptaki. Otwierając czerwone dzioby, krzyczały żałośnie, jakby im też nie podobało się wszystko, co się dzieje w Galaktyce.

Kiedy wracali do drogi, rozważyli swoje szanse i doszli do wniosku, że właściwie nie mają żadnych. Zaprzyjaźnić się z wrogiem czyli poddać się, unikając tym samym prześladowania władz... to nie wchodziło w rachubę. Próbować dotrzeć do samego Henry'ego Morgana - bez sensu. Otwarcie pytać o niego w hotelu? Złapią cię wcześniej niż dostaniesz odpowiedź. Pozostawało jedno: zamieszkać w „Lulu” pod obcymi nazwiskami i zacząć szybkie, ale dyskretne prywatne śledztwo. Jeżeli będą mieli szczęście, znajdą Morgana prędzej, niż służby specjalne znajdą ich. A jeśli nie będą mieli szczęścia... Cóż, każdy konflikt, nawet najtrudniejszy, prędzej czy później się kończy. Raczej nie powinni zginąć, a wszystko inne jakoś przeżyją - w końcu nie są dziećmi. W razie czego wezwą pomoc z Pyrrusa, Berwick może też się dołączyć, a potem... Potem ponowią próbę. Jeżeli Jason dobrze zrozumiał sir Rodgera Wayne'a, sprytny bankowiec zawsze się orientuje w miejscu pobytu Morgana. Krótko mówiąc, nie mogą przegrać całkowicie, ryzykują tylko stratę

czasu. Mecie co prawda nie podobał się wariant z powtórzną próbą. Może dlatego, próbując przyspieszyć bieg wydarzeń, przedstawiła paradoksalną hipotezę:

- A jeżeli Cortez to Morgan? I cała jego banda, od której uciekamy, to są akurat ci, których tak naprawdę szukamy?

Pomysł był zbyt absurdalny, by w niego uwierzyć. Gdyby miał potraktować go poważnie, powinni przejechać przez całe miasto z plakatem „Witajcie Jasona dinAlta” i zwalić się do hotelu „Lulu” w towarzystwie reporterów i policjantów. Jason rozważył wszystkie „za” i „przeciw”, uśmiechnął się marzycielsko i powiedział:

- Wiesz co? Zrobimy maskaradę.

Około ósmej rano czasu lokalnego do hotelu „Lulu” wszedł bardzo czarny człowiek w bardzo białym garniturze z błyszczącą metalową walizeczką - niezmiennym atrybutem każdego biznesmena z Gorącej Planety, a towarzyszyła mu prawdziwie wierząca w Jedyne Boga kobieta Darkhanu z całkowicie zasłoniętą dla obcych oczu twarzą. Jej figurę skutecznie maskowały luźne fałdy granatowej szaty, stanowiącej skrzyżowanie prześcieradła z płaszczem.

Przestronny hol hotelu roztaczał aromaty, mienił się delikatnymi barwami, usypiał cichą muzyką i uspokajał gęstą zielenią świeżych roślin. Jeżeli wierzyć Cortezowi i uznać ten hotel za niezbyt elegancki, to nawet doświadczony Jason nie wyobrażał sobie, jak powinien wyglądać najlepszy.

Nie mogę wyglądać, jakbym oszczędzał, pomyślał Jason. Jeden z najbogatszych wydobywców uranu na południowej półkuli ma chyba dość środków, by zatrzymać się w najbardziej luksusowym hotelu świata, ale wybrał sobie właśnie ten.

Przygotowane kwestie okazały się niepotrzebne. Znacznie bardziej przydały się pistolety.

Ledwo zdążyli podejść do recepcji, kiedy spod blatu stołu szybko, jak żmije, wyskoczyły automatyczne kajdanki i zamknęły się na jednej ręce Jasona i na obu rękach Mety, a sam recepcjonista schował się pod stołem. To nie mogła być policja, bo nikt im nie okazał dokumentów. Cóż, przeciw brutalnej sile należy użyć jeszcze bardziej brutalnej siły.

Jason od razu zaczął strzelać, nawet specjalnie nie celując. Rozbroił podbiegającego do niego człowieka i spróbował wziąć go jako zakładnika, obejmując mu szyję wolną ręką. Okazało się to pozbawione sensu, bo życie uwięzionego bandyty (agenta? szpiega? pirata?) nikogo tu nie interesowało. Dużo bardziej interesowała ich Meta, która natychmiast wyrwała z blatu kajdanki i otworzyła huraganowy ogień do wszystkiego, co się ruszało.

Po chwili „służba hotelowa” i wszyscy „przypadkowi klienci” ukryli się przed ostrzałem niczym profesjonalni bojownicy gwardii kosmicznej, a delikatny zapach kwiatów i przypraw zmienił się w woń zgniłej ryby. Jason spróbował oddychać przez specjalną maskę, ale od razu się domyślił, że to nie pomoże: ktoś puścił gaz zwany „wielorybim”, który przenikał przez każdy filtr. To świństwo zostało wyprodukowane z zabójczej czarnej ambry gigantycznego delfilota, żyjącego od milionów lat w oceanach Grubianii. Delfilota i jego jadowite świństwo Jason znał nie tylko ze słyszenia.

Cholera, trzeba było się poddać albo działać zgodnie z absurdalnym pomysłem Mety! - zdenerwował się Jason. To była ostatnia myśl, która przemknęła przez odpływającą świadomość Jasona.

- Ma pan ochotę zapalić? - zapytał jakby z oddali uprzejmy głos. Jason otworzył oczy i zobaczył, że nachyla się nad nim atletycznie zbudowany, bardzo opalony człowiek w cienkiej sportowej koszuli. Jego twarz, jeszcze młodą, ale już pomarszczoną, okalały długie jasne loki, przytrzymane na czole metalową opaską. Prosty, szlachetny nos dobrze się komponował z wąską linią bladych ust, a spojrzenie stalowoszarych oczu było nieprzeniknione.

- Ma pan ochotę zapalić? - powtórzył przystojny atleta. - Najpierw chcę wiedzieć, kto mi to proponuje - odpowiedział oburzony Jason.

Poruszył zdrętwiałymi dłońmi i zrozumiał, że leży przykuty, chyba do stołu, zwykłymi paskami, ale całkiem porządnie. Głowa go już prawie nie bolała, ale w ustach czuł obrzydliwą suchość. W takiej sytuacji nie bardzo miał ochotę palić. Zresztą zaciągać się papierosem ze związanymi rękami to wątpliwa przyjemność.

- Kim pan jest? - nalegał Jason.

- Uzasadnione pytanie - ocenił muskularny blondyn. - Przedstawię się oczywiście, ale najpierw rozwiążę panu ręce. Obiecuje pan nie rozrabiać?

- Obiecuje - powiedział Jason, nie interesując się za bardzo, na czym miałyby to rozrabianie polegać.

Teraz oprócz sufitu zobaczył całą resztę. Właściwie nie było na co patrzeć: gładkie ściany bez okien i drzwi, dwa fotele, a między nimi szpitalne łóżko, do którego nadal był przykuty mocnymi, elastycznymi pasami trochę poniżej talii i w kostkach nóg. Chyba już potrafiłby się wyrwać. Ale po co? Dziwny pokój, bez możliwości wejścia i wyjścia, nie zachęcał do pospiesznej ucieczki. Na dodatek fizyczne rozmiary nieznanego przeciwnika były godne szacunku, a w kieszeniach jego skórzanych spodni mógł zmieścić się pistolet i jeszcze parę innych rzeczy. Natomiast w kieszeniach Jasona nie było nic. Nie sprawdził tego co prawda, ale się domyślił: teraz był ubrany w luźny biały garniturek, zgodnie z modą ostatniego sezonu na Darkhanie. Ze stałych rzeczy skonfiskowali wszystko, łącznie z bielizną.

- Nazywam się Henry Morgan.

- No nareszcie! - wyrwało się Jasonowi. - Strasznie długo pana szukałem.

- Pan mnie szukał? - powiedział z niekłamanym zdziwieniem Morgan. - To ja pana szukam, już któryś rok z rzędu.

- Który dokładnie? - zainteresował się Jason i dodał, nie czekając na odpowiedź: - Z powodu tego wzruszającego zbiegu okoliczności mógłby pan mnie do końca rozwiązać. Wtedy na pewno już zapalę. A rozrabiać nie będę.

Morgan popatrzył na Jasona prawie z zachwytem i niezwłocznie zaczął rozpinać pasy. Czy nagle nabrał takiego zaufania, czy to wszystko było wcześniej obmyśloną spektaklem? Tak czy inaczej Jason powtórzył swoje pytanie:

- No więc od jak dawna pan mnie szuka?

- Od dnia, w którym pana ludzie na czele ziemskiej floty rozgromili doszczętnie Gwiezdną Ordę na przedpolach jednej z najstarszych planet. Zasięgnąłem wtedy informacji o panu. Wiem, że skończył pan karierę Wielkiego Gracza niewiarygodnym zwycięstwem w kasynie „Cassylia”, ale o dalsze pana losy... Cóż, zaraz mi pan sam opowie - opamiętał się Morgan. - Chce pan cygaro?

- Wolałbym tamte papierosy, które mi pan zabrał - beczelnie oświadczył Jason.

- Dwa zero dla pana - uśmiechnął się Morgan i wyciągnął paczkę antaresów ze swojej lewej kieszeni.

Dwa jeden uśmiechnął się w odpowiedzi Jason, nieco zdziwiony taką uprzejmością. Ostatnio były to jego ulubione papierosy. Jason często rzucał palenie, a kiedy znów zaczynał, za każdym razem przechodził na inny gatunek tytoniu. Z nadzieją wziął do rąk małą plastikową paczkę, ale to nie było to samo opakowanie. Nie znalazł schowanego między podwójne ścianki miniaturowego nadajnika - ta paczka była nowa, jeszcze nie otwarta.

Morgan zauważył, że palce Jasona sprawdziły paczkę papierosów ze wszystkich stron, zamiast od razu ją otworzyć, i uśmiechnął się szeroko.

- Dwa dwa - ogłosił Jason i nie czekając na zaproszenie, przesiadł się na fotel. Morgan odepchnął puste łóżko. Kiedy już miało uderzyć w ścianę, nagle zrobił się w niej otwór, który pochłonął bez śladu nieprzytulny szpitalny mebel, i od razu zamknął się bez śladu. Niezła sztuczka, pomyślał Jason.

Pirat zauważył pełne szacunku spojrzenie Jasona i zadał prowokujące pytanie:

- Czyżby pan myślał, że jesteśmy beznadziejnymi prymitywami?

Nie było jasne, czy miał na myśli ścianę, czy papierosy. Ale co za różnica?

- Nie - odpowiedział Jason prawie szczerze. - Nigdy tak nie myślałem. Inaczej po co bym pana szukał?

- Kłamiesz! - gwałtownie przechodząc na „ty”, wrzasnął Morgan. - Przecież powiedziałeś Wayne'owi, że wszyscy razem wzięci mamy mniej mózgu niż ty sam!

Trzy dwa na jego korzyść, pomyślał Jason, ale nie powiedział tego na głos. Cóż, to raczej trzydzieści trzy do dwóch. Po takim ciosie można się było nie spieszyć z odpowiedzią. Należało ją starannie przemyśleć.

Skąd ten facet zna takie szczegóły? Od Mety? Wątpliwe. Wyciągnął je z mózgu Jasona? Na pewnym poziomie rozwoju techniki możliwe jest coś takiego. Jason wolał jednak nie myśleć o mentoskopii. Wroga czytającego twoje myśli nie da się przechytrzyć w zwykły sposób. To znaczy...

- Nie przypominam sobie, żebyśmy pili bruderszaft - warknął, udając obrażonego. Tak naprawdę starał się grać na czas.

- Zaraz wypijemy - momentalnie zgodził się Morgan i pstryknął palcami.

Ze ściany według znanego już schematu wyjechał malutki elegancki stoliczek. Na blacie stała solidna butelka ciemnego rumu, nadcięty młody kokos, pełen przezroczystego mleczka, naczynie z lodem, cukierniczka, cienkie plasterki zielonej limonki i dwie wysokie szklanki. Ładnie.

Jason myślał dalej, gorączkowo rozważając kolejne warianty. Wychodziłoby na to, że pirat Morgan trzyma z bankowcem Wayne'em. Ale to bzdura. Przypuszczenie najbardziej prawdopodobne: nie tylko Wayne śledzi Morgana, ale również Morgan Wayne'a. Rozmowa została podsłuchana i zapisana - klasyczny szpiegowski schemat. Ciekawe, który z nich jest silniejszy? A zresztą... niech ich wszystkich diabli, o czym ja myślę? - zreflektował się Jason.

Pauza i bez tego za bardzo się przedłużyła. Teraz najważniejsze - to spróbować wykorzystać wiedzę Morgana o tej rozmowie do swoich celów.

Jason wypił pierwszą porcję alkoholu, nie rozcieńczając, i od razu zaatakował.

- A ty, Morganie. zawsze mówisz prawdę?

Pirat zamyślił się na sekundę, a potem roześmiał się głośno:

- Staram się nigdy nie mówić prawdy!

- No widzisz - podchwycił Jason. - A ja jestem graczem. Spryt to moja główna broń. Jak niby miałem się dowiedzieć od podstępnego sir Rodgera, gdzie cię szukać? Po prostu musiałem mu obiecać pomoc. Tylko tak mogłem go przekonać. Przyznasz chyba, że to byłby absurd, zabierać ci zdobyte przez siebie pieniądze i zwracać je temu łajdakowi. Ty zdobyłeś je w walce, a on powoli, ale skutecznie okradał własny naród i

pechowych turystów. Czyżbyś myślał, że ma pojęcie sprawiedliwości jest tak spaczony? To była specjalna wersja dla Wayne'a. Jestem graczem, Henry, zapamiętaj to!

- A jeżeli Wayne słyszy teraz twoje słowa? - zapytał podstępnie Morgan.

- Nie wyobrażam sobie, żeby to było możliwe, ale jeśli nawet bardzo bym się ucieszył - odpowiedział Jason bez zastanowienia i z zadowoleniem odnotował podniesione ze zdziwienia brwi doświadczonego pirata. Nie rozumiesz? W tym wypadku Wayne ostatecznie pogubi się w moich zamiarach. A kiedy przeciwnicy się biją, ja wygrywam. Morgan nalał drugą kolejkę i najwyraźniej zamierzał słuchać dalej. Trzeba było to wykorzystać.

- Wiele lat temu obrobiłem Cassylię na trzy miliardy - przypomniał Jason. - Nie na piętnaście, tak jak ty, ale też dobrze. Potem chcieli mnie zabić. Nie mamy powodu się lubić z Wayne'em. Jeżeli zasięgnąłeś o mnie informacji, powinieneś wiedzieć, jakie mam stosunki z prawem. Tak, teraz już nie gram w kasynach. Teraz mnie nie interesuje. Ale, na przykład, gram w wojnę, jeżeli proponują wysokie zarobki. Ziemianie dobrze płacili, więc razem z kolegami rozwaliliśmy wtedy twoją Gwiazdą Ordę.

- To nie moja Orda - sprzeciwił się Morgan. Po prostu dołączyłem do nich na jakiś czas. Byłem wtedy młody i głupi, ale okazało się, że tamci są kompletnie pokręceni. Rozwalali wszystkich jak leci i rzucali się na każdą przeszkodę, jak dzikie zwierzęta. Musieli zginąć. Do diabła z nimi, Jasonie. Więc czym się teraz zajmujesz?

- O, teraz gram na serio. Nie będę ci opowiadał o swoich operacjach z ostatnich czasów. Były zbyt poważne. Boję się, że nie starczy ci wyobraźni na takie cyfry. Chcę też, żebyś dołączył do wąskiego grona osób, które wiedzą, że to ja opracowywałem plany wielu ważnych wydarzeń. - Jak najwięcej kitu, powiedział w duchu. Jak najwięcej wymyślonych tajemnic i bezczelności. Chyba się uda! Zarobiłem na tym mnóstwo pieniędzy. Na niektórych planetach mam realną władzę, ale to już dla mnie za mało. Rozumiesz, Henry? Nagle życie zaczęło mi się wydawać koszmarnie nudne i monotonne. Brakuje mi rozmachu, brakuje zuchwalstwa, polotu, fantazji. Dla: go zacząłem szukać poważnego współnika i mój wybór padł na ciebie. Jeżeli będziemy razem działać, prędzej czy później zdobędziemy już nie piętnaście miliardów, a całą Cassylię. Wierzysz mi, Henry?

Z ostatnim pytaniem Jason wyraźnie przesadził. Morgan roześmiał się cynicznie.

- Ach, Jasonie! Ty gwiazdny romantyku! - Prawie dusił się ze śmiechu, - Ja już od bardzo dawna nikomu nie wierzę. Nie wolno wierzyć. Wierzą tylko zupełni krety. - Nagle spoważniał. - Ale jesteś mi potrzebny, Jasonie. Nieważne, co mówiłeś tutaj czy sir Rodgerowi na Cassylii, czy nawet sobie samemu przed lustrem. Teraz będziesz pracował dla naszej grupy.

- Naprawdę? - Jason odetchnął z ulgą z niekłamaną radością... tak mu się przynajmniej wydawało. - Wiedziałem, że znajdziemy wspólny język!

- Widzę, że nic nie rozumiałeś - ochłodził Morgan jego entuzjazm. - Będziesz pracował, ale na moich warunkach. Jeszcze się zastanowię, na jakich. Czeka cię niełatwe zadanie. Mam dość bandziorów strzelających bez pudła i przegryzających sztaby żelaza. Głupio byłoby wykorzystywać cię do takich celów. Bardziej mnie interesujesz jako aparat do myślenia. Prawdę powiedziałeś Wayne'owi: wszystkie nasze mózgi razem wzięte nie są warte jednej twojej głowy. Ale teraz ta głowa też jest nasza. Pamiętaj, że nie wierzę słowom. Żadnym. Sprawdźmy cię w akcji. Już wkrótce.

- Obrobimy kogoś tutaj na Darkhanie? - niedbale zapytał Jason. - Hej, graczu - skrzywił się Morgan. - Po pierwsze, już dawno nie jesteśmy na Darkhanie. - A to ciekawe, pomyślał Jason. - A po drugie, zapamiętaj sobie, że my nie jesteśmy piratami, a flibustierami. Piraci to po prostu złodzieje. Taka była Gwiazda Orda: same bandziory i złodzieje. A flibustierzy... to się tłumaczy jako „swobodnie płynący”. - Ciekawe z jakiego języka, pomyślał Jason. - My, flibustierzy, jesteśmy wolni od wszelkich przepisów ludzkich i boskich, wolni od

pustych obietnic, niewolniczej miłości i litości. Należymy tylko do siebie i dlatego cały świat już niedługo będzie należał do nas... - Słyszeliśmy już podobne piosenki, i to nie raz, oburzył się w duchu Jason.

Przestał się interesować przemową Morgana i pograżył się w swoich myślach. Niedbale wtrącone przez pirata słowo „miłość” przypomniało o Mecie. Gdzie ona teraz jest? Musi ją znaleźć!

Od razu stało się to dla Jasona najważniejszym i najpilniejszym zadaniem. Uznał, że nadszedł dobry moment do jego realizacji: Morgan dopijał trzecią szklankę rozcieńczonego rumu z limonką i robił się coraz weselszy.

- Gdzie Meta? - ostro zapytał Jason, przerywając potok kwiecistej wymowy zakochanego w sobie flibustiera.

Morgan zamilkł, jakby go wyłączyli, skończył złocisty płyn w kielichu i burknął z niezadowoleniem:

- Czego się ciskasz, chłopcze? Wszystko z nią w porządku.

- Pytam, gdzie ona jest? - uparcie powtórzył Jason. Wszyscy bandyci od wieków szanowali siłę i upór.

- Tu niedaleko - oznajmił wreszcie Morgan. - Odpoczywa. Trochę źle się zachowywała. Trzeba było zrobić jej zastrzyk.

Jason skoczył, sięgając odruchowo prawą dłonią po nie istniejący pistolet, ale opanował się i powiedział spokojnie:

- Niepotrzebnie...

- Niepotrzebnie! - przedrzeźniał Morgan. - Przecież mówi, że źle się zachowywała. Pozbawiła oka Toniego Howarda.

- To niedobrze - powiedział Jason, współczując nieznanemu Toniemu Horwardowi.

- To nic takiego - wyjaśnił Morgan. - Jedno oko wystarczy flibustierowi. Zresztą Toni sam jest sobie winien. Ale ona... przecież mogła kogoś zabić. A to by już była przesada. - Morgan marzycielsko przymknął oczy i pokręcił głową. - A tak w ogóle, co za dziewczyna ta twoja Meta! Po prostu wspaniała kobieta.

- Uważaj, *mucharrib*! - Jason postanowił użyć na wszelki wypadek darkhańskiego słowa. Gorzej nie będzie, a może wreszcie się dowie, co ono znaczy. Ten poliglota z wielkiego świata musi znać podstawy darkhańskiego, jeżeli już działał na Gorącej Planecie.

- Uważaj! Słyszysz? Ona będzie moją żoną.

- Przecież nie startuję do niej, głupcze - obraził się flibustier. Po prostu wspaniale walczy ta twoja dziewczyna. Jest warta trzech moich bojowników, słowo daję!

A potem się ocknął:

- Jak mnie nazwałś? *Mucharrib*?

O, wysokie gwiazdy! - przemknęło Jasonowi przez głowę. Czyżbym przesadził? A jeżeli to taka obelga, za którą tutaj urywają głowę szybciej niż się spostrzeżesz? Może nawet nie zdążę się dowiedzieć, co to znaczy.

- Kto cię nauczył tak kląć? - zainteresował się Morgan. A w ogóle, dlaczego ci się nie spodobali *mucharribowie*? Zawód jak zawód, nie gorszy od innych.

- Zawód? - zapytał zdziwiony Jason.

- Tak. *Mucharrib* to po darkhańsku przemytnik. Jason roześmiał się, a Morgan mu zawtórował.

- Cóż, Jasonie, teraz będę mówił na ciebie *Mucharrib*.

- Jak wolisz. Ale, ale... odeszliśmy od tematu, kapitanie. Rozkaż, żeby Metę dostarczono tutaj. Chcę mieć pewność, że ona żyje. Obiecuję ci, tutaj nie będzie źle się zachowywać. A we trójkę będzie nam łatwiej się dogadać.

- W porządku Jasonie - przyjaźnie powiedział Morgan. Wcisnął przycisk na swojej bransoletce, podniósł ją do ucha, potem do ust i szepnął coś krótko. - Bóg mi świadkiem, masz dzisiaj szczęście. Za pięć minut przywiozą twoją dziewczynę.



Jason postanowił zmienić temat, póki Morgan jest na luzie i w dobrym humorze. Bał się, żeby pirat nie zmienił zdania. .

- Powiedz, Henry, dlaczego tak często wspominasz Boga?

- Bo wierzę... - Zamilkł, przypominając sobie swoje niedawne słowa. - Bo u nas jest przyjęte wierzyć w Boga.

- W Jedyne Boga, jak u Darkhańczyków? - postanowił wyjaśnić Jason.

- Co to ma do rzeczy? - rzucił Morgan poirytowany. - Zapomnij o Darkhanie. Teraz nieprędko tam wrócimy. Przeklęta planeta! Ani napić się porządnie, ani zabawić z dziewczynami. Mam dość tych czarnych świętoszków! Wiesz, kupiłem tam kawałek pustyni razem z firmą wydobywcą. To przynosi pieniądze, ale najważniejsze, że mam bazę przeladunkową bardzo blisko „złotonośnej” Cassylii, choć w niedostępnej dla niej strefie. Mam też świetne stosunki z darkhańskimi władzami. Oni szanują bogatych i silnych, wszystkich bez wyjątku. - Zamilkł na chwilę. - Ale ja ich nie znoszę. Wszystkich. Wiesz, jak oni wydobywają ciężkie metale?

- Wiem - przyznał Jason.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem! - denerwował się Morgan. - Wystarczy, że zmiotą piasek, i już mogą kopać, choćby łopata. Ale oni używają robotów pracujących ogromnymi czerpakami. Uzyskują megatony na rok. No i powiedz mi, dlaczego taki bezcenny skarb eksploatują walnięci fanatycy religijni?! Dlaczego?!

- To dlaczego im tego nie zabierzesz? - dociął Jason.

- Nie uwierzysz - przyznał się Morgan - ale na razie jeszcze nie starcza mi sił. O wiele łatwiej jest podskubać Cassylię. Ale ja się jeszcze do nich dorwę. Wyobraź sobie: moja firma, moja ziemia, moi pracownicy, moje roboty, a osiemdziesiąt procent oddaję Darkhanowi. Bo takie są przepisy. Bo na Gorącej Planecie, osłanianej prawicą Jedyne Boga Ghahaba, ani jedna garść piasku nie może należeć do niewiernych. Tak napisano w ich piśmie świętym. I nic na to nie poradzisz. Okradają nas w biały dzień, ale na razie i tak korzystnie jest pracować z nimi. Na razie.

- Zaraz, zaraz - zdziwił się Jason - jak ty nazwałś tego boga? Przecież oni nie wymawiają jego imienia.

- Oni nie wymawiają, ale ja wymawiam. Ghahab w ich języku oznacza „złoto”. To rzeczywiście jest jedno ze starożytnych imion Boga. Mnie tam bardzo się podoba. Pasuje do rzeczywistości. Zawsze byłem gotów czcić złoto.

- Uff! - sapnął Jason. -- Teraz już w ogóle nic nie rozumiem. Kim ty w końcu jesteś? „Wolno płynącym” flibustierem czy zwyczajnym drobnym biznesmenem z Darkhanu?

- Milcz, żaloszny *mucharribie!* Na Darkhanie pracuje mój menedżer, który nie jest flibustierem. Nas jest wielu. Dążymy do dużych pieniędzy i dużej władzy różnymi sposobami, ale ja zawsze pozostanę wolno płynącym. Wolność jest dla mnie najważniejsza.

Takie samochwalstwo irytowało Jasona. Spodobało mu się tylko zastosowanie słowa *mucharrib*. Jeżeli człowieka nie opuszcza poczucie humoru, to znaczy, że jeszcze nie wszystko jest stracone Jason nie przestawał się zdumiewać Morganem. Myślał, że spotka oroyrnego, tępego zbója z niskim czółkiem, maleńkimi oczkami i włochatymi rękami po łokcie we krwi. A miał przed sobą wyrafinowanego intelektualistę, który rozprawia o etymologii obcych słów, gospodarce i religii. Mimo wszystko facet jest zabójcą. Nie można o tym zapominać. Morgan nalał sobie jeszcze i wypił. Jason też dołał trochę rumu do swojego kielicha, ale na razie nie pił. Zbliżał się bardzo ważny moment, kiedy miały się wyjaśnić ich dalsze stosunki.

- Pytałem cię o Boga - przypomniał Jason.

- Tak - kiwnął głową Morgan. - Wierzymy w prawdziwego Boga, Jezusa Chrystusa.

- Nosimy krzyże na szyi. Zwracamy się do Boga z prośbami, a on zsyła nam powodzenie. Mamy kościoły i kapłanów. Chrzczą nasze dzieci, błogosławią małżeństwa i odprowadzają w ostatnią drogę naszych zabitych,

jeżeli jest taka możliwość. Niektórzy na mojej planecie wierzą w życie pozagrobowe, więc łatwiej jest im żyć i umierać. Ale ja nie wierzę w nic, oprócz wolności, którą dał mi Jezus i w powodzenie mojej wolnej planety, która należy tylko do samej siebie i dlatego cały świat będzie należał do niej.

Wzmianka o planecie wydawała się interesująca, ale Jason wątpił, żeby Morgan, nawet pijany, opowiedział o rodzinnych stronach więcej niż trzeba. Jason na razie postanowił odpuścić ten temat. Zahaczył o coś innego.

- O ile wiem, Jezus powiedział: „Nie zabijaj”. Więc jak możesz nosić krzyż i zajmować się rozbojem?

- Strasznie jesteś naiwny! Jestem gotów udowodnić ci swoje racje, ale innym razem. Teraz mi się nie chce. Czytałem Biblię, naprawdę czytałem. Jednak większość moich ludzi nie ma czasu, żeby nauczyć się czytać. Kapłani w kościołach czytają im najważniejsze fragmenty Pisma Świętego. Uwierz mi, Jasonie, w Biblii można znaleźć wszystko, co się tylko zechce. Sam Chrystus mówił różne rzeczy, nie tylko „nie zabijaj”. „Przyniosłem wam nie pokój, lecz miecz”, „Drzewo, które nie rodzi, ma być wycięte i w ogień wrzucone”, „Niech umarli grzebią swoich umarłych!” - oto co powiedział Zbawiciel. Ale to nie jest najważniejsze. Najważniejsza jest wolność. Tylko dla wolności warto żyć.

Nigdy jeszcze Jason nie spotkał się z tak oryginalną wykładnią chrześcijaństwa. Chętnie by jeszcze podyskutował o tym z piratem-erudytą, ale w tym momencie rozsunęła się przed nim ściana i w towarzystwie skośnookiej, zadziwiająco ładnej dziewczyny do pokoju weszła na własnych nogach Meta.

- Co my tutaj robimy, Jasonie? - zapytała swobodnie. - Rozumiem, że lecimy.

- Dokąd? - zainteresowała się.

- Na planetę... Henry, powiedziałeś, że jak ona się nazywa?

- Nic nie mówiłem. - Widocznie jeszcze nie jest aż tak pijany, pomyślał Jason. - A nazywa się Jamajka.

- No widzisz - powiedział Jason - lecimy na planetę Jamajka. - Świetnie - Meta najwyraźniej czuła się jak u siebie. - Poznaj Madame Cin.

- Bardzo mi miło - powiedział Jason. - *Mucharrib* dinAlt. Zrobił krok do przodu i szarmancko pocałował dziewczynę w rękę.

Nie pamiętał dokładnie, na której planecie ten zwyczaj uchodził za elegancki, ale mu się spodobał.

- A to - dodał w tym samym stylu - kapitan sir Henry Morgan we własnej osobie.

Dużo o panu słyszałam - z entuzjazmem powiedziała Meta. To wszystko było niepodobne do niej. Jason zaczął podejrzewać, że albo Meta jest pod wpływem hipnozy, albo on jeszcze śni.

Naśladując Jasona, Morgan pocałował Metę w rękę. Bardzo z siebie zadowolony zaproponował dziewczynom rum. Nie odmówiły i szybko wypiły po kieliszku. W tym momencie Jason zrozumiał: dla Mety to nie była dzisiaj pierwsza dawka. A widocznie jeszcze działał zastrzyk. Nie było to bezpieczne. Nawet wśród przyjaciół nie należy tracić kontroli nad sobą, a tutaj... Trzeba było jak najszybciej z tym skończyć.

- Panie Henry, mnie i żonie należy się chyba trochę odpoczynku. Mógłby nas pan odprowadzić do naszej kajuty? - zapytał Jason nieśmiało.

Wcale by się nie dziwił, gdyby Morgan uznał to za bezczelność i kazał ich znów przywiązać do łóżek albo nawet wlać w nich dawkę usypiającego świństwa. Jednak przywódca flibustierów zareagował zupełnie inaczej.

- Jeszcze nie kochany! Zaraz idziemy na obiad. Czekają na nas w jadalni. Uroczysty obiad ze świetnym winem i zakąskami. Skoro już wszystko uzgodniliśmy...

- Boże! - jęknął Jason i przesadnie przewrócił oczami. Tylko nie to!

Pomału przyswajał sposób bycia flibustierów, ale naprawdę nie wiedział, co i kiedy zdążyli uzgodnić.

Ale, jak się potem okazało, rzeczywiście zdążyli. Morgan niby rozmawiał o głupstwach, żartował, śmiał się, ale w rezultacie wszystko było wiadome: kim jesteś, z kim jesteś i po co żyć dalej.

Krażownik który nosił dumne imię „Konkwistador”, był naprawdę wspaniały. Nie mocniejszy od „Argo”, ale na pewno nowocześniejszy i bardziej skomplikowany. Żeby stąd uciec, trzeba by poświęcić długie godziny, a nawet dni na opanowanie wszystkich systemów sterowania i obrony. Fachowe instrukcje któregoś z członków ekipy mogłyby znacznie przyspieszyć ten proces. Jednak szukanie zdrajcy wśród flibustierów to wyjątkowo niewdzięczne zadanie. Praktycznie nie zdarzali się tu wielbiciel podwójnej gry. Jeżeli nawet trafił się ktoś taki. Morgan, nie zwlekając, uciął spryciarzowi wszystko, co znajdowało się powyżej ramion. Wszyscy bez wyjątku dobrze wiedzieli, czym grozi zdrada, a instynkt samozachowawczy u flibustierów był nie mniej rozwinięty niż u innych ludzi. Krótko mówiąc, na zwerbowanie kogokolwiek pyrrusańscy szpiedzy nie mogli liczyć.

Przenikliwy Morgan rozumiał doskonale, że niezależnie od tego, jakie plany ma Jason, na pewno doleci na Jamajkę. Chociażby z ciekawości. Nie jest to człowiek, który przegapiłby rzadką szansę zwiedzenia pirackiej stolicy Galaktyki.

Po całym Wszechświecie krążyły legendy o Jamajce. Większość była zdania, że cała planeta we władaniu wolnych piratów to wymysł, płód czyjejś chorej fantazji. W realność istnienia Jamajki wierzyli tylko ludzie specyficznego gatunku: bandyci, łajdacy, aferzyści, kosmiczni włóczędzy, ostami romantycy samotnych międzygwiazdnych podróży i również - na zasadzie wyjątku - niektórzy naukowcy - socjolodzy, którzy marzyli o tym, by przeniknąć do jedyne działającego modelu społeczeństwa, składającego się z ludzi łamiących wszelkie przyjęte reguły.

Znudzeni bogaci próżniacy, szastający pieniędzmi w najlepszych restauracjach i kasynach Cassylii albo odpoczywający w luksusowych kurortach klasy nie niższej od Sun-beach na Cliandzie, lubili pogawędzić o Jamajce. Jason pamiętał, jak opowiadali zadziwiające rzeczy. Według jednych był to raj na ziemi, pełen przeróżnych przyjemności, nie do porównania z żadnym innym miejscem we Wszechświecie. Inni uważali Jamajkę za coś w rodzaju piekła, za karę boską dla wszystkich grzeszników. Mówiono również, że piracka planeta przyleciała z innej galaktyki, albo że została skonstruowana przez starożytnych naukowców w ramach eksperymentu. Krążyła nawet plotka, że Jamajka to Stara Ziemia, praojczyzna całej ludzkości, co prawda bardzo zmieniona od tamtych dalekich czasów.

Więc jak tu nie odwiedzić tego tajemniczego zakątka Wszechświata, zwłaszcza że sam gospodarz cię tam zaprasza?

Meta, jak każda normalna Pyrrusanka, nie odznaczała się zbytnią ciekawością, ale we wszystkim popierała ukochanego Jasona. Na dodatek, niespodziewanie dla samej siebie, wcieliła się w zaproponowaną rolę szybciej i lepiej od samego autora. Właściwie nic w tym nie było dziwnego. Flibustierzy zniewalali Metę swoją prostotą, odwagą, siłą. Tak naprawdę przypominali jej zostawionych na rodzinnej planecie rodaków. Wydawało się, że umiłowanie niebezpieczeństwa było ich cechą od samego urodzenia, o stałej gotowości do walki nie wspominając.

Co jeszcze podobało się Mecie, to trzeźwe podejście do rzeczywistości i zadziwiająca nie pamiętliwość flibustierów. Umiejętność wybaczenia prawie zawsze towarzyszy porywczosci. Tutaj wszyscy zdawali się mieć tę cechę wyolbrzymioną. W tym przypadku wyrażało się to w szczególnej formie. Nikt nie chował żadnych uraz: ani pokonany jeszcze w porcie kosmicznym Darkhanu Cortez, ani ranni w holu hotelu „Lulu”, ani nawet pozbawiony oka Howard, który miał zamiar zgwałcić Metę. Nikt nie żywił do niej urazy. Wszyscy tylko

podziwiali jej urodę, siłę i charakter. A Meta wzajemnie się nimi zachwycała. Ta idylla mogłaby trwać długo, gdyby nie wydarzenia.

Już następnego wieczoru, oprzytomniawszy po wielkim pijaństwie, zaryzykowali rozmowę z Morganem. Dowiedzieli się przy okazji, że takie popijawy zdarzały się na pirackim statku za każdym razem po odlocie z pobożnego, niepijącego Darkhanu. Niestety zły i skacowany kapitan „Konkwistadora” był wyjątkowo niekontaktowy. Zamienił z więźniami tylko dwa czy trzy krótkie zdania, a do wyjaśnienia praktycznych szczegółów oddelegował swojego pierwszego zastępcę, Francois d'Aulonai. Ten okazał się bardziej rozmowny, ale dość tępy. Nie mógł się zdecydować, jak traktować swoich więźniów: czy tak jak innych, czyli jak swoją własność, czy przeciwnie - jak ważne osoby. Najbardziej denerwowała pirata obecność kobiety, która miała takie same uprawnienia jak mężczyzna. Przedstawicielki słabej płci od najmłodszych lat uważał za towar, źródło wiadomych przyjemności. Wyjątek był tylko jeden - towarzyska broni Madame Cin. A ta tutaj nie poddawała się żadnej klasyfikacji. Mało, że po pierwszych ostrych potyczkach trudno mu było ją zaliczyć do słabej płci, to jeszcze Morgan zabronił obrażać tę sukę z innej planety.

D'Aulonai dosłownie pożerał Metę oczami. W jego spojrzeniu była nienawiść, ale także zwierzęca żądza i coś jeszcze. Coś w rodzaju zawiści. Że też Morgan musiał mu przydzielić takie okropne zadanie! Nieprzyzwyczajony do takich sytuacji, burczał z wyraźnym niezadowoleniem, sapał i mamrotał, zanim wreszcie sformułował prawa i obowiązki nowych członków załogi.

Wszystko okazało się dość proste. Jasonowi i Mecie zwrócono wszystkie ich rzeczy osobiste, a przede wszystkim pistolety. Flibustierzy lepiej niż ktokolwiek inny rozumieli, co znaczy dla profesjonalisty przyzwyczajenie do noszenia broni. Póki więźniowie leżeli nieprzytomni, miejscowi fachowcy dokładnie przestudiowali pyrrusański system wyrzucania pistoletu z kabury i już po trzech dniach zaopatrzyli całą załogę w takie same urządzenia, wyrównując tym możliwości piratów i więźniów.

Na „Konkwistadorze” ludzie byli na tyle odpowiedzialni, że nikt (nawet po pijanemu) nie wywołałby przypadkowej strzelaniny. Można więc było bez obaw zwrócić więźniom pistolety. Gorzej poszło z techniką łączności. Morgan uczciwie przyznał, że na razie jeszcze nie ma pełnego zaufania do Jasona. Na wszelki wypadek szef flibustierów zabrał młodej parze wszystkie bez wyjątku urządzenia o dalekim zasięgu działania. Domyślał się, że Jason dino raczej nie będzie prosił o pomoc Korpusu Specjalnego. Wielki Gracz aż tak nisko nie upadł. Ale mógłby skrzyknąć bliskich kolegów. Morgan nie bardzo się orientował, jakich Jason może mieć przyjaciół, ale widząc wojowniczy charakter Mety, miał jak najgorsze przeczucia.

Nawet jeżeli Jason szczerze zamierza współpracować z flibustierami, myślał Morgan, i tak na razie nie zasłużył na dalekosiężną łączność. Nie ma z kim rozmawiać w zasięgu tysiąca parseków. Nie ma z kim i nie ma potrzeby. Informacja, że tych dwoje znajduje się na pokładzie „Konkwistadora”, jest absolutnie tajna. Miejsce pobytu krążownika - tym bardziej. A punkt łączności statku był strzeżony tak pilnie, że nie tylko Jason i Meta, ale nawet cały tuzin Pyrrusan nie dałby rady wziąć go szturmem.

Do bliskiej łączności w obrębie statku wydano więźniom zwyczajne kieszonkowe nadajniki. Dobre i to.

Nie mogli mieć pretensji do gościnnych piratów. Warunki mieli znakomite: oddzielna kajuta, względna swoboda przemieszczania się, możliwość kontaktowania się ze sobą w każdej chwili, posiłki razem ze wszystkimi i pierwszorzędnej jakości, a wreszcie prawo noszenia broni, co oznaczało w razie czego możliwość zabrania ze sobą na tamten świat paru wrogów, czyli nowych przyjaciół. Rzeczywiście trudno by było się obrażać. Toteż nie narzekali, tylko czekali na koniec podróży i kombinowali, co da się zrobić w ich sytuacji.

Jeżeli był gdzieś zainstalowany podsłuch, to tylko w ich kajucie. W ubraniach nie udało się niczego znaleźć. Flibustierowie nosili lekkie koszule z cienkiego polimerowego płótna i grube spodnie z syntetycznej skóry. Taki

strój dobrze chronił przed mocnym promieniowaniem i wysoką temperaturą, ale przed niczym więcej. Nie był odporny nawet na cios nożem, a co dopiero na kule. Piraci zresztą po mistrzowsku władali białą bronią. Celnie rzucali krótkimi kindżalami, a szablami, długimi i ciężkimi jak miecz, mogli w mgnieniu oka pociąć człowieka na kawałki. Jason nie rozumiał, dlaczego taki nieestetyczny sposób zabijania sprawiał im przyjemność, ale zyskał pewność, że szabli używają tutaj zgodnie z ich przeznaczeniem, a nie do dekoracji, jak na początku myślała Meta. Już wkrótce przekonali się, że Jason miał rację.

Swoją pierwszą rozmowę bez świadków Jason i Meta przeprowadzili w ogromnej sali przy ekranie widokowym, przypominającym główną kopułę iluminatora. Oczywiście na tym wojskowym statku nie mogło być mowy o przezroczystym ekranie widokowym. Przyrządy astronawigacyjne znajdowały się w innym pomieszczeniu, a widok otoczenia przekazywano tylko przez zewnętrzne mikronadajniki, wmontowane w pancierz. Później Jason dowiedział się, że „Konkwistador”, najeżony setkami dział, był zakamuflowany jako zwykły statek transportowy. Stąd się wzięła sztuczna kopuła widokowa, dla pełnej iluzji pokryta cienką warstwą przezroczystej stali szklanej. To pomieszczenie piraci wykorzystywali czasami do ogólnych spotkań. Sala była oczywiście wyposażona w duży ekran, na który można było przekazać każdą informację, a czasami po prostu podziwiać widoki gwiazdowego nieba z lecącym po nim potencjalnym łupem. Kiedy indziej dla urozmaicenia oglądali pejzaże dalekich planet, na które mieli zamiar napaść w najbliższej przyszłości.

- Co teraz powinniśmy zrobić? - zapytała Meta.

- Nasze plany pozostają na razie bez zmian. Idziemy tą samą drogą. Zauważ, że pierwszy etap przeszliśmy pomyślnie.

- Jeżeli nie brać pod uwagę tego, że o mały włos nas nie zabili. - Meto! Po prostu cię nie poznaję. Na naszej planecie każdy dwadzieścia razy dziennie unikał śmierci „o mały włos”. Myślałem, że już się do tego przyzwyczaiłaś.

- Oczywiście, że się przyzwyczaiłam. Ale nie o to chodzi. Wiesz, ja chyba przestałam się orientować, w imię czego ryzykuję.

- Nie rozumiem - powiedział Jason, jeszcze bardziej zdziwiony. - Wytlumacz mi to.

- Nie wiem, czy potrafię... Widzisz, ty oprzytomniałaś dopiero na statku, a ja jeszcze na pustyni. Dawka gazu wielorybiego okazała się dla mnie za mała. Otworzyłam oczy w kabinie piaskochodu. Strasznie nim rzucało. Widocznie przejeżdżaliśmy przez szczyt wydmy. Nade mną nachylało się trzech zbirów z karabinami. Ich sylwetki były czarniejsze od nieba i zasłaniały gwiazdy. Leżałam związana zwykłym sznurem, który mogłabym bez trudu rozerwać. Ale właśnie wtedy pomyślałam, że po raz pierwszy w życiu nie chcę walczyć. Przestałam rozumieć, po co. Kiedy przenosili mnie na kosmiczny statek, nie udawałam śpiącej, żeby potem nagle ich zaatakować. Zobaczyli moje otwarte oczy, uśmiechnęli się i powiedzieli: „Patrzcie, obudziła się! Na pewno musi się napić”. Nie wiadomo skąd wzięła się butelka rumu. Zaczęli wlewać mi do gardła palący płyn. Ale podczas startu jeszcze nie straciłam przytomności i świetnie pamiętam, że wystartowaliśmy bezszelestnie.

- Albo umieścili cię w dźwiękoszczelnym przedziale - podsunął Jason.

- Nie. Jestem absolutnie pewna: start był bezgłośny. Uwiera mojemu doświadczeniu pilota.

- Innymi słowy, flibustierzy mają grawitonowe silniki.

- Tak, Jasonie, właśnie to chciałam ci powiedzieć. Ale... rozmawialiśmy o czymś innym.

- Tak - zgodził się Jason. - Rozmawialiśmy o tobie.

Zamilkł i zaczął się zastanawiać. Cały czas bał się podsłuchu, zwłaszcza że statek okazał się nafaszerowany nowoczesną techniką. Starał się nie mówić nic ryzykownego. Wziął Metę za rękę, próbując bez słów przekazać swoje obawy. Z drugiej strony, miał ochotę powiedzieć głośno coś takiego, żeby potem, podczas

rozmowy z Morganem od razu móc się zorientować, czy ich podsłuchiwali. Chyba żeby Morgan okazał się sprytniejszy od niego.

- Czy oni próbowali się dowiedzieć, z jakiej jesteście planety'? - zapytał wreszcie Jason.

- Oczywiście. Powiedziałam im prawdę, że przybyliśmy z Felicity. Nie boję się. Uważam, że nasza planeta w razie czego da sobie radę z całą flibustierską flotą.

Brawo, Meta! - pomyślał Jason. Zmyśla fantastycznie, zupełnie jak zawodowy szpieg.

Dlaczego myślisz, że Morgan zechce zaatakować naszą planetę - Wcale tak nie myślę, ale Madame Cin wytłumaczyła mi, że flibustierzy nie mają litości dla nikogo. W ich świecie istnieją tylko dwie wartości: wolność i zysk. Przyjaźń to dla nich pojęcie względne. Potrafią obrazić się na przyjaciela za powiedziane nie w porę słowo i odciąć mu głowę. Albo zaatakować rodzinną planetę najlepszego kumpla, jeżeli tamten, na przykład, zabrał im dziewczynę. Tutaj przegrywają w karty ludzi, statki, a nawet planety.

- Ale przecież nie zamierzamy grać w karty o swoją planetę. W ogóle nie musimy grać.

- Musimy. Odmowa to śmiertelna obraza.

Meta pokiwała głową w zamyśleniu. Widocznie starała się przy pomnieć sobie jeszcze coś ciekawego z opowieści Madame Cin. Jasonowi przyszło do głowy, że bardzo trudno będzie żyć zgodnie z tutejszym prawem. O wiele trudniej niż sądzili na początku. W końcu nie wymyślił, jak sprawdzić, czy Morgan ich podsłuchuje. Za to następnego dnia zorganizował dość niebezpieczną prowokację.

Znowu zaprowadził Metę do ekranu widokowego.

- Póki jesteśmy tutaj sami - szepnął jej - słuchaj mnie bardzo uważnie. Coś zwęszyłem. Oni rzeczywiście pilnują punktu łączności niczym skarbcza, natomiast przy sterowni kapitańskiej trzymają wartę tylko trzech piraci. Zauważyłem, że na pulpicie sterowniczym jest jump-nadajnik. Chcę go wykorzystać i połączyć się z naszą planetą. Będę na to potrzebował mniej niż minutę. Plan jest bardzo prosty. Dokładnie o ósmej na statku mają zmianę. Przy pulpicie zamiast Toniego Howarda stanie Eddie Hook. Wachtowych koło drzwi zmieni dwóch innych. Czyli przez krótką chwilę będzie ich tam sześciu. W takim momencie na pewno nie oczekują napadu. Rozluźniają się i tracą czujność. Obserwowałem to. A dla nas sześciu ludzi w walce wręcz to pestka. Najważniejsze to nie pozwolić im, by zaczęli strzelać.

- A jeżeli jednak...

- To wtedy my też zaczniemy strzelać. Oczywiście nie chciałbym tego, ale prędzej czy później i tak słysząc odgłosy walki przybiegną inni. Do tego też będziemy przygotowani. Sterownia świetnie blokuje się od wewnątrz. A kiedy już ją opanujemy, będziemy ich mogli szantażować.

- Mówisz poważnie? zapytała przerażona Meta.

- Absolutnie poważnie. Chcesz do końca życia zostać więźniem?

Jason trzymał ją za rękę i naciskał palcem wskazującym środek dłoni. To był znak, który wyjaśnił jej po drodze. Miał oznaczać, że Jason mówi zupełnie co innego niż myśli.

Meta świetnie to rozumiała. Odpowiedziała mu konspiracyjnym szeptem:

- Nie, Jasonie, nie chcę być więźniem do końca życia. Wiem, o co ci chodzi. Dokładnie o ósmej podejmiemy do sterowni z różnych stron...

Cóż, myślał Jason dwie minuty przed ósmą, maszerując długim korytarzem, jeżeli czeka na nas zasadzka, otwarcie powiem: „Chłopaki, po prostu bardzo chciałem sprawdzić, na ile dokładnie szpiegujecie nowych przyjaciół”. Istnieje, oczywiście ryzyko, że za taki żart zarobi się nożem w wątrobę, ale jeszcze gorzej będzie, jeśli w porę nie zauważymy zasadzki, a potem komuś puszczą nerwy.

Na ostatnim zakręcie Jasona wyprzedził Eddie Hook. Skinął mu niedbale głową i nawet nie zapytał, co robi ten obcy w tak bliskiej odległości od centrali sterowania statkiem. Potem się odwrócił i bez cienia podejrzliwości zapytał:

- Szukasz kapitana?

- Nie, Howarda - wyjaśnił Jason.

- Zaraz wyjdzie - uprzejmie zawiadomił Hook.

Na przeciwległym końcu korytarza pojawiła się Meta, a za nią dwóch bojowników z obnażonymi szablami, jak zwykle podczas zmiany wachty. Piraci obojętnie ominęli Metę z obydwu stron - szkoda czasu na kobietę, wachta to poważna rzecz - i zbliżyli się do drzwi.

Zmiana nastąpiła szybko i sprawnie. Ze sterowni wyszedł jednooki, Howard, popatrzył na nich przyjaźnie i zapytał:

- A wy co tutaj robicie?

Pytanie było raczej retoryczne, więc nie czekając na odpowiedź pirat poprosił Jasona o papierosa. Zapalili.

Jason uspokojony odezwał się:

- Możecie nam powiedzieć, kiedy jest najbliższy przystanek i na jakiej planecie'?

- Jesteście śmieszni - uśmiechnął się Howard. - Myślicie, że Morgan wypuści was na zewnątrz?

- A dlaczego nie? - udawał głupiego Jason.

- Rzeczywiście, dlaczego? - znowu uśmiechnął się Howard. O to zapytajcie Henry'ego. A na razie zapamiętajcie jedno: flibustierzy nie robią żadnych planów. Jesteśmy swobodnie pływającym i nigdy nie wiemy, gdzie jest następny przystanek.

- Naprawdę? - szczerze zdziwił się Jason.

- Przysięgam na Chrystusa Pana, urodzonego w Betlejem, i na wszystkie dezintegratory naszego statku! - wykrzyknął Howard i zniknął w korytarzu, stukając ciężkimi elektromagnetycznymi podeszwami.

- No i co ty na to? - nie wytrzymała Meta, dając do zrozumienia, że już teraz można mówić głośno.

- Myślę, że w ogóle ich nie interesują wszystkie nasze straszne tajemnice. Morgan szpieguje Wayne'a dla pieniędzy, a o naszych finansach nic mu na razie nie wiadomo. Poza tym jesteśmy mu potrzebni do czegoś innego.

- A jeżeli jednak okazał się sprytniejszy od nas i wszystko słyszał, wszystko zrozumiał, ale nie dał się sprowokować? - zapytała Meta na wszelki wypadek.

Jason rozważył różne warianty i wreszcie powiedział: - Wątpię. Naprawdę wątpię.

Następnego dnia rozmawiali w swoim ulubionym miejscu przy ekranie widokowym o możliwościach pokonania przez Pyrrusan pirackiej planety Jamajka. Szanse oczywiście były, ale żeby je bezstronnie ocenić, należało popatrzeć na Jamajkę z bliska. I oby jak najszybciej. Mieli dość tej nudnej podróży. Minęły jeszcze dwa dni i nuda się skończyła.

8

Cały ogromny ekran zajmowała ciemność międzygwiazdnej przestrzeni, usiana różnokolorowymi iskierkami. Jason spróbował wydedukować, gdzie się znajdują, Meta postanowiła mu pomóc i też znalazła kilka znajomych gwiazdozbiorów. W rezultacie z dużą dokładnością ustalili koordynaty statku. Natychmiast jednak zwątpili we własne obliczenia. Przecież statek przemieszczał się w jump-trybie. tak że przy normalnym widzeniu powinni widzieć kosmiczne tęcze, na które zawsze tak lubili patrzeć. To, co widzieli teraz, komputer

najprawdopodobniej pokazywał z pamięci. Zmieniające się widoki nieba mogły nawet w takim przypadku odpowiadać realnej trasie statku (najczęściej tak bywało, żeby piloci mogli łatwo się zorientować w razie konieczności wyjścia w kosmos), ale tutaj, gdzie najwyraźniej próbowano ukryć przed nimi wszystko, co tylko się da.

Rozmyślenia Jasona przerwało niespodziewane pytanie Mety: - Widzisz to co ja?

Na środku ekranu z czarnej pustki wyłoniła się słabo świecąca kreska.

- Tak. Myślisz, że to jakiś bolid?

Nie, to sztuczny obiekt profesjonalnie ustaliła Meta. Jesteś pewna? - zapytał Jason na wszelki wypadek.

- Absolutnie. W dodatku się zbliża.

- A jeżeli to jednak jest nagranie? - zważył Jason.

Meta nie zdążyła odpowiedzieć. W interkomie rozległ się sygnał wywołania i od razu głos samego Morgana:

- Jason! Meta! Przyjdźcie do sterowni kapitańskiej! Tylko szybko!

Kiedy biegli przez korytarze, Jason zdecydował, że to nie było nagranie. W przeciwnym wypadku niepotrzebne byłoby całe to zamieszanie, ale...

- Meta, posłuchaj... jak możemy widzieć statek idący nam na spotkanie, jeżeli lecimy w jump - trybie?

- To znaczy, że już nie lecimy w jump-trybie - wyjaśniła Meta, nie zwalniając kroku.

- Nie rozumiem - powiedział Jason. - Przejście w nadprzestrzeń zawsze jest nieprzyjemne, czuje się je nawet podczas snu.

- Tak, tak - zgodziła się Meta - ale oni tutaj mają rewelacyjne grawitacyjno-magnetyczne kompensatory. Zapomniałam ci powiedzieć, że kiedy startowaliśmy z orbity, a potem wpadaliśmy w krzywoprzestrzeń, też nic nie poczułam. Już wtedy domyśliłam się, że to zasługa nowoczesnej techniki. Nieźle się urządzili, co? A wydawałoby się, że to zwykle bandziory... Gdyby tak to wykorzystać w celach pokojowych! To znaczy u nas...

- Nie zapominaj - przerwał jej Jason - że między innymi po to tu jesteśmy. Tylko nie warto mówić o tym głośno, kiedy jesteś już dwa kroki od szanownego sir Henry'ego.

Drzwi sterowni kapitańskiej były otwarte na oścież. Obok Morgana stał d'Aulonai i obydwaj nie odrywali oczu od przedniego ekranu. Biegnąca na dole kreska pokazywała coraz bardziej zmniejszającą się odległość obiektu i wszystkie charakterystyki, które komputer uważał za potrzebne podać.

- Możecie ustalić typ statku z tej odległości? - zapytał Morgan rzucając krótkie spojrzenie na Jasona i Metę.

Meta odpowiedziała prawie bez zastanowienia:

- To lekki bojowy liniowiec, wzmocniony dodatkowym opancerzeniem, ale ze zmniejszoną mocą ognia. Takich statków używają na drugiej linii ataku podczas walki, ale możliwe, że ten egzemplarz to demobil jakiejś potężnej armii, wykorzystywany teraz w celach gospodarczych.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytał Morgan, rzucając na nią krótkie spojrzenie i znowu zaczął wpatrywać się w ekran.

- Bo jego centralny radar jest cywilnej produkcji.

Meta odpowiadała śmiało, jak najlepsza uczennica podczas egzaminu.

Jest jeszcze taka młoda, pomyślał Jason. Tak lubi się popisywać. Ależ znalazła sobie audytorium!

- Dziękuję - uśmiechnął się Morgan. - Pożyteczna informacja. Do Jasona zwrócił się d'Aulonai:

- A co pan myśli, panie d'Alt?

- Ja nie myślę, ja wiem - odpowiedział Jason. Bufonada Mety okazała się zaraźliwa. Ale co zrobić, przecież trzeba jakoś zasłużyć na zaufanie piratów! - To statek konwojent.



Obydwaj flibustierzy się uśmiechnęli, a w ich oczach pojawił się błysk chciwości. Tępawy d'Aulonai zapytał na wszelki wypadek:

- Transport gotówki?

- Tak - powiedział Jason. - Międzyplanetarny bankowy transfer pieniędzy.

- Ciekawe, co robią w przestrzeni międzygwiazdnej? - zapytała Meta, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

D'Aulonai jeszcze raz szeroko się uśmiechnął. Jason poszedł za jego spojrzeniem i zrozumiał, że piratowi podoba się nie tylko informacja Mety, ale również jej autorka.

- Znaczy, że to międzygwiazdny statek inkasentów - samodzielnie wywnioskował d'Aulonai, co jak na niego było dużym wyczynem. - To świetnie, mają sporo pieniędzy.

- Czy to tak wygląda, Jasonie? - zapytał Morgan.

- Mniej więcej - zgodził się Jason. - Tylko nie ma sensu atakować konwojentów. Zgodnie z regulaminem swojej służby nie rozmawiają z nikim, a przy najmniejszej agresji automatycznie uciekają w krzywoprzestrzeń i stamtąd po jump-łączach wołają policję. Policyjne statki szybko was namierzą i od razu przystąpią do ataku. Krótko mówiąc, zamiast rabunku trzeba będzie rozpocząć walkę. Chce się wam wojować z profesjonalistami i ryzykować trafienie w ręce władz tutejszego systemu gwiazdowego dla jakichś trzech czy pięciu miliardów? Naprawdę dużych sum na takich byle jakich łódeczkach nie wożą, więc na pewno nie ma tam nawet tyle.

Morgan milczał, uśmiechając się tajemniczo. Głupawy d'Aulonai starał się dociec, o czym myśli kapitan. Jason, korzystając z przerwy, postanowił dodać jeszcze jeden argument:

- Wydaje mi się, że lecimy do domu z niezłym łupem. Może jednak lepiej go zachować?

Specjalnie powiedział „my”, żeby podkreślić wspólnotę interesów. Ale Morgan prawie go nie słuchał.

- Nie - twardo postanowił kapitan piratów. - Ci, którzy próbowali zadowolić się tym, co już osiągnęli, w rezultacie tracili wszystko. A flibustierzy nigdy nie bali się trudnych zadań. Dużo nam pomogłeś, Jasonie. Teraz stary Morgan wykorzysta swoją szansę. Mówisz, że nie przystępują do rozmów? A jak zareaguje dowódca statku na sygnał SOS?

Jason nigdy nie był konwojentem i nie miał pojęcia, co na ten temat mówią regulaminy, ale dobrze wiedział, że zawodowa solidarność astropilotów najczęściej bywa stawiana wyżej od służbowego obowiązku.

- Nie wiem - powiedział uczciwie.

- No cóż - podsumował Morgan - tym ciekawiej będzie się dowiedzieć.

Odległość między statkami zmniejszyła się już na tyle, że należało zacząć rozmowy radiowe. Pojazdy szły jednym kursem, a zderzenia chyba żaden z nich nie chciał.

Morgan nacisnął guzik alarmu zewnętrznego; w ten sposób wysłał w przestrzeń sygnał SOS. Jednocześnie polecił swojej ekipie, żeby w ciągu trzech minut była gotowa zarówno do ataku, jak i do obrony.

Jason był w rozterce. Cały czas starał się zrozumieć, o co tu chodzi, ale jakoś mu to nie wychodziło. Zapytał Morgana wprost: Co masz zamiar zrobić?

- Tylko wziąć pieniądze - uśmiechnął się Morgan, nie tracąc czasu na szczegóły. - Nie chcę nikogo zabijać. Tylko pieniądze, Jasonie.

Jason dalej nic nie rozumiał. W tym momencie przyszła odpowiedź od konwojenta:

- Wyjaśnijcie, co się stało. Jakiego rodzaju pomoc jest wam potrzebna?

- Po bandyckim napadzie i wybuchu mamy uszkodzone silniki i generator jump-trybu - bezczelnie kłamał Morgan. - Remont jest możliwy, ale wszyscy ocaleli członkowie ekipy są ciężko ranni. Prosimy o przysłanie przynajmniej jednego człowieka.

- Człowieka nie możemy wysłać nie wyjaśniając przyczyn - odpowiedzieli ze statku konwojentów. - Wysyłamy robota do przeprowadzenia remontu.

- Dziękujemy kontynuował Morgan. - Ale nadaje się tylko robot uniwersalny: z funkcjami montażu, pomocy medycznej, nawigacji i tak dalej. Czy mnie rozumiecie?

- Rozumiemy. Właśnie takiego robota do was kierujemy.

- Świetnie! - szepnął Morgan. - Bez uniwersalnego robota nie odleć. Za droga zabawka. Ale jednak... Misson, słyszysz mnie?

- Tak, kapitanie! - odezwał się główny wśród flibustierów konstruktor-wynalazca.

- Przygotować się do ataku technicznego zgodnie ze schematem dwadzieścia siedem. Jeżeli otworzą luk z naszej strony, natychmiast przystępujesz do pracy. Pamiętaj, że masz wykorzystać każdą szansę.

Ale luk otworzył się z przeciwnej strony. Nie tacy głupi byli ci konwojenci. Solidarność solidarnością, a instrukcje wypełniali dokładnie.

Robotowi, który przybył na „Konkwistadora”, pozwolili zawiadomić właścicieli o normalnym przyjęciu przez stosowne automaty, a potem zaczął działać techniczny geniusz Missona. Morgan stwierdził, że nie warto wtajemniczać Jasona i Mety w szczegóły operacji, powiedział tylko ogólnie, o co chodzi: mniej więcej za pół godziny robot zostanie całkowicie przeprogramowany i wyposażony w ukrytą broń. Zawiadomi o zakończeniu prac i wróci do konwojentów już w roli podstępnego dywersanta. Oczywiście konwojenci mogą się połapać w tej starej sztuczce; ważne jest, na jakim etapie. Trojański koń flibustierów nie będzie czekał do nocy, zacznie działać od razu, jak tylko otworzy się wewnętrzna śluza, tak że jeżeli tamci rozgryzą sprawę nawet o sekundę za późno, nic im już nie pomoże.

Morgan tak właśnie wyraził się o robocie - „koń trojański”. Jasona znowu zdumiała erudycja tego łajdaka. W nowoczesnym świecie prastare legendy zostały dawno zapomniane. Nie pamiętali o nich nawet naukowcy i politycy.

- Jak właściwie ma działać przeprogramowany robot? - ostrożnie zapytał Jason.

- Zobaczysz - tajemniczo odpowiedział Morgan. Chcesz od razu wszystko wiedzieć? Na razie, chłopcy, wszyscy oprócz Missona i jego grupy mogą sobie zrobić przerwę - powiedział do mikrofonu interkomu i dodał cicho, wyłączwszy dźwięk: - A ty, Jasonie, możesz uważać, że już spełniłeś swoje zadanie. Ty i Meta zrobiliście wszystko, czego od was dzisiaj wymagaliśmy.

Jason zastanawiał się, czy zdążą zastrzelić wszystkich, którzy wtargną do sterowni, czy najpierw powinni zabić Morgana i d'Aulonai; czy zdążą uprzedzić konwojentów o pułapce, a potem z ich pomocą rozbroić piratów; czy zdążą dać sygnał SOS na wszechgalaktycznej częstotliwości i połączyć się z Korpusem Specjalnym, zanim Misson wyłączy im prąd... Coś na pewno nawali. Może skończyć się na paru bezsensownych zabójstwach. Ciekawe, czy zdążą się uratować. W końcu setka flibustierów to niemało. A wiadomo, że gospodarzom nawet ściany pomagają. Ale najważniejszą przewagą piratów była żądza krwi i fakt, że nie oszczędzali nie tylko wrogów, ale nawet samych siebie.

Meta prawdopodobnie myślała o tym samym i dochodziła do tych samych wniosków. Tylko że ona, w przeciwieństwie do Jasona, podchodziła do wszystkiego z zimną krwią i pyrrusańskim spokojem.

Jasona kosztowało dużo wysiłku, by przywołać na twarz coś w rodzaju uśmiechu.

- Henry, możesz mi dać cygaro? Spróbuję, może mi zasmakuje. - Proszę bardzo - odrzekł Morgan.

Minuty ciągnęły się jak w koszmarnym śnie. Rozmowy się nie kleiły. Cygaro było obrzydliwie mocne i śmierdzące. Nawet dowcipniś Hook, który dołączył do nich, nie rozładował sytuacji. Sterownia tonęła w kłębach gryzącego dymu. Meta krzywiła się i odganiała je dłonią od twarzy.

Wreszcie Misson doniósł, że jest gotowy. Morgan wyraził zgodę i robot wolno odpłynął z powrotem. Śledzili jego ruch na ekranie. Dziwnie było pomyśleć, że ta popielatoszara misterna konstrukcja - jedno z najwyższych osiągnięć ludzkiego umysłu, symbol przyjaznej pomocy w ciągu pół godziny została przerobiona na diabelską maszynę.

Potem robot zniknął za masywnym cielskim statku-konwojenta i przez jakiś czas nic się nie działo. Wreszcie rozległ się umówiony sygnał - fragment marsza. Cała załoga „Konkwistadora” ryknęła jednym głosem, niczym stado małp.

- Do ataku! - wrzasnął Morgan w mikrofon interkomu, zagłuszając radosny ryk.

Połączenie dwóch statków odbyło się idealnie, jakby były montowane w jednej stoczni do wspólnych lotów. Wyglądało na to, że „trojański” robot nie tylko wyłączył blokady obronne statku konwojentów, ale kieruje też pozostałymi systemami. Potrójne śluzy otworzyły się szybko i gładko. Piraci wpadli przez nie jak profesjonalni terroryści: wytrzymać chwilę, dopaść do kryjówki, torując sobie drogę ogniem, a potem dalej, niczym tłum młodych wielbicieli na koncert swojego idola - na łeb na szyję, popychając się nawzajem i krzycząc radośnie.

Zespół konwojentów zachowywał się przy tym bardzo dziwnie. Widocznie przeprogramowany przez Missona robot pracował nie tylko nad techniką. Krzepcy, wyszkoleni, ale zupełnie bezbronni mężczyźni miotali się po przedziałach i przejściach, atakując byle czym uzbrojonego po zęby przeciwnika albo uciekając w różne strony próbując chować się w najmniej odpowiednich miejscach. Wszystkie próby kończyły się tak samo: całą załogę statku załatwiono szybko i efektywnie. Flibustierzy woleli nie strzelać, tylko rąbali swoimi krzywymi szablami na lewo i na prawo. W ferworze walki razem z ciałami ciężki plastikowe meble, naczynia, cienkie ścianki i drewniane futryny. Czasami trafiał się twardy metal i wtedy leciały iskry, a czasami gasło światło, ale szybko się znowu zapalało - włączało się zasilanie awaryjne.

Jasona nie było na statku konwojentów podczas ataku. Nie zaprosili go tam, tak samo jak i Mety. Bojowników było wystarczająco dużo i bez nich, a reakcja nowicjuszy na to, co się działo, mogła być nieprzewidywalna. Sam Morgan też nie dołączył do d'Aulonai i Howarda, by nasycić się bójką. Został w sterowni kapitańskiej i obserwował krwawą akcję na dużym ekranie. Obraz był nadawany z trzech kamer; Morgan, jak doświadczony reżyser, przełączał transmisję z jednej na drugą, śledząc całość akcji za pomocą trzech malutkich ekraników w rogu monitora. Cały ten niesamowity reportaż powstał tylko dla dwóch widzów... chyba że Morgan handlował takimi rozrywkowymi filmami. Jason by się nie zdziwił, gdyby tak było. Profesjonalnie sfilmowana seria zabójstw zawsze znajdowała widzów w całym Wszechświecie. Co prawda taśma mogła trafić do odpowiednich władz, bardzo zainteresowanych autorami tak ekstrawaganckiej produkcji, ale widocznie Henry Morgan specjalnie się tym nie przejmował.

Wysokie gwiazdy! O czym ten człowiek myśli w takich chwilach? Morgan cynicznie oszukał Jasona, twierdząc, że nie ma zamiaru nikogo zabijać. Jak można wierzyć komuś takiemu? Jason zastanawiał się, czy nie nadszedł odpowiedni moment, żeby się go pozbyć: wszyscy pobiegli na obcy statek, wystarczy zamknąć śluzy, wydać rozkaz rozłączenia - i zostaną we trójkę. Za otwartymi drzwiami na korytarzu sterczy, jakby przypadkowo, jeszcze dwóch zbójów; no i koszmarny Misson, zły geniusz mechaniki, na pewno trzyma teraz palce na wszystkich możliwych przyciskach. Nic z tego nie wyjdzie, przynajmniej na razie. Uspokój się, Jasonie...

- Podoba ci się? - zapytał Morgan.

Jason wolał milczeć, natomiast Meta odpowiedziała z kamienną twarzą:

- Może być, tylko bardzo brudno.

- W jakim sensie? - zażądał wyjaśnień Morgan. - W bezpośrednim - powiedziała Meta.

- Rozumiem - powiedział flibustier. - Nieważne, i tak potem wszystko się spali. A moi chłopcy są czyści z natury: jak wrócą. na pewno wezmą prysznic.

- Też dobrze - powiedziała Meta. Głos miała cały czas obojętny.

Zuch dziewczyna! - pomyślał Jason. Żadnej zbędnej emocji. Czy to stan, jaki psycholodzy określają jako nadmiar hamulców. Jeszcze trochę, a sam zacznę odpowiadać na pytania cichym i bezbarwnym głosem.

Ale na razie jeszcze mu to nie groziło. Jason zadał pytanie: Dlaczego nas oszukałeś, Henry?

- Jak to dlaczego? - zdziwił się Morgan. - Dlatego, żebyście: siedzieli cicho. Do wszystkiego na tym świecie lepiej się przyzwyczajać stopniowo. Zwłaszcza do śmierci. A ludziom, którzy, bić może, nigdy w życiu nie zabijali, nie tak łatwo pogodzić się z myślą o absolutnej konieczności tego procesu. Nie mam racji?

Pierwsza zaczęła się śmiać Meta. Morgan nie spodziewał się takiej reakcji i na chwilę go zatkało. Potem odwrócił się do Jasona i zapytał:

- Przepraszam, chłopie, co jej jest? Histeria'?

Jason nie mógł się powstrzymać i też się roześmiał. Dwóch piratów dyżurujących przy drzwiach zajrzało z ciekawości, co takiego śmiesznego znalazło tych dwoje w całej sytuacji. Długo wpatrywali się w ekran, ale i tak nic nie zrozumieli.

Rzeź już się zakończyła. Na statku konwojentów załoga nie była zbyt liczna, a pasażerów nie przewozili z zasady. Flibustierzy szybko znaleźli pieniądze. Było ich dużo, przynajmniej na pierwszy rzut oka. To ucieszyło wszystkich. Spocone, pobrudzone sadzą i krwią gęby rozpląwały się w zadowolonych uśmiechach.

- Jazda stąd! - ponuro rozkazał Morgan i dwóch obserwatorów zniknęło, jakby zdmuchnął ich wiatr.

Jason wreszcie się uspokoił i powiedział:

- Oj, Henry, Henry! Jednak jestem starszy od ciebie o ileś tam lat, o ileś światów i dobrą setkę skomplikowanych problemów, które rozwiązywałem. Jeżeli w czymś mnie wyprzedziłeś, to tylko w pozostawionych po sobie trupach. W tym ciężko z tobą rywalizować. Ale uwierz mi: sam też zabijałem i to niemało. Dobrze wiem, jak tu się robi. Tyle, że sam proces nigdy nie sprawiał mi przyjemności. Chyba na tym polega główna różnica między nami.

- Chyba tak - powtórzył w zamyśleniu Morgan. - Mam nadzieję, że ten drobny szczegół nie przeszkodzi, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

- Czyżbyśmy rozmawiali o przyjaźni, Henry? Moim zdaniem, cały czas chodziło wyłącznie o współpracę. Myślę, że tak nieznaczne rozbieżności nigdy nie przeszkadzały we wspólnej działalności. - Ładnie to wywiodłeś, dinAlt! - Wszystko staram się robić ładnie.

W odpowiedzi na tę złośliwą uwagę Morgan przewrócił oczami, jakby uznawał swoją porażkę w pojedynku na słowa. Niespodziewanie zwrócił się do Mety:

- Zgadzasz się ze swoim mężem?

- Nie. - Meta jakby potknęła się o to krótkie słowo, ale uparcie powtórzyła: - Nie. To znaczy, niezupełnie. Mnie też nie sprawiają przyjemności przypadkowe zabójstwa. Nigdy nie rozumiałam, po co są potrzebne. Ale uwielbiam mścić się na wrogach. Za to przypadkowi ludzie...

Wszyscy ludzie to wrogowie - warknął Morgan, a potem dodał: - Mam nadzieję, że już wszystko jasne.

W tym momencie do sterowni wtargnął Howard z zawadiacką czarną opaską na oku. Drugie oko błyszczało podnieceniem. Howarda wyraźnie rozpiełała chęć powiedzenia czegoś ważnego, ale wiedział, że w żadnym wypadku nie wolno przerywać kapitanowi. - Mów - rozkazał Morgan.

Dwa i pół miliarda, sir - wypuścił powietrze z płuc Howard. Dzielni chłopcy - pochwalił kapitan. Przekaż to wszystkim. Mogą się teraz upić. Było tam coś jeszcze oprócz pieniędzy? Różne drobiazgi... praktycznie nic. Ale zabraliśmy wszystko, co wydawało się chociaż trochę wartościowe.

- Bardzo ładnie - jeszcze raz pochwalił Morgan. - Przekaż im, żeby wysadzili tamten statek. I to szybko, póki są jeszcze trzeźwi. Jak się popiją to, zamiast obcego, swój statek mogą rozwalić na molekuły...

Howard zaśmiał się uprzejmie i odwrócił, by wyjść, ale kapitan nagle wbił oczy w ekran i kiwnął na pomocnika, żeby nie odchodził. Na głównym ekranie było widać czarne niebo, a w samym centrum pola znowu migotała mała kropka sztucznego obiektu.

- Pospieszcie się z wysadzaniem - ponaglił Howarda Morgan. - O pijaństwie na razie nie ma mowy. Musimy poczekać, aż się wyjaśnią pewne okoliczności.

Jason poczuł przyspieszone bicie serca. Czyżby technika przeklętego Missona jednak zawiodła i konwojenci zdążyli wysłać sygnał alarmowy? Może to Korpus Specjalny? Ale dlaczego tylko jeden statek? Trochę to za mało na taką akcję. Nie minęły trzy minuty, jak Meta poinformowała:

- Międzygwiazdowa łódź klasy MS-2, statek spacerowy, wysoka prędkość, specjalna mobilność w jump-trybie, całkowity brak uzbrojenia, nie licząc, oczywiście, działa przeciw meteorytom. Przeznaczony najwyżej dla dziesięciu pasażerów, łącznie z członkami załogi. Uważam, że nie przedstawia żadnej wartości.

Morgan uważnie popatrzył na Metę. Wyraźnie miał ochotę powiedzieć coś nieprzyjemnego, ale rozmyślił się i wytłumaczył spokojnie:

- Czasami policja maskuje się w jeszcze bardziej niewinnych łódeczkach. To po pierwsze, a po drugie, jeżeli my ich widzimy, to znaczy, że oni nas też widzą.

W tym momencie błysk wybuchu oświetlił wszystko dookoła. Wydawało się, że to piorun błyska z ekranu.

- Żegnajcie, konwojenci! - czule powiedział Morgan. - Nie lubię zostawiać śladów, więc zrobiłem z was dodatkową gwiazdę na czarnym aksamicie wszechświata.

Zniszczeniu tego drugiego też nie będę mógł przeszkodzić, przeleciało Jasonowi przez głowę, ale zagrzebał tę myśl jak najgłębiej. Na kilka sekund przymknął oczy, żeby się łatwiej otrząsnąć.

Morgan załatwił się ze statkiem pasażerskim bardzo prosto. Blok energetyczny rozwalono jednym strzałem. Nieduża torpeda unieruchomiła wszystkie najważniejsze systemy statku, który i tak nie nadawał się do walki kosmicznej. Z abordażem poszło trochę trudniej. Rozmiary śluz nie pasowały do siebie, więc piraci byli zmuszeni wysłać małą kanonierkę, do której napchało się chyba z piętnastu żądnych krwi zabójców. Wśród nich była również dziewczyna - Madame Cin.

Na małym statku podróżowała siedmioosobowa rodzina: dwie starsze kobiety, jedna nieco młodsza, mężczyzna w podeszłym wieku, bardzo młoda dziewczyna i dwóch chłopców - jeden dziesięcioletni, drugi jeszcze młodszy. Rodzina okazała się bogata: półtora miliona kredytów w gotówce, droga biżuteria, nowoczesna elektronika, luksusowe zabawki... Oczywiście, to niezła zdobycz dla drobnego rzeźmieszka, ale dla bandy piratów na krążowniku wartości co najmniej dziesięciu miliardów, wiozącego na pokładzie ponad trzydzieści miliardów... Jasonowi nie mieściło się to w głowie. Po co okradać maleńki stateczek spotkany przypadkowo w międzygwiazdnej przestrzeni środkowej części Galaktyki? W dodatku nie tylko okradać...

Sześcioro członków Bogu ducha winnej rodziny zaszlachtowano tymi samymi szablami, które jeszcze ociekały krwią konwojentów. Czyżby flibustierowie oszczędzali kule albo energię baterii?

- Tego już chyba nie zniesiemy - szepnął Jason Mecie, kiedy Morgan odszedł w kąt sterowni i z niesamowitą prędkością zaczął pracować na klawiaturze komputera pokładowego.

- Albo odwrotnie, staniemy się obojętni na wszystko - zauważyła filozoficznie Meta takim samym cichym szeptem. - Jak lekarze, którzy przyzwyczajają się do widoku rozprutych brzuchów.

Tę mniejszą rzeź również obserwowali na dużym ekranie. Widocznie piraci nie zapominali zabrać ze sobą kamery nawet na najdrobniejsze operacje. Jakaś patologiczna skłonność do dokumentowania własnych zbrodni. Krwawe sceny ciągnęły się bez końca. Jason nawet nie od razu zauważył, że flibustierzy oszczędzili życie jednej pasażerki. To też była tradycja. Kobiety do lat trzydziestu (wiek oceniano się na oko) piraci zostawiali przy życiu dla całkiem oczywistych celów. Czasami zabijali je od razu po wykorzystaniu, ale zdarzało się i tak, że uwozili do siebie na Jamajkę. Tam przyzwoite niegdyś dziewczyny stawały się pełnoprawnymi członkami pirackiego społeczeństwa.

Tym razem zdobyczą flibustierów była miła, ładniutka dziewczyna, ruda i zielonooka. Na pierwszy rzut oka miała nie więcej niż szesnaście lat. Była śmiertelnie przerażona. Elegancka błękitna sukienka zwisała teraz z jej dziecinnej figurki w strzępach poplamionych krwią, a na policzku widniało głębokie zadrapanie.

Jason na polecenie Morgana wpuszczał wracających na statek piratów. Kiedy zobaczył w otworze śluzy nieszczęsną dziewczynę, zrozumiał, że nadszedł czas działania. W tamtej chwili nie potrafiłby wytłumaczyć, co przynagliło go do podjęcia takiej decyzji; w każdym razie pozbył się wszelkich wątpliwości. Za długo patrzył już na ten koszmar dookoła. Nadszedł czas, by włączyć się do gry.

Morgan podszedł do śluzy tuż za nim. W momencie kiedy stanął za jego plecami, Jason postanowił przejść od obserwacji do działania. - Oddaj ją mnie! - powiedział głośno, żeby wszyscy słyszeli. Zapanowała martwa cisza; słychać było nawet, jak z brwi jednookiego Howarda kapią na podłogę krople potu.

- Dlaczego?! - zapytał d'Aulonai. Poczul się skrzywdzony i w obronie swoich praw był gotów przegryźć gardło komukolwiek.

Jason już chciał odpowiedzieć, ale na szczęście uprzedził go Morgan.

- Dlatego, że nasz nowy przyjaciel zasłużył na to. Oddaj mu dziewczynę, Francois! Znajdziesz sobie inną.

D'Aulonai, oszołomiony i wściekły, puścił rękę zielonookiej dziewczyny i lekko popchnął ją ku Jasonowi.

- Dziękuję - powiedział Jason, obrócony bokiem do Morgana. Zgarnął młodą piękność, pokiwał ręką Mecie i odszedł korytarzem w stronę swojej kajuty.

9

- Nie pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałam?

- Co mianowicie? - zapytał Jason, kiedy już położył na łóżku nieprzytomną dziewczynę.

- Że nie pozwolę na żadną inną kobietę - przypomniała Meta. Ach tak? - obojętnie skwitował Jason. - Noto zastrzel ją już teraz. Skończ brudną robotę flibustierów. A może przynieść ci szablę?

Meta zmarszczyła brwi, nie przyzwyczajona do czarnego humoru. A Jason ciągnął już całkiem poważnie:

- To nieszczęsne stworzenie nazywasz kobietą? I jesteś o nią zazdrosna? Nie do wiary! Oczywiście rozumiem, że na niektórych planetach dziewczynki w tym wieku wychodzą za mąż albo rodzą nieślubne dzieci.

Pistolet sam wskoczył do ręki Mety, ale powstrzymała się i nic nie mówiąc, schowała go z powrotem do kabury. Ale Jason już nie mógł się powstrzymać.

- Cóż, ja urodziłem się i wychowałem w takim świecie, gdzie intymne związki dorosłego mężczyzny z taką dziewczynką uważa się za przestępstwo. Obrażasz mnie zazdrością o to dziecko. Zamiast gadać bzdury, lepiej byś jej pomogła: zrobiła zastrzyk, umyła pod prysznicem, zobaczyła, czy nie ma poważnych ran,

wreszcie zmieniła ubranie... Przecież nie ja powinienem się tym zajmować! Wystarczy, że zdobyłem wszystkie jej ubrania. Tu leżą, widzisz? Myślę, że w jej wieku nie lubi się nosić obcych szmat.

Meta milczała zawstydzona. Jasona rozbawił widok jej miny. W ten sposób wychowuje się Pyrrusan, pomyślał z zadowoleniem. Meta wzięła apteczkę i podeszła do łóżka, na którym leżała nieprzytomna dziewczyna z nieznanego systemu planetarnego. Jason w przyływie dobrego humoru postanowił jeszcze trochę podrażnić swoją ukochaną:

- Zazdrośnica! Ta ruda mogłaby być twoja córką! Meta odwróciła się gwałtownie.

- Nieprawda! Mój pierwszy syn, gdyby żył, miałby tylko czternaście lat!

- No... a ta mała tyle akurat ma - powiedział Jason, ale od razu zrozumiał, że przesadził.

Nie miał pewności, co teraz zrobi Meta: zacznie strzelać czy płakać. Nie pozwolił ani na jedno, ani na drugie. Czule ją przytulił i szepnął:

- Przepraszam, kochana.

Kiedy Jason opuścił kajutę i ruszył w stronę sterowni kapitańskiej, aby porozmawiać z Morganem w cztery oczy o lekarzu dla dziewczynki (musieli tu mieć lekarza przy tak dużej załodze i tak niebezpiecznej „pracy”), zatrzymał go w pół drogi d'Aulonai. Nie było nikogo w pobliżu, a Jasonowi się to niespecjalnie podobało. Zanosilo się na tak zwaną męską rozmowę, co w wykonaniu tępawego flibustiera mogło oznaczać w najlepszym wypadku pojedynek z wykorzystaniem takiej samej broni, a w najgorszym - mordobicie zakończone śmiercią. Jason był daleki od niedoceniań siły przeciwnika, ale nawet w przypadku zwycięstwa nic dobrego go nie czekało. Nie wiedział, jak potem udowodnić Morganowi, że zabił jego pierwszego zastępcę w uczciwym pojedynku, a nie przy próbie ucieczki.

Krótko mówiąc, trzeba było za wszelką cenę uniknąć bezpośredniego starcia. Jasonowi przychodziły do głowy różne pomysły: chaotyczna strzelanina dla przyciągnięcia uwagi kogokolwiek, haniebna ucieczka, zawiadomienie kapitana sygnałem alarmowym i wreszcie zawołanie na pomoc Mety. Jednak żadna z tych wersji nie spodobała się Jasonowi. Szukał gorączkowo innego wyjścia, ale nie zdążył nic wymyślić. D'Aulonai zaczął swoją męską rozmowę i już pierwszym zdaniem zbił Jasona z tropu.

- Gdzie jest twoja baba, Jasonie? Nie dziewczynka, tylko baba. No gdzie? - zapytał aroganckim tonem.

Pijany, na pewno, przemknęło przez głowę Jasonowi. Zrozumiałe, że po dwóch takich akcjach musiał wypić jedną czy dwie szklanki rumu. Ale przecież to jest nic dla takiego chłopca! O co mu chodzi?

- Moja żona? - zapytał Jason na wszelki wypadek.

- Żona, nie żona. . . Zrozumiałeś mnie?

- U siebie w kajucie, a co?

- Przyrowadź ją tutaj - rozkazał d'Aulonai.

- Teraz to już nic nie rozumiem - przyznał się Jason.

- Tu nie ma co rozumieć. Jest takie flibustierskie prawo: odstąpiłem ci swoją babę, zdobytą w boju, uczciwie. Odstąpiłem bez pojedynku, po dobremu. To teraz ty musisz mi odstąpić swoją. Według naszego prawa. Zrozumiałeś?

Zaskoczony Jason nie miał nawet czasu na zastanowienie. Przytomnie odpowiedział pytaniem na pytanie:

- No to dlaczego nie powiedziałeś mi o tym tam, przy służbie? Zastanowiłbym się trzy razy, czy warto brać tę dziewczynkę.

- Myślałem, że wiesz - odparł d'Aulonai, udając głupiego, co mu nieźle wychodziło.

- Skąd miałem wiedzieć, Francois?! Dlaczego Morgan mnie nie uprzedził?

- Co tu ma do rzeczy Morgan? - niespodziewanie wściekł się d'Aulonai.

- Przecież to Morgan nas rozsądził.

- Morgana to nie obchodzi - jeszcze raz podkreślił d'Aulonai. - Istnieje prawo flibustierów, rozumiesz?

- Nie - powiedział Jason, przechodząc do ataku. - Nigdy nie żyłem według waszych praw i teraz też nie mam zamiaru się do nich stosować. Nie dawałem nikomu żadnych obietnic, a współpracę obiecywałem wyłącznie Morganowi. Tylko z nim będę rozwiązywał kwestie osobiste. Moja żona to moja żona. Niektórzy z was już próbowali się do niej dobierać. Masz pozdrowienia od lewego oka Toniego Howarda.

- Jesteś bezczelny, Jasonie, wyjątkowo bezczelny. Ale popełniasz teraz najpoważniejszy błąd w swoim życiu. Howard po prostu się pospieszył, a ja będę działał świadomie i zgodnie z prawem. Nie jestem wymagający, obejdę się bez wzajemnych pieszczot. Najpierw w ryja, później dla pewności czymś ciężkim po głowie, potem przywiążę w wygodnej pozycji i dam parę razy po twarzy, żeby oprzytomniała i lepiej reagowała. Chociaż to nie jest konieczne. Ja tam mogę i z umarłymi. Póki jeszcze ciepłe...

- Lepiej byś milczał, d'Aulonai - wycedził Jason przez zęby. Pamiętaj, że jestem uzbrojony. Słyszałeś kiedyś o tym, że honor jest droższy od życia?

- Słyszałem, ale uważam, że to bzdury. I tak wezmę twoją żonę. Możesz uważać, że cię uczciwie uprzedziłem. Jak uczciwy człowiek. - Roześmiał się. - Radzę ci odstąpić ją po dobremu. Jeżeli przyjdzie dobrowolnie, będzie dużo przyjemniej. Dla wszystkich. Namów ją, Jasonie. Będę czekał na wasz sygnał.

I odszedł z podniesioną głową.

Jason zacisnął zęby, odkładając na lepszy czas unoszenie się honorem. Teraz najważniejsze było, żeby ten dureń myślał, że już zwyciężył. Wtedy wielkodusznie przyznany przez niego czas będzie pracował na Jasona. Strzelić w plecy wrogowi? - rozmyślał. Oparty o ścianę, odprowadzał wzrokiem zadowolonego z siebie pirata, maszerującego pustym korytarzem. - Jakoś głupio. Jeżeli strzelać, to trzeba było od razu. Naradzić się z Metą? Nigdy w życiu! Ukryć się? Uciekać? To niemożliwe. Targować się? Ale jak? Najlepiej jednak zabić d'Aulonai. Tylko nie swoimi rękami. Zorganizować jakiś wypadek? Teraz, kiedy walki już się zakończyły, byłoby to bardzo trudne. A jeżeli...

Nagle przypomniał sobie podsłuchaną niedawno rozmowę Howarda z Hookiem. Mówili, że co najmniej trzecia część załogi słucha właściwie tylko d'Aulonai. Kapitana w ogóle nie szanują i po prostu go znoszą, ale tylko do pewnego momentu. Czy przypadkiem Francois nie przygotowuje buntu na statku? Hook wtedy zaprzeczył, powiedział, że w kosmosie d'Aulonai nie zdecyduje się wystąpić przeciwko kapitanowi, że będzie wolał poczekać do powrotu na planetę. Howard odpowiedział, że na Jamajce tym bardziej nic mu z tego nie wyjdzie. Tak, istnieje opozycja przeciw Morganowi, ale rozpocząć jatki na skalę planety nie potrafi żaden d'Aulonai. To, oczywiście, mogły być zwykłe plotki. Ale właśnie tutaj kryła się główna szansa. Właściwie nie tyle główna, co jedyna. Skoro szedłeś do Morgana, powiedział sobie w myślach Jason, to idź do Morgana. Ale rozmawiaj z nim nie o lekarzu, tylko o Mecie i d'Aulonai. Miał szczęście. Zastał Henry'ego w sterowni, a razem z nim Howarda. Właśnie Howarda. Świetnie się składa.

- Kapitanie, nie każ mnie karać! - zaczął Jason z emfazą. Ten zwrot z zamierzchłej epoki niespodziewanie podrzuciło mu natchnienie. Morganowi wyraźnie się to spodobało. Jason czuł, że zaraz przekona Henry'ego do swoich racji. I rzeczywiście, im dłużej kapitan go słuchał, tym bardziej zmieniała mu się twarz.

- Tak po prostu powiedział: „Morgan nie ma tu nic do rzeczy”? - upewnił się.

- Właśnie tak, - potwierdził Jason. - Dosłownie.

- Łajdak! - wycedził Morgan.

A Howard odezwał się cicho, do nikogo w szczególności:



- Bardzo to do niego podobne. Mało, że zamierza sobie wziąć Metę, to jeszcze kapitan nie ma tu nic do rzeczy...

Oczywiście, Toni, pomyślał Jason, tobie zamiast pięknej Mety dostała się opaska na oku. Jak mógłbyś pozwolić na to, żeby stała się zdobyczą kogoś innego? Zwłaszcza d'Aulonai. No jazda Toni, nakręcaj kapitana! Kapitana już nie trzeba było nakręcać. Jego wściekłość rola w oczach. Z tego by wynikało, że istotnie na statku szykował się bunt, a służba bezpieczeństwa wewnętrznego doniosła o tym Morganowi.

- D'Aulonai - rzucił Morgan do mikrofonu beznamiętnym głosem - przyjdź do laboratorium. Jesteś mi potrzebny. Karaccoli! Zajmij jego miejsce na wachcie. Hook! Weź pod kontrolę salę restauracyjną. Pilnuj, żeby ci, którzy się popili, nie wychodzili do innych pomieszczeń. Misson! Trzymaj paluchy na klawiszach i bądź przygotowany na każdą niespodziankę.

Wydawał rozkazy z prędkością karabinu maszynowego. Potem odwrócił się do Jasona i Howarda.

- Teraz idziemy. Wszyscy razem. Chcę, żebyście to widzieli. Co właściwie mieli zobaczyć, tego Morgan nie wytłumaczył, ale na pewno warto będzie popatrzeć. Laboratorium mieściło się w tym samym pokoju, gdzie Jason oprzytomniał po tym, jak się znalazł na statku. Tylko teraz nie było tu mebli ani żadnego przedmiotu.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Morgan wyciągnął z pochwy swoją szablę i podał ją Howardowi.

- Sprawdź, Toni, czy przypadkiem nie stępiła.

- Ależ skąd, Henry - zapewnił Howard. Dokładnie przyjrzał się ostrzu jedynym okiem, a potem z profesjonalną ostrożnością dotknął ostrej krawędzi palcem. - Przecież dopiero wczoraj ostrzona. Masz najlepszą broń na statku. Morgan odebrał szablę i zanim zdążył schować ją z powrotem do pochwy, przez drugie drzwi pewnym krokiem wszedł d'Aulonai.

Obecność Jasona wcale go nie ucieszyła, ale przecież jeden z najgroźniejszych piratów wszechświata nie mógł po prostu odwrócić się i odejść!

- Co się dzieje? zapytał uprzejmie.

- To ja chciałem cię zapytać, co się dzieje - słodko wyjaśnił Morgan.

D'Aulonai milczał.

- Zdaje się, że nastajesz na żonę naszego nowego przyjaciela. I nawet ze mną się nie naradziłeś, mam rację?

- Nie do końca. Henry. Chcę ją dostać zgodnie z prawem flibustierów. Przecież odstąpiłem mu swoją kobietę.

Teraz d'Aulonai nie mówił tak pewnie, jak przedtem. A Morgan natychmiast zniweczył jego pewność siebie.

- Nie ma takiego flibustierskiego prawa! - wściekle ryknął przywódca. - I ty dobrze o tym wiesz, Francois! Może w twojej zapadłej wsi Nau na planecie Lyon panowały takie dzikie porządki! Tam mogliście wymieniać się babami jak popadnie! Ale tutaj na razie ja rządzę! I bez mojego rozkazu żadnej kobiety nikt nikomu nie oddaje! Tak jak żaden z was nie weźmie ani jednej kredytki ponad to, co mu się należy i nie wypije zbędnego kieliszka rumu! Bezwarunkowe posłuszeństwo to jedyna rzecz, która może nas uratować!

Z każdym zdaniem wrzeszczał coraz głośniejsze. Potem nagle zamilkł i po chwili dodał cicho:

- A ty, Francois, w ogóle tego nie rozumiesz. Jeszcze jedna ważna rzecz do ciebie nie dotarła: teraz, kiedy wszyscy wysłuchali naszej rozmowy, już nikt nie będzie cię bronił.

Przy tych słowach d'Aulonai zaczerwienił się jak burak, żeby po chwili zblednąć. Było to tak dziwne zjawisko, że Jason nawet przestał patrzeć na kapitana. Odwrócił się dopiero, kiedy usłyszał jeszcze ciszej wypowiedziane zdanie:

- To wszystko, Francois. Nie jesteś mi więcej potrzebny. Ręka trzymająca szablę uniosła się lekko i szybko, jak dłoń u dyrygenta z batutą, a opadła jeszcze szybciej, tylko tym razem ciężko i z obrzydliwym mlaśnięciem. Opadła na szyję d'Aulonai. Głowa flibustiera, który przecenił swoje możliwości, potoczyła się w stronę ściany,

żeby od razu zniknąć w otworzonej na moment czarnej dziurze. Widok był przerażający. Ciało pozbawione głowy wałało się w ogromnej kałuży krwi.

- A jego koledzy... - zaczął Jason, ale przypomniał sobie, i ich rozmowa jest transmitowana na cały statek, i zamilkł.

- Świetne pytanie! - ucieszył się Morgan, który od razu zrozumiał, o co chciał zapytać Jason. - Jego koledzy teraz nas słuchają Hej, chłopcy... dobrze słyszycie głos swojego kapitana? No to w upicie za nasze sukcesy. Przed chwilą zabiłem Francois d'Aulonai, który zhańbił prawo flibustierów swoimi brudnymi pomysłami. Pamiętajcie, że Francois, jako pierwszy zastępca, miał duży udział w naszej zdobyczy. Teraz zostanie podzielona między wszystkich! Hura. bracia moi! Hura!

Nawet przez dźwiękoszczelne ściany laboratorium dotarł daleki radosny ryk załogi „Konkwistadora”. A może Jasonowi tylko tak się wydawało?

- Zazwyczaj sprzątaniami trupów zajmują się u nas więźniowie albo ukarani bojownicy - poinformował Morgan, patrząc znacząco na Jasona. - Ale dzisiaj zlecę tę pracę automatycznym sprzątaczo.

Jason wracając do Mety ledwo poruszał nogami. Czuł się jak wyciśnięta cytryna, jakby przed chwilą przeciwstawił się tuzinowi odważnych wojowników albo odbył długi i trudny seans telekinezy. A co zrobił w rzeczywistości? Nic takiego. Po prostu przeżył kolejny atak strachu i beznadziei. Ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Był górą, tak jak chciał. Rozum mu to mówił, ale... co z tego, kiedy brzydził się sam siebie? Czuł się brudny i nie wiedział dlaczego.

Nagle zrozumiał. To było takie proste.

Jason dinAlt po raz pierwszy w swoim życiu zabił wroga obcymi rękami.

10

Planeta miała dziwną nazwę: Radom. Sądząc po biegłym esperanto radiooperatorów, była jednym z dobrze zachowanych odprysków starożytnego ziemskiego imperium. Toni Howard miał rację: Morgan nie tylko nie wypuścił więźniów na spacer po powierzchni nowej dla nich planety, ale także poprosił Jasona, by nie wtrącał się do rozmów z Radomianami, jak nazywał tubylców, i żeby nie chodził po statku bez zezwolenia, jeżeli nie chce znowu zostać zamknięty w kajucie albo laboratorium. Jason nie sprzeciwiał się. To, że pozwolono im zobaczyć pole startowe po tamtej stronie, było dużym osiągnięciem.

Ciężki krążownik umieszczono na gigantycznej platformie i zaciągnięto przez cały port kosmiczny do odosobnionego doku, widocznie w celu przeprowadzenia profilaktycznego przeglądu i tankowania. Wśród wielu lądujących na Radomie statków Jason zauważył kilka noszących znane mu godła - planety Mahauta, Cliandy, Scoglio i, co go zdziwiło, Cassylii. Statek stamtąd był malutki, cywilny, ale dosyć sfatygowany, zupełnie jakby brał udział w strzelaninach, a może nawet kogoś taranował. Meta szepnęła Jasonowi, że ten typ pojazdu ma podwyższoną mobilność przy jump-przejściach i jest zazwyczaj wyposażony w radiowy system maskujący. Mimo wszystko nie wyglądało to na pościg, raczej na sprytną sztuczkę służby wywiadowczej Wayne'a. Po prostu trik, odwracający uwagę od poważnego przeciwnika.

Nie wiadomo, czy Morgan zauważył ten stateczek. Obowiązki Jasona polegały właściwie na tym, żeby pomagać przywódcy w trudnych sytuacjach. Ale. .. Wewnętrzny głos podpowiedział mu, żeby to przemilczał. Ufając tej intuicyjnej decyzji, rozważył wszystkie „za” i „przeciw” i zrozumiał, że postąpił słusznie. Źle by było, żeby wódz flibustierów rzucił się do ucieczki, a potem by się okazało, że cassylijską jednostką przyleciał inspektor sanitarny albo komiwojażer. Na bogatej Cassylii wielu ludzi byłoby stać na kupienie takiego drogiego

statku. Jeszcze gorzej mogło się zdarzyć, jeżeli Morgan zgodnie ze swoją najlepszą tradycją na wszelki wypadek zniszczyłby cassylijski statek z całą załogą, zanim cokolwiek by się wyjaśniło. A jeżeli to jest posunięcie Wayne'a, to dobrze by było obejrzeć mecz do końca i wyciągnąć z tego korzyści dla siebie.

Po zatrzymaniu platformy transportowej grupa flibustierów opuściła statek. Morgan wyjaśnił Jasonowi:

- Będą kontrolować załadunek.

- Domyśliłem się. A czego dokładnie? Jeżeli to nie jest tajemnica. - To żadna tajemnica. Akumulatorów, paliwa, części zapasowych, broni, amunicji... Podstawowy zestaw.

- A kiedy wszystko już załadują, zerwiemy się stąd, jak z Cassylii? - domyślił się Jason.

- Ależ skąd! - roześmiał się Morgan. - Tutaj zamierzam za wszystko płacić.

Jason nie dowierzał kapitanowi, ale powstrzymał się od komentarzy.

- Można zobaczyć broń? zapytała Meta, jak zawsze ciekawa. - Oczywiście.

Morgan był w świetnym humorze. Siedział przy klawiaturze w sterowni, nie spuszczać oka z ekranu, po którym przebiegały grupy cyfr. Cały czas robił dodatkowe wyliczenia. Ich wyniki pojawiały się na małym monitorze pod lewą ręką kapitana, którą sprytny gracz przykrywał tajne dane przed wszystkimi. Jason już kiedyś zauważył, że Morgan nie ufa obliczeniom komputera i wszystko, co dotyczy pieniędzy, dla pewności jeszcze raz sprawdza osobiście. Mało brakowało, a robiłby to ręcznie na papierze. W Galaktyce panowało dziwne pomieszanie najwyższych technologii i głupich przesądów, niezwykłych osiągnięć naukowych i prymitywnych wierzeń. Demokratyczne, mądre i szlachetne cywilizacje współżyły z okrutnymi, dzikimi systemami. I oto właśnie jeden z najważniejszych przedstawicieli brutalnego szaleństwa siedział teraz obok Jasona w sterowni kapitańskiej.

Głośny sygnał przywołania wyrwał Jasona z filozoficznych rozmyślań. Ochroniarz z zewnętrznej służby pytał o pozwolenie na przekazanie środków łączności miejscowemu szefowi. Morgan zażądał pokazania twarzy Radomianina na ekranie. Kiedy go zobaczył, uśmiechnął się radośnie - widocznie rozpoznał w człowieku starego znajomego. Od razu kazał go wpuścić na pokład „Konkwistadora”. Jason oczekiwał, że jego i Metę poproszą o opuszczenie sterowni, ale Morgan z jakichś przyczyn postanowił prowadzić rozmowy przy obcych. Możliwe, że to był kolejny etap sprawdzania ich.

Radomianin nazywał się Gronszyk. Był to niewysoki, bardzo tęgi młody człowiek ze sztywnym językiem krótkich włosów, z czerwoną twarzą i maleńkimi ruchliwymi oczkami. Wydawało się, że marynarka pęka na jego muskularnym ciele, a głowa wyrastała prosto z ramion.

- Czołem, chłopaki - zaczął Gronszyk już od progu. - U nas spoko. Zapchaliśmy wasz statek całkowicie. Nie trzymamy byle czego, inaczej pies ze mnie. Wasi kolesie wszystko obniuchali, potwierdzą w razie czego, tak że dawajcie szmal i rozejdziemy się. Fersztejn?

Jason słuchał jego przemowy ze zdziwieniem. Gramatycznie poprawne zdania w esperanto mieszały się z żargonowymi wyrażeniami pochodzącymi z najróżniejszych języków. Znaczenia niektórych Jason mógł się tylko domyślać. Automatycznie tłumaczył całość na znany mu galaktyczny slang świata przestępczego, rozpowszechniony prawie wszędzie: na Cassylii, na Mahaucie, Lussuozo lub Grubliani, najczęściej na planetach o średnim i zaawansowanym stopniu rozwoju.

Morgan jeszcze raz sprawdził listę na ekranie, podniósł rękę i w ulubionym geście pstryknął palcami. Na korytarzu rozległy się jakieś krzyki, po podłodze zastukały elektromagnetyczne podeszwy i do sterowni wpadł jeden z zasłużonych flibustierów Joe Monbar z bankowym workiem pełnym pieniędzy.

Aha, więc to po to Henry nas tu zostawił, domyślił się Jason. Chciał, żebyśmy zobaczyli, że flibustierzy też potrafią być uczciwi. Cóż, ciekawe. Warto by się tylko dowiedzieć, po co im uczciwość...

Paczki pieniędzy szybko przeliczono, a Gronszyk zapakował je z powrotem do torby. Na znak zadowolenia z korzystnej transakcji zdjął z palca i wręczył Morganowi gruby pierścień z zielonkawego metalu, z kamieniem rzucającym różnobarwne błyski. Jason nie bardzo się znał na klejnotach, ale słyszał o zielonym bardardzkim złocie i wirunhejskich kamieniach szlachetnych. Domyślał się, że za cenę podobnego drobiazgu można by kupić uniwersalny statek kosmiczny najnowszej generacji.

Można było uważać ten prezent Gronszyka za gratyfikację dla hurtowego kupca, ale Jason domyślał się, że tkwi w tym jakiś ukryty sens: może obietnica dalszej współpracy albo zwrot starego długu.

Gdy przygotowywali się do startu, okazało się, że kupili za dużo paliwa. Ani ładunkowe, ani paliwowe przedziały „Konkwistadora” nie były w stanie go pomieścić. Załatwili więc największy tankowiec, jaki znalazł się na planecie - o pojemności półtora miliona ton - i obsadzili go załogą składającą się z pięciu flibustierów. Prócz tego kupili tanio dwa używane kutry wojskowe z zeszłego roku. Będą przydatne zarówno do celów wywiadowczych, jak do ochrony militarnej.

Ogólnie rzecz biorąc, cały załadowany na pokład „Konkwistadora” arsenał, z którego flibustierowie byli bardzo dumni, rozczarował Metę. Rozbójnicy używali najnowszych cudów techniki w transporcie, życiu codziennym, środkach obrony i łączności. nawet w medycynie. Jednak jeżeli chodzi o broń, wyraźnie woleli bardziej archaiczne typy. Mieli stare pistolety, lasery, materiały wybuchowe i urządzenia elektromagnetyczne, nie mówiąc już o przedpotopowych szablach. Piraci jakby specjalnie utrudniali sobie walkę, żeby potem w blasku chwały pokonywać wrogów, demonstrując swoją siłę, nieustraszoną, szaloną wolę zwycięstwa. Wszyscy powinni wiedzieć, że w boju liczy się to o wiele bardziej niż nowoczesna broń.

W drodze powrotnej do płyty lądowiska znowu przejechali obok tych samych doków, ale po cassylijskim szybkim stateczku nie było już śladu. Zamiast niego między dwa transportowce klasy planetarnej wcisnął się teraz zdezelowany, poszarpany turystyczny liniowiec. Z takich korzystają podróżnicy z dalekich peryferii Galaktyki, którzy wolą zaoszczędzić na transporcie, żeby więcej zostało na jedzenie.

Morgan nie zapytał Jasona o statki w porcie kosmicznym Radomia. Odbyli za to ciekawą rozmowę o Radomianach, która zakończyła się krótkim wykładem o historii ruchu flibustierskiego.

Meta od razu po starcie pospieszyła z powrotem do młodej branki, którą na czas transakcji handlowej w porcie zostawili Madame Cin. To właśnie Meta poprosiła, żeby młodej dziewczyny po takich przeżyciach nie zostawiać samej. Wolą też nie posyłać do niej mężczyzny, nawet lekarza.

Podwładni Morgana opuścili sterownię kapitańską i rozeszli się do swoich spraw. Zostali we dwójkę - Jason i Morgan. Gospodarz zapalił fajkę, informując, że cygara na razie mu się znudziły. Gość. jak zwykle, palił swoje papierosy. Na ekranie frontowym migotali białe, zimne gwiazdy. Jason zapytał niedbale:

- Już lecimy w krzywoprzestrzeni? - Owszem - skinął głową Morgan.

Milczeli jakiś czas. Flibustier, wygodnie usadowiony w fotelu, wypuszczał dym ładnymi równymi kółkami. Jason umiał wiele rzeczy, ale tego nigdy się nie nauczył patrzył teraz z chłopcą zazdrością.

- No i widzisz? - zaczął Morgan. - Nie jesteśmy wściekłymi psami, chwytającymi za gardło każdego, kto się trafi. Nie tniemy szablami wszystkiego, co się rusza i nie palimy bez powodu domów i statków. Umiemy również handlować i budować, a jeżeli trzeba, to i uprawiać ziemię... Ale o tym jeszcze się dowiesz.

- Mam nadzieję - powiedział Jason. - Jednak... dlaczego nie zabraliście Radomianom całego ładunku, nie płacąc ani kredyty? Bo są silniejsi i sprytniejsi?

- Ależ nie - Morgan zamyślił się głęboko. - Przechytrzyć potrafię każdego. Gronszyka na pewno bym oszukał, chociaż jest tu wielkim autorytetem. I chyba wystarczyłoby nam sił na obrabowanie całego Radomia. Ale nie możemy sobie na to pozwolić, bo oni są pożyteczni. To urodzeni handlarze. Od setek lat mieszkają na swojej

planecie, bardzo korzystnie położonej na skrzyżowaniu wielu gwiazdnych szlaków, i handlują, handlują, handlują. Czymkolwiek i z kimkolwiek. Radomianie nigdy nie pytają, skąd masz pieniądze. A w dodatku mają najniższe ceny w Galaktyce. No i nigdy nie oszukują, ani w cenie, ani w jakości towaru. Po prostu uważają że korzystniej jest handlować uczciwie.

- Powiedziałeś, że handlują czymkolwiek i z kimkolwiek. To znaczy, że są także zdolni do handlu ludźmi, narkotykami, zabronionymi rodzajami broni, tajną informacją... i tak dalej. Nie wystarcza mi fantazji.

- Zwłokami, ludzkimi organami, krwią, zarodkami potworów uzupełnił Morgan - dzieciakami-potworkami do zabawy, egzotycznymi zwierzętami, wszelkimi androidami, w tym przeznaczonymi do różnych zbrodni. A jeszcze narzędziami tortur, grawitatorami bez osłony magnetycznej, od których się wariuje. No i przepisami na zniszczenie Galaktyki... Chociaż podobnym towarem interesują się tylko wariaci. No co, wystarczy Nie trzeba tu żadnej fantazji. Oferty możesz poczytać, mam je w komputerze. Radomianie rzeczywiście handlują wszystkim.

- Fajne chłopaki - cicho powiedział Jason. - Pożyteczni osobnicy.

- Przecież mówię, że są wspaniali - zgodził się Morgan, nie wyczuwając ironii.

- A czy sami coś produkują?

- Nie wiem. Co za różnica? Oni nie pytają, skąd mamy pieniądze, my nie pytamy, skąd mają towar. To główna zasada wolnego handlu. Czy ty Jasonie, za każdym razem kiedy przychodzisz do sklepu, opowiadasz sprzedawcy skąd wzięłeś należność, a od niego żądasz certyfikatu na towar? Jesteś z urzędu podatkowego, czy co?

- A propos podatków... czy Radom jest członkiem Ligi Planet?

- Nie wiem, ale nie sądzę. Po cholere mają płacić podatki Lidze na utrzymywanie jej floty? Tej gigantycznej armady, gdzie każdy żołnierz, nie mówiąc o oficerach, ma ładny mundur, ale za to nawet admirał nigdy nie wie, w jaką stronę lecieć? Dlatego wszędzie się spóźniają ze swoimi misjami pokojowymi i operacjami karnymi. A Radomianie mają swoją, wprawdzie niewielką, ale całkiem sprawną służbę bezpieczeństwa. W dodatku mają przyjaciół.

- Ładnie opowiadasz, Henry - pochwalił Jason. O flocie Lian wiedziałem i bez ciebie. A Korpus Specjalny?

- Co Korpus Specjalny? - zaniepokoił się Morgan. - Nie chcę nic o nim wiedzieć. I nic ci nie powiem.

- Dlaczego? - zdziwił się Jason.

- Dlatego, że to tajemnica wojskowa - wyjaśnił Morgan z krzywym uśmiechem. Jason nie wiedział, czy to żart, czy po prostu zamknięcie tematu. Wolał nie naciskać, ale chciał wykorzystać dobry nastrój Morgana, by wyciągnąć jeszcze trochę informacji.

- Rozumiem, że Radomiam nie tykacie, bo jesteście przyjaciółmi powiedział. Dużo jeszcze macie takich zaprzyjaźnionych planet?

- Znajdzie się parę. Generalnie dzielimy planety na te, które możemy podbić i takie, które wolimy kupić. Prędzej czy później kupimy Radom. Nawet się na nas nie obrażą. Cassylię też kiedyś kupimy. I Lussuozo. A takie dziwaczne planety, jak Darkhan, trzeba będzie zdobyć. Na razie, jak widzisz, tylko ćwiczymy. Przygotowujemy się do poważnych walk, kłusując wszędzie po trochu.

- To się nazywa po trochu? - nie wytrzymał Jason. - No, Henry, skromność cię nie zgubi. Korpus Specjalny też kupicie czy będziecie musieli go zwyciężyć?

Morgan wbił w niego gniewny wzrok.

- Mówiliśmy wyłącznie o zamieszkałych planetach. Wyłącznie - powtórzył z naciskiem.

Jason nie spodziewał się innej odpowiedzi. Chciał tylko sprawdzić, czy zdanie o tajemnicy wojskowej było przypadkowe, i sprawdził. Powiedział poważnie, jak sędzia prowadzący proces:

- Sprzeciw przyjęto.

Morgan znowu nie wyczuł ironii. Dalej mówił swoje jakby nie było żadnej przerwy w rozmowie:

- Już dzisiaj jesteśmy zdolni zwyciężać całkiem potężne planety. To ważny etap w naszej historii. Wiesz, od czego zaczynali flibustierzy?

Nie - powiedział Jason.

- Od drobnych napadów na statki handlowe. Jedni z nas przechodzili szkołę rabunkowych wojen w Gwiazdnej Ordzie, która przez wiele lat straszyla całą Galaktykę, póki jej w końcu nie rozwaliliście. Inni szlifowali sztukę walki w gangsterskich grupach na rozwiniętych przemysłowo planetach. Jeszcze inni ogniem i mieczem tworzyli historię na planetach, które degradowali do barbarzyńskiego poziomu. No, a potem Stary Sus sprowadził z Tortugi na Jamajkę magiczny symbol *auksnis zwieris*. Następnie złożył go w banku Cassylii pod zastaw ogromnej pożyczki. A legendarny John Silver uzbroił za te pieniądze niepokonaną armię. Ściągnął pod nasze flagi wszystkich najdzielniejszych wojowników.

Jason wolałby, żeby Morgan opowiedział mu o tym bardziej szczegółowo, ale pirat upajał się własną elokwencją i nie można go było zatrzymać.

- Nie zdążyłem poznać Silvera - opowiadał. Walczyłem za to w armii Drake'a. Ale wiem, że jeszcze Silver przeszedł od napadów na frachtowce i liniowce pasażerskie do poważnych walk ze statkami wojskowymi. A wielki Francis Drake uczył nas nie bać się niczego i nikogo, nie uznawać żadnych autorytetów oprócz flibustierskich. Uczył surowej dyscypliny i umiejętności odróżniania, gdzie jest potrzebna współpraca, a gdzie zdrowy duch konkurencji między kolegami. Uczył nie litować się nad nikim, bo litość osłabia czujność. I nikogo nie kochać, bo można kochać tylko Boga, pieniądze i władzę. Cała reszta też osłabia czujność, zwłaszcza miłość do ludzi. Ludzie nie są warci mocnych uczuć. Po prostu mogą być albo potrzebni, albo niepotrzebni.

Było nawet zabawnie patrzeć, jak Morgan przejmuje się własnymi słowami. Opowiadał z taką swadą, jakby miał przed sobą plac pełen słuchaczy albo co najmniej ogromną salę napchaną fanatycznymi wyznawcami tej paranoicznej wiary. Z jednej strony było to zabawne, ale z drugiej... nieprzyjemny chłodek dotknął pleców Jasona. Chciał wrócić do normalnej dyskusji. Gdy tylko Morgan przerwał, Jason zapytał:

- Henry, czy ja jestem potrzebny?

- Ależ oczywiście, że potrzebny - z entuzjazmem odpowiedział Morgan. - Jestem pewny, że sam Drake by to od razu zauważył. Wiesz, mnie sir Francis uważał za najlepszego ucznia. Kiedy zginął, od razu zostałem pierwszą osobą na Jamajce i w całym flibustierskim świecie.

- To zrozumiałe - zapewnił Jason. - Ciekawa historia. W pewnym sensie nawet pouczająca. Wasza żądza władzy, odwaga i siła, wasz upór, dążenie do celu, umiejętność walki... to wszystko jest godne szacunku, Henry. Ale w dalszym ciągu nie rozumiem, po co zabijacie tych słabszych, gorzej uzbrojonych albo w ogóle bezbronnych?

- Dobre pytanie! - ucieszył się Morgan. -- A dlaczego na przykład ty pijesz alkohol i palisz papierosy? Przecież to też niewskazane. Ale za to jakie przyjemne, prawda?

- Aha, o to chodzi... - Jason speszył się trochę.

- No właśnie! Zrozum nas wreszcie, Wielki Graczu, Wielki Gwiazdny Romantyku... to teraz bardziej trafne przewisko. .. i przestań zamykać oczy na tę prostą prawdę: zabijanie to przyjemność. Tak, na pewno nie dla wszystkich, ale dla zdecydowanej większości ludzi. Tak było od wieków, zawsze i na każdej planecie. Inaczej dlaczego zawsze tak dużo przelewało się ludzkiej krwi? Zdecydowana większość ludzi lubi robić to, co im

sprawia przyjemność. Zabijali też z radością. Zrozum, Jasonie, zabijanie to najwyższa rozkosz. Znacznie większa od pijaństwa, obżarstwa i miłosnych zabaw. Można je porównać tylko z przyjemnością, której dostarczają władza i sława. Jak dzieciom nie są dostępne radości alkoholowej euforii lub cielesnej miłości, tak samo wam, głupcom, nie jest dostępna radość zadawania bólu i zadowolenie po dobrym zabójstwie.

Jason, przestraszony swoją reakcją na słowa szaleńca, skorzystał z okazji i zmienił temat, pytając, czy można czegoś się napić. jeżeli już o tym mowa.

- Dlaczego nie? U nas wszystko można - ucieszył się Morgan. - Słyszałem, że wolisz whisky. Zaraz dostaniesz whisky. A może podejrzewasz, że naleję ci szklanek świeżej krwi?

Nawet nie stracił poczucia humoru, łajdak, przeleciało Jasonowi przez głowę. Opętanie, szalone pomysły i autoironia... coś takiego nie zawsze idzie w parze. Jason zrobił się jeszcze bardziej niespokojny: przed nim siedział prawdziwy geniusz zła.

Whisky była świetna.

- Jak mawia nasz przyjaciel Gronszyk z Radomia, nie trzymamy byle czego, prawda? - powiedział Morgan, zadowolony z siebie. - Twoje zdrowie, Jasonie, potrzebny człowieku.

- Dziękuję - wykrztusił Jason. Nie starczyło mu uprzejmości, żeby wznieść toast za zdrowie flibustiera.

- Wiem, o czym pomyślałeś, Jasonie. - Morgan postawił szklanek na pulpicie sterowniczym i gwałtownie odwrócił się do rozmówcy. - Zdecydowałeś, że jestem nienormalny, a w dodatku zebrałem wokół siebie takich samych psychopatów. To by oznaczało, że nie trzeba nas zwalczać, tylko leczyć. Zebrać z całej Galaktyki lekarzy psychiatrów na konsylium, a potem rozpylić nad Jamajką jakieś supernowoczesne świństwo, które od razu przemienia wilka w jagnię. Zgadłem?

- Nie.

- Dobra, dobra, Jasonie. Nie trzeba nas leczyć. Tym bardziej że ty nie jesteś lekarzem, a graczem. Szlachetny łajdak, który przelatuje z jednej planety na drugą i jednych uszczęśliwia, a drugich wręcz przeciwnie. My zajmujemy się mniej więcej tym samym. Tylko na dużo większą skalę i bardziej odważnie, bo czujemy się naprawdę wolni. Wolni od wszystkich waszych przesądów i praw. Zrozumiesz to, Jasonie, choć może nie od razu. Zrozumiesz, jak słodka jest wolność. Całkowita wolność. Tylko to jest nowe w tym, co ci mówię. A jeśli chodzi o zabójstwa... Moje idee są stare jak Wszechświat. Tutaj nie pretenduję do autorstwa. Powtarzam ci jeszcze raz: prawie wszyscy ludzie lubią zabijać. Zwłaszcza rrióżni tego świata. Rozumiesz, kogo mam na myśli? Właściciele planet, oficjalni i nieoficjalni, prezydenci, królowie, bankowcy, przemysłowcy, szefowie służb specjalnych, namiestnicy, głowy licznych międzygwiazdnych i wszech galaktycznych organizacji, tajnych i jawnych... całe to plugastwo, które uważa, że naprawo decydować za innych. Oni też lubią zabijać, najbardziej na świecie. Ale kryją się z tym. Nie przyznają się nikomu do swojej słabości, bo się jej wstydzą. A ja jestem człowiekiem otwartym. Co jest naturalne, nie jest wstydlive. Takie jest moje głębokie przekonanie. Jestem wolny od tego, co się nazywa sumieniem i mówię otwarcie: zabijanie to radość. Zabijajcie, przyjaciele, jeżeli chcecie! Zabijajcie, dopóki was nie zabili. I to wszystko. Czujesz, jakie to ładne i proste? Do flibustierów należy przyszłość.

Teraz już nie było strasznie. Zaczęło się robić ciekawie. Przecież nawet ogłoszenie wyroku śmierci przeraża skazanego tylko raz. A jeżeli sędzia odczytuje go po raz trzeci, delikwent może nawet zacząć ziewać. Coś podobnego działo się z Jasonem.

- Możesz uważać, że mnie przekonałeś -- powiedział spokojnie, wracając do swojej pierwotnej roli: człowieka bez zasad, gotowego pracować dla kogokolwiek.

Jeszcze nie ziewał, ale za to leniwie nalał sobie jeszcze szklaneczkę whisky.

- Chyba nie, Jasonie. - Morgan nie przyjął tej gry poważnie. Będę uważał, że cię przekonałem, dopiero wtedy, gdy na własne oczy zobaczę, jak z przyjemnością sprzątasz paru do niczego nie potrzebnych osobników.

Jason nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi się otworzyły i do sterowni wpadł Joe Monbar. Tym razem bez worka z pieniędzmi, za to z czerwoną twarzą i dzikim spojrzeniem mętnych oczu.

- Co się stało? - zapytał Morgan surowo.

Monbar z przerażeniem wypuścił z płuc powietrze, wpatrując się w Jasona.

- On też tu jest? - wykrztusił.

- Kto? - nie rozumiał Morgan.

- Pański przyjaciel, Jason dinAlt. Właściwie może tak jest lepiej. Niech słyszy wszystko. Szybciej z nim skończymy.

- Co ci jest, Joe? O czym ty mówisz? Jesteś pijany? - W głosie Morgana pojawił się strach.

- Nie jestem pijany, sir. Wypiłem tylko kropelkę. Pół pinty rumu, no, może trzy czwarte, nie więcej. Proszę mnie wysłuchać, sir. Przed chwilą ją widziałem. Jest czarownicą.

- Monbar - powiedział kapitan surowo - jeżeli się nie wyniesiesz sam, będę musiał poprosić bojowników, żeby cię stąd wywalili. - Niech pan zaczeka, sir Henry. Niech pan mnie spokojnie wysłucha. Postaram się mówić po kolei. Pamiętaj pan, co przepowiedział nam wszystkim Stary Sus?

Przy wspomnieniu legendarnego starca Morgan drgnął, ale nic nie powiedział.

- Oczywiście, że pan pamięta - ciągnął Monbar. - Stary Sui powiedział, że imperium flibustierów zacznie się rozpadać w momencie, kiedy na naszej planecie znajdzie się obcy z głębi Wszechświata. Obcy, który będzie opowiadał mądre rzeczy, a ze sobą przyprowadzi młodą czarownicę z oczami koloru barnardzkiego złota.

Przecież to jest obcy, Jason dinAlt. I mądrze mówi. A z nim przybyła młoda czarownica.

- Meta? - zdziwił się Morgan, który do tego momentu słuchał bardzo uważnie.

- Nie, nie Meta, proszę pana, tylko, wybac mi Boże, ta dziewczynka ze statku pasażerskiego. Widziałem ją teraz w przejściu. Prowadzili ją od doktora Montobana do kajuty. Zobaczyłem, że oczy ma zielone jak szmaragdy w słońcu. Straszne oczy, sir. Kiedy popatrzyła na mnie, o mało nie umarłem. Tak, tak, to czarownica. A ci dwoje razem to nasza zguba. Proszę mi wierzyć, sir Henry!

Na kilka sekund w sterowni zapanowała grobowa cisza. Tylko jakieś urządzenie wydawało mechaniczny, monotony dźwięk. Potem Morgan powiedział stanowczo:

- Bzdura.

Monbar prawie się rozplakał. Zaczął mówić cienkim, prawie kobiecym głosem:

- Sir, jeżeli pan w tej chwili nie każe zabić przekłętą przybysza, sam to zrobię, nie wychodząc ze sterowni. W imię ratowania wszystkich flibustierów, sir! W imię Chrystusa, naszego Pana!

Zaczął wyciągać szablę z pochwy. Robił to całkiem serio, jak się wydawało Jasonowi. Sekundy płynęły koszmarnie wolno. Jason rozumiał, że zdąży zastrzelić albo przynajmniej rozbroić pirata, uzbrojonego tylko w jedną szablę, ale trzeba było najpierw rozważyć konsekwencje takiego czynu. Czy nie lepiej będzie spróbować uniknąć ciosu, skoczyć do drzwi... są bardzo blisko, w dodatku uchylone... i uciec stąd biegiem? Może będzie mu trochę wstyd, ale to mądry pomysł, który przywódca flibustierów potrafi ocenić. . .

Los w postaci Morgana zarządził inaczej.

- Idź i prześpij się, Monbar! - wrzasnął ostro wódz, a półprzytomny ze zdenerwowania Joe na jakąś sekundę zahamował ruch ręki. - Uciekaj, Jasonie! Uciekaj natychmiast! - padł następny wykrzyczany rozkaz.

Nie trzeba było powtarzać po raz trzeci. Jason jednym skokiem dotarł do drzwi, pociągnął je na siebie i od razu nie tyle zauważył, co poczuł jakiś ruch na korytarzu z lewej strony. Co znaczy wieloletnia pyrrusańska szkoła!



Wykonał mylący gest lewą ręką i w tym momencie w powietrzu błysnęła szabla jak śmiercionośny piorun. Jason przesunął się trochę w prawo i wystrzelił prawie na oślep. Trafił napastnika w głowę. Teraz nie da się nawet sprawdzić, kto to był!.. Następna kula trafiła w drogiego, który w strachu dał spokój szabli, a postanowił strzelać lewą ręką. Ale zawahał się na sekundę, bojąc się trafić kapitana.

I oto nadszedł czas Jasona. W aktorskim natchnieniu odwrócił się do Morgana i z uśmiechem od ucha do ucha zapytał:

- No, jak mi poszło?

Tamten nie od razu zrozumiał; dopiero kiedy Jason dodał: - Oto zupełnie niepotrzebni ludzie!

Morgan słabo się uśmiechnął.

Scenę finałową popsuł klęczący na środku sterowni Monbar. Pijany pirat bił czołem o podłogę i cicho wył.

- To byli twoi ludzie, śmieciu?! - ryknął Morgan.

- Tak, moi - ledwo dosłyszalnie odpowiedział Monbar i dalej robił swoje.

Morgan podszedł bliżej, podniósł lewą rękę Joego, podwinął mu rękaw i przyjrzał się zgięciu łokcia. Z obrzydzeniem odrzucił nieruchomą kończynę, wrócił do pulpitu, nacisnął jeden z przycisków i krzyknął do mikrofonu:

- Misson! Znowu dałeś narkotyk Monbarowi?

- Ale skąd, Henry! - rozległ się przestraszony głos Missona. - To dlaczego histeryzuje u mnie w sterowni? To znaczy, że doktor Montoban przesadził!

- Doktor też nie ma z tym nic wspólnego - ujął się Misson za lekarzem. - Przecież sam pozwoliłeś Joemu wyjść na ląd, no to kupił sobie u Radomian.

- Cholera! - ryknął Morgan i wyłączył się.

Nalał pełną szklankę whisky i podał Monbarowi, który nagle zamilkł, popatrzył oszalałym wzrokiem i szybko wypił. Jeżeli kapitan miał nadzieje, że w ten sposób przywróci Joego do przytomności, to bardzo się mylił. Monbar momentalnie zwał się na podłogę, zachrapał i przestał dawać jakiegokolwiek inne oznaki życia.

- Jasonie - odezwał się Morgan jakby z poczuciem winy. Mógłbym teraz uciąć głowę nieszczęsnemu narkomanowi, ale uwierz mi, to świetny wojownik i bardzo przydatny człowiek. Nie bądź na niego zły. Po prostu nie był sobą. A ty jesteś dzielny. Naprawdę dzielny.

- Dobra, dobra - mruknął Jason niedbale. - Coś mi jeszcze zostało z dawnych czasów. A co do tego psychopaty... Jasne, że z przyjemnością rozwaliliby mu łeb. Ale skoro mówisz, że to potrzebny człowiek... Co zrobić, Henry? Przecież ja też mam jakieś zasady.

Morgan popatrzył na niego dziwnie. Przypomniawszy sobie, że przestępcy na Cassyllii mieli takie powiedzenie: człowiek z zasadami to znaczy swój.

- No to ja już pójdę - oznajmił Jason. - Tych tutaj sprzątną beze mnie, mam nadzieję.

Morgan nawet nie odpowiedział. Kiwnął tylko głową.

W korytarzu na bransoletce Jasona pojawił się sygnał wewnętrznej łączności.

- Dziewczyna odzyskała przytomność! Słyszysz? - radośnie krzyczała Meta. - Udało nam się ją wyleczyć. Zaczęła mówić. Słyszysz, Jasonie? Gdzie jesteś? Chodź tutaj, szybko!

- Słyszę - odpowiedział Jason martwym głosem. - Czy mogę ci zadać jedno pytanie, moja droga?

- Teraz? Przecież idziesz do mnie.

- Idę - zgodził się Jason. - Ale powiedz mi najpierw, bo muszę to wiedzieć: czy ty rzeczywiście zabijasz wrogów z przyjemnością. - Co ty za głupstwa opowiadasz, i to jeszcze przez radio! Zwariowałeś, Jasonie?

- Prawie - jeszcze raz zgodził się Jason. - To co, możesz mi odpowiedzieć?

- Oczywiście, że mogę... jeżeli tak bardzo tego chcesz. Tak, zabijam swoich wrogów z przyjemnością. To normalne, Jasonie.

- To normalne - powtórzył jak echo i dodał: - Ale i tak cię kocham, Meto.

Nie pamiętał tylko, czy powiedział te ostatnie słowa do mikrofonu, czy później, kiedy wyłączył nadajnik.

11

Dziewczyna całkowicie doszła do siebie dopiero na drugi dzień. Minęły jeszcze trzy doby zanim „Konkwistador” zaczął zbliżać się do orbity Jamajki w zwyczajnym trybie. I właśnie te ostatnie trzy dni okazały się zadziwiająco trudne dla Jasona i Mety, chociaż w pewnej chwili pomyśleli, że wszystkie największe zmartwienia mają już za sobą. Jednak autorytet, zdobyty u Morgana, nie ucieszył Jasona specjalnie. Za to oprzytomniała dziewczyna stanowiła po prostu nowy kłopot. Szok psychiczny okazał się jednak zbyt duży.

Póki milczała jak ryba, nie reagując na żadne lekarstwa i zabiegi, Jason zaczął żałować swojego postępu. Dlaczego ściągnął sobie na kark bezradne dziewczątko? A jeżeli śmiertelny strach wykreślił z jej pamięci wszystko, nawet wspomnienia z dzieciństwa i najprostsze słowa w międzyjęzyku? Przecież to mógł być nieodwracalny proces.

Na szczęście nowoczesne lekarstwa, chociaż powoli, ale przywróciły pracę mózgu dziewczyny. A może to poświęcenie dwojga ludzi pomogło małej odzyskać siły? Tak czy inaczej, udało się. Jason i Meta dowiedzieli się, że mała ruda nieznajoma nazywa się Dolly Sane, że za dwa miesiąca skończy piętnaście lat (a więc Jason niewiele się pomylił), że jej jeszcze krzepki dziadek, który nazywał się Klaus Girdas, był właścicielem jednej z największych międzyplanetarnych firm farmaceutycznych z siedzibą na Zunbarze, a kobiety, które zginęły, to jego żona, córka i starsza siostra. Chłopcy byli braćmi Dolly - jeden rodzonym, drugi ciotecznym. Jej ojciec, Ronald Sane nie poleciał z nimi w tę podróż tylko dlatego, że zatrzymały go na Zunbarze ważne sprawy.

Wyruszyli całą rodziną w gwiazdny rejs na własnym komfortowym statku. Takie wycieczki turystyczne zawsze były modne wśród bogatych ludzi; latanie bez eskorty, a nawet bez ochrony osobistej uważano za wyjątkowy szyk. To była tak zwana szczypta romantyki w czasach powszechnej nudy i spokoju. Zunbar słynął na całą Galaktykę jako bardzo bogata i wyjątkowo bezpieczna pod każdym względem planeta. Tyle tylko, że tamtejszy klimat mało komu odpowiadał. Bogaci Zunbarianie zawsze odpoczywali na ciepłych planetach. Tym razem rodzina Girdasa miała zamiar skończyć swoją podróż na Cliandzie albo na Taorminie.

Nawet jeszcze się nie zdecydowali, dokąd polecą nikt zatem nie wiedziałby, gdzie ich szukać. A na ojczystym Zunbarze tatuś nie zacznie się martwić zbyt szybko. Uzna, że skoro się nie odzywają, to znaczy, że wszystko w porządku. Ronald Sane zdecyduje, że jest nie tak dopiero za jakiś miesiąc. Pracuje w kwitnącej firmie dziadka Klause, to znaczy swojego teścia. Wychodziło na to, że oddanie pracy uratowało go od zguby. Na dodatek został teraz jedynym spadkobiercą wszystkich miliardów Girdasa. Tyle tylko, że stracił rodzinę.

Kiedy nieszczęsna Dolly opowiedziała im to wszystko, zainteresowała się swoimi perspektywami na najbliższą przyszłość. Dowiedziawszy się, gdzie trafiła, przeżyła drugi szok. W swojej naiwności nie spodziewała się absolutnie, że tak czule się o nią troszczą na statku tych samych krwawych zbójów, którzy zamordowali jej matkę, braci, ciotkę Dianę i kochanego dziadka. Jason i Meta nie mogli długo ukrywać przed dziewczyną swojej prawdziwej sytuacji na pirackim statku. Na zadawane prosto z mostu pytania trzeba było odpowiadać... no, prawie prawdę. Próbowali wprowadzać ją w sytuację stopniowo, żeby ledwo oprzytomniała wnuczka (teraz już córka) miliardera znowu nie zachorowała albo nie narozrabiała, powodowana typowym dla młodych ludzi maksymalizmem.

Najbardziej na świecie Dolly pragnęła wrócić na Zunbar do ojca. Droga do spełnienia tego marzenia nie mogła jednak prowadzić przez zadżganie Morgana w jego własnej kajucie z teatralnym okrzykiem: „Giń, łajdaku!”. Nie było łatwo przekonać młodą Dolly do tej oczywistej prawdy, ale w końcu Jasonowi się to udało. Dalej było jeszcze trudniej. Trzeba było małej wytłumaczyć, z czyją pomocą mają zamiar się uratować. Wymyślona w pośpiechu bajka o tym, że na najbliższej planecie Jason wymieni swoją część zdobyczy na prawo teleportowania Dolly na jej rodzinną planetę, wydawała się nieprawdopodobna nawet piętnastoletniej dziewczynce, która nie przemęczała się nauką. Ale na razie Jason nie mógł jej zaproponować nic więcej. Przed przybyciem na Jamajkę jego własne plany były bardzo niejasne.

- Zdecydowałeś się na najtrudniejszą operację, udajesz szpiega sił wywiadowczych Wszechświata, masz zamiar prawie samotnie pokonać całą planetę i... właśnie w tym momencie bierzesz pod opiekę jakąś zabłąkaną dziewczynkę! - powiedziała mu kiedyś Meta z pyrrusańską prostotą i pragmatyzmem. - Znalazłeś odpowiednie miejsce i czas, nie ma co.

Jason nie wymyślił żadnej odpowiedzi, chociaż nieprzyjemnie było mu tego słuchać. Powiedzieć, że tak powinien postąpić każdy? Truizm. Powiedzieć, że żal mu było Dolly? To zbyt oczywiste. I do tego nie całkiem prawdziwe. Ale przecież Mecie też było na swój sposób szkoda dziewczyny. W ciągu ostatnich dni przywiązała się do niej nie mniej niż Jason i traktowała ją prawie jak córkę. Jednak na to, żeby wydostać się z pirackiego więzienia w nowym składzie, nie mieli już prawie żadnych szans. Było to tak oczywiste, że czasami aż ręce opadały z rozpacz.

Jason nie mógł przyznać racji Mecie. Przekonywał ją, a przy okazji i siebie, że gdyby twardo nie wywalczyli u Morgana prace a do przynajmniej jednego szlachetnego czynu, zostaliby takimi samymi zbrodniarzami jak on, jeszcze zanim dolecieliby do Jamajki - A to dlaczego? - zapytała agresywnie Meta.

- Dlatego, że już następnego dnia bylibyśmy świadkami wojny domowej, w której zwyciężyłby niesławnej pamięci d'Aulonai. Ten, kto atakuje niespodziewanie, zawsze ma większe szanse. A gdyby on został szefem, tak czy inaczej doprowadziłby, żebyś została jego żoną. I co dalej?

No właśnie, co dalej? - zapytała Meta wyzywająco.

- Albo śmierć, albo pohańbienie. A z Morganem przynajmniej można się dogadać.

- A jeżeli w tej wojnie domowej zwyciężylibyśmy właśnie my? - jak zawsze niespodziewanie zapytała Meta.

Jason myślał dokładnie trzy sekundy.

- Powracam do tego, od czego zacząłem. W rezultacie tego sławnego zwycięstwa zostalibyśmy skończonymi łajdakami, kierując resztą szajki bandytów. A kwestia uwolnienia rozwiązałaby się sama. Nie przekonuje mnie to - burknęła Meta.

Jasne, siebie też nie do końca przekonał. To wszystko, oczywiście, była tylko teoria, a może nawet demagogia i próba okłamywania się. Jasona cały czas męczyła ta zagadka: co właściwie skłoniło go do najbardziej chyba nierozsądnego czynu w jego życiu? Pragnienie, by wymodlić u Boga odpuszczenie grzechów? Chęć popisania się przed ukochaną Metą, która tak czy owak nie mogła tego docenić? I jedno, i drugie nie miało sensu. Więc może przyczyną wszystkiego jest nagły przyływ uczucia do dziewczyny i zazdrość Mety nie jest bezpodstawna? Czy to po prostu sumienie? Ciepło, ciepło, bliżej... Ale to nie wszystko.

Było coś jeszcze. Coś, co przemknęło jak kometa po nocnym niebie i wpadło z powrotem w głąb podświadomości. To dziwne uczucie, które nagle go ogarnęło, kiedy pijany od krwi Francois d'Aulonai wciągał rudą dziewczynę na pokład. Wtedy Dolly jeszcze była w stanie iść sama. Poruszała się jak lunatyczka, jak lalka mechaniczna, u której za sekundę skończy się naciąg popychającej ją do przodu sprężyny, ale zielone oczy patrzyły na Jasona całkiem świadomie. Tak, to na pewno pamięta! Poczuł wtedy coś jakby kliknięcie w

mózgu. Jakby cała jego telekinetyczna energia nagle zakołysała się jak fala. W tym momencie wyraźnie zrozumiał (coś takiego zdarza się tylko telepatom), że coś go łączy z tą dziewczyną, że nie ma prawa jej zostawić. Kliknięcie było mocne, ale krótkie. Nie zdążył tego przeanalizować.

Potem Jason niejednokrotnie próbował wejść w świadomość dziewczyny. Nie można było zobaczyć ani usłyszeć tej tajemnicy należało wyczuć ją za pomocą szóstego zmysłu. Jason próbował, jak kiedyś w kasynie, gdy koncentrował energię na bezdusznych kościach do gry. Jednak nic mu nie wychodziło. Jak zwykle błędnie czytał emocje, ale nic poza tym. Coś dalekiego i bardzo ważnego w tej młodej główce pozostawało dla niego niedostępne. Nawet kiedy Dolly zaczęła mówić, kiedy opowiedziała o sobie wszystko, co pamiętała... nawet kiedy zwierzyli się jej częściowo i powiedzieli, że mają zamiar pracować u flibustierów, ale tylko we własnych celach, że chcą bronić swojego statusu i na statku, i na planecie Jamajka i dlatego w żadnym przypadku nie pozwolą jej skrzywdzić. Powstał między nimi idealny kontakt psychologiczny, ale cały czas nie udawało im się nawiązać najważniejszego kontaktu - ponadmysłowego. Jason jednak miał pewność, że coś mu pomoże. Coś powinno się zdarzyć. Cierpliwie czekał na ten moment.

Wcześniej nastąpiło inne wydarzenie. Jak zawsze cicho i niezauważalnie wynurzyli się z krzywoprzestrzeni i zaczęli hamować. Przy okazji zwiększyła się lekko grawitacja. Może się spieszyli, żeby zdążyć na jakąś konkretną godzinę, a może była to po prostu taka tradycja - przed powrotem do domu dodać całej załodze po półtora g, żeby wszyscy się uciszyli i zrobili spokojniejsi. Piraci, jak zdążył zauważyć Jason, spokojnie znosili zwiększoną grawitację, bo byli przeszkoleni. Jednak na pewno nie było to dla nich zjawiskiem naturalnym. Jason starał się udawać; wytłumaczył Mecie, że lepiej symulować zmęczenie i senność. Morgan nie musi wiedzieć, że Meta urodziła się i wyrosła przy podwójnym g, a Jason też przeżył niejedną noc przy takiej grawitacji. Po pierwsze, w całym Wszechświecie nie ma tak wielu planet z grawitacją typu ziemskiego, a po drugie, w ogóle lepiej ukrywać swoje atuty jak najdłużej.

Nie wiadomo, skąd Jason się domyślił, że zbliżają się do Jamajki, ale przypuszczenie okazało się trafne. Dowiedzieli się o tym, kiedy Morgan wezwał całą trójkę więźniów do swojej sterowni kapitańskiej.

- Następna stacja będzie końcowa - powiedział i wyjaśnił: Tak mówili w środkach komunikacji miejskiej na mojej rodzinnej planecie Kazan. Wicie, co to jest komunikacja miejska?

- Przyzwyczałeś się do rozmów z idiotami, Henry, i dlatego zadajesz za dużo niepotrzebnych pytań i udzielasz zbyt szczegółowych wyjaśnień.

Jason mógł teraz pozwolić sobie na to, by rozmawiać z Morganem takim tonem. Pirat skrzywił się, ale nie zareagował. Od razu przeszedł do rzeczy:

- W takim razie udzielę wam tylko niezbędnych informacji. Wylądujecie na planecie, która nosi dumne imię Jamajka. Atmosfera azotowo-tlenowa, ciążenie dziewięć dziesiątych g, widmo światła słonecznego... Ale ważniejsze jest coś innego. Na planecie panuje prawo flibustierów i wszyscy mieszkańcy ściśle go przestrzegają. Jeszcze poznacie pełny tekst naszych ustaw. Teraz tylko podstawowe sprawy. Kategorycznie zabrania się kraść, bo kraść swoim to największy grzech, a na Jamajce wszyscy są swoi. W każdej kwestii spornej trzeba się zgłaszać do SS, czyli Służby Sprawiedliwości. Jeżeli nie zdążyliście zwrócić się do SS, a zabiliście kogoś, zajmie się wami Sąd Sprawiedliwości i ogłosi wyrok. Złamanie prawa grozi trafieniem do Jamy albo utratą głowy. Trzeba o tym pamiętać. Oprócz nas, flibustierów, na planecie mieszkają bukanierzy, witalierzy i prawie nie uczestniczący w akcjach wojskowych prywatierzy. Wszystkie kategorie ludności mają takie same prawa i obowiązki. Flibustierzy, do których zostaniecie na razie zaliczeni, są najwyższą kategorią i mają pewne przywileje, ale nie we wszystkich przypadkach. Dowiedcie się o tym w swoim czasie. I wreszcie jeszcze jedna rzecz, ostatnia, ale być może najważniejsza. Podróżowanie obywateli i osób z innych planet po

Jamajce jest dozwolone bez ograniczeń, ale nikt nie ma prawa opuścić planety bez pozwolenia SM, czyli Służby Migracji. W waszym przypadku to będzie oznaczać, że nie możecie wyjechać bez mojego osobistego pozwolenia.

Milczał przez chwilę, zastanawiając się widocznie, co by tu jeszcze powiedzieć. Zerkał to na pulpit sterowniczy, to na swoich słuchaczy, wreszcie ziewnął i dodał:

- Chętnie bym zobaczył, jak bez mojego pozwolenia uciekacie w kosmos...

Bardzo z siebie zadowolony Morgan nagle się roześmiał, odwrócił się do pulpitu i nacisnął przycisk pod ekranem grawitometru. Grawitometr pokazał jaskrawą kropkę pośrodku i otaczającą ją poświatę, równomiernie migającą na obrzeżach. Nie tylko Meta, ale również Jason dobrze rozumieli, co to oznacza: że statek już wisi nad powierzchnią planety. Analizator gazu też to potwierdził, pokazując szybkie wejście w rozrzedzone warstwy atmosfery. Na wszystkich innych ekranach, łącznie z głównym, migotało rozgwieżdżone, czyste niebo i nawet nadajniki elektromagnetyczne pokazywały całkowity brak jakichkolwiek zakłóceń w przestrzeni.

- Czy to oznacza, że wasza planeta jest całkowicie chroniona za pomocą ekranu od zewnętrznego świata? zapytał wprost Jason. - Jesteście zadziwiająco domyślni! powiedział Morgan złośliwie. - Założę się, że nigdy nie słyszeliście o takim ekranie. Nie tylko promienie, ale nawet statki nie mogą się przez niego przebić bez mojego pozwolenia.

Zachichotał, zachwycony sytuacją.

Meta nie wiedziała, co znaczy „założyć się”, nawet Jason tylko z grubsza rozumiał sens tego archaicznego zwrotu. Ale żadne z nich nie radziłoby przywódcy flibustierów stawiać w tym zakładzie, powiedzmy, głowy. A jeżeli wygrają? Przecież mieli już do czynienia z identycznym ekranem. Na razie jednak lepiej to było przemilczeć.

Morgan szybko wystukał na klawiaturze skomplikowaną kombinację liter i cyfr - prawdopodobnie hasło. Już w następnej chwili wszystkie ekrany wybuchły tęczą barw, migającymi linijkami tekstu, słupkami danych i jaskrawymi, jak pocztówki, widokami gór i morza. Jednocześnie rozległa się skoczna melodia i młodzieńczy głos zaśpiewał:

*Jama-a-jka! Tyś najwspanialsza w całym Wszechświecie! Jama-a jka!*

*Tu banany rosną przez cały rok! Jama-a-jka!*

*Powiem wam, przyjaciele, czego jeszcze nie wiecie: Pod ulubioną gwiazdą*

*Na szczęśliwej planecie*

*Naród mój ćwiczy taneczny krok!*

Wiersz był taki sobie, ale razem z muzyką brzmiał nieźle. Wprowadzał uroczysty nastrój. W pewnym momencie Jasonowi zaczęło się wydawać, że oto odwiedzają jeszcze jeden kurort. Cassylia, Darkhan, teraz Jamajka... Jakie to miłe! Jaki jest kolejny punkt programu tej wielkiej podróży? Nie ma? Jak to nie ma?!

Cóż, Jasonie, odpowiedział sam sobie, właśnie tutaj kazali ci zostać na zawsze.

- Henry - krzyknął głośno, próbując zagłuszyć muzykę. - Czy tu nie jest przyjęte, by oblewać przybycie przywódcy?

- Jeszcze jak przyjęte - powiedział Morgan i huknął do mikrofonu: - Szampana do sterowni!

Jak się wita piratów? Albo jak przestępców: z zasadzki, pod lufami wiąże się wszystkich. Albo jak wrogów: huraganowym ogniem i okrzykami: „No pasaran!”. Albo wreszcie jak bohaterów - z kwiatami i orkiestrą, jeżeli wrócili do domu. Okazało się, że istniała też czwarta możliwość. Tych piratów witano jak najwyższą władzę w państwie, ale bez zbędnych uroczystości - spokojnie, normalnie, poważnie. Zresztą flibustierzy z „Konkwistadora” rzeczywiście byli najwyższą władzą na Jamajce.

Pod jasnoniebieskim niebem, po którym leniwie przepływały małe puszyste chmurki, było ciepło, ale nie gorąco. Wydawało się, że już na lądowisku pachnie morską wodą, egzotycznymi kwiatami i owocami. Ogromny napis nad budynkiem terminalu oznajmiał przylatującemu, że ich statek wylądował w kosmicznej przystani o pompatycznej nazwie Kingport albo Królewski Port. Jason najwyraźniej zaraził się od Darkhańczyków manierą tłumaczenia nazw geograficznych.

- Czy waszą stolicą jest Królewskie Miasto? - zażartował Jason. Żart się nie udał. Stolica rzeczywiście nazywała się Królewskie Miasto.

Ledwo zdążyli docenić łagodny klimat i pooddychać lokalnymi aromatami, kiedy świeże powietrze zasmrodziły spaliny siedmiu samochodów, które podjechały do trapu. Dość archaiczne urządzenia na kołach były przeznaczone tylko dla najważniejszych przywódców, reszta flibustierów miała dostać się do miasta na własną rękę. Więźniów (teraz już raczej gości) Morgan zaprosił do swojego samochodu, w którym nie było nikogo oprócz milczącego kierowcy ze szramami na twarzy. Było to dowodem najwyższego szacunku.

Zrobiło to ogromne wrażenie zwłaszcza na młodej Dolly. Dziewczyna, być może po raz pierwszy po koszmarze przeżytym w kosmosie, przezwyciężyła strach i poczuła, że traktują ją nie tylko jak kawałek apetycznego ciała dla jakiegoś gwałciciela-ludożercy, ale jak człowieka. Szanowali ją! Dolly nawet ośmieliła się zadać pytanie Morganowi:

- Sir Henry, czy ci panowie za oknem naszego *voiture* chronią nas przed terrorystami?

Nie, kotku! - uśmiechnął się Morgan. - Nie mamy tutaj terrorystów. To taka tradycja, towarzyszyć przywódcy.

- To dlaczego są ubrani w pancerne kombinezony?

- Też tradycja - burknął Morgan, wyraźnie dając do zrozumienia, że zamyka temat.

Dolly cały czas wplatała w swoje wypowiedzi słowa z innych języków. Jason z powodu dawnego zainteresowania lingwistyką świetnie ją rozumiał, ale teraz okazało się, że Morgan też nie jest wiele gorszy w tej dziedzinie. Przynajmniej nie musiał co chwila pytać, o co chodzi.

Co do ludzi, towarzyszących *voiture* przywódcy, Jason wolałby nazwać ich eskortą motocyklistów (przynajmniej tak ich nazywali na Cassylii). To, co mieli na sobie, to wcale nie były kombinezony, tylko skafandry do obrony zewnętrznej. Jason poważnie wątpił w to, że na tej planecie w ogóle nie ma terrorystów. Ale jeżeli Morgan tak bardzo chce, nie będziemy poruszać tej delikatnej kwestii, pomyślał sobie.

Jechali po złej drodze o popękanej nawierzchni. W gęstej zieleni drzew i krzaków po obu stronach spokojnie mógł się schować nie tylko pojedynczy maniak, ale i cała zorganizowana szajka, która by zaplanowała zamach na głównego pirata. A chętnych do zajęcia jego miejsca na pewno nie brakowało. Zdążyli to zauważyć jeszcze na statku, tak że nie ma co im teraz mydlić oczu - nawet ta mała nie dowierza słowom Morgana. Jason zauważył, że obszerny i pozornie komfortowy samochód strasznie dymił i warczał: barbarzyński benzynowy silnik, ciężka stalowa karoseria, prędkość tylko dzięki mocy, a nie lekkości to typowe cechy maszyny wojskowej, a nie pojazdu pasażerskiego.

Szybko okazało się, że praktycznie cały prywatny i publiczny, transport na Jamajce wygląda mniej więcej tak samo. Nie dlatego, że wszyscy mieszkańcy byli narażeni na śmiertelne niebezpieczeństwo (choć to również trzeba brać pod uwagę - tutaj także odcinali głowy, strzelali, a niekiedy rzucali bomby); najważniejsze było to, że piraci, przyzwyczajeni do poruszania się w kosmosie na ciężkich statkach wojennych, byli wierni swoim zwyczajom również na rodzinnej planecie.

Dziwnie również było, że na ogromnym głównym kontynencie powietrzne środki transportu były całkowicie zabronione. Nawet najprostsze uniwersalne łódeczki kosmiczne wykorzystywały tylko oficjalne organizacje, i to w wyjątkowych przypadkach. Do rzadkich na Jamajce dalekich podróży wykorzystywano dwie linie monokolejowe z poduszkami magnetycznymi. Tory przecinały kontynent krzyżując się prostopadle. Całkiem niezłe rozwinięty był także transport morski. Małe i duże statki utrzymywały rzadką, ale za to regularną komunikację między kontynentem a licznymi wyspami, porozrzucanymi dookoła po całej zachodniej półkuli. Pośrodku wschodniego kontynentu znajdowała się ogromna pustynia, otoczona górami ciągnącymi się wzdłuż całego wybrzeża. Nikt nigdy nie zdobywał tych szczytów, które wznosiły się na pięć, siedem, a czasami i więcej tysięcy metrów. Tym bardziej nikomu nie przychodziło do głowy, by nawadniać pustynię. Ze względu na to, kontynent na wschodzie pozostawał nie zamieszany. Flibustierzy interesowali się nim nie bardziej, niż dwiema lodowymi polarnymi czapami na obu biegunach.

Właściwie tylko ciepły, żyzny zachodni kontynent nazywano Jamajką. Inne części planety umownie określano jako Dziki Wschód. Nikt tam nie latał i nie pływał. O tych wszystkich transportowo - geograficznych szczegółach goście planety dowiedzieli się bezpośrednio od Henry'ego Morgana, który bawił ich rozmową przez całą podróż, nie mając nawet za złe Jasonowi jego złośliwych pytań.

- Port -król, miasto-król. Czy ty, Henry, też jesteś królem?

- Nie - wyjaśnił cierpliwie Morgan - nie mamy królestwa. Jestem po prostu najważniejszy na planecie. Nie mam nawet oficjalnego stanowiska. Pełnię tylko funkcję naczelnika SK, czyli Służby Kordynacji. Czasami nazywają mnie Nawigatorem. A w ogóle jestem po prostu przywódcą. Wszyscy o tym wiedzą i wszyscy mnie znają. Dyscyplinę mamy bardzo surową. Moi podwładni to naczelnicy innych służb. Następni w hierarchii są kapitanowie statków i kierownicy oddziałów. Dalej już zwykli flibustierzy. Każdy zna swoje miejsce, każdy wie, że nie wolno odmówić posłuszeństwa ani mnie, ani prawu flibustierów. Już widzieliście, jak to może się skończyć. Po co mi być królem? Monarchia to przestarzała bzdura. Jak można wynosić na tron przypadkowych wyskrobków? Państwo potrzebuje prawdziwego wodza, a nie potomka starożytnego rodu, który ciągnie za sobą ciężar tysiącletniego marazmu, rutyny, biurokracji. Wyrzuciliśmy ten cały bagaż. A co do nazw... nazwy miast zostały po długowłosych gagatkach, Szpanach. Przylecieli tutaj jeszcze w czasach wielkiej Ekspansji, ale cała ich działalność ograniczała się do organizowania turniejów rycerskich, picia samogonu i korzystania z gorących łaźni. Niektórzy z nich okazali się mądrzejsi, jak na przykład nasz Eryk Cortez, i włączyli się do społeczności. Najważniejsze to czuć się wolnym. Dzięki temu rozwinęliśmy wspaniałe tutejszą kulturę. I dzięki temu jesteśmy bogaci.

- A dlaczego nie wykorzystujecie ziem na Wschodzie? - zapytał Jason.

Morgan opowiedział im wtedy krótko o warunkach geograficznych i transporcie.

- Zresztą co to za ziemia? - zakończył. - Same piaski i skały.

- A jeżeli odkryjecie tam jakieś cenne minerały?

Przywódcą tylko machnął ręką.

- Nie opłaca się. Prędzej dotrę do uranu na Darkhanie niż znajdę cokolwiek w tej przeklętej krainie. Jesteśmy ludźmi swobodnie płynącymi, Jasonie! Już zapomniałeś? Po co mamy kopać ziemię?

Okazało się jednak, że na Jamajce kopią w ziemi, w dodatku dość często i na różne sposoby, ale o tym Jason i Meta dowiedzieli się trochę później. Wtedy zakończyli dyskusję o gospodarce, bo rządowa eskorta wjechała do miasta.

Królewskie ulice tak samo nie nadawały się do jeżdżenia samochodem, jak szosy wiodące z portu kosmicznego. Mocno podrzucało na wybojach, ale już zaczęli się do tego przyzwyczajać. Samochody zatrzymały się przy pierwszym posterunku Służby Drogowej. Gości poproszono, by się przesiedli do samochodu przeznaczonego wyłącznie dla nich. Morgan kazał im na wszelki wypadek zapisać numer jego prywatnego telefonu, który tutaj nazywano bransoletką ze względu na kształt, a potem wręczył każdemu (nawet Dolly) taki sam aparat łączności. Te urządzenia były o wiele mocniejsze od nadajników używanych na statku. Działały widocznie na zasadzie fal radiowych, dla większej efektywności wykorzystując ekran wokół planety. Morgan zostawił gości pod opieką kierowcy, a sam udał się do centralnego pałacu. Musiał przygotować się do występu w telewizji. Jason i Meta mieli na razie oswajać się z nowym domem i odpoczywać. Zawieźli ich bowiem nie do hotelu, a do specjalnie przydzielonego mieszkania. Dolly, oczywiście, też zamieszkała z nimi. Miała oddzielny pokój.

Wbrew oczekiwaniom, kierowca nie został z nimi w roli strażnika. Pokazał gościom ich apartamenty, oddał klucze i praktyczni od razu zniknął, żegnając się grzecznie i życząc miłego odpoczynku. Jak tylko za flibustierem zamknęły się drzwi, Jason i Meta popatrzyli na siebie znacząco. Doskonale rozumieli, że to wszystko nie jest takie piękne, jak wygląda; że tak czy inaczej śledzą ich dalej. Było tak, jakby przenieśli ich z zoo do rezerwatu, jak cenne zwierzęta, które potrzebują warunków bliskich naturalnym do lepszego zachowania gatunku i do uniknięcia traumatycznych przeżyć. Chodzili milcząc po pokojach, uważnie przyglądając się otoczeniu. Nie zauważyli nic specjalnie ciekawego. Bardzo wiele zależało od tego, jak się zachowają. Rozpoczęcie rozmowy Meta pozostawiła Jasonowi. Mogła to zrobić także Dolly, ale prawdopodobnie nie wyszłoby jej to zbyt zręcznie. Dziewczyna popatrzyła na swoich przyjaciół, którzy wyzwolili ją z beznadziejnej sytuacji, i domyśliła się, że lepiej milczeć.

Dolly - poprosił Jason - posiedź tu chwilę sama. My przejdziemy się po ulicy.

W oczach dziewczyny błysnął strach. Nie był to już dziki lęk. Jaki przeżywała wciąż od nowa jeszcze kilka dni temu, tylko jakby słabe echo tamtego koszmaru. Jason natychmiast dodał:

- Nie zostawimy cię na długo. Uporządkuj rzeczy, odpocznij. Jestem pewny, że nic ci tutaj nie grozi. No, a gdyby coś się działo... dodał z uśmiechem - to przecież uczyłem cię strzelać z pistoletu.

- Dobrze, zostanę - kiwnęła głową uspokojona Dolly.

Jason zdjął z ręki bransoletkę-telefon i wzrokiem dał znać Mecie, by zrobiła to samo.

Szybko wyszli za drzwi. Na schodach szepnął do niej:

- A teraz omówimy sytuację. Pierwszy mówię ja, dobrze?

Nie miała nic przeciwko temu. Szli ulicą, a Jason wykladał swoje przemyślenia. Nie marnował czasu, mówił bardzo szybko. Chciał, żeby Meta jak najlepiej zapamiętała wszystko, co jej teraz powie. Pyrrusanie to naród przyzwyczajony do krótkich, zwięzłych instrukcji: użytkowania przedmiotów, techniki bezpieczeństwa, przetrwania w ekstremalnych warunkach. Dobra instrukcja powinna być krótka i wyłożona w punktach. Kiedyś Meta narzekała na taki sposób przekazywania myśli, ale teraz nie mieli innego wyjścia.

- Po pierwsze - mówił Jason - Morgan już nie widzi w nas wrogów, tylko konkurentów. Po drugie, pozostawieni samym sobie, według niego wymyślimy nowe sposoby zdobywania pieniędzy. Po trzecie, jeżeli nie udowodnimy, że nadal jesteśmy mu potrzebni, może odlecieć, zostawiając nas tutaj albo zabijając. Po czwarte, jestem pewien, że dalibyśmy radę stąd uciec, trzeba by to przemyśleć. Ale rozsądniej będzie odlecieć



z załogą Morgana i zwabić go w pułapkę gdzieś w kosmosie. Po piąte i chyba najważniejsze, trzeba się zorientować, jak wygląda sytuacja z łącznością międzygwiazdową. Bez pomocy przyjaciół raczej nie damy sobie rady. I wreszcie, po szóste, mam zamiar rozgryźć, a potem rozwalić system, na którym opiera się ten świat. Pamiętasz, co zrobiłem z Temudżynem na Felicity?

- Pamiętam - przytaknęła Meta. - Ale Morgan to nie Temudżyn. Przy nim nie liczą się twoje atuty, jak wiedza o historii Starej Ziemi i Galaktyki. To wszystko nie jest mu obce. A ten ich system... Obżerają się, piją, rabują, i to wszystko. Nic z tego nie wyjdzie, Jasonie.

Powiedziała to tak pewnym tonem, że w pierwszym momencie fason poczuł zniechęcenie. Bardzo często intuicja Mety była trafniejsza od jego własnej. Ale po chwili się zreflektował. Mnie nic nie wyjdzie? - pomyślał wściekły. Mnie, Jasonowi dinAltowi? Nie, moja kochana, bez względu na wszystko przejdę tę drogę do końca!

- Nie mamy czasu na dyskusje - powiedział na głos. - Posłuchaj mojego planu działania. Po pierwsze, iść do Morgana i ustalić jakie mamy prawa. Po drugie, dowiedzieć się jak najwięcej o Jamajce i najbliższych zamiarach flibustierów. Po trzecie, odnaleźć wewnętrznych wrogów Morgana i nawiązać z nimi kontakt. Po czwarte, stopniowo wtajemniczyć Dolly we wszystkie nasze plany. Po piąte, nie ma co się spieszyć, czas pracuje dla nas. Po szóste...

Co chwila zmieniali kierunek spaceru. Starali się wyszukiwać najbardziej puste ulice, z których większość prowadziła w stronę morza. Jason chciał sprawdzić wszystko naraz. Czy są podsłuchiwanie? A jeśli tak, to w jaki sposób? Czy wysłali za nimi żywego człowieka lub paru ludzi, czy automat? Czy Jason i Meta będą wstanie wykrzyć „ogon”, a potem oderwać się od niego? No i musieli się spieszyć z doprowadzeniem tej rozmowy do końca. Mogło nie starczyć czasu na długą dyskusję.

Prawie zgadł. Kiedy chciał przejść do szóstego punktu planu. a daleko za domami i koronami drzew zobaczyli wreszcie wąską kreskę morza, ktoś zawołał na nich z tyłu:

- Sir Jason! Madame Meta!

Nie znany im człowiek był ubrany w uniform pracownika Służby Drogowej. Pot lał się z niego strumieniem, a głos miał zadyszany od biegu. - Nie idźcie tak szybko - poprosił. - Musicie się zatrzymać i mnie wysłuchać! Nie mogli odmówić tak uprzejmej prośbie.

- Sir Henry Morgan nie życzy sobie, żebyście zostawiali w domu swoje bransoletki. Może was potrzebować w każdej chwili. Facet podał im aparaty.

- Był pan u nas w mieszkaniu? - spytał zaniepokojony Jason. Wyobraził sobie, ile strachu musiała się najeść Dolly na widok nieznanego mężczyzny.

- Nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Przyniosłem nowe bransoletki. Na wszelki wypadek.

- To miło z pana strony - pochwalił go Jason, przejmując nadajniki. - Dziękujemy.

- Nie ma za co, przyjaciele - uśmiechnął się uprzejmy funkcjonariusz i szybko zniknął w tłumie.

Poszli dalej, żeby znaleźć najkrótszą drogę do morza. Było to częścią drugiego punktu planu zaproponowanego przez Jasona: zacząć badać planetę. Rozmawiali o ludziach, domach, pogodzie. Drogę powrotną przebyli w milczeniu.

Cóż, teraz przynajmniej wszystko wiemy na temat śledzenia podsłuchu, myślał Jason. Ale nie mam zamiaru godzić się z tą sytuacją. Jeszcze dzisiaj pójde do Morgana, żeby z nim poważnie porozmawiać.

Był taki moment, że chciał natychmiast połączyć się z przywódcą flibustierów, jeszcze w obecności zadyszanego posłańca, ale zastanowił się i uznał, że to nie ma sensu. Lepiej nie rozmawiać na ulicy, bo można przegapić coś ważnego, a potem żałować. Ale po powrocie do domu natychmiast wybrał numer, którego nauczył się na pamięć, chociaż ani razu jeszcze z niego nie korzystał.

- Sekretariat naczelnika SK - odezwał się miły kobiecy głos. Ach, ten konspiracyjny zwyczaj skracania nazw instytucji! - Nawigator jest w tej chwili zajęty. Czy chce mu pan coś przekazać?

No proszę, pomyślał Jason, Morgan przełącza numer swojej bransoletki na sekretarkę, a my musimy nosić się z tymi głupimi aparacikami wszędzie, nawet do łazienki. Chyba za wcześnie pomyśleliśmy, że uważają nas za konkurentów. Na razie jesteśmy więźniami.

- Chcę rozmawiać z nim osobiście - podjął próbę. - Mówi Jason. - Poznałam pana, panie dinAlt - spokojnie poinformowała sekretarka. Ciekawe, jak jej się to udało, pomyślał Jason.

- Czy chce pan rozmawiać z którymś z zastępców Nawigatora?

- Z Tonim Howardem, jeżeli można - poprosił Jason.

- Chwileczkę. Spróbuję połączyć pana z kierownikiem SZ. - Słucham?

- Pan Howard jest kierownikiem Służby Zaopatrzenia, SZ. SS to Służba Sprawiedliwości.

- Dziękuję za informację.

W tym momencie bransoletka radośnie ryknęła głosem Howarda:

-Jason, przyjacielu! Dlaczego zawracasz głowę szefowi w drobnych sprawach? Wyluzuj się, odpocznij, napij się czegoś... jeżeli chcesz, możemy razem pójść na kobitki. Będzie wesoło.

Howard był pijany, ale nie do tego stopnia, żeby dobroduszość przekształciła się w agresję.

- Toni, nigdy nikomu nie zawracam głowy drobiazgami - powiedział Jason, nie zwracając uwagi na wylewne propozycje. Morgan jest mi pilnie potrzebny.

- Przepraszam, kolego, ale dzisiaj szef cię nie przyjmie. Dopiero jutro rano.

Wydawało się, że Howard wiedział, co mówi, więc Jason zmienił temat.

- Posłuchaj, główny zaopatrzeniowcu, czy masz kompetencje, żeby nam przydzielić samochód bez kierowcy? A może twoja władza tak daleko nie sięga? - dodał, żeby podrażnić ambicję Howarda. Toni sapnął do mikrofonu raz i drugi, a potem burknął:

- Nie ma problemu, zaraz będzie auto.

Samochód był trochę skromniejszy od tego, którym jeździł Morgan, a nawet od tego, którym ich tutaj przywieźli, ale wewnątrz miał przytulne, a poza tym pancerną karoserię i dymiącą rurę wydechową, jak wszystkie pirackie pojazdy.

Pojechali do miasta we trójkę. Jason umyślnie krążył po tych samych miejscach, które przedtem przemierzali pieszo. Chciał sprawiać wrażenie, że jeździ bez celu, jak turysta. Nie potrafił jednak stwierdzić, czy ich śledzono. Albo robili to prawdziwi profesjonalści, albo Morgan nie widział w tym sensu: dzięki bransoletkom samochód łatwo można było znaleźć w każdym miejscu. Druga ewentualność była bardziej prawdopodobna. W końcu Morgan nie spodziewał się ze strony Jasona żadnych nagłych ruchów, które mogłyby zagrozić planecie i jej właścicielowi.

Królewskie Miasto okazało się bardzo udane architektonicznie. Wygląd domów, sklepów i majestatycznych kościołów z ostrymi wieżami przypominał czasy, kiedy ludzie nie znali maszyn bardziej skomplikowanych od warsztatu tkackiego i koła garncarskiego. Morgan wyjaśnił później, że tak jest naprawdę: wszystkie domy nie tylko w stolicy, ale i na całej Jamajce zbudowali jej poprzedni mieszkańcy - Szpanerzy. Ich cywilizacja nie znała nie tylko elektryczności, ale nawet broni palnej. Po zdobyciu planety flibustierzy stwierdzili, że mądrzej będzie dostosować stare domy do współczesnych technologii niż wkładać ogromne środki i siły w budowę współczesnych drapaczy chmur ze szklanej stali. Uznali, że tutaj i tak jest całkiem nieźle. Rzeczywiście było nieźle. Rozsypujące się tysiącletnie mury nie przeszkadzały w urządzaniu wewnątrz luksusowych apartamentów niczym na Cliandzie. Wszelkie domowe urządzenia miały galaktyczny standard, czasami

można było nawet spotkać jakieś nowości, na przykład samootwierające się ściany, jakie po raz pierwszy zobaczyli na statku „Konkwistador”. Jason i Meta dowiedzieli się też, że takie mieszkania, jakie im przydzielono, przysługiwały wszystkim kategoriom ludności, a nie tylko najwyższej.

Wycieczka po mieście wreszcie ich zmęczyła. Jason wyjechał na drogę prowadzącą do morza i po przejechaniu dziesięciu kilometrów znalazł pusty kawałek wybrzeża. Zostawili samochód na poboczu, rzucili bransoletki na siedzenia i poszli się wykąpać. Pogoda się psuła. Zerwał się wiatr, ołowiane chmury pełzły znad horyzontu. Nad rosnącymi falami latały nisko duże czarne ptaki z białymi, dziwacznie wygiętymi dziobami. Nikogo dookoła nie było. Ani samochodów, ani ludzi. Świetna okazja do omówienia sekretnych planów. Ale jakoś nie mieli na to ochoty. Meta nigdy nie wyróżniała się gadatliwością, a Jason miał poczucie absurdalności całej sytuacji. Morgan pozwolił mu jechać, niczego nie tłumacząc, niczego nie nakazując, nawet o nic nie prosząc. Pewnie po prostu uznał, że i tak nie ma gdzie uciec. A Howard radził upić się i zabawić z miejscowymi panienkami. Coś w sam raz dla Mety. Widocznie czekali, aż zaczną popełniać głupstwa.

Cóż, to znaczy, że na razie nic nie robi. Będzie zabijał czas, myślał i czekał. A potem, kiedy już całkowicie uśpi ich czujność i jednocześnie zdobędzie sobie autorytet, zabije Morgana. Dlaczego nie mógłby zdobyć władzy na Jamajce i zrobić z niej jeszcze jedną kolonię Pyrrusa? Nie, to bzdury. Nic z tego nie wyjdzie.

Rozmyślenia przerwała Dolly.

- Przepraszam, czy możemy tutaj mówić o wszystkim?

- Tak, dziewczyno - smutno powiedział Jason. - Wiem, o co chcesz zapytać, ale na razie nie mogę ci odpowiedzieć. Na pewno się stąd wydostaniemy, ale do tego czasu mogą minąć miesiące, a nawet rok. Musisz przyzwyczać się do życia na Jamajce, poznać kogoś, znaleźć dla siebie zajęcie i znowu nauczyć się cieszyć życiem. Nie można się martwić przez cały rok... czy nawet miesiąc.

- Nie można - zgodziła się Dolly - ale chciałam powiedzieć coś całkiem innego. Pomyślał pan przed chwilą, że dobrze by było zabić Henry'ego Morgana i wziąć władzę w swoje ręce, a potem odrzucił pan ten pomysł jako absurdalny. Ale ja uważam...

- Umiesz czytać myśli? - przerwał jej gwałtownie Jason.

- Czasami - skromnie odpowiedziała Dolly. - I nie u wszystkich. Ale kiedyś naprawdę pomogłam tacie, czytając myśli jednego z jego konkurentów w biznesie. Teraz chcę pomóc wam.

- Nieźle - ocenił Jason. - Więc co myślisz o Henrym Morganie? - Trzeba go zabić - powiedziała Dolly ostro i sucho, jak dorosła. - Ale najpierw pozwólcie mi poczytać jego myśli.

- Przyjęte - kiwnął głową Jason. - Jutro weźmiemy cię ze sobą. Powiedz, od czego zależy twoja zdolność do telepatii?

- Nie wiem - zamyśliła się Dolly. - Czasami sama staram się zrozumieć, od czego. To nadchodzi niespodziewanie, jak *mal*, *malore*, jak mdłości, i wtedy stają się *altera*, widzę to, co jest wewnątrz, słyszę wiele głosów naraz. Zdarza się, że trudno mi się skupić, w takich chwilach naprawdę jest mi ciężko...

Dolly używała wielu romańskich słów, widocznie taki był międzyjęzyk na Zunbarze. Wiele z tych słów można było łatwo zrozumieć bez tłumaczenia, ale kiedy dziewczyna się denerwowała, w jej mowie pojawiało się coraz więcej niejasnych wyrażeń. Wtedy sama starała się znaleźć ogólnie dostępny odpowiednik.

W jej oczach zabłyśły łzy.

- Wiem tylko, że kiedy to się stało... no, kiedy mnie... wiecie... - Zaszlochała, ale wzięła się w garść. - Wydaje mi się, że potem zaczęłam lepiej czytać *pensamientos*... to znaczy myśli. ..

To dobrze - powiedział Jason. - Od razu wyczułem, że nie jesteś zwyczajną dziewczyną. Ten narkoman Monbar nie bez powodu stwierdził, że jesteś wiedźmą. Meto, słyszysz, o czym rozmawiamy?

Meta szła dwa kroki z przodu i w ogóle się nie odwracała. a morze szumiało coraz mocniej.

- Słyszę - powiedziała.

Zatrzymała się, odwróciła i długo patrzyła w oczy Jasona. Czytajcie sobie w myślach. Rzucajcie kości. Wróćcie z kart. A kiedy przyjdzie czas zabijania, zawołajcie mnie. Dobrze?

- Meta, dlaczego...? - rozłożył ręce Jason.

Czyżby rzeczywiście była zazdrosna? - przemknęło mu przez głowę.

Meta uniosła rękę i trzema celnymi strzałami zabiła trzy czarne ptaki nad morzem. Reszta zadziwiająco szybko rozsypała się w różne strony, klekocząc ochryplym basem.

- Po co pani zabija ptaki, Meto? - zapytała wstrząśnięta Dolly

- Nie po co, a dlaczego. Jeżeli w ciągu najbliższych dni nie zajmiemy się czymś konkretnym, pozabijam wszystko co żywe na tej przeklętej planecie.

- Meto, nie - poprosił Jason.

W tej chwili znowu ktoś ich zawołał. Od drogi w stronę plaży zmierzał inny pracownik SD, zgrabny, wymuskany, w jaskrawym nowym uniformie.

- Nie wolno strzelać do tych zwierząt! - zaczął krzyczeć jeszcze w biegu.

Meta odwróciła się obojętnie.

- A do tego zwierzęcia można? - zapytała, celując pistoletem w pierś strażnika

Rozwijania poczucia humoru najwyraźniej nie było w programie szkolenia miejscowej straży porządku.

- Zabójstwo pracownika SD przy wykonaniu służbowych obowiązków jest karane zgodnie z artykułem dwadzieścia sześć prawa flibustierów. . .

- Wyluzuj się, chłopcze - przerwał mu Jason. - Ona po prostu żartowała. Powiedz lepiej, czy to Morgan cię przysłał?

- Tak, oczywiście. Prosił, żebyście włożyli bransoletki i już więcej ich nie zdejmowali.

- Więc przyniosłeś nam trzy nowe?

- Nie, to są wasze stare. Zostawiliście je w samochodzie. - Dziękuję, sierzancie powiedział Jason.

- Starszy sierzancie - poprawił tamten.

A Meta ze złości strzeliła jeszcze raz. Tym razem nie do ptaka i nie do człowieka, oczywiście. Rozwaliła na kawałki małego, szybko biegnącego po piasku kraba, który kształtem przypominał pulpit zdalnego sterowania wielofunkcyjnego robota.

13

Rano, gdy tylko się obudził, Jason wybrał na bransoletce numer. Szczęśliwie zastał Morgana w gabinecie, więc od razu chwycił byka za rogi.

- Henry, wytłumacz mi, jak do ciebie dotrzeć. Chcemy cię teraz odwiedzić.

- Po pierwsze, nie teraz, a najwcześniej za dwie godziny - osadził go Morgan. - A po drugie, co to znaczy „my”?

- Henn, chyba zwariowałeś! Przecież nie zostawimy dziewczyny samej na tak długo.

- Nie musicie. Niech Meta zostanie z nią, a ty przyjedziesz do mnie.

Nawigator mówił stanowczym tonem i chyba nie było sensu dyskutować. Jason jednak spróbował.

- Henry, jeszcze na statku tłumaczyłem ci, jak ważne jest, żebyśmy omawiali ważne sprawy wszyscy razem.

- Na statku wszystko było inaczej. Tutaj będziemy rozmawiać sam na sam. Mogę ci opowiedzieć o roli kobiet na naszej planecie. Czekam za dwie godziny. Drogę wytłumaczy ci sekretarka.

- Nic z tego - poinformował Jason swoje kobiety, siadając do śniadania. - Pojadę do niego sam. A wy się tu bawcie.

Nawiasem mówiąc, śniadanie było świetne. Produkty w lodówce okazały się najwyższej jakości. Jason dojadł pierwszą kanapkę, wziął serwetkę i napisał na niej: „Czytanie myśli na razie odpada”. Meta zabrała mu długopis i odpowiedziała w ten sam sposób: „No to od razu zabijmy tego gada”. Przyszła kolej na Dolly. Dopisała pod słowami Mety: „Zgadzam się i popieram”.

No proszę, już jej wróciło poczucie humoru! z zadowoleniem pomyślał Jason. Po śniadaniu zapalił papierosa, zgniół zapisaną serwetkę i spalił ją w popielniczce. Wszyscy troje uśmiechnęli się jak spiskowcy. Humory mieli świetne. W nocy była burza z ulewnym deszczem, a teraz znowu świeciło słońce. Pachniało świeżością i kwitnącymi drzewami, których gałęzie zaglądały prosto w otwarte okna.

- Wiem, Jasonie, że masz do mnie wiele pytań. Ale posłuchaj najpierw, co mam ci do powiedzenia.

Morgan chodził po swoim ogromnym gabinecie w północnym skrzydle królewskiego pałacu i pykał fajkę.

- Lubię Metę, to świetna kobieta. Wszystko jedno, czy pracuje z nami, czy wojuje. Z tej dziewczyny... ma na imię Dolly, prawda?... też chyba będą ludzie. Ale musimy porozmawiać o ważnych sprawach, takich, które obchodzą tylko mężczyzn. Tak jest u nas przyjęte. Chyba już zrozumiałeś, że flibustierskie prawo zabrania nam się żenić. Na Jamajce jest dużo kobiet, które nie należą do nikogo. Możemy sypiać co noc z inną przez tydzień, nawet rok, ale nie powinniśmy mieć kobiety na stałe. Jeżeli flibustier postanowi związać się z jedną kobietą, przestaje być flibustierem. Nie zabiją go za to; po prostu stanie się bukanierem, witalierem czy nawet prywatierem, jeżeli nagle zachce mu się uprawiać ziemię i hodować bydło. Ale nawet witalierzy i bukanierzy, odlatając w kosmos, zostawiają swoje żony tutaj. Dla kobiet nie ma miejsca na statku.

- A Madame Cin? - nie mógł się powstrzymać Jason.

- Madame Cin to wyjątek. To nie jest zwykła kobieta - zawahał się Morgan. - To chyba nawet nie jest stuprocentowa kobieta. Mężczyźni interesują ją tylko wtedy, kiedy ich torturuje i zabija. Zaspokajają się wtedy.

- Zaspokajają się? W jakim sensie? - Jason postanowił to wyjaśnić... na wszelki wypadek.

- W każdym sensie - rozwiął Morgan jego wątpliwości. - Ale jest fantastycznym wojownikiem i dlatego ją zabieramy. Nie dopuszczamy jej jednak do ścisłego kierownictwa. Kobiety nie powinny stać przy sterze. Taka jest prawda, Bóg mi świadkiem. To wszystko. Teraz możesz zadawać pytania.

- Pytanie pierwsze - zaczął Jason. - Co masz zamiar robić dalej? Nic nadzwyczajnego. Trochę odpoczniemy i z nowymi siłami ruszymy do ataku. Devis już opracował ciekawą trasę. Karaccoli zaproponował inny wariant... pewną bogatą i źle zabezpieczoną planetkę. Na razie myślimy, dyskutujemy.

- Świetnie - pochwalił Jason. - Ale chyba mnie nie rozumiałeś. Pytałem, co zamierzamy zrobić wspólnie.

- Dobrze cię rozumiałem, przyjacielu. Ale chyba nie chcesz razem ze mną rabować statków towarowych i wykańczać naszych braci na słabo rozwiniętych planetach. Przecież to cię nudzi, dobrze mówię? No właśnie. Sam wymyśl, czym się zająć. Spacerować brzegiem morza mogłeś na Darkhanie.

- Więc w ten sposób stawiasz sprawę?

- Jasne. I nie ma po co się spieszyć, przyjacielu. Rozejrzę się za zdobyczą, wrócę, a ty przez ten czas będziesz myślał. Dobry pomysł trzeba długo hodować.

- Zgadzam się, ale pamiętaj, że do hodowli dobrych pomysłów niezbędne są odpowiednie warunki.

- Co masz na myśli? - szarpnął się Morgan.

- Nie rozumiesz? Nie jestem łamaczem kości, tylko człowiekiem twórczym. Nie mogę pracować, kiedy mnie cały czas szpiegują i podsłuchują każde zdanie przez tę idiotyczną bransoletkę.

- Oj, Jasonie, Jasonie - Morgan mówił teraz spokojnie. - nie warto obrażać się o takie drobiazgi. To nie jest inwigilacja, to po prostu ochrona. Wszystko dla twojego bezpieczeństwa. A podsłuch? Cóż, sam rozumiesz, cenimy każde twoje słowo. A jeżeli nagle powiesz coś genialnego i potem zapomnisz? A my będziemy mieli to wszystko zapisane.

Jason uśmiechnął się z szacunkiem, jakby nie miał ochoty się sprzeczać. Zaraz potem wysunął ultimatum.

- Jak sobie chcesz - powiedział. - Wzruszająca jest twoja troska o mnie. Jestem gotów służyć twojej planecie, ale tylko jako prosty wojownik. Flibustierem nie mogę zostać, skoro jestem żonaty. Mógłbym być witalierem, czy jak im tam...bukaniem?

- Zaraz, zaraz - ocknął się Morgan. - Czy ty brałeś ślub kościelny?

- Nie, a bo co?

- No to można powiedzieć, że nie jesteś żonaty.

- Przepraszam cię, Henry. Czuję się żonaty, a Meta nie jest dziwką. Wasze panienki też mnie nie interesują, więc...

- Ależ nie o tym mówię! Chciałbym, żebyście się pobrali u nas w kościele.

- O, to ciekawa propozycja! - zdziwił się Jason. Zastanowię się. Ale jeszcze nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Henry.

- Po prostu czasem głośno myślę - prostodusznie wytłumaczył Morgan. - Chociaż tu nie ma się nad czym zastanawiać. Muszę przyjąć twoje warunki. Bardzo potrzebuję nowych pomysłów.

- W porządku - zgodził się Jason. - Za to ja potrzebuję pomysłów starych. Rozumiesz? Muszę wiedzieć o was jak najwięcej. Nie interesują renie tajne systemy sterownicze, ale chcę się dowiedzieć, jak doszłście do takiego poziomu życia. I to dokładnie. Muszę poznać wasze techniczne, gospodarcze i wojskowe możliwości. Inaczej będę wymyślał nierealne projekty albo, jak to się mówi, wynajdywał rower.

- Jaki rower? - nie zrozumiał Morgan ku radości Jasona.

- To taki środek transportu na dwóch kołach, bez silnika, z napędem nożnym. Wymyślono go bardzo dawno temu, więc byłoby bez sensu wymyślać go jeszcze raz. Wystarczy wiedzieć, że był taki wynalazek. Krótko mówiąc, potrzebuję dostępu do waszych archiwów - zakończył Jason.

Morgan uśmiechnął się ze smutkiem.

- Jakie archiwa mogą mieć bandyci? Pomyśl tylko. Wyrzucamy z pamięci komputerów na statkach nawet trasy ostatnich lotów. Nigdzie nie zapisujemy prawdziwych imion tych, którzy wchodzą do naszej społeczności i stają się flibustierami. Flibustierzy używają starych rytualnych przezwisk, które według legendy pochodzą jeszcze ze Starej Ziemi.

- Stop! - zdecydowanie powiedział Jason. - Kto nadaje wam te przezwiska? Czy przypadkiem nie kapłani?

- Oczywiście, że oni. Wyszukują je w starożytnych księżkach. - Jeżeli dobrze rozumiem, kapłani to zazwyczaj byli piraci, którzy znaleźli tutaj spokojną pracę.

- Owszem - zgodził się Morgan. - Najczęściej, są to bukanierzy, którzy przestali wojować ze względu na kontuzje czy inne problemy. - A skąd mają te starożytne księżki? Czyżby ukradli je podczas gwiazdnych bijatyk? - Jason poczuł się tak, jakby prowadził prawdziwe przesłuchanie. Bardzo dobrze mu szło.

- Dlaczego zaraz ukradli? - obraził się Morgan. W dawnych czasach na Jamajce było dużo starożytnych księżek, ale czytał je tutaj tylko jeden człowiek. Dopiero potem stały się obowiązkowe we wszystkich kościołach.

- Jak się nazywał ten człowiek? - Stary Sus...

Kiedy Morgan wymówił to krótkie imię, od razu gwałtownie zakrył usta dłonią, jakby się niechzący wygadał.

Ale wiadomo, że jest na to zbyt sprytny. Ten gest oznaczał coś zupełnie innego.

- Taaak - Jason przeciągał zgłoski i zatarł ręce z zadowolenia - cieszę się, że mi pomagasz, Henry. Widzę, że masz w głowie całe archiwum. Już kiedyś słyszałem o Starym Susie. Przywiózł coś bardzo ważnego z Tortugi na Jamajkę, potem złożył to w banku i wtedy zaczęliście żyć jak ludzie. Czy dobrze pamiętam? Może to właśnie były te starożytne książki?

- Nie, to był *auksnis zwieris*. - Co to takiego, ten *zwieris*?

- Nie mów tak, Jasonie, nie wolno rozdzielać tych słów. Nie wolno. To się może źle skończyć - powiedział Morgan poważnym, prawie złowieszczym tonem.

- Przepraszam - wycofał się Jason. - Powtarzam pytanie: co to jest *auksnis zwieris*?

- Nie wiem - uczciwie przyznał się Morgan. - Tego nikt nie wie. To jest sakrament.

- Bzdura jakaś! - mruknął Jason. - Jak można złożyć sakrament w banku na procent?

- Bardzo prosto. Dla takich jak Wayne nie ma nic świętego.

- A dla was jest? - zdziwił się Jason.

Oczywiście, że jest. - Morgan opuścił wzrok.

Takim Jason go jeszcze nigdy nie widział. Czyżby udało się wreszcie znaleźć słaby punkt tego nieustraszonego i bezlitosnego przywódcy flibustierów? To znaczy, że trzeba dalej naciskać na ten punkt.

- Myślisz, że Stary Sus wiedział, co to jest *auksnis zwieris*?

- Jak mógł nie wiedzieć!

- A kiedy umarł?

- A kto mówi, że umarł? - przerażony Morgan wbił oczy w Jasona Ależ nie, nikt - zmieszał się Jason. - Ale sam mówiłeś, że to dawne czasy.

- Oj, Jasonie, Stary Sus jeszcze nas wszystkich przeżyje. - Rozumiem. No to w czym problem? - ucieszył się Jason. Muszę z nim się spotkać. Na jakiej planecie teraz mieszka?

- Tutaj, na Jamajce - odpowiedział Morgan bezbarwnym głosem. Coś takiego! No to zaproś go do pałacu.

- Jego? Tutaj?!

Na twarzy pirata pojawiło się zmieszanie i prawie dziecinna bezradność.

- Czy nie jesteś właścicielem Jamajki? - surowo zapytał Jason. Tego lepiej było nie mówić, ale Jason się zagalopował. Tak bardzo chciał zgnieść Morgana, że...

Wódz flibustierów skrzywił się boleśnie, ale zaraz jego twarz stwardniała, a oczy błysnęły spod gęstych, kosmatych brwi jak zimna bezlitosna stal.

- Nie rozkazuj mi, diabol. Sam zdecyduję, jak postąpić. Sam. Zrozumiałeś? Chcesz zobaczyć Starego Susa, to zobaczysz. Ale tylko wtedy, gdy ja ci pozwolę. A na razie pracuj bez tej informacji. I tak masz się nad czym zastanawiać. Przypomnij sobie różne swoje afery i nasz wspólny lot. Spróbuj połączyć w myślach jedno i drugie. Wyniki powinny być niezłe. Wszystkie dane techniczne, oprócz tajnych, przyślę ci przez umyślnego. Badaj je w wolnym czasie. Spaceruj po Królewskim Mieście. Odwiedź inne miejsca. Nie bój się rozmawiać z ludźmi. Weź z Metą ślub kościelny. Nie, nie żartuję... bo też możesz zrobić w celach poznawczych. Widzisz, ile masz spraw do załatwienia. A jak tylko wymyślisz coś rzeczywiście ciekawego, dzwoń, wpadaj... będziesz miłym gościem.

Audiencja wyraźnie miała się ku końcowi. Jason podniósł się, aby wyjść, ale Morgan zatrzymał go.

- Daj mi swój galaktyczny paszport. Przystawię ci specjalną pieczętkę, co da ci prawo jeżdżenia po całej planecie. Tylko, na miłość Boską, nie pchaj się do portu kosmicznego. Tam żadna pieczętka nie pomoże. Więc jak, dogadaliśmy się? Paszport Mety też możesz podrzucić w każdej chwili. Sekretarka podstempluje. Dziewczynka nie potrzebuje paszportu. Jest z wami. To wszystko. Powodzenia, przyjacielu.

Chociaż ton rozmowy zmienił się pod koniec gwałtownie, Jason jeszcze raz spróbował sprowokować flibustiera do zwierzeń. Zapytał niedbale już przy drzwiach:

- Henry, a skąd się wziął ten ekran dookoła Jamajki, przez który nie da się przebić? To też jest dla mnie ważne.

Morgan wstał od stołu, podszedł do Jasona, położył mu ręce na ramionach i powiedział konspiracyjnym tonem:

- Bardzo dobrze rozumiem, że to ważne. Nie tylko dla ciebie. Widzisz, to akurat jest strategiczna tajemnica. Obiecałeś, że nie będziesz próbował zgłębiać naszych tajnych systemów.

- Trudno - powiedział Jason i z całej siły trzasnął obcasami, jak to robili pracownicy SD i SS, witając starszych stopniem. Następnie odszedł z godnością.

14

W ciągu dziesięciu dni przeżytych na Jamajce trójka cudzoziemców dowiedziała się o planecie wielu nowych rzeczy, ale nie zmieniło to ich pierwszego wrażenia. Chociaż czasem poznawali ciekawe szczegóły.

Na przykład ten, że jednak kopano tu w ziemi, mimo buńczucznych twierdzeń Morgana. Ze szczególnym zapalem zajmowali się tym witalierzy; byli oni nie tylko bandytami i najeźdźcami drugiej kategorii, ale również profesjonalnymi poszukiwaczami skarbów. Ich rodziny chroniły i przekazywały z pokolenia na pokolenie starożytne szpanerskie sekrety o schowanych na Jamajce skarbach. Znajdowano je na Jamajce co najmniej od dwustu lat. Widocznie Szpani mieli zwyczaj zakopywania pieniędzy i skarbów w ziemi. Zdobywanie ich planety trwało niejednym rokiem. Wielu z nich, uciekając w góry, na wyspy czy do lasu, miało nadzieję wrócić w rodzinne strony, więc chowali dorobek życia. W większości były to właśnie monety.

Było to na Jamajce szczerze, bo też pokłady złota były niezwykle bogate. Oprócz tego znajdowano tu srebro. Kiedy opowiadali Jasonowi o rodzimym srebrze, nie uwierzył. Był pewien, że nie istnieje nic takiego, tym bardziej, że srebro z niewiadomych przyczyn ceniło się tu bardziej od złota. Od bardziej wykształconego tubylca udało mu się dowiedzieć, że również iryd wydobywali starożytni Szpani na Jamajce. Jak można było bić monety o nominale jednej dziesiątej reala z czystego irydu z portretem króla Pedro Hommesa Piętnastego! Przecież każdy kosmiczny specjalista od elektroniki wie że do urządzeń nawigacyjnych nie ma lepszej katody niż irydowa! Dopiero kiedy na Jamajce wylądował pierwszy po Epoce Regresu międzygwiazdny statek i Szpani zaproponowali w zamian za broń srebro i złoto, ustaliły się prawdziwe ceny. Prawa rynku zwyciężyły nad przebiegłością przelotnych handlarzy: za złoty real dawali osiem kredytek, a za srebrny decyreal - nawet dwa tysiące. Później złoto potaniało jeszcze bardziej.

W czasach kiedy planetę podbijali flibustierzy, Szpani już dobrze wiedzieli, co należy chować w pierwszej kolejności. Właśnie dlatego w ciągu pierwszych stu lat poszukiwacze skarbów znajdowali głównie złoto i kamienie. Dopiero dzisiejsze pokolenie witalierów dotarło wreszcie do prawdziwych złożów monet irydowych.

Mniej ciekawe okazało się poznanie prywatierów - ci kopali ziemię w sposób przedpotopowy, to znaczy zajmowali się rolnictwem.

Oczywiście, przy pirackim trybie życia można było całe pożywienie dla ludności zdobywać na wrogu. Władzom Jamajki starczyło jednak zdrowego rozsądku, by nie niszczyć uprawianych kiedyś przez Szpanów gruntów i



zbudować na nich własne farmy. Wiadomo, że świeżego mleka, mięsa, chleba, warzyw i jajek nie da się zastąpić żadnymi produktami, które nie wiadomo jak długo przebywały w ładowni statku kosmicznego, nawet jeżeli były zapakowane i przechowywane zgodnie z najnowszymi osiągnięciami galaktycznej technologii.

A zatem rolnictwo kwitło, tym bardziej, że klimat temu sprzyjał. Żywności było aż za dużo, nikt przecież nie myślał o eksporcie, a planować tutaj nie lubiano. Istniejąca Służba Planowania (SP) przygotowywała tylko dokładny harmonogram pirackich lotów. Nadmiar owoców, mąki czy kawy po prostu topiono w morzu albo spalano, żeby nie powiększać liczby wysypisk śmieci.

Flibustierzy, oczywiście, nie byli farmerami. Tylko niektórzy przedstawiciele najwyższej kategorii z nudów lub dla odpoczynku przestawiali się czasem na rolnicze zajęcia; ich ulubionymi czynnościami było zbieranie owoców lub zabijanie bydła. Najbardziej monotonną i najcięższą pracę wykonywali zawodowi rolnicy, którzy nazywali się tutaj prywatierami. Byli to ludzie albo zadziwiająco dobroduszni, albo po prostu obojętni. Zawód rolnika na Jamajce nie był dziedziczny. Rolnicy rekrutowali się z odchodzących na zasłużony odpoczynek wojowników i więźniów, którzy dobrowolnie przyjęli prawo flibustierów. W ciągu ostatnich lat pojawiła się tendencja do zmniejszania liczby farmerów. Morgan musiał przyjąć poprawkę do ustawy, według której dzieci prywatierów czasowo pozbawiano prawa wstąpienia do bukanierów, witalierów, a tym bardziej flibustierów. Co oznaczało słowo „czasowo”, nikt dokładnie nie wiedział. Młodym prywatierom pozostawały tylko marzenia o kosmosie.

Jason, wychowany na peryferyjnym Porgostorsaandzie, gdzie zachował się jeszcze ostrzejszy system podziału na kasty, rozumiał to jak nikt inny.

Cała ludność planety Jamajka liczyła nie więcej niż dwa miliony. Nie odczuwali więc potrzeby posiadania własnego przemysłu. Zrabowanych rzeczy, dostarczanych prawie codziennie lekkimi stateczkami i ogromnymi krążownikami starczało dla wszystkich. Wszelkie dobra materialne można było nabyć tylko za gotówkę, przy czym lokalny złoty real był tak samo popularny jak galaktyczne banknoty. Kurs wymiany - dwie kredytyki za jeden real - nie zmieniał się, jak mówiono, już od stu lat. Dochody wszystkich kategorii ludności były wystarczająco wysokie, by mogli sobie kupić każdy sprzęt gospodarstwa domowego, najdroższą broń, najelegantsze ubranie i najbardziej wymyślną zabawkę dla dziecka.

Zamiast przemysłu, na Jamajce istniało rzemiosło na feudalnym, poziomie rozwoju. Najbardziej rozpowszechnioną specjalnością lokalnych mistrzów była profesja remontowca. Jawajscy ślusarze osiągnęli oczywiście wyższy stopień rozwoju niż średniowieczni. W sklepach żelaznych i kuźniach, które zostały po Szpanerach, naprawiali teraz wszystko: telewizory, wideofony, lodówki, komputery, kamery, bransoletki - telefony, bardzo popularne tutaj maszynki do mielenia kawy, ekspresy i oczywiście samochody - monstra na czterech kołach jeżdżące na zanieczyszczonym paliwie, z archaicznym ręcznym kierowaniem i beznadziejnymi hamulcami.

Naprawdę dobrze znali się, na zabawkach. Nie tylko naprawiali te przywiezione z innych planet, ale również produkowali sami wykazując znaczną pomysłowość i duże zdolności mechaniczne.

To był jeszcze jeden paradoks Jamajki. Okrutni i bezlitośni w kosmosie piraci poświęcali się bez reszty młodemu pokoleniu. Rozpieszczali swoje dzieci, pozwalając im prawie na wszystko, w granicach rozsądku, oczywiście: alkohol, narkotyki i pornografia były surowo zabronione młodzieży do szesnastu lat. Metody wychowawcze na planecie najlepiej charakteryzowało przysłowie: „Niech dziecko robi co chce, byle nie płakało”. Bardzo też lubili cytować pewnego Duńczyka, żyjącego wiele stuleci temu: „Dzieci trzeba rozpieszczać, bo dopiero wtedy wyrastają z nich prawdziwi rozbójnicy”.

Kilka dni pod rząd Jason zastanawiał się nad możliwością wpływania na politykę i gospodarkę planety bezpośrednio przez dzieci, jeżeli tutaj tak się z nimi liczone. W rezultacie nie wpadł na żaden poważny pomysł. Piraci byli niepodobni do innych narodów galaktyki, ale ich dzieci, o dziwo, praktycznie nie różniły się od zwyczajnych. Niebezpieczne latorośle Pyrrusan, które w wieku sześciu lat potrafią samodzielnie się bronić, w wieku ośmiu - uczyć innych, a dwunastu są gotowi do przedłużania rodu, swego czasu naprawdę przstraszyły Jasona. Flibustierskie dzieci były po prostu... zwyczajne.

Upewnili się o tym ostatecznie, kiedy Dolly, której już przeszedł lęk przed samotnym wychodzeniem na ulicę, podczas koncertu na bazarze poznała i przyprowadziła do domu swojego rówieśnika - Robsa. Robs był synem flibustiera, który nie wrócił po kolejnym locie. Tak opowiadała matka, która wychowała się w rodzinie bukaniera. W rzeczywistości, jak potem zrozumiał Jason, ojciec Robsa prawdopodobnie żył. Po prostu wśród flibustierów nie jest przyjęte żyć długo z jedną kobietą, a tym bardziej przywiązywać się do dzieci.

Zwyczaje bukanierów stanowiły, jak dotąd, tajemnicę dla Jasona. Pojawienie się Robsa niewiele mu pomogło. Chłopak, życzliwy w stosunku do cudzoziemców i mądry jak na swój wiek, po prostu za mało wiedział o historii swojego narodu. A jego matka za nic na świecie nie zaczęłaby się wywnętrzać przed przybyszami z innych planet. Jason to rozumiał. Kiedy próbował nawiązać kontakty z bukanierami, nawet starsi mężczyźni okazywali się wyjątkowo małomówni.

Robs spodobał się wszystkim, nie tylko Dolly. A chłopak zakochał się w dziewczynie bez pamięci i bardzo subtelnie się do niej zalecał. Wychowany w surowych zasadach, nie pozwalał sobie na żadne erotyczne aluzje. Nie minęły trzy dni, kiedy uroczyście poinformował Jasona, że dla Dolly jest gotów na wszystko.

- Nawet na śmierć? - poważnie zapytał Jason.

- Śmierć to pestka - powiedział chłopak jeszcze bardziej serio. - Jestem gotów nawet zdradzić własny naród i sir Henry'ego Morgana osobiście.

Jason zamilkł i powiedział po chwili:

- No, tutaj, bracie, przesadziłeś.

Potem rozejrzał się ukradkiem i dodał szeptem:

- Chociaż właśnie tego potrzebujemy.

Wszyscy troje roześmieli się z ulgą. Dolly przy rozmowie nie było. Dziewczyna tymczasem powoli, ale coraz mocniej zakochiwała się w Robsie. Pod koniec dziesiątego dnia Jason i Meta mogli uważać, że ich, to znaczy spiskowców, było na planecie czworo.

Ten dziesiąty dzień na Jamajce okazał się dość osobliwy. Przedtem każda nowa informacja uzupełniała optymistyczny obraz: nikt się nie skarży, wszyscy cieszą się życiem, jedzą, piją i balują, nie narzekają na władzę i nie planują buntów. Do tej pory Jason przychylił się do punktu widzenia Mety, która jeszcze podczas pierwszego konspiracyjnego spaceru po mieście orzekła, że rozwalenie systemu jest niemożliwe. Tak się przynajmniej wydawało.

Ale dziesiątego dnia dowiedzieli się czegoś nowego. Wydarzenie miało miejsce dość daleko od stolicy, w małym nadmorskim miasteczku Kartachena. Jason akurat rozstał się z grupą szczęśliwych witalierów, którym pomógł wykopać kolejną beczkę pełną srebrnych decyrealów. Meta wróciła z gór, gdzie towarzyszyła bukanierom w udanym polowaniu na drapieżne ptaki-szable z długimi rogami, które stanowiły zagrożenie nie tylko dla bydła, ale również dla ludzi.

Jason i Meta spotkali się o wyznaczonej godzinie na głównym placu miasteczka, w pobliżu kościoła, i nie umawiając się, skręcili w stronę wielkiej wody. Oboje mieli ochotę się wykąpać. Dolly pozostawili do wieczora z

Robsem i o nic się nie martwili. Dzień był bardzo przyjemny. Morze oddychało ciepłem i spokojem; bardzo miło było poleżeć na słońcu, które już zaczęło zachodzić. Cisza, błogość. Flibustierski raj.

Nagle usłyszeli niewyraźny hałas. Podnieśli głowy, żeby się rozejrzeć.

Dwóch ciemnoskórych prywatierów rozmawiało między sobą w nieznanym dla prostych bukanierów hiszpańskim, czyli, jak tutaj mówiono, w szpanerskim języku. Bukanierzy obrzucili ich za to obelgami w esperanto. Od słowa do słowa kłótnia potoczyła się we wszystkich językach, jakie uczestnicy sobie przypominali. Z obu stron powiększała się liczba awanturników. Jeszcze minuta i zaczęła się bójka. Pierwszy rozbity nos, pierwsza krew - i sytuacja zaczęła się radykalnie zmieniać. Kilka osób jednocześnie wyciągnęło szable spod sterty ubrań. Potem złowieszczą stałą błysnęły pierwsze pistolety. na szczęście nie odbezpieczone...

Ktoś wezwał SS, Służbę Sprawiedliwości. Wkrótce zza krzaków wynurzył się oddział porządkowy, którego członkowie dmuchali w gwizdki i strzelali w powietrze. W rezultacie zajścia nie było trupów, ale szable poszły w ruch; stał lśniła na słońcu i brzęczała rozpaczliwie, iskry sypały się na piasek, zalany krwią. Nawet kobiety, które zgromadziły się dookoła i na początku tylko wrzeszczały zaczęły ciągnąć się za włosy i wymierzać sobie kopniaki. Wyszła niezła bijatyka.

Wezwani flibustierzy, aby zaprowadzić porządek, ułożyli wszystkich w rzędzie twarzami do dołu i uspokoili porządnymi kopniakami. Dwóch poważnie rannych zabrali do szpitala, a sprawców, ujawnionych podczas ekspresowego śledztwa, które przeprowadzono na miejscu, wepchnęli do służbowego samochodu.

Jason nie wiedział, czy wsadzili ich do Jamy, czy ucięli im głowy jeszcze po drodze.

Mogło też być tak, że krewcy tubylcy wykręcili się niewielką grzywną. Jason dotąd nie mógł rozgryźć skomplikowanej logiki lokalnych władz, które interpretowały prawo flibustierów na różne sposoby. Kanoniczny tekst tego dzieła Jason sumiennie przeczytał od deski do deski, ale niewiele to pomogło orientować się w realiach życia. Dużo bliższe rzeczywistości było popularne tutaj powiedzenie: „Prawo jest jak nóż, na kogo skierujesz, w tego wbijesz”.

Czerwoną oprawną w skórę książkę z odcisniętym złotym tytułem „Niewzruszone Prawo Flibustierów” Morgan wręczył mu chyba jeszcze w porcie kosmicznym, w dniu przybycia.

Jason trzymał ją jako pamiątkę. Nie przypuszczał, żeby rozwiązanie najważniejszej tajemnicy planety Jamajka kryło się pod elegancką okładką tego prawniczego bubla.

Zamieszanie na plaży, które przekształciło się w bójkę, dużo wyjaśniło.

- Oto twój szczęśliwy świat! podsumowała Meta, przecząc sama sobie. - Moim zdaniem, różne kategorie miejscowych obywateli niezbyt się lubią. A jeżeli istnieje niezadowolenie, zawsze można zorganizować bunt. To chyba znaczy, że miałeś rację.

- Oczywiście - zgodził się Jason. Jednak w żadnym wypadku nie należy organizować buntu. Wszelkie buntury zostawały w końcu stłumione. I to okrutnie. My zrobimy rewolucję. Tak się to kiedyś nazywało. W wyniku rewolucji zwyciężają nowe siły i zmienia się całkowicie władza.

- No i dokąd skierujesz te nowe siły, kiedy sam dojdiesz do władzy? – niewinnie zapytała Meta.

- Do piekła - powiedział Jason w zamyśleniu.

- Ciekawy pomysł - oceniła Meta.

- Przestań. Czy ja wiedziałem, jak pokonać Temudżyna, kiedy przylecieliśmy na Felicity? - Daj mi trochę czasu.

- Znowu mówisz o Temudżynie. „Temudżyn” to mój statek, zostawiony przez nas na Cassylli. A o tym starym, głupim barbarzyńcy lepiej zapomnij. Tutaj ludzie żyją zupełnie inaczej.

- Tak, tak - mruknął Jason. - Inny okres historyczny. Wiem, Ale jednak wysadzę ten świat od wewnątrz. Tylko nie warto się spieszyć.

Okazało się jednak, że warto.

Było ciemno. Z najwyższą dopuszczalną prędkością jechali ile oświetloną szosą, na dodatek pokiereszowaną przez farmerskie brudochody. Wpatrując się w światła po obu stronach drogi, Jason poszukiwał mniej więcej porządnego zajazdu. Nie było nadziei, że dotrą w porę do dużego miasta z dobrym hotelem, a bardzo im się chciało spać. W tym momencie zadzwonił Morgan. Połączył się z nimi nie za pomocą bransoletki, a na kanale szybkiej łączności, którego specjalny nadajnik był wbudowany w panel sterowniczy *voitura*. (Naśladując Dolly, Jason zaczął nazywać tutejsze pojazdy tym wykwintnym francuskim słowem.)

Dziwnie uroczystym głosem, jakby wygłaszał orędzie do narodu, Morgan oznajmił, że w pobliżu Kartacheny zaczął się największy w ciągu ostatnich lat bunt prywatierów. Do jego zdławienia zostały wysłane regularne oddziały flibustierów, a na wszelki wypadek zmobilizowano nawet siły kosmiczne.

Słyszałem - dodał na koniec Morgan - że jeszcze nie odjechaliście daleko od Kartacheny. Pewnie zechcecie trzymać się z daleka od niebezpieczeństwa, w końcu jest z wami dziewczyna. (Morgan, spryciarzu! Podpuszczasz nas, pomyślał Jason.) Zresztą Jason ma odpowiedzialną pracę twórczą, a taki człowiek nie powinien się denerwować. (No, z tym to już przesadziłeś!) Ale jeżeli jesteście wierni sobie... i mnie!... sugeruję, żebyście popatrzyli z bliska na te ekscesy i nawet wzięli udział w przywracaniu porządku.

Trudno było odrzucić taką propozycję. Od razu zawrócili samochód i ruszyli jeszcze szybciej, chociaż wydawało się, że to już niemożliwe. Nawet Dolly nie miała nic przeciwko temu. Przecież Jason już nauczył ją strzelać z pyrrusańskiego pistoletu. Zresztą u boku Robsa nic nie wydawało jej się straszne.

Nie bardzo jednak było w czym brać udział. Specjalne pojazdy flibustierów poruszały się nie tylko po drogach, ale i po lesie, wyrzucając strumienie napalmu. Zostawiały po sobie tylko płonące i zarośla, w których nie mogło być nikogo żywego. W wioskach ciężkie czołgi dosłownie prasowały domy, a siedlisko buntu Kartachena, w ciągu dwóch czy trzech godzin stała się dymiącą ruiną. Wojskowo-kosmiczne siły nie były potrzebne, jeżeli nie liczyć tego, że podczas operacji kierowano z nieba na ziemię mocne słupy światła, by artyleria i oddziały raketowe mogły uderzać jak najdokładniej. Reflektory łodzi kosmicznych przydały się także do oświetlenia uchodzących w góry niedobitków armii buntowników.

Całe to wielkie widowisko okazało się bardzo interesujące, ale żaden z nich, nawet Robs, nie znalazł dla siebie roli w rozegranym właśnie spektaklu. Pomagać oddziałowi karnemu, który miał tak olbrzymią przewagę, byłoby przesadą. Pomagać prywatierom nie miało sensu. Kim oni w końcu byli - ludźmi walczącymi o sprawiedliwość czy ogłupiałymi z obżarstwa farmerami? Tego nasi bohaterowie na razie nie wiedzieli, a Robs był za młody, żeby im to wytłumaczyć.

Ograniczyli się więc do roli obserwatorów. Docenili przy tym godną podziwu wytrzymałość *voitura*, przydzielonego im przez Morgana. Kule odbijały się od pancerza jak pestki. Okazało się, że przednia szyba wytrzymuje nawet uderzenie lekkiego pocisku wystrzelonego z bazooki czy z miotacza min, dokładnie nie wiadomo. Jason zdołał ustalić, z jakiej broni wysadzają opancerzone samochody. Nad ranem, kiedy wszystko ucichło odnalazł wśród trupów i ruin dwa działka z pudłem zapasowych naboju. Mogą się przydać - pomyślał. Buntowników, którzy uciekli w góry, nikt nie gonił, chociaż jur wstawało słońce.

Flibustierzy bardzo dobrze znali się na rzemiośle wojennym i rozumieli, że walki w górach to dla atakujących beznadziejna sprawa, nawet przy najbardziej nowoczesnej technice. Atak z powietrza kosztowałby zbyt drogo, a ponadto nie istniała taka potrzeba. Nie wiadomo, czy oddziały dostały rozkaz od Morgana, czy same doszły

do wniosku, że zadanie zostało wykonane, w każdym razie wkrótce wszystkie sprawnie opuściły rejon zdławionego buntu i nad Kartacheną zrobiło się bardzo cicho.

Samochodu Jasona, schowanego w wąwozie, nikt nie zauważył. Pasażerowie wyszli na zewnątrz i wspólnie zdecydowali, że pójdą w góry do ocalałych prywatierów. Wyrzucili bransoletki (niby że stracili je w boju), a wszystkie środki łączności na panelu usunęli razem z pulpitem (jako skutek trafienia granatu). O możliwym podsłuchu w siedzeniach Jason wolał nie myśleć, tak że rozmowa potoczyła się bez hamulców. Robs już wiedział o opozycyjnych nastrojach swoich nowych przyjaciół w stosunku do Morgana, ale nawet szalona miłość do Dolly nie mogła spowodować, żeby został donosicielem.

- Zrobimy tak - zaczął Jason. Spróbujemy wyjaśnić, kto jest ich przywódcą, dowiedzieć się, jakie mają cele i możliwości, i zaproponujemy pomoc.

Nikt nie miał nic przeciwko temu i Jason zwrócił się do Robsa.

- Powiedz, często u was zdarza się coś takiego?

- Nie wiem, mówią, że czasami, ale widziałem to na własny oczy po raz pierwszy. Super, jak z kasety wideo. - Chłopiec zmieszał się, czując, że palnął głupstwo.

- A w wiadomościach nigdy nie pokazywali niczego podobnego?

- Oczywiście, że nie! - Robs zdziwił się naiwnością Jasona. - O tym tylko ludzie mówią. A w telewizji zawsze pokazują, jak jest dobrze: ile zdobyto pieniędzy, ubrań, o ile spadły ceny, ile żarcia spalono, bo nie było go gdzie przechowywać. I to wszystko. Kto by o czymś takim mówił w telewizji!

- No to może my powiemy?

- Po pierwsze, nas tam nie wpuszczą.

- To się da załatwić - sprzeciwił się Jason.

- Jeżeli coś takiego pokażemy całej planecie, ludzie po prostu oszaleją.. .

- Przecież chcemy, żeby oszaleli!

- Nie dał mi pan skończyć. Oszaleją i rzucają się dobijać ocalałych prywatierów. Ludzi zrobi się mniej, żarcia jeszcze więcej, a żeby rolnictwo nie upadło, szeregi farmerów czasowo uzupełnią witalierzy albo nawet flibustierzy. Potem przywiozą jakichś więźniów z głodujących planet. Kapłani zrobią ludziom pranie mózgu i znowu wszystko ucichnie. Do następnego zamieszania.

- Więc nie wierzysz, że na Jamajce uda się coś zmienić?

- Jak to nie wierzę? - obraził się Robs. - Dzisiejszy bunt był super. A rewolucja na całej planecie jeszcze bardziej by mi się spodobała. Chętnie się do was przyłączę, bo filmy w telewizji i na kasetach wideo już mi się znudziły. Pornosy tylko u kolegów na dyskach można zobaczyć, ale jeżeli dorośli zauważą, to koniec. Dwa lata temu tak mi dali w tyłek, że przez tydzień nie mogłem siedzieć.

- Oprócz oglądania filmów, co tu można robić? Nuda! Teraz wy się pojawiliście i jest fajnie. Zróbmy rewolucję, sir.

Jason nic nie odpowiedział. Zrobiło mu się bardzo smutno.

W tym momencie wjechali do wioski, ostatniej, do której dotarły oddziały. Postanowili wyjść z *voitura* i zobaczyć wszystko z bliska. Flibustierzy zaszaleli tutaj na całego. Domy były całe, ale w środku wszystko potłuczono i rozwalono, od okien i wyrwanych drzwi do dokładnie porozbijanych żarówek i naczyń. Piraci wyciągali rzeczy z szaf i szuflad i zwalali na stertę pośrodku domu. Gdzeniegdzie polewali naftą i podpalali, ale nie wszędzie. Widocznie żołnierze byli już na tyle pijani, że przywódcy zabronili im bawić się z ogniem, bo mogli i siebie podpalić. Nie widać było trupów. Widocznie dlatego flibustierscy szturmowcy tak się zdenerwowali: nie udało się nikogo zabić. Jakoś więc musieli się wyładować.

Jason wyobraził sobie grupę tych łajdaków, wjeżdżających do wioski na czołgach - spoceni, brudni, zmęczeni, ale zadowoleni. Okazało się jednak, że łajdacy z drugiej strony wcale nie byli lepsi. Dociekliwi cudzoziemcy opuszczali kolejny rozwalony dom, już prawie nie mając nadziei na spotkanie z byłymi mieszkańcami wioski, kiedy zza krzaków rozległa się seria z karabinu maszynowego. Jasona, który szedł z przodu, obsypał deszcz tynku.

Wszyscy czworo momentalnie padli na ziemię. Robsa nie trzeba było tego uczyć, a niedoświadczonej Dolly pomogła Meta. Oddział atakujących z zasadzki był nieliczny i w dodatku zadziwiająco tępy. Okrzyki: „Jesteśmy swoi!”, próba podniesienia białej flagi (choć Jason nie był pewny, czy tutaj wiedzą o takiej tradycji) i nawet rozpaczliwa demonstracja cywilnych ubrań - nic nie skutkowało. A usypiających granatów i innych humanitarnych rodzajów broni, nawet najprostszego gazu łzawiącego, na tej barbarzyńskiej planecie nie używano. Niczego takiego nie mieli pod ręką. Trzeba było rozpocząć prawdziwą walkę i zabić sześciu młodych chłopców. Tylko siódmego udało się rozbroić i wypytać.

- Kto wami dowodzi?

- Ja.

- Taki młody?

- Wszyscy jesteśmy młodzi i wszyscy jesteśmy przywódcami.

- To nieprawdopodobne. Czyżbyście byli anarchistami?

- Nie wiem, kto to taki anarchiści. Czego ode mnie chcecie?

- Chcemy porozmawiać z twoim zwierzchnikiem.

- Nie mam zwierzchnika i nie chcę z tobą rozmawiać, bo zabiłeś moich przyjaciół.

- A dlaczego twoi przyjaciele chcieli zabić nas?

- Wszystkich chcemy zabić! Wszystkich mamy dość!

- Dobrze tłumaczenie. Ale może jednak powiesz mi, kto u was jest najważniejszy i jak go znaleźć?

Chłopak tylko milczał ponuro.

- Cóż - powiedział Jason pogodnie - będziemy musieli zabić także ciebie.

- No to jazda - powiedział obojętnie samozwańczy przywódca prywatierów.

Nagle odezwała się Dolly:

- Kłamie. Jego dowódca ma na imię Zdenek i mieszka w ładnym dwupiętrowym domu u podnóża urwistej skały. To niedaleko, ale trudno mi go będzie znaleźć, jeżeli nasz bohater nam nie pomoże.

- Czarownica! - wypuścił powietrze z płuc prywatier.

- No, no - zdziwił się Jason. - Co to za słowo? Czy na Jamajce rzeczywiście można spotkać czarownice?

- O Jamajce nic nie wiem, ale przylatują z innych planet - trochę tajemniczo odpowiedział więzień.

Czy to była prawda, próba wprowadzenia ich w błąd czy żart? Ostatnia wersja była wątpliwa. Chłopak wyglądał na zbyt tępego, żeby mieć poczucie humoru. Ale nie wiadomo dlaczego Dolly uznała ostatnie zdanie za dowcip.

- Przestań pleść bzdury, kawalarz się znalazł! Idziemy do Zdenka! Chłopak ze związanymi rękami spokojnie poszedł przodem, jakby od początku nie miał nic przeciwko temu.

- Czyżby to dziewczątka umiało narzucać innym swoją wolę? - zdziwił się Jason.

Młody Robs patrzył na swoją ukochaną z zachwytem.

Schronienie wodza prywatierów, Zdenka, rzeczywiście było niedaleko. Nikt z jego domu nie strzelał. Albo bali się trafić zakładnika, albo wreszcie zmądrzeli. Niestety okazało się wkrótce, że chyba ich przecenili.

Zdenek był nieco starszy od swoich podwładnych i chyba rozsądniejszy. Kazał się tytułować pułkownikiem, rzeczowo wypytał o stopnie wojskowe swoich gości, zaproponował wino i spokojnie wysłuchał planów Jasona. Ale potem zaczęła się idiotyczna dyskusja jakby jeden z nich mówił w języku plemienia Ajuza, który składa się z samych dźwięków muzycznych, a drugi umiał się porozumiewać tylko za pomocą alfabetu głuchoniemych. Dialog wyglądał mniej więcej tak:

- Jakie są wasze cele?
- Zabijać witalierów, bukanierów i flibustierów.
- A kiedy już wszystkich pozabijacie?
- Nigdy nie zdołamy zabić wszystkich. Jest ich za dużo.
- Więc po co to wszystko?
- Jak to po co? Przecież trzeba ich zabijać.
- Ale można też zacząć nimi rządzić.
- Na Jamajce nie ma i nie będzie żadnej władzy.
- A władza Henry'ego Morgana?
- Henry Morgan to żalosny łajdak. Jego też zabijemy.
- Przedtem trzeba się do niego dobrać.
- Dobierzemy się.
- Chcę was nauczyć, jak to najlepiej zrobić.
- Nie trzeba. Sami wiemy.
- To znaczy, że nie potrzebujecie pomocy?
- Waszej pomocy?

Zdenek zamyślił się. Trwało to długo i wyglądało bardzo zabawnie.

- No tak... ty jesteś uczonym botanikiem. Te twoje kobiety to więdźmy. Chłopak jest miejscowy, ale widać, że niegłupi, dobrze gada po szpanersku. Wszyscy jesteście fajni... Ale pomocy nie potrzebujemy.
- Dlaczego? - Jason zbaraniał, słysząc te wywody.
- Co za różnica, dlaczego? Chcecie zabijać razem z nami, to wasza sprawa. Ale nam i bez was jest dobrze.
- No i wróciliśmy do początku rozmowy! - Jasonowi już nie starczało cierpliwości. - Jaki sens ma zabijanie dla zabijania?
- Jak to, jaki sens?! - oburzył się Zdenek, dotknięty do żywego. - Przecież to nudne przez całe życie tylko kopać ziemię i hodować świniobrazy!

Argument był nie do odparcia. Jason uświadomił sobie bezsens dalszej rozmowy. Nagle zrozumiał, kim są ci buntownicy: proste dzieci farmerów, synkowie prywatierów. Ich ojcowie swego czasu pozabijali sporo ludzi albo przylecieli z innych planet jako więźniowie. Jednym słowem, mieli bogatą przeszłość. Natomiast zgodnie z prawem flibustierów, prywatierskiej młodzieży nie dopuszczano do lotów kosmicznych. Tutaj potrzeba nie tłumienia buntu, tylko poprawek do istniejącego prawa, żeby te smarkacze znalazły sposób na wykorzystanie swojej energii w międzygwiazdnej przestrzeni.

Jason wziął się w garść i westchnął niczym flibustier:

- O Boże! O co ty chcesz walczyć, Jasonie dinAlt? O interesu tych łajdaków? O interes tej szalonej planety? Niech się wyrzynają nawzajem, a w galaktyce będzie mniej flibustierów. Galaktykę trzeba oczyścić z piratów. Po to tu przyleciałeś, prawda? Rzeczywiście można zwariować!

- Teraz już nic nie będę ukrywał przed Morganem - powiedział złośliwie Jason, otwierając drzwi samochodu i siadając za kierownicą. Żadnych spisków, tylko wspólne projekty. Na pewno wyciągniemy od niego niezbędne informacje.

- Wyciągniemy, sir - ochoczo poparła go Dolly.

- Mor-gan! - wrzasnął Jason w przestrzeń. - Słyszysz mnie? Przed chwilą rozmawiałem z wodzem prywatierów. Jest kompletnym idiotą, słowo honoru. Więc teraz jeszcze bardziej cię szanuję, Nawigatorze!

- Wątpię, żeby pana usłyszał - powiedział Robs w zamyśleniu, uważnie oglądając samochód w środku.

W czasie kiedy byli u Zdenka, tubylcy porządnie popracowali nad samochodem. Nie zostawili nawet jednej żarówki, nie mówiąc już o urządzeniach podsłuchowych. Aż dziwne, że ta trwała jamajska konstrukcja potrafiła jeszcze ruszyć z miejsca. Po haniebnej ekspedycji do Kartacheny Jason zmienił swój stosunek do tutejszych *voiturów*. Początkową pogardę zastąpił szczerzy podziw. To prawda. pojazdy są prymitywne, ale za to jakże solidne.

Wszyscy czworo poczuli zmęczenie i ze dwadzieścia kilometrów przejechali w całkowitym milczeniu. Wreszcie Jason odwrócił się do Mety i powiedział:

- To wszystko. Rewolucja odwołana. Jak mówili kiedyś: „Uprawiajcie miłość, nie wojnę!”. Jedziemy wziąć ślub!

- Naprawdę? - zapytała Meta niepewnie.

- Zdecydowanie tak - powiedział Jason bardzo serio. - A potem się upiję. Przyznasz chyba, że powodów mam aż nadto.

- A my? - zapytał Robs.

- Też chcecie się upić? Proszę bardzo.

- Nie, ale chcemy wziąć ślub.

- Jeszcze trochę za wcześnie - powiedział Jason surowo. - Lokalne prawo na to nie pozwala.

- Ale nasze prawo jak najbardziej - uśmiechnęła się Meta.

15

Kapłana zastali na dziedzińcu kościoła. Z podwiniętymi rękawami ciemnozielonej sutanny grzebał w silniku swojego *voitura*. Ręce miał prawie po łokcie umazane czymś, co wyglądało jak krew może smarem, a może płynem hamulcowym. Jason przypomniał sobie, że miejscowi kapłani to najczęściej byli zabójcy, tak samo jak reszta piratów, i mimo woli otrząsnął się na widok tych poplamionych czerwienią rąk.

- Państwo do mnie? - zapytał kapłan rzeczowo.

- Tak, *padre*. Chcieliśmy wziąć ślub.

- Czy pana narzeczona skończyła już siedemnaście lat?

- Tak jest, *padre*. Moja narzeczona to ta starsza.

- No to nie ma problemów, synu. Proszę wpłacić pięćdziesiąt realów do kasy kościoła i zapiszę was na jutro.

- Dlaczego dopiero na jutro, *padre*? - zapytał Jason.

- Na miłość Boską, synu, przecież trzeba powiesić ogłoszenie. żeby zebrał się lud, jak to u nas jest przyjęte...

W głosie kapłana wyczuli pewne niezdecydowanie, więc Jason zapytał:

- A nie można bez ludu?

- Jakby to powiedzieć, synu... Bierzecie ślub przed Bogiem, a ja jestem jego sługą na Jamajce. Do wykonania obrzędu wystarczy dwóch świadków. Macie ich. A lud, to znaczy parafianie, to po prostu widzowie. Jak chcesz, synu. Inni zazwyczaj proszą, żeby było jak najwięcej ludzi.



- Meto, chcesz brać ślub w obecności ludu?
- Nie - krótko odpowiedziała Meta. ale powstrzymała się od komentarza na temat tego właśnie ludu.
- Wolimy bez specjalnych uroczystości, ale jak najszybciej podsumował Jason.
- No to poczekajcie, zaraz będę gotowy. Kapłan zaczął wycierać ręce szmatą.
- Wejdźcie na razie do kościoła.

Stali przed ołtarzem wśród drżących płomyków świec i słuchali cichej muzyki organowej. Potem zabrzmiał niski, melodyjny głos kapłana, który nagle zmienił się nie do poznania:

- Sługo boży Jasonie i służebnico boża Meto, łączę was w imię pana naszego Jezusa Chrystusa...

Cóż, myślał Jason, raz już byłem sługą. Na planecie Appsalla moim właścicielem stał się niejaki Ch'aka, kierownik brygady zbieraczy miejscowego chrzantu i myśliwy polujący na morsy. Teraz w roli właściciela występuje starożytny Bóg, Jezus Chrystus. Też ładnie.

Jason zerknął w lewo i zauważył, że Meta poważnie podchodzi do obrzędu. Może dlatego, że nabożeństwo odprawiano w dziwnej mieszance łaciny i hiszpańskiego. Narzeczona nie rozumiała ani słowa i to wszystko było dla niej po prostu muzyką. A może kobiety (nawet Pyrrusanki) po prostu bardziej ulegają emocjom? W innych okolicznościach Meta nie pozwoliłaby nazywać siebie służebnicą, ale po łacinie brzmiało to ładnie. Przypominało termin techniczny „servus”.

Kapłan zaczął im zadawać pytania w międzyjęzyku. Po tradycyjnym: „Czy chcesz tę kobietę za żonę? Czy chcesz tego człowieka za męża?” zapytał niespodziewanie:

- Wiele dusz zniszczyłeś, synu?
- Och, *padre*, dużo! - przyznał się Jason.
- W tym uroczystym dniu wybaczam ci wszystkie grzechy.
- Co to są dusze? - szepnęła do Jasona Meta, speszona na dźwięk nieznanego słowa.
- Ma na myśli ludzi - wyjaśnił Jason, też szeptem.
- Nie bardzo dużo, *padre*, - odpowiedziała teraz Meta, która po raz pierwszy użyła tradycyjnego łacińskiego zwrotu, starając się w ten sposób sprostać powadze chwili. - Ale zdarzało się, nie ukrywam tego.
- W tym uroczystym dniu wybaczam ci wszystkie grzechy, córko moja.

Grały organy. Płonęły świece. Pachniało spaloną żywicą boswelii, żarzącą się w specjalnych małych garnuszkach, podwieszonych na łańcuchach. Na planecie, gdzie minęło dzieciństwo Jasona. też rosły takie drzewa. Chłopcy bardzo lubili wrzucać ich korzenie do ogniska, bo dawały aromatyczny dym, który przynosił dziwne, tajemnicze i smutne uczucia.

Potem wstąpili do sklepu, gdzie kupili dużą butelkę tortugskiego rumu i pojemnik naturalnej gazowanej wody ze źródeł Cumha na Cefei, którą bardzo lubił Jason. I jeszcze koszyk owoców.

Po świadectwo ślubu kazano im przyjść pod koniec dnia, a na razie młoda para razem ze świadkami ruszyła prosto do pałacu Henry'ego Morgana. Tak po prostu, bez telefonicznego uprzedzenia. W domu wprawdzie zostały ich bransoletki, ale nie chciało im się tam wracać. W końcu dziś jest dzień ich ślubu, Morgan powinien to zrozumieć. Tym bardziej że flibustierzy też mieli dzisiaj święto stłumili kolejny bunt.

Morgan rzeczywiście się nie rozgniewał. Przyjął ich jak rodzinę. W pałacu już kończono pracę i zabierano się do świętowania. A uroczystości szły jak niemałe. Zwycięstwo nad prywatierami zbiegło się z jakimś świętem religijnym; Jason nie był pewny. czy to było Święto Objawienia, czy Zwiastowania, zawsze myliły mu się te pojęcia. Wino i mocniejsze alkohole niedługo poleją się strumieniami. Jason pożałował przez chwilę, że wydali pieniądze na rum. No, ale wesele to wesele. Trzeba ponieść jakieś wydatki.

Odkąd Jason związał się z witalierami i wykopał swój pierwszy decyreal, skończyły się problemy z pieniędzmi. W pierwszych dniach wszystko wyglądało dużo gorzej.

Gotówkę, którą wzięli ze sobą na drogę z Pyrrusa, zabrano im jeszcze podczas napadu na Darkhanie i nikt nie miał zamiaru jej zwracać. Zabrać coś przeciwnikowi w walce to według flibustierów uczciwa sprawa. Ale tutaj, na Jamajce, nie wolno kraść, bo wszyscy są swoi. Prawo jest prawem. Jason nie chciał się upokarzać i prosić o pieniądze Morgana, tym bardziej że swoją część zdobyczy piratów podobno już dostał - w postaci uwięzionej dziewczynki.

A zatem już drugiego dnia udał się do lokalnego kasyna. Przechytrył dwóch czy trzech graczy grając o drobne stawki, ale szybko się zorientował, że ma do czynienia z profesjonalistami. Na Jamajce dziewięciu na dziesięciu graczy okazywało się szulerami. Trudno by było ich ograć. Jeżeli jeden szuler czuł, że drugi jest od niego sprytniejszy, wykorzystywał zupełnie inne środki - nie talię kart, lecz szablę. Do czegoś takiego Jason nie chciał dopuścić. Następnego dnia zamiast grać, postanowił sprzedawać sekrety trików karcianych, których znał bardzo dużo. Publiczność w saloniku okazała się bardzo chętna do tego rodzaju nauki i Jason w ciągu jednego wieczoru zarobił więcej niż się spodziewał. Ale to nie miało przyszłości. Meta, oprócz zajęć z walki wręcz, nie wymyśliła innych sposobów zarabiania pieniędzy. Potem zaczęła polować razem z bukanierami. Za rzadkie zwierzęta nie najgorzej płacili w magazynach SZ, to znaczy służby Howarda. Ale dopiero sprzedaż irydu pozwoliła im poczuć się niezależnymi. Ten biznes był bezkonkurencyjny.

Do rozpoczęcia świątecznych obchodów została najwyżej godzina, ale Morgan chętnie przyjął u siebie w gabinecie całą grupę. Co za szczęście! Byli o krok od zwycięstwa.

- Włączaj się, mała, - szepnął Jason do Dolly. - Jak tylko zaczniemy rozmawiać o poważnych sprawach, postaraj się wejść w jego mózg.

Dolly kiwnęła milcząco głową. Świetnie wszystko rozumiała. Morgan zaproponował gościom, by usiedli, obrzucił ich grupę zdziwionym spojrzeniem i zapytał:

- Jasonie, czy przyszedłeś mi opowiedzieć o swoim genialnym pomysłe?

- W pewnym sensie, sir Henry - zaczął Jason wymijająco. - Pomysł jeszcze nie jest do końca dopracowany, ale możemy o nim porozmawiać. Najpierw jednak chciałbym przedstawić ci moją żonę, Metę.

- Gratuluję, gratuluję - podskoczył w swoim fotelu Morgan. Bardzo się cieszę. W którym kościele wzięliście ślub?

- W kościele Bogurodzicy, w Gordelskim Zaułku. Zdaje się, właśnie tam radziłeś mi pójść, prawda, Henry?

- Radziłem ci po prostu wziąć ślub kościelny - burknął Morgan, dając do zrozumienia, że zawsze pamięta każde swoje słowo. Właśnie, pomyślał Jason, nie ma sensu mydlić mu oczu.

- Napijiesz się z nami, Henry? Daj kieliszki, a ja zacznę opowiadać.

Nalali, wypili, ocenili wykwinny bukiet, zjedli po owocu. - Poznałem przywódcę buntowników - zaczął Jason.

- Po co ci to było? - ze szczerym zdumieniem zapytał Morgan.

- Przecież tłumaczyłem ci, Henry. Muszę wiedzieć o twojej planecie wszystko, inaczej...

- W porządku... A co z tym pomysłem?

- Za chwilę. Nie interesuje cię moja opinia o Zdenku i innych prywatierach?

- Nie interesuje - uciął Morgan. - Zdenek też mnie nie interesuje. Jeżeli twój pomysł polega na tym, żeby prywatierów wysłać w kosmos, a do prac polowych wykorzystywać roboty, to dziękuję, ale nie do mnie z tym. Planowaniem zajmuje się u nas Peter Davis, a Richard Scott jest kierownikiem SS, możesz sobie z nimi pogadać. Pamiętaj tylko, że planecie te bunty są potrzebne. Rozumiesz? Bez nich naród się ostatecznie rozleniwi.

- Więc sam organizujesz te bunty? -- nie mógł uwierzyć Jason. - To niezupełnie tak wygląda... No, ale teraz pora na twój pomysł, Jasonie.

- Uważam, że powinniście zdobywać na innych planetach i na statkach w przestrzeni międzygwiazdnej nie dobra materialne, tylko coś innego. To będzie o wiele trudniejsze, ale za to o wiele bardziej rentownie. Gwarantuję, że potem w ogóle przestaniecie myśleć o wartościach materialnych.

- Chodzi ci o narkotyki? - zapytał Morgan.

- Głupi żart, Henry.

- No dobra, dobra, mów dalej. Co to takiego?

- Powiem, ale uprzedzam, że mój pomysł jest jeszcze niedopracowany. Podam ci kilka przykładów do teoretycznego rozważenia. We Wszechświecie można znaleźć prawie wszystko, jeżeli dobrze poszukać. Wehikuł czasu, duplikat każdej materii, łącznie z żywą i rozumną, środki odmładzające, przenośne urządzenia do hiperprzejęć, i tak dalej. Zastanów się nad tym, Henry. Przecież to właśnie ty ukierunkowałeś w ten sposób moje myślenie. Porywając mnie, po raz pierwszy zdobyłeś niematerialną wartość: mój umysł. A nie jest to jedyny wyjątkowy umysł w Galaktyce.

Meta patrzyła na Jasona z przerażeniem. Z jej punktu widzenia wygadywał niedopuszczalne rzeczy. Za to Robs słuchał z zachwytem. Wydawało się, że zaraz powie: „Ale super! Zupełnie jak z kasety wideo!”. Dolly patrzyła w ścianę obok Morgana. Jej oczy z każdą sekundą stawały się bardziej mętne, jakby szybko robiła się pijana albo zasypiała. Jednym słowem, proces się zaczął.

- Nie marnowałeś czasu na planecie - ocenił Morgan. - Będę myślał nad twoimi pomysłami.

- Dziękuję, Henry. Ale chciałbym najpierw się dowiedzieć, jakie niematerialne wartości macie na Jamajce. A właściwie co ma Stary Sus. Co to jest, do diabła, ten *auksnis zwieris*?

- Nie mogę ci w tym pomóc - powiedział Morgan grobowym głosem i zamilkł na długo.

Jason rzucił szybkie spojrzenie na Dolly, ale dziewczyna i bez tego zrozumiała, że nadchodzi kulminacyjny moment. Jej octy ze szmaragdowo-przezroczystych stały się malachitowe, na tęczęwce pojawiły się ciemne smugi. Czyżby Morgan nie zauważał tego dziwnego zjawiska?

Wydawało się, że Morgan już nic nie zauważa. Zachowywał się jakby wpadł w głęboki trans. Milczenie stało się przygnębiające. 1 nagle przywódca flibustierów przemówił wyraźnym, rzeźkim, ale nieswoim głosem:

- Jasonie, porozmawiaj o tym ze swoim kapłanem. Na Jamajce jest tradycja, że państwo młodzi mają prawo zadawać szczerze pytania kapłanowi, a on musi na nie szczerze odpowiedzieć. Wasz kapłan, jak wszyscy bukanierzy, wie o Starym Susie. A teraz zapraszam was do stołu.

W ogromnej sali wszystko się pomieszało. Kieliszki, puchary, tacki, świece, mężczyźni, kobiety, potrawy, butelki, pijani, trzeźwi, właściciele, służący, witalierzy, flibustierzy, srebro, złoto... Wszystko to mieniło się w oczach. Można było łatwo się zgubić, a znaleźć kogoś wydawało się niepodobieństwem. O tym akurat marzył Jason. Kiedy tylko upewnił się, że Morgan jest wystarczająco daleko, szepnął:

- Dolly, Dolly, no, co tam? Mów szybciej!

- Bardzo trudno czytać jego myśli. Wyjątkowo trudno - odpowiedziała dziewczyna zmęczonym głosem. - Ktoś je blokuje.

- Może on sam? - podsunął Jason.

- Mnie to bardziej przypomina ingerencję z zewnątrz.

- To już jest ważna informacja. Ale czy sądzisz, że on wie, kina jest Stary Sus i gdzie przebywa? Czy wreszcie wie, co to jest *auksnis zwieris*?

- Wie - powiedziała Dolly dość pewnym głosem. - Ale rzeczywiście nie może panu tego powiedzieć. Bardzo trudno czytać te ciężkie, śliskie, obce myśli...

- Przepraszam, dziewczyno. Nie wiedziałem, że to będzie takie trudne. - To nasze wspólne zadanie - odezwała się Dolly bardzo dorosłym tonem.

- Aha, jeszcze jedno. - Jason popatrzył na dziewczynę z poczuciem winy. - Dlaczego udzielił mi takiej dziwnej rady?

- To nie jego pomysł. Zrobił to ktoś inny wewnątrz niego i dlatego wydaje mi się, że rada jest dobra. Morgan nie pamięta teraz, co dokładnie powiedział, ale niedługo może sobie przypomnieć. Tak że niech pan się pospieszy. . .

Jason już się zbierał do wyjścia.

- Dolly, gdyby ktoś o mnie pytał, nawet Meta, mów, że gdzieś się tu kręcę. Zrozumiałaś?

Dziewczyna kiwnęła głową i wśliznęła się w tłum rozbawionych obywateli Jamajki. Poszukała wzrokiem Robsa. Chłopak już do niej spieszył.

16

Kapłan kościoła Bogurodzicy w Gordelskim Zaułku chodził wzdłuż ołtarza i rozstawiał świece. Kiedy Jason wszedł pod sklepienie centralnej nawy, jego kroki odezwały się donośnym echem w najdalszych kątach kościoła. Kapłan odwrócił się powoli i powiedział:

- Przyszedł pan za wcześnie, synu. Widzi pan, ja tylko przygotowuję blankiet, a wypełnić go mogę wyłącznie w obecności urzędnika państwowego. Niedługo przyjdzie posłaniec od sir Henry'ego Morgana, przystawi pieczęć i zatwierdzi rejestrację waszego małżeństwa.

- Bardzo to miłe, *padre*, ale przyszedłem nie tylko po to zaświadczenie... A to co? - zdumiał się Jason. Wziął do ręki blankiet i przyjrzał mu się uważnie. - Co to za dziwny materiał?

- Oficjalne dokumenty kościelne piszemy na pergaminie, który produkuje się ze świńskiej skóry.

- Świńskiej? - nieufnie zapytał Jason. - Takiej cienkiej? Czy przypadkiem nie jest to ludzka skóra?

- Nie, synu. Na ludzkiej skórze, w dodatku własną krwią spisują tylko kłątwy flibustierów, kiedy przyjmują nowych członków „najwyższego społeczeństwa”.

W głosie kapłana zabrzmiała wyraźna pogarda i Jason zrozumiał, że nadeszła pora, by poruszyć właściwy temat.

- *Padre*, przyszedłem zadać bardzo ważne pytanie. - Pytaj, synu, dziś masz do tego prawo.

- Jesteś bukanierem, *padre*. Kim są bukanierzy? Dlaczego nie o sobie nie mówią?

- Usiądź, synu, a wszystko ci opowiem.

Kiedy usiedli, kapłan zapytał, przechodząc na „ty”: - Chcesz zapalić?

- Przecież to obraza boska! - Podstawowe zasady religii chrześcijańskiej znał nawet taki bezbożnik jak Jason.

- Eee, daj spokój . . . na tej planecie już dawno nikt o takich rzeczach nie pamięta.

Kapelan wyjął spod zielonej sutanny paczkę papierosów. Ku zdumieniu Jasona były to antaresy. Przypadek czy kolejna diabelska sztuczka?

Zapalili, kapłan i parafianin, w kościele, w pierwszym rzędzie. przed krzyżem i ołtarzem.

- Słuchaj uważnie zaczął kapłan. Bukanierzy to poprzednicy flibustierów. Nasi przodkowie pierwsi byli piratami na tej planecie, a przybyli jako dzikie plemię z planety Tortuga. Wszystko, o czym teraz opowiadam, działo się bardzo dawno temu, przed moim urodzeniem, ale u bukanierów przyjęte jest mówić „my”, bez względu na to, o

które pokolenie chodzi. No więc, byliśmy dzicy, pozbawieni podstawowej ogłady. Mieszkaliśmy w lasach, całkowicie pokrywających Tortugę, żywiliśmy się jagodami, owocami i mięsem upolowanych zwierząt. Miejsca, gdzie ćwiartowaliśmy tusze, moczyli i suszyli skóry, piłowali i szlifowali pancerze tych zwierząt, dawno temu nazywano bukanami; stąd pochodzi miano naszego rodu. A zwierzęta na Tortudze to były głównie szybkie pitahy, drapieżne opancerzone konie. Smaku ich mięsa nie da się porównać z żadnym innym we Wszechświecie. Upolować pitaha nie było zbyt trudne, dlatego staliśmy się najlepszymi myśliwymi w Galaktyce. A prócz tego, i chyba to jest najważniejsze mięso pitahów zawierało niezwykle składnik. Ta tajemnicza substancja pozwalała nam zachować pamięć, nie tylko własną, ale i przodków.

Co prawda, z daleka od innych cywilizacji, w ciągu tysiąca lat nasze wspomnienia mocno zbladły. Nie zatrzymaliśmy w głowach prawie żadnych danych o technice, za to świetnie pamiętaliśmy starożytne języki, przekazywaliśmy sobie pradawną historię, znaliśmy na pamięć święte księgi różnych religii. Ze skóry pitahów nauczyli się robić cienkie kartki podobne do papierowych, z kory drzew gri - twarde okładki. Strony naszych księzek sklejaliliśmy smołą z krzaków tiun, a pisaliśmy piórami ptaków, napełniając je ciemnym sokiem drzewa żu. W ciągu stuleci stworzyliśmy ogromną bibliotekę, odbudowując kulturę Starej Ziemi. A sami dalej żyliśmy z polowania, zbieractwa i rybołówstwa.

Kiedyś na Tortugę przylecieli ludzie na trzech ogromnych statkach. Zamierzaliśmy pokazać im nasze książki: chcieliśmy się z nimi zaprzyjaźnić, współpracować, liczyliśmy, że pokażą nam inne planety w zamian za naszą wiedzę i korzystanie ze skarbów naszej przyrody. Ale ci ludzie, którzy nazywali siebie ketczerami, nawet nie chcieli z nami rozmawiać. Zabijali pitahy ze swoich strzelb i ładowali tusze na swój statek. Potem przylatywali jeszcze kilka razy i w rezultacie wybili wszystkie pitahy, wszystkie co do jednego. Chociaż nie... ostatni statek załadowali żywymi zwierzętami. To zapamiętaliśmy bardzo dobrze.

W ten sposób skończyło się nam jedzenie. O mało nie umarliśmy z głodu. Kiedy nowe statki wylądowały na planecie, nabraliśmy odwagi i postanowiliśmy zaatakować jeden z nich, który był najslabiej uzbrojony. Okrutnie zamordowaliśmy wszystkich, którzy znajdowali się w środku. Ketczerowie nie byli myśliwymi, raczej naukowcami; nawet nie potrafili porządnie strzelać. Obserwowali wszystko i nawet nie próbowali odbić zagarniętego przez nas trofeum. Wsiedli do swoich latających statków i przerażeni opuścili Tortugę. Na zawsze.

A my przysięgliśmy sobie, że znajdziemy ketczerów i zemścimy się. Tak nazywaliśmy wrogów, wszystkich ludzi przylatujących z nieba. A teraz sami podążyliśmy w górę. Nauczyliśmy się kierować statkiem, przecież nie na darmo przez wiele wieków przekazywaliśmy z jednego pokolenia na drugie zdolność czytania i wiedzę ze starożytnych księzek. Nasza załoga wyruszyła w kosmos. Pierwszy statek, który spotkaliśmy, uznaliśmy za statek ketczerów.

Zaatakowaliśmy go i po zabiciu całej załogi zawładnęliśmy ładunkiem. To był zwyczajny statek handlowy z dużym zapasem konserw. Spodobała nam się taka akcja. Przecież ratowaliśmy naszych braci przed śmiercią głodową. Wróciliśmy na planetę, ale nabraliśmy upodobania do walki ze statkami. Żadna siła na świecie już nie mogła nas powstrzymać. Tak bukanierzy stali się piratami.

Do tej pory szukamy ketczerów. Tych pierwszych, prawdziwych Jednak minęło dużo czasu i nikt już nie wie, gdzie można ich znaleźć. Czasami Morgan obiecuje, że zbierze najlepsze głowy Galaktyki, by rozwiązać ten problem. Ale on kłamie. Ma nas gdzieś.

- A jak bukanierzy trafili na Jamajkę - zapytał Jason, korzystając z tego, że kapłan zrobił przerwę. - I kto teraz mieszka na Tortudze?

- Zacznę od drugiego pytania. Na Tortudze mieszkają ci sami ludzie, co tutaj: flibustierzy, bukanierzy, witalierzy i prywatierzy. Ale teraz są tam kiepskie warunki do życia. Po zagładzie pitahów załamała się równowaga ekologiczna, rzeki i jeziora stały się bagnami, lasy zaczęły gnić. Jest tylko kilka wysp na największych jeziorach, gdzie można mieszkać, nie bojąc się krwiożerczych owadów. Właśnie tam znajdują się kosmiczne bazy flibustierów i farmy prywatierów. Bukanierzy dalej polują, a witalierzy... Nie mam pojęcia, czego mogą tam szukać. Przecież Szpanów na Tortudze nigdy nie było, a my nie mieliśmy zwyczaju zakopywania wartościowych rzeczy.

Teraz kolej na pierwsze pytanie. Kiedy na dobre zostaliśmy piratami, a nasza flota, składająca się ze zdobycznych statków, liczyła już ponad dwadzieścia jednostek, na planecie jakby znikąd pojawił się Stary Sus. Jasonem wstrząsnął tak silny dreszcz, że nawet kapłan to zauważył.

- Właśnie Stary Sus - powtórzył. - Tak nazywał się ten człowiek. chociaż wyglądał bardzo młodo. Myśmy do tego czasu stali się złymi ludźmi. Zabijaliśmy każdego, kto wpadł nam w ręce, tak na wszelki wypadek, po prostu, za nic. Jego też chcieliśmy zabić. Ale Stary Sus powiedział dziwne słowa: „Panowie bukanierzy, potrzebne mi są wasze książki”. Skąd się dowiedział o naszych książkach? Już chyba od dwudziestu lat nikt się nimi nie interesował, nawet my sami.

„Wasza siła jest w waszych książkach, panowie” - powiedział. Więc zaczęliśmy go słuchać bardzo uważnie.

„Załaduję te woluminy (nie każdy zna to dawne słowo, ale Stary Sus tak właśnie powiedział) do swojego statku kosmicznego i zabiorę je na inną planetę. Nazywa się Jamajka. Macie wielką przyszłość, panowie bukanierzy, ale nie tutaj, tylko tam. Ta planeta powinna zginąć. Ale na pewno potraficie podbić Jamajkę. Ludzie mieszkający na niej nie są dla was konkurencją. Ale to jeszcze za mało. Żeby nabrać znaczenia w Galaktyce - tak właśnie powiedział: w Galaktyce! - potrzebujecie dużo pieniędzy. W zamian za książki”.

Zastanowiliśmy się. Proponował korzystną transakcję. „Powiem więcej - dodał Stary Sus. - W końcu książki i tak wrócą do was. Zgódźcie się. Nie ma tu żadnego oszustwa, o wszystkim zadecyduje los”.

Cały czas mówił bardzo dziwnie.

I wtedy John Silver, najbardziej trzeźwo myślący człowiek, który już dawno został naszym nieformalnym przywódcą, zapytał: „Dlaczego mamy ci wierzyć, przybyszu? Nawet cię nie znamy, nie wiemy, skąd się wzięłeś. Nasza gwiazdna flota ma całkowitą kontrolę nad przestrzenią okołoplanetarną i jestem pewien, że żaden statek nie zbliżał się do tej planety w ciągu ostatnich dwóch lat”.

„Masz rację, Johnie - odpowiedział Stary Sus - nie przyleciałem na waszą planetę, przyszedłem do was spod ziemi. Tak jest prościej. Podróżuję między planetami w inny sposób. Przez...”

Tu powiedział słowo, którego do dzisiaj nie wolno wymówić na Jamajce, tym bardziej w kościele. Słowo brzmiało na tyle tajemniczo, że od razu, nie wiadomo dlaczego, uwierzyliśmy we wszystko. A Stary Sus mówił dalej: „Mój statek kosmiczny jest schowany w skale na wyspie Golem pośrodku jeziora Bindo. Leżał tam przez osiem tysięcy lat. Po prostu nie wiedzieliście o tym. A ja sam, panowie bukanierzy, pochodzę z planety T'junis...”

O planecie T'junis Jason już kiedyś słyszał, ale teraz ta nazwa, chyba ze względu na podobieństwo brzmienia, przypomniała mu inną nazwę - Uctis. Myśl Jasona pobiegła dalej. Archie Stover kiedyś opowiadał mu, że Uctis to ostatnia, skrócona wersja pełnej nazwy planety: Juodas Naktis. Pierwszymi kolonizatorami planet Zielonej Gałęzi byli Litwini. Dwóm sąsiadującym planetom dali poetyckie nazwy, które brzmiały szczególnie ładnie przez kontrast: Czarna Noc i Złoty Poranek - Juodas Naktis i Auksnis Ritas. *Auksnis*, złoty... No właśnie! *Auksnis zwieris!* A *zwieris*... „*Zwieris*” po litewsku to po prostu zwierzę. Złote Zwierzę...

Oślepiający Gwintoróg. Okrotkawi. Statek kosmiczny „Baran”. Oto czym przyleciał na Jamajkę Stary Sus, oto co złożył w banku na Cassylii na zdumiewająco wysoki procent...

Wszystko dopasowało się w głowie Jasona w jednej chwili. jak dziecięca układanka. Przestał słuchać kapłana.

- *Padre!* Mam tylko jeszcze jedno pytanie - przerwał niegrzecznie. - Gdzie jest teraz Stary Sus?

- Na wyspie Espaniola. To dwie godziny drogi od portu Królewskiego Miasta, jeżeli płynąć na skrzydlatej szkunce. Każdy marynarz pokaże ci, gdzie to jest. Ale, prawdę mówiąc, nie każdy zgodzi się ciebie zawieźć.

- Dogadamy się - powiedział Jason już prawie w biegu. Synu, nie musisz się tak spieszyć - krzyknął za nim kapłan Po pierwsze, powinienes tu wrócić... - Popatrzył na zegarek. - Tak, za jakieś pół godziny można będzie zabrać wasze świadectwo. A to jest dla ciebie ważne. Po drugie, jeżeli wrócisz razem z panną młodą, może opowiem wam coś jeszcze. Zrozumiałeś?

Trudno było nie zrozumieć słów wymawianych z takim naciskiem. Jason nie zdołał się powstrzymać i zadał ostatnie pytanie: Dlaczego chcesz mi pomóc, *padre*?

- Masz głowę na karku, Jasonie. - Stary kapłan uśmiechnął się pod nosem. - Właśnie to chciałem ci wyjaśnić. Wyprzedzasz bieg wydarzeń. Było tak, że przyszedł do mnie człowiek i uprzedził o twoim przybyciu. Nie pytaj mnie o jego imię. Jest zbyt znane na naszej planecie, by wymawiać je na głos. Ale zostawił mi te paczki papierosów. Zabierz je sobie. Sam bardzo rzadko palę. A teraz już idź.

Po drodze do domu Jason dwa razy o mały włos nie przejechał pijanych flibustierów, których głośnie grupy krążyły po mieście. Tak bardzo się spieszył, że piszcząc hamulcami na wszystkich zakrętach i ochlapując wachlarzem bryzgów z kałuż gapiące się psy, staruszki i dzieci.

W pałacu wszystko było bez zmian: muzyka, gwar, tańce. śmiech, zapach wina i dobrego jedzenia.

- Meta - zaczął, z trudem łapiąc powietrze, kiedy wreszcie znalazł ją wśród głośno świętującej publiczności - czy Morgan mnie szukał?

- Nie. Mam gdzieś Morgana! Gdzie byłeś? Szukałam cię ta paskuda Dolly, która rozmawiała z tobą tuż przed twoim wyjściem, mówiła, że jesteś gdzieś tutaj. Miałam już zamiar przewrócić pałac do góry nogami, kiedy wreszcie zdradziła mi waszą małą tajemnicę. Wyjazd z supertajnych przyczyn? Gdzie w końcu byłeś, Jasonie?

- Opowiem w *voiturze*. Teraz nie ma czasu.

Pociągnął ją przez całą salę, wzdłuż stołów uginających się od wina i resztek jedzenia. Biesiadnicy uśmiechali się tępo, a tu i ówdzie rozgorzały pijackie burdy.

- Dokad idziemy? - zdenerwowała się Meta. - Do Morgana. Jest u siebie?

- Tak, przed chwilą wezwali go w pilnej sprawie.

- Skąd ja to wiedziałem? - sam się zdziwił Jason. - Musimy uprzedzić szefa, że jedziemy do kościoła po świadectwo. Tymczasem zwiejemy stąd wszyscy razem, ale tak, żeby on nic nie zaczął podejrzewać.

- Wszyscy razem, i to szybko... nie wiem, czy nam się uda powiedziała Meta.

- A to dlaczego?

- Dlatego, że Robs uczestniczy w rycerskim turnieju, a Dolly mu kibicuje. Za nic nie zgodzą się wyjść przed zakończeniem tego pasjonującego spektaklu.

- To źle - zamyślił się Jason.

Potem wyobraził sobie drogę od Gordelskiego Zaułka do portu i zgodził się z Metą.

- Dobrze, zabierzemy ich w drodze powrotnej. Nie dziwi cię wytrzymałość naszej młodzieży? Nie śpią już drugą noc pod rząd, tyle przeżyli przez ten czas, a jeszcze wystarcza im sił na zabawę! Meta wzruszyła ramionami i powiedziała:

- No, Dolly chyba pospała trochę w samochodzie, a Robs... Dawno zauważyłam, że miejscowi piraci to bardzo odporni ludzie. A jak ty się czujesz?

- Prawdę mówiąc, zasypiam - przyznał się Jason. - Ale obawiam się, że jeszcze długo nie pozwolą nam zamknąć oczu. Chodź szybciej.

Meta niewiele rozumiała z tego, co się działo, ale domyślała się, że lepiej posłuchać Jasona. Kiedy jej mąż jest taki pewny siebie i energiczny, to znaczy, że ma szczegółowy plan działania. Złapała się na tym, że już myśli o Jasonie jako mężu. A według tradycji wielu planet mężów trzeba słuchać. Już samo słowo „trzeba” brzmiało dla Mety bardzo niezwykle.

Morgan siedział w fotelu przy ogromnym stole. Rozmawiał jednocześnie przez bransoletkę i dwa masywne aparaty zdalnej łączności, po lewej i prawej stronie. Jason i Meta obserwowali go przez chwilę, dziwiąc się podzielności uwagi przywódcy flibustierów, w końcu jednak przeprosili, przerwali mu i powiedzieli o swoim wyjeździe Morgan nie miał nic przeciwko temu. Życzył im wszystkiego najlepszego i wrócił do swoich rozmów. W samochodzie Jason krótko opowiedział Mecie o wyznaniach kapłana i swoich domysłach. Meta reagowała spokojnie, jak to Pyrrusanka. Za to Jason nagle zaczął się niepokoić.

- Niepotrzebnie ich tam zostawiliśmy - powiedział. - Nie trzeba było tego robić.

- Co ty pleciesz? - Zdumiała się Meta. Zabierzemy świadectwo i wrócimy.

- Nawet nie mają bransoletek - mruknął Jason. - Będziemy musieli wspinać się na górę. A jeżeli w kościele był podsłuch, za pół godziny, jeżeli nie wcześniej, zaczną nas gonić.

- Zgubimy ich - powiedziała Meta pewnie.

Kościół był tuż za rogiem. Wracać teraz do pałacu nie zajrzawszy do *padre*, nie miało sensu. No więc zajrzeli. Świadectwo leżało na podwyższeniu (zdaje się, że to się nazywa ołtarz), podpisane i podbite dużą pieczęcią z herbem. A kapłan leżał obok w ogromnej kałuży krwi. I bez głowy. Chociaż głowę zobaczyli już w następnej chwili. Zabójcy nasadzili ją na krucyfiks i po ciele Chrystusa spływała jaskrawa, jeszcze ciepła krew.

„Powinieneś przyjść po świadectwo, to ważne”, mówił kapłan kilka minut przed śmiercią. Co było takie ważne? Przyjść czy odebrać świadectwo? Być może i jedno, i drugie. Pistolety natychmiast znalazły się w dłoniach Jasona i Mety. Odwracali się powoli, stojąc tyłem do siebie, gotowi otworzyć ogień przy najmniejszym poruszeniu w kościele. Ale w świątyni nie było nikogo. Chwytając pergamin lewą ręką, Jason szepnął:

- Uciekajmy.

Szybkim krokiem ruszyli do wyjścia. Koło *voitura* też nikogo nie było, ale w pobliżu pałacu już na nich czekali. Trzy samochody specjalne SD, pełne pracowników SS, zajęły im drogę.

- Na przebój? - zapytał Jason.

- Oczywiście - kiwnęła głową Meta.

- No to trzymaj. - Jason podał jej bazookę strzelającą granatami i raketami. Takie same pociski wysadzały w powietrze samochody opancerzone podczas buntu prywatierów. - Otwieraj okno albo drzwi, jak ci będzie wygodniej - poradził. - Też bym z przyjemnością postrzelał, ale muszę prowadzić.

Po wysadzeniu jednego samochodu ominęli blokadę chodnikiem. Zrozumieli, że nie mogą wysiąść i pobiec na górę - byłaby to pewna śmierć.

Zostawała tylko jedna możliwość: oderwać się od prześladowców i jechać do portu. A Dolly i Robs... Cóż, Dolly umie czytać myśli, to niezwykła dziewczyna, uratuje się, wmawiał sobie Jason.

Koło głównej bramy, skąd było najbliżej do sali bankietowej, Jason zatrzymał się, poprosił Metę, by strzelała gęściej, skupił się z całych sił i posłał na górę interesującą myśl: „Dolly! Uciekajcie i schowajcie się! Dolly!..” Powtórzył to trzykrotnie, za każdym razem coraz mocniej. Kiedy poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie,



nacisnął pedał gazu. Ruszyli po dobrze znanych ulicach i zaułkach. Rozwalali pojemniki na śmieci, obtłukiwali naroża starych, obdrapanych domów, taranowali jakieś drewniane szopy, czasami potracali kogoś - psa? Człowieka? Nieważne. Czy to w ogóle ludzie? Przecież to piraci, plugastwo gorsze od pyrrusańskich potworów... Przy tak szybkiej jeździe nie dało się strzelać z otwartych drzwi. Meta już dawno rozwalila tylną szybę *voitura* i teraz przed kulami flibustierów bronił ich tylko huraganowy ogień, który prowadziła z obu rąk. Z prawej leciały pyrrusańskie pociski raketowe, a z lewej granaty przeciwpancerne. I jedno, i drugie już prawie się skończyły, kiedy nagle Meta odkryła, że już nie ma do kogo strzelać.

Oderwali się, a do portu pozostały tylko dwie przecznice. Każdy marynarz w porcie Królewskiego Miasta wiedział, co to wyspa Espaniola. Wiedział aż za dobrze. I nikt nie chciał tam płynąć, za żadne pieniądze. Co tam pieniądze! Najbardziej kuszące obietnice nie mogły zmusić ani rybaków, ani przewoźników do tego, by pokonali swoje odwieczne lęki.

- O nie, proszę pana, to niedobre miejsce! Przyzwoitemu człowiekowi nie wolno tam płynąć.

Ale Jason nie miał czasu na poznawanie bukanierskich wstrząsających opowieści o nierozsądnych śmiałkach, którzy postanowili odwiedzić złowieszczą wyspę. Jeszcze minuta, a przegrają wszystko. Przy czwartym zabobonnym tchórze gwałtownie zmienili ton rozmowy. Spróbowali mu wyjaśnić, że na fatalnej wyspie umrze w najlepszym wypadku za dwie godziny, a tutaj, na bezpiecznym brzegu - za dwie sekundy. Argument zadziałał, ale żeglarz trwał przy sterze tylko dzięki żelaznemu uściskowi Mety. Lewą ręką ścisnęła gardło przestraszonego idioty, a prawą, w której trzymała pistolet, nieustannie i bardzo namacalnie demonstrowała marynarzowi, co z nim będzie, jeżeli wylądują nie tam, gdzie trzeba.

Mieli szczęście z pogodą. Morze było zadziwiająco spokojna bardzo wyraźnie odbijały się w nim trzy jamajskie księżycy i niezliczone gwiazdy, jaskrawe i różnokolorowe.

Przypłynęli tam, gdzie zamierzali. Nad przystanią świecił widmową, fosforyczną zielenią napis: „Wyspa Espaniola”. Ale nos skrzydlatego szkunera nie zdążył jeszcze zaryć się w mokry piasek, kiedy w sterowni rozległ się sygnał łączności.

- Ja będę rozmawiać - ogłosił Jason.

Meta, zajęta pilnowaniem marynarza, nie miała nic przeciwko temu, a jej podopieczny i tak nie mógł ze strachu wykrztusić słowa.

- Puść go, Meto - zlitował się Jason - już przypłynęliśmy. Niech wytłumaczy sytuację swojemu przełożonemu... jeśli to oni telefonują.

- A jak będzie z powrotem? - zdziwiła się Meta. - Sami popłyniemy?

- Myślę, że znajdzie się dużo chętnych, żeby nas zabrać. Jason nacisnął przycisk komunikatora i żartobliwie zameldował - Tu dobrowolny pomocnik kapitana skrzydlatego szkunera 06-13!

Ale nie byli to wcale zwierzchnicy rybaka. Raczej Jasona. To znaczy Henry Morgan we własnej osobie.

- Jasonie *dinAlt!* Nie zrobisz ani kroku dalej! - ryknął przywódca flibustierów. - Dziewczyna jest w moich rękach. Chłopak też. Zaraz podpłynie po was kuter patrolowy i obydwójce wróćcie do miasta. W przeciwnym wypadku Robsa powieszę do góry nogami, a twoja ukochana Dolly... Och, Dolly, Dolly! Będzie umierać powoli i straszną śmiercią. Stoi tu obok mnie gromadka tych, którzy już od dawna marzą, żeby się z nią zabawić. Nie tylko nieboszczyk d'Aulonai był wielbicielem młodych panienek! Co? Co powiedziałeś, Jasonie? Powtórz głośniej.

Jason nic nie mówił po prostu myślał i czekał. A Morgan upajał się własnym monologiem.

- Wiem, wiem, nie wierzysz mi. Myślisz, że blefuję. No to posłuchaj.

W słuchawce rozległ się żaloszny głos Dolly:

- Jasonie, kochany sir Jasonie, nie zostawiajcie nas, to są straszni ludzie... Są zdecydowani na wszystko, ja nie chcę!..

- Uspokój się, Dolly, Wszystko będzie dobrze. Zaraz wrócimy. Oddaj słuchawkę Morganowi.

- No to jak, Jasonie?

- Co, jak? Cieszę się, że cię słyszę, Henry. Umiem przegrywać. Zapamiętaj: umiem przegrywać. Nie dotykaj dziewczyny. Czekamy na wasz statek. Spełnimy wszystkie twoje warunki, ale jeżeli mnie oszukasz, Henry...

Odpowiedzią był radosny rechot flibustierów, niecierpliwie czekających, aż będą mogli dopaść Dolly.

Meta jakby nie słyszała tych rozmów. Już dawno puściła rybaka który siedział teraz na podłodze i rozcierał obolałą szyję. Pyrrusanka w napięciu wpatrywała się przed siebie. Coś musiała dostrzec w całkowitej ciemności na brzegu.

Wreszcie Jason też zobaczył słaby zielonkawy blask. Od razu domyślił się jego źródła. Poprosił ochryłym głosem:

- Opuść pistolet, Meto. To moi.

Człowiek w świecącym zielonym ubraniu, tak samo widmowym, jak napis nad przystanią, który jeszcze przed chwilą był pięćdziesiąt metrów od nich, wskazał na burtę, zdecydowanym krokiem podszedł do pulpitu sterowniczego i sięgnął po mikrofon, zamocowany na stojaku.

- Witam cię, Morganie. Jason dinAlt jest moim gościem. Możesz się już o niego nie martwić. Kutrowi, który płynie tutaj, każ zawrócić i natychmiast dowieź na Espaniolę Dolly i Robsa. Hej, Morganie...! Nie słyszysz odpowiedzi! Nie poznałeś mnie?

Po sekundzie milczenia rozległ się zdławiony głos Morgana: - Poznałem cię, Stary Susie.

17

Kerk wyszedł ze swojego prezydenckiego pałacu, jak czasami żartobliwie nazywano budynek Głównego Urzędu Koordynacji i dwoma celnymi strzałami zabił nadlatujące żądłopióry. Zauważył, że te skrzydlate potwory leciały wyjątkowo leniwie. Oprócz unieszkodliwionych żądłopiórów, żadna inna istota nie zagrażała tutaj człowiekowi ani z niebieskiego bezchmurnego nieba, ani z jaskrawozielonych gęstych zarośli na skraju łąki. Gmach urzędu specjalnie umieszczono tutaj wśród dżungli, daleko od miasta i portu.

Brucco wyszedł za nim i powiedział: - Mogłeś ich nie zabijać.

- A to dlaczego? - zapytał niezadowolony Kerk.

Chyba tylko Brucciemu - najstarszemu i najbardziej doświadczonemu biologowi - mógł wybaczyć tak nietaktowną uwagę.

- Te żądłopióry oderwały się od porannego stada i nie stanowiły dla nas zagrożenia. Pamiętasz wczorajszy referat Archiego o tych ptakach? Stopień ich agresywności w trzeciej fazie migracji zależy...

- Mnie to nie interesuje, Brucco - przerwał mu Kerk. -A w ogóle nie masz wrażenia, że wszyscy zwariowaliśmy? Jason i Meta przepadli już miesiąc temu. A my, zamiast ich szukać albo zająć się inną pilną sprawą, zbieramy się w kółko na konferencje naukowe. A wszystko przez tego młodego mądralę z innej planety!

- Jesteś niesprawiedliwy, Kerk - sprzeciwił się Brucco. - Bardzo nam pomaga. A ty po prostu jesteś dzisiaj nie w humorze.

- Dzisiaj! - warknął Kerk. - Niedługo miną dwa miesiące. Jak jestem w złym humorze. Ani mi się śni analizować, do którego żądłopióra mogę strzelać, a do którego nie! Niedługo zacznę celować w drzewa, jeżeli w najbliższym czasie nie zajmiemy się czymś poważnym. Zastanów się, Brucco! Pomyśl, ile mamy lat i jak się musi czuć młodzież, która siedzi i nic nie robi. Już niedługo wszystko rozwalą na kawałki, jeżeli będziemy beczynnie czekać na Jasona. Czy naprawdę bez niego nie można rozpocząć żadnej nowej operacji?

- Można - powiedział Brucco spokojnie. - Liczę na to, że ten mądrała z Uctisu, tak przez ciebie znienawidzony, podrzuci nam jakiś pomysł.

Kerk zmusił się wreszcie, żeby schować pistolet do kabury i wezwał przez radio Stana.

- Udało ci się połączyć z Berwickiem?

- Tak, ale nie dowiedziałem się niczego nowego. Odkąd zgubili Jasona na Darkhanie, nic już o nim nie słyszeli.

- Nie mam pojęcia, czego on szukał na tym cholernym Darkhanie - burczał Kerk, chociaż już się rozłączył. - Mam gdzieś taki Korpus Specjalny, który od ponad miesiąca nie może odnaleźć człowieka w Galaktyce. Nic nie umięją, dranie! Brucco, lecimy gdzieś, czy będziemy tu sterczeć?!

Odpowiedzią był cieniutki sygnał pilnego wezwania. Wykorzystywano do tego nieprzyjemny wysoki dźwięk, przerywający nawet bardzo głęboki sen. Kerk nacisnął guzik na aparacie łączności wewnątrzplanetarnej, który miał zamocowany na piersi.

- Coś się stało? - ryknął w radosnym oczekiwaniu. O mało nie dodał na głos: „No, nareszcie!”

- Stało się - odpowiedział Grif, dyżurujący w dyspozytorni portu kosmicznego. - Na orbitę okołoplanetarną wszedł duży statek klasy międzygwiazdnej. Nie wysłał żadnych sygnałów i nie odpowiada na nasze pytania. Jakie rozkazy, Kerk?

- Trzeba wejść z nim w bezpośredni kontakt. Sam się tym zajmę. Poczekać na mnie kilka minut i przygotujcie dobry lekki liniowiec, taki jak „Temudzyn”, którym odleciała Meta.

- Może być - spokojnie odpowiedział Grif - Co jeszcze?

- Tylko jedno pytanie powiedział Kerk. - Czy ten statek może okazać się okrętem wojennym?

- Oczywiście - odpowiedział Grif - Kamuflaż to żadna sztuka dla prawdziwych specjalistów. Lokacja w takich przypadkach nie pomaga.

- Przygotujcie dwa liniowce - zakończył Kerk i szybkim krokiem skierował się ku swojej uniwersalnej kosmicznej kanonierce, która stała na łące obok prezydenckiego pałacu.

Statek transportowy był pusty. Zupełnie pusty. Powietrze utrzymało się już tylko w sterowni kapitańskiej, oddzielonej od reszty opasową śluzą awaryjną. Przez nieszczelne zewnętrzne luki do środka przedostała się zimna kosmiczna próżnia. Po szybkiej inspekcji wewnętrznych pomieszczeń Pyrrusanie nie doszli do żadnych wniosków. Trudno było nie tylko ustalić, co tu się wydarzyło, ale również, kiedy to nastąpiło. Nie znaleźli ani tradycyjnego dziennika okrętowego, ani notatek w komputerze, ani śladów walki albo szkód - nic, co mogłoby pomóc w rozwiązaniu zagadki. Statek – widmo. Straszliwa cisza, pustka i mróz. Nie tylko pasażerowie opuścili statek; wyniesiono z niego praktycznie wszystko, co było cenne, łącznie z ładunkiem, paliwem i nawet niektórymi urządzeniami, zwłaszcza nawigacyjnymi. Poruszał się, jakby powiedzieli marynarze, wołał fal. To znaczy leciał siłą bezwładności i przyciągania ciał niebieskich.

Ustaliła to Liza. Jako drugi pilot „Argo” dobrze znała się na zaawansowanej technice kosmicznej. To ona sformułowała najbardziej prawdopodobną hipotezę.

Widocznie statek zaatakowali rozbójnicy, a cała załoga poddała się bez walki. Potem przestępcy przeładowali zdobycz. Prawdopodobnie mieli zamiar, jak to jest przyjęte, zatrzeć ślady i rozwalić niepotrzebną im stertę żelastwa, na przykład za pomocą elektromagnetycznego destruktora. Ale, jako dyletanci, nie wzięli pod uwagę

specjalnych systemów obrony, instalowanych na tego rodzaju statkach. Chodziło o automatyczny jednorazowy system, prawdę mówiąc dość archaiczny. Pole sił, które powstaje w odpowiedzi na uderzenie, chroni korpus przed zniszczeniem i jednocześnie nadaje statkowi impuls wystarczający do wyjścia spod ostrzału, ale niegroźny dla tych, którzy są w środku. To wszystko mogło się zdarzyć równie dobrze wczoraj, jak wiele lat temu.

- To drugie jest bardziej prawdopodobne - podsumowała Liza. Ta balia jest już bardzo stara.

- Coś mi się tu nie podoba - zabrał głos Stan. - Dlaczego w sterowni zostawili powietrze? To może oznaczać, że nowi właściciele statku coś z nim robili, zanim go zniszczyli. Może coś przeprogramowali. Skoro nie potrafiliśmy nic odczytać z ich komputera...

- Chcesz powiedzieć, że to bomba z opóźnionym zapłonem? - skończył jego myśl Teka.

- To nie jest wykluczone - kiwnął głową Stan.

Tak jak wszyscy, trzymał instynktownie pistolet w gotowości. Ale doskonale rozumiał, że trudno wymyślić coś głupszego niż rozstrzelanie bomby z opóźnionym zapłonem.

- Przypomniałem sobie - włączył się Archie - legendę o latającym w przestrzeni, opuszczonym tysiąc lat temu statku - widmie.

- Zamknij się - powiedział zdecydowanie Kerk. W swoim czasie nasłuchiwałem się dość legend od Jasona. Teraz interesują mnie tylko konkretne i rzeczowe propozycje.

- Proszę bardzo - nie sprzeciwił się Archie. - Proponuję jeszcze trochę połączyć po tym statku, żeby zrozumieć jego historię i cele.

Kerk wzruszył ramionami.

- Jeżeli nie uważasz, że to zbyt niebezpieczne, daję ci jeszcze pół godziny, zanim wyniosą na orbitę „Argo”, a Klif przygotuje największą wyrzutnię. Obserwuj, zapisuj, rób pomiary... Pamiętaj że Pyrrus nie potrzebuje obcego sztucznego satelity.

Zakończył dyskusję.

Mniej więcej po czterdziestu minutach, kiedy obydwie lekkie liniowce schowały się w środku gigantycznego „Argo”, Klif dopadł do swoich ulubionych urządzeń, głośno odliczył i jednym krótkim ruchem zrobił ze statku - widma płonąca kulę. Rozsypała się na drobne gwiazdki i szybko zgasła w ciemności nieba, jak wybuch świetlnego fajerwerku.

- Zły znak - mruknął Archie, nie mogąc się powstrzymać.

- Samo pojawienie się statku czy fakt, że go zniszczyliśmy? - zapytała Liza.

W przeciwieństwie do większości Pyrrusan, odznaczała się sporą dozą ciekawości. W końcu odpowiedź na to pytanie nie miała żadnego praktycznego znaczenia.

- I jedno, i drugie jest złe - odpowiedział Archie. - Jeżeli wierzyć starej legendzie...

- Słuchaj, przybyszu - ryknął Kerk - jeszcze tylko twoich zabobonów nam tutaj brakuje!

A Teka poradził młodemu Uctisaninowi:

- Lepiej siedź cicho. Bardzo denerwujesz Kerka.

- To nic - mruknął Archie. - Zaraz go pocieszę. Zwrócił się do przywódcy Pyrrusan:

- W porządku, Kerk, odrzucimy legendy.... zauważyłem coś bardzo ważnego. Kiedy przelatywaliśmy nad statkiem, który przed chwilą zniszczyliście, jego ruch wyraźnie się zmieniał, jakby wpadał w pole bardzo mocnej grawitacji. Aparatura sterownicza zazwyczaj równoważy podobne oddziaływania, a w tym wypadku to było bardzo wyraźne. Widzę tylko jedno wytłumaczenie tego fenomenu: w naszym Epicentrum zaczęły się

jakieś aktywne procesy. Dlaczego? Nie wiem, ale to oznacza, że już najwyższy czas, by się nim zająć, Nie czekając na Jasona.

- Wreszcie jakaś konkretna propozycja! - ucieszył się Kerk. W tym momencie zawyła syrena. Kiedy powstawał „Argo”, zainstalowano na nim niemal ogłuszający sygnał pilnego wezwania. Przerabiając statek, Pyrrusanie zachowali tę instalację. Głos, który popłynął z głośników interkomu, też był głośny i dźwięczny:

- Mówi Midi. Jestem w centrum badawczym. Słyszycie mnie? Dostaliśmy wiadomość od Jasona! Słyszycie mnie?!

- Słyszemy - odpowiedział Kerk. Odwrócił się do Archiego i zapytał:

- I ty to nazywasz złym znakiem? Oby więcej było takich złych wróżb !

18

Rybak, który ich przywiózł, gdy tylko zauważył Starego Susa, momentalnie zasnął. Jason nawet bał się przez chwilę, czy chłopak nie umarł ze strachu, ale zaraz spod masztu, obok którego skulił się nieszczęśnik, dobiegło ciche chrapanie.

Już chcieli zacząć zadawać pytania, ale Stary Sus przyłożył palec do ust, ledwo widocznych w puszystej śnieżnobiałej brodzie, i szepnął: - Nie mówcie teraz nic, moi drodzy. Najpierw sobie zapalimy. Później musicie się trochę przespać.

Staruszek wyciągnął z fałd zielonej szaty cienkie, też zielone i lekko migocące cygaro. Nikogo nie poczęstował i od razu zaczął dymić, chociaż nie widać było, żeby je zapalał. Jason przypomniał sobie, że ma własne papierosy. Znalazł w kieszeni pogniecioną paczkę i zorientował się od razu, o co tu chodzi. W podwójnej ścianie był ukryty miniaturowy psi nadajnik. Od razu odechciało mu się palić. Czyżby właśnie tę zabawkę wręczył mu kapłan, a on dopiero teraz to zauważył? Wstyd! Mówią, że mężczyźni głupieją z miłości. Wychodzi na to, że ceremonia ślubu też im szkodzi.

- No, no, co za nadzwyczajne papierosy - odezwał się Stary Sus. - Ale niech pan pali, proszę się nie krępować! Tam zostało jeszcze z dziesięć sztuk. A z nadajnikiem nie ma co się spieszyć. Baterijki są, jak pan wie, prawie wieczne, a przez ochronny ekran psi - promienie przechodzą bez problemu, zapewniam pana. Zdąży pan jeszcze połączyć się, z kim zechce.

Meta słuchała tego monologu z zadziwiającym spokojem. Z jej twarzy można było wyczytać tylko tradycyjne niezadowolenie ze szkodliwego nałogu Jasona. Niespodziewanie gospodarz przyszedł jej z pomocą.

- Ależ siadajcie, siadajcie - zaproponował Stary Sus, wyrzucając za burtę króciutki niedopałek cygara.

Jason zrobił to samo, to znaczy wyrzucił do wody nie zapalonego papierosa. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś siedziska, nic nie znalazł i usiadł na pokładzie. Meta zajęła miejsce obok. W tym momencie stało się jasne, że z czasem i przestrzenią dzieje się tutaj coś dziwnego. Zielona poświata ogarnęła całą skrzydlatą łódź, a cyfry na zegarku Jasona zaczęły się zmieniać jak oszalałe: minuty biegły z prędkością sekund. Świadomość Mety jakby się rozdziwiła. Jedna jej część dalej obserwowała, co się dzieje, a druga odpoczywała rozluźniona, oparta o grubą linę.

- Sześć godzin snu to niezbędna medyczna norma nawet dla takich jak my – oznajmił Stary Sus. Tym bardziej, że i tak czekamy na waszych przyjaciół. Głupio by było odejść stąd bez nich, zwłaszcza że przylecą już za chwilę. Pora wstawać. Widzicie? Robi się jasno.

- Ile czasu minęło tak naprawdę? zapytała praktyczna Meta.

- Nie wiem, co pani ma na myśli mówiąc „tak naprawdę”. Lepiej powiedzieć, że tak naprawdę czas w ogóle nie istnieje.

Meta zmarszczyła się na takie tłumaczenie. Stary Sus zawstydził się widać i pospieszył z konkretniejszą odpowiedzią:

- Dla mnie minęło pół minuty, dla was sześć godzin, jak już mówiłem, a dla Morgana i całej jego planety, a także dla tutejszego słońca, mniej więcej dwadzieścia minut. Widzicie? Robi się widno. Mogliby już przylecieć - dodał z wyrzutem.

Niebo nad horyzontem właśnie zaczęło się rozjaśniać. Zmieniało się z ciemnogrnatowego w złocistoróżowe. Lepiej było to widać, kiedy Stary Sus odwrócił się w stronę brzegu i niedbale zdmuchnął napis z nazwą wyspy, niczym świecę. Pozer, pomyślał Jason.

Nie wierzył, że napis można wyłączyć w ten sposób, zwłaszcza że jednocześnie przestało świecić ubranie czarownika, a puszysty zarost Starego Susa przybrał dziwnie nienaturalny wygląd. Jasonowi przypomniał się Święty Mikołaj w czerwonej czapce i z buja brodą z waty - niezmienny atrybut noworocznych świąt na Cassvlii. Stary Sus, jakby czytając w jego myślach, uśmiechnął się i odlepił sztuczną brodę. potem wąsy, zdjął siwą perukę i wreszcie zrzucił płaszcz, pod którym miał lekki kombinezon.

Maskarada się skończyła - ogłosił. - Morgan zna mój naturalny wygląd. A że młodzież nie bardzo przepada za starcami, rozsądniej będzie pojawić się przed nimi w tej postaci.

- Uważa pan, że Morgan osobiście przywiezie naszych przyjaciół? - zapytał Jason.

- Raczej tak - powiedział Stary Sus. - Ale i tak nie weźmiemy go ze sobą.

Jason nie zdążył zapytać, dokąd, bo w następnej chwili na brzeg dosłownie spadła lekka kosmiczna kanonierka, przystosowana do lotów w atmosferze - rzadki widok, jak na Jamajkę.

Ale to okropne lądowanie! Może to Robs tak niefachowo prowadził statek? Za sterem siedział jednak Morgan. Meta odruchowo uniosła pistolet, kiedy przywódca flibustierów pierwszy wydostał się z otwartej kabiny. Dolly i Robs, wypuszczeni na wolność, rzucili się witać swoich starszych przyjaciół.

- Chwała wysokim gwiazdom! - wykrzyknęła Meta.

- Usłyszałaś moje ostrzeżenie? - zapytał Jason Dolly. Bardzo go to interesowało.

- Tak - powiedziała dziewczyna - ale już nie zdążyłam nic zrobić. Ci ludzie potrafią brać zakładników, nie ma co. Prawdziwi profesjonaliści.

- Moja wina - wyznał ze wstydem Jason.

- Eee, niech pan przestanie! - machnął ręką Robs, wyraźnie się popisując.

Oboje bardzo chcieli wyglądać na dorosłych.

Jason uśmiechnął się na wspomnienie nieprzyzwoicie szybko dorastających dzieci z Pyrrusa. Tamte nie mają kiedy marzyć o dorosłości, bo dojrzewają w wieku sześciu czy ośmiu lat. Ale tak nie powinno być.

- Morganie - zaczął Stary Sus wykorzystując moment ciszy jestem wzruszony twoją troską o dzieci. Ten wspaniały liniowiec, nieobecność twoich zbirów, wreszcie pośpiech... to bardzo miło z twojej strony. Ale... muszę cię rozczarować. Nie możesz być obecny przy naszej rozmowie. Zadzwoń do ciebie, jeżeli zdążę, a leżeli nie, Jason ci wszystko opowie.

Morgan patrzył na nich kompletnie zaskoczony.

- Jeśli chcesz, Henry, możesz oczywiście poczekać na nas tutaj. Ale sądzę, że to trochę potrwa, więc lepiej leć do pałacu.

- Specjalnie poniżasz mnie przy Jasonie? - poskarżył się Morgan, naburmuszony jak mały chłopiec.

Jason nie był pewien, ale główny flibustier chyba się zaczerwienił. Może to jednak promienie wschodzącego słońca ubarwiły już i tak rumianą od nadmiaru trunków i kosmicznej opalenizny gębę pirata.

- Nie masz racji - z godnością odpowiedział Stary Sus. Przy Jasonie nikogo nie można poniżyć ani zhańbić. Jest nieśmiertelny, tak samo jak Meta.

Reakcja pirata była niespodziewana. Morgan padł przed nimi na kolana i o mały włos nie rozbił sobie czoła o kamienisty grunt bijąc pokłony. Jasonowi zrobiło się głupio. Jego pojęcie wolności, honoru, sumienia, wszystkich ludzkich wartości i świętości mocno się różniło od rozumienia tych krwiożerców.

- Dlaczego nic nie mówiliście? - jęknął Morgan.

Jason nawet nie raczył odpowiedzieć. a Stary Sus zauważył z pogardą:

- A co, pytałeś? Nic takiego ci nie wpadło do tej głupiej głowy. Morgan milczał, cały czas klęcząc.

- Dobrze, już jesteś wolny - łaskawie pozwolił mu wstać Stary Sus.

Właściciel planety, naczelnik SK, najdostojniejszy z piratów, Nawigator Henry Morgan podniósł się i jak zбитy pies powłókł do swojej kanonierki. Po chwili nie było już ani jego, ani statku.

- Możemy iść - zdecydował Stary Sus.

Cóż, nie mieli wyboru. Ta sytuacja coraz mniej się podobała Jasonowi. Po pierwsze, niewiele z niej rozumiał. A po drugie, Stary Sus, który ochoczo pospieszył im z pomocą, teraz zdawał się przeistaczać ze szlachetnego wybawiciela w tajemniczego osobnika prowadzącego własną grę. Wydawało się, że potrzebował Morgana nie mniej niż Jasona i Mety. Sławetny Wszechmocny Starzec nawet nie próbował ukarać okrutnego zabójcy, który łamał wszystkie dopuszczalne prawa, łącznie z flibustierskim, a teraz uznał swoją porażkę. Mało tego, demonstrując swoją rzekomo bezgraniczną władzę nad Morganem, nawet go nie skarcił publicznie za ciężkie przewinienia, To wszystko zdawało się nie mieć sensu. Jason coraz mniej wierzył, że tutaj poznają wreszcie całą prawdę o Jamajce i o flibustierach w ogóle.

Zrobiło się już całkiem jasno. Wyspa Espaniola wyglądała spokojnie, zacisznie i uroczo, ale była całkiem bezludna. Przedtem w całkowitej ciemności wydawało się, że lądują na przystani. Teraz zobaczyli na tym miejscu piaszczystą mieliznę, a dalej przybrzeżne skały. Nad nimi jeszcze niedawno wisiał napis, który nie wiadomo skąd się wziął. Prawdopodobnie gdzieś blisko zamontowano laserowe reflektory, bardzo dobrze ukryte.

Przeszli po wąskiej dróżce, zbliżyli się do urwistej skały i nagle zupełnie jakby się znaleźli w dziecięcej bajce.

Ogromne kamienne płyty rozsunęły się w dwie strony, odsłaniając wejście do gigantycznej jaskini. Pośrodku tego mrocznego pomieszczenia stał złocisty statek kosmiczny, emanujący własnym światłem. Jason wystarczająco dobrze znał się na międzygwiazdnych pojazdach, żeby wiedzieć, że ich powłoka sama nie promieniuje, wręcz przeciwnie, pochłania i odbija promienie. A w ogóle „Gwintoróg” czy „Okrotkawi” nie powinien stać w takiej pozycji, jeżeli miał być wykorzystany zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

Wygląda na to, że znaleźli się nie w porcie kosmicznym, a w jeszcze jednym kościele, w którym niewykształceni ludzie czczą kolejnego „zwierisa”, a Stary Sus nie jest pilotem statku, lecz zwykłym kapłanem, nie różniącym się wiele od swoich parafian pod względem umysłowym. Ale coś tu nie pasowało: taki nierozgarnięty kapłan, nie rozumiejący nic z techniki międzygwiazdnej, a jednocześnie nieśmiertelny przedstawiciel innej rasy. A to, że Sus jest nieśmiertelny, nie budziło wątpliwości.

Jason złapał się na myśli, że już ostatecznie stracił szacunek do mitycznej postaci. Uznał, że nie pasuje do niego przymiotnik „Stary”.

- Możemy mówić panu po prostu „Sus”? - zapytał grzecznie

- Jak wolicie. Widzę, że nie jesteście ciemnymi głupcami. Piraci, którym zdarzało się bywać tutaj, na wszelki wypadek padali na twarz przed świątynią.

- Nie jesteśmy piratami - odpowiedział Jason spokojnie. - Zresztą to nie żadna świątynia. To, co widzimy, to po prostu statek międzygwiazdny. Dokładnie takim latali i może do tej pory latają moi rodzice. Może ich znasz, Sus?

Sus przekrzywił głowę i z ukosa popatrzył na Jasona. Wyraźnie nie miał zamiaru odpowiadać na żadne pytania. Przynajmniej na razie.

- Posłuchaj, przyjacielu - powiedział wreszcie. - Mamy dużo do omówienia, a czasu mało. Pozwól więc, że najpierw powiem ci to, co najważniejsze, a potem, jeżeli zdążę, odpowiem na pytania.

Jason nie miał nic przeciwko temu, tym bardziej że nie wiedział, o jakie to ważne rzeczy chodzi. Meta też nie miała o tym pojęcia.

- Tysiące lat temu - zaczął Stary Sus - bogowie powierzyli mi tę świątynię i kazali ją chronić.

- Bogowie? - nie wytrzymał Jason.

Bardzo chciał ustalić, o kim dokładnie mowa.

- Przecież prosiłem, żebyś mi nie przerywał. Tak, bogowie! Tak będziemy ich nazywać, żeby było prościej. Mógłbym powiedzieć „nieśmiertelni”, ale to nie jest dokładnie to, o co chodzi. Sam jestem nieśmiertelny, wy tak samo. A tamci byli bogami. Mijały lata, mijały stulecia, a ja chroniłem świątynię, bo wiedziałem, że przyjdzie dzień i godzina, kiedy zażądają jej z powrotem. Mojego *auksnis zwieris*. Podróżowałem po różnych planetach, nie poprzez kosmos, a metod przemieszczania się przez *rwanaur*. Zazwyczaj *auksnis zwieris* podawał mi sygnał do startu: wchodziłem do środka, a kiedy wychodziłem, znajdowałem się bardzo daleko od miejsca, gdzie byłem przed chwilą.

Jason zaczynał się nudzić. Facet opowiadał mu o hiper-przejściach, jak uczniowi na zajęciach fizyki, tylko mniej interesująco. A to bardziej przypomina czytanie parafianom tekstów kanonicznych. Lepiej by wytłumaczył, skąd się biorą *rwanaury*. Chyba nawet nie wie, dyletant. . .

- ...wiele razy się zdarzało, że gubiłem się w niezliczonych przemieszczeniach, w różnych planetach; zapomniałem, jak się nazywa mój własny świat, nie wiedziałem, jaki jest sens życia. Ale pamiętałem, że *auksnis zwieris* to świątynia. Wśród różnych narodów głosiłem wiarę w świątynię. Wtedy po raz pierwszy nazwano mnie Starym. Później „Stary Sus” stało się moim nierozdzielnyim imieniem. We wszystkich językach, jakie znałem.

Aż któregoś dnia przypomniałem sobie, z jakiej jestem planety. W pamięci jak ogień błysnęło jej imię - T'junis. To już było coś. To był znak. Wtedy stwierdziłem, że muszę przypomnieć sobie wszystko. Ale jak? We wnętrzu *auksnis zwieris* stał komputer; próbowałem znaleźć tam informację, która pomoże mi zrozumieć, kim jestem i po co żyję. Ale widocznie bogowie mnie ukarali; wszystkie dane w komputerze były zablokowane.

Wtedy postanowiłem oszukać bogów. Przypomniałem sobie, że istnieje inny sposób, by rozwiązać starożytną tajemnicę: oprócz komputerów istnieją również książki. Na wszystkich planetach szukałem starożytnych woluminów. I wreszcie dopisało mi szczęście.

Planeta nazywała się Tortuga. Mieszkali tam bardzo mądrzy i bardzo źli ludzie. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że wiedza nie ma żadnego związku z dobrem i złem. Chciałem wyzwolić tych ludzi od zła, ale bogowie podpowiedzieli, że najpierw muszę wyzwolić ich od księzek. Zaproponowałem im wymianę setki tomów z ich kolekcji na duże pieniądze. Tak, bo teraz już wiedziałem, skąd wziąć pieniądze.

Wyczytałem w książkach, że moja świątynia to unikatowy międzygwiazdny statek, wart ogromnych sum. Jednak żeby je dostać, trzeba było sprzedać duszę diabłu. Długo się zastanawiałem nad sensem tego zdania i



wreszcie zrozumiałem. Oznaczało to, że muszę powierzyć świątynię najpodlejszemu człowiekowi, jakiego znałem, geniuszowi zła - inżynierowi Missonowi.

Pierwsza pożyteczna informacja, pomyślał Jason. Jak długo i bezładnie opowiada swoją historię ten młody starzec! W dodatku twierdzi, że ma ograniczony czas!..

- On jeden potrafił kierować złotym statkiem międzygwiazdowym. A przebywał wtedy na Jamajce. Mieszkańcy Tontugi, którzy nazywali siebie bukanierami, załadowali książki na mój statek. Nikt nie widział, jak wsiadłem do środka i opuściłem planetę, jak zwykle przez *rwanaur*. Dotarłem na Jamajkę, posadziłem Missona za sterami mojego statku, a on od razu podniósł świątynię w powietrze i poleciał w kosmos. Niebawem trafiliśmy na nie lubianą przez Boga planetę Cassylia. *Auksnis zwieris* zdeponowaliśmy w banku. Nie potraficie sobie nawet wyobrazić, jakie pieniądze dostałem za niego od Rodgera Wayne'a.

- Bardzo dobrze sobie wyobrażam - pozwolił sobie na komentarz Jason. - Setki miliardów kredytek.

Sus zamilkł na parę sekund. – 168, masz rację, Jasonie. Ale już wtedy przysięgłem, że wykupię złoty statek kosmiczny, nieważne ile to będzie kosztowało. No i wykupiłem, kiedy Jamajka wzbogaciła się wystarczająco dzięki zuchwałym napadom i zwycięskim wojnom.

- Na zabójstwach dzieci - dodał Jason - na rabunkach bezbronnych statków handlowych i turystycznych, na podbijaniu słabo rozwiniętych planet, na walce miotaczami przeciwko łukom i strzałom. . . Takie „bohaterskie czyny” nazywasz zwycięskimi wojnami? - wybuchł.

- To wszystko tylko słowa - odpowiedział Sus spokojnie. Najważniejszy jest rezultat. A ja miałem cel: zebrać w jednym miejscu jak najwięcej zła. Jamajka stała się centrum Wszechświata; przyciągała i nadal przyciąga do siebie świństwa i brud, podłość i nienawiść. Najokrutniejsi, pozbawieni zasad ludzie zebrali się właśnie tutaj.

- Ładnie to określiłeś - ocenił Jason. - Ale wytłumacz mi, po co trzeba było zbierać całe zło w jednym miejscu? To niewinne, zupełnie naturalne pytanie wprowadziło Starego Susa w zakłopotanie. Zadumał się posepnie.

- Nie wiem - przyznał wreszcie, chyba szczerze.

Pomysł, żeby zebrać całe zło Wszechświata w jednym miejscu, nie był nowy. Ktoś nie tak dawno nadał mu nazwę „teorii intelektualnej asenizacji”. Już w starożytności byli mędracy, którzy proponowali zebrać wszystkich złodziei razem, jak plony z pola, i zniszczyć jednym uderzeniem. Wtedy cała reszta - to znaczy dobrzy ludzie - żyłaby sobie jak w niebie. Wymyślono nawet, by jako nagrodę przyznać tym najlepszym honorowe prawo likwidacji złodziei.

O, wysokie gwiazdy, czyżby i ten piracki prorok mówił w czyimś imieniu?!

- Czy przypadkiem nie zamierzasz wysłać Jamajki do innego Wszechświata i zamrozić tam pod grubą warstwą lodu? - zapytał Jason prosto z mostu. - Odpowiadaj: tak czy nie?

Zakłopotanie w oczach Starego Susa zmieniło się w przerażenie. Czyżby się bał, że schwytano go za rękę i że osoba jego mocodawcy została rozszyfrowana? Jason nie wymienił przecież złowieszczego imienia - Theodor Solvitz. Niech lepiej Sus sam powie bo nie wiadomo, czym to się skończy. Ale Sus uparcie milczał.

Jason odezwał się pojednawczo:

- Przepraszam. Może za wcześnie zacząłem zadawać pytania?

- Trochę za wcześnie - zgodził się Sus. - Jeszcze nie powiedziałem tego, co najważniejsze. Niedługo otworzy się *rwanaur* i w tedy odejdę. Ale *auksnis zwieris* zostanie. Tego chcą bogowie. A ja nigdy nie wrócę. Bogowie przekazują Jamajkę tobie, Jasonie.

- Mnie? - szczerze zdziwił się Jason. - A na co mi ona?

- Powiedziałem, że za wcześnie jeszcze na pytania. Wysłuchaj mnie do końca. Bogowie przepowiedzieli, że następnym stróżem świątyni będzie nieśmiertelny, który nie całkiem dobrowolnie przyleci na planetę flibustierów z młodą, zielonooką wiedźmą. To wszystko.

- Twoi bogowie rzeczywiście umieją przepowiadać przyszłość.

- Nie mów o bogach takim tonem, Jasonie. Bogowie umieją wszystko.

- Bzdura - ostro zaprotestował Jason. - Nikt nie umie wszystkiego. Zresztą, skąd wiesz, czy ja nie jestem bogiem?

Sus zasępił się.

- Nie mnie o tym sądzić. Zostałem tylko upoważniony, żeby przekazać ci, że po moim odejściu ty zostaniesz dla tej planety Starym Susem. Wszyscy będą cię za niego uważali, a dla bogów jesteśmy na tym świecie wymienialni, jak dyżurni.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dość dwuznacznie. Jason nie skomentował go, tylko odpowiedział, jakby wbrew sobie:

- Jak miło! Przez całe życie marzyłem, by zostać Starym Susem. Czy mogę już zadawać pytania? - dodał.

- Teraz możesz.

- Kim są ketczerowie?

- Nie wiem. We Wszechświecie dużo jest wojowniczych ras. Akurat ketczerowie nie przedstawiają sobą niczego szczególnie ciekawego.

- Może masz rację. A kto zbudował ekran wokół Jamajki? Kiedy? Czy to też jest nieciekawe?

- Nie, dlaczego? Ekran mógł zbudować tylko jeden człowiek. Misson, jeszcze przed wylotem na Cassylię. A steruje nim osobiście Henry Morgan. Walizeczka z procesorem od dawna jest u niego.

- A Stary Sus nie ma do niego dostępu ze względu na stanowisko?

- Nic nie rozumiesz! Miałem i mam prawo dostępu do wszystkiego, ale nigdy nie rządziłem tą planetą. Po prostu słuchają moich opinii, bo muszą. Ale gdybym zaczął wtrącać się w politykę, w rabunkowe loty flibustierów, w wojny, nie starczyłoby mojej magii, żeby przeżyć. Flibustierzy są tępi i okrutni.

- Nawet Morgan? Jesteś niesprawiedliwy.

- Morgan to wyjątek. Jest zadziwiająco mądry. Starłem się więc wpływać na niego inaczej. Nawiązałem z nim kontakt umysłowy. Próbowiałem kontrolować tego człowieka, czasami nawet nieźle mi szło. Kiedy pojawiliście się na planecie, nasz kontakt stał się bardzo ścisły. W pewnych momentach byliśmy niemal jedną osobą, właśnie to pozwoliło mi was uratować.

- A kapłan?

- Ratowania kapłana nie miałem w planie.

- Rozumiesz jak android, jak komputer! - wściekł się Jason. Czy ty przynajmniej wiesz, co to jest miłość? Czy jesteś zdolny do szalonych czynów?

- Dziwne pytania zadajesz, Jasonie. Przyzwyczailem się do tego, zawsze rozumować i postępować tylko tak, jak przepowiedzieli Bogowie.

- Mam cię dość, stary. Tym bardziej, że już nie jesteś Susem. Stary Sus to ja! - ryknął Jason. Nagle poczuł tak dobrze mu znany przyływ natchnienia.

I w tym momencie otworzył się *rwanaur* w ścianie jaskini.

- O, ciemności przestrzeni! Czyżbym już umiał otwierać hiper tunele? - wykrzyknął Jason.

Sus nic nie odpowiedział. Ledwo zdążył wejść w czarną dziurę, kiedy okienko do krzywoprzestrzeni się zamknęło. W ogromnej ciemnej jaskini zrobiło się bardzo cicho.

- Można tym gdzieś polecieć? - zapytał Robs, przerywając nieprzyjemną ciszę.
- Myślę, że nie - powiedział Jason. - Potrzebna jest jeszcze walizeczka Morgana.
- I wiedza Missona - dodała Meta. - Wiem trochę o pomysłowych urządzeniach tej starożytnej złotej balii. Mówili nam o tym na studiach. Zaprojektowano tu krzyżowe zakodowanie systemów.
- W takim razie to jest pułapka - cicho powiedział Robs. - Przecież drzwi są zamknięte.
- A ja uważam, że to nie pułapka - twardo sprzeciwiła się Dolly - Możecie mi wierzyć albo nie, ale potrafiłam odczytać część myśli tego wariata.

19

Wychodziło na to, że kolejny statek kosmiczny „Baran”, jaki spotkał na swojej drodze Jason, znów okazał się nieprzydatny. Starczyło mu energii tylko na to, by otworzyć ciężkie bramy jaskini. Jednak nie była to tylko pamiątka starożytnej epoki. Na statku znajdował się środek łączności. Bardzo cenne środki łączności. Z ich pomocą łatwo było wejść na falę Służby Sprawiedliwości, nawet na osobisty kanał Morgana czy sekretny kanał Korpusu Specjalnego Nie mówiąc o tym, że mieli teraz w rękach specjalny jump-nadajnik, przy użyciu którego można było nawiązać kontakt z Pyrrusem.

Pokusa była wielka, ale nawet Meta przyznawała, że nie warto. Tym bardziej w nowej dla nich sytuacji. Jason po chwili milczenia podsumował:

- Nie powinniśmy łączyć się teraz z Kerkiem albo Rhesem. Nie chodzi o to, że wykorzystywanie statku kosmicznego jest niebezpieczne. Do łączności z Pyrrusem wystarczyłby mały psi-nadajnik. Mam taki, ale nawet nie wiem, kto mi go podrzucił... Oto gdzie kryje się pułapka! Mogli się spodziewać, że od razu zechcę się połączyć. Tutaj świetnie działa podsłuch na wszystkich elektromagnetycznych i psi-diapazonach. Nie, nie możemy się połączyć powtórzył. - Narazimy rodzinną planetę, a sobie zaszkodzimy. Głupio byłoby wpaść teraz, kiedy już prawie zwyciężyliśmy.

- Co znaczy „prawie”? - zdziwił się Robs. - Czy pan nie jest teraz ważniejszy od Morgana?

Jason uśmiechnął się na to naiwne pytanie.

- Zadzwonimy do starego Henry'ego i wszystkiego się dowiemy.

Do diabła ze specjalnymi aparatami, pomyślał. Skorzystamy z prostej bransoletki. Kto wie, gdzie Morgan może teraz być?

Był u siebie w gabinecie, ale bransoletkę - telefon, jak często mu się zdarzało, zostawił sekretarce.

- Daj mi Morgana! Szybko! przynaglił Jason.

- Cześć, Stary Susie - odezwał się przywódca.

- Mówi Jason.

- Przecież mówię: cześć, Stary Susie - uparcie powtórzył Henry tym samym bezbarwnym głosem.

Jason zrozumiał. Morgan bał się, że Jason zawładnie jego świadomością, jak robił to kiedyś poprzedni Sus, a wtedy byłby koniec jego pirackiej władzy. Ale Jason nie umiał zdławić cudzej woli i za pośrednictwem myśli dyktować swoich warunków. Nawet nie wyobrażał sobie, od której strony zacząć.

- Morganie, słyszysz mnie? - zaczął surowo. - Nie jestem taki jak Stary Sus. Nie będę włożył w twój mózg, jeżeli obiecasz mi pracować uczciwie. Umówiliśmy się co do wspólnych projektów, pamiętasz? Potrzebny mi jest twój umysł, nie tylko twoja planeta, moje statki i twoje zbiry. Zrozumiałeś, Morganie? Musisz obiecać, że mnie nie zdradzisz, w przeciwnym razie...

- Obiecuję - ryknął Morgan, nie dając mu ukończyć. Widocznie nie chciał nawet słyszeć, co będzie w razie nieposłuszeństwa. Jasonie, czy masz już jasny obraz naszego projektu?

- Oczywiście! Wiem już wszystko, do najmniejszego szczegółu. Porozmawiamy, jak tylko wrócę. Aha, jeszcze jedno. Przekaz wszystkim, że nie chcę nosić cudzego imienia. Stary Sus ma zostać Starym Susem.

- Dobrze, tylko wracaj szybko. Czekam na ciebie! - Morgan płonął z niecierpliwości, ale wyraźnie spieszył się z pożegnaniem. Zapadła niezręczna cisza.

- Rzeczywiście uważasz - zapytał wreszcie Jason - że możemy dotrzeć do miasta tym statkiem, który stoi w jaskini?

- A czemu nie?

Wydawało się, że Morgan rzeczywiście nic nie rozumiał. Zabawne.

- Zajmiemy się tym później. A na razie przyślij nam coś latającego. - A może pływającego? - nieśmiało zapytał Morgan. - Naród Królewskiego Miasta lepiej zrozumie, jeżeli przybędziesz wodą.

- Przekonałeś mnie. Pokołyszę się na falach jeszcze raz. Kołysać się na falach było teraz całkiem przyjemnie. Pogoda była wspaniała, a łódź bardzo komfortowa; nie mogło być inaczej, należała w końcu do Navigatora. Jednym słowem, Jason znowu zaczął się czuć jak w uzdrowisku, jakby udawał się na rozrywkową przejażdżkę po morzu. Postanowił podzielić się swoimi wrażeniami.

- Meto, jak dziwnie wszystko się układa! Do tej pory na wszystkich planetach obrywałem porządne cięgi. Zdarzało się, że cierpiałem zimno, głód, rany... za każdym razem byłem o włos od śmierci. A teraz... to chyba cud, latam z planety na planetę i nic, nawet zadrapania! Dziwne.

- Nie kuś losu, mówią w takich przypadkach Jamajczycy - odpowiedziała Meta. - Naprawdę, Jasonie. Jeszcze coś wykraczesz!.. Rzeczywiście wykrakał.

Mieszkańcy Królewskiego Miasta witali ich naprawdę radośnie czekali na nich z kwiatami, muzyką, z niezliczonymi ucztami; strzelane w powietrze kulami, petardami i korkami od szampana - na przemian.

Ale znalazł się jeden przedstawiciel narodu, który postanowi przywitać go na swój własny sposób. Nikt się nie spodziewał takiego końca i nawet wszechobecni pracownicy SS nie bardzo pilnowali swoich strzelb.

Od przystani wieźli ich przez całe miasto otwartym samochodem. Przy samej bramie, kiedy wyszli do nich wyelegantowani przywódcy flibustierów, naczelnicy służb, najbogatsi ludzie Jamajki z radośnie uśmiechniętym Henrym Morganem w samym centrum tłumu nagle rozległ się strzał. Wycelowany w Jasona. Monbar zdążył wystrzelić trzykrotnie. Pierwsza kula trafiła Jasona w pierś, przeszła na wylot i wbiła się w siedzenie między Robsem a Dolly. Druga była przeznaczona dla Dolly ale też trafiła w Jasona, który zdążył zareagować i przykrył sobą dziewczynę, odpowiadając jednocześnie na strzał. Pocisk zatrzymał się w ciele, o centymetr mijając serce. Trzecia kula Monbara poleciała w powietrze, bo Meta, w przeciwieństwie do Jasona, nie spudłowała i trafiła pirata prosto w oko.

W tym momencie najostrzejsza szabla na Jamajce - sławna szabla Henry'ego Morgana - gwizdnęła nad ramionami Monbara i głowa z kulą w oku potoczyła się po kamiennych płytach.

Był to ładny gest, zwłaszcza w pojęciu flibustierów, ale zupełnie niepotrzebny. Z kulą w oku nikt jeszcze nie przeżył. Ale Morgan albo ufał tylko sobie, albo z siebie tylko znanych powodów musiał mieć pewność, że Monbar nie żyje.

Dlaczego nie pospieszył się tak na statku, twierdząc, że Monbar to potrzebny człowiek? Co się zmieniło? Jakie tajemnice mógł znać szalony i zdeprawowany Monbar? Co mógł zdradzić swoim braciom-piratom? A jeżeli to właśnie on ukradł Morganowi psi-nadajnik i przez kapłana podrzucił Jasonowi?

Ale te pytania Jason zadawał sobie trochę później. Na razie słoneczny dzień pograżył się w czarnej mgie, jaskrawe barwy święta, wesoła muzyka i krzyki - wszystko utonęło w ciszy.

Pyrrusanie nigdy nie rozstawali się z uniwersalnymi apteczkami. W dodatku organizmy nieśmiertelnych dużo efektywniej zwalczały rany niż ciała zwykłych ludzi. Niepoślednią rolę odegrało również to, że na Jamajce były niezłe, nowoczesne kliniki. Nazajutrz Jason oprzytomniał. Po dwóch dniach mógł normalnie rozmawiać, a po następnych dwóch wrócił do mieszkania.

Meta prawie nie odchodziła od męża, nie ufając nikomu - ani lekarzom, ani pielęgniarkom, ani tym bardziej flibustierom, którzy pchali się, by odwiedzić swojego postrzelonego proroka. Wszyscy widzieli, jakie rany odniósł Jason, więc łatwo uwierzyli w jego nieśmiertelność. Już nie nazywali go Starym Susem. Był teraz dla nich po prostu Wielkim Jasonem. Flibustierzy i bukanierzy, witalierzy i prywatierzy byli gotowi pójść za nim choćby w ogień i tylko niecierpliwie czekali na rozkaz.

- Nikt już nie będzie do mnie strzelał. Wpuść tych idiotów poprosił Jason Metę. - Niech padną do stóp swojego bóstwa.

- Mowy nie ma! - zdenerwowała się Meta. - Nikogo nie wpuszczę. Dopiero na trzeci dzień zrobiła wyjątek dla Henry'ego Morgana. Rozmowa okazała się ważna dla nich obu.

- Trochę mi jeszcze trudno mówić - przeprosił Jason. - Będę się streszczał. Chcę, żebyś zrozumiał najważniejszą rzecz. *Auksnis zwieris* to niezwykły statek kosmiczny klasy Baran, statek bogów. Ale żeby doprowadzić go do całkowitej gotowości, potrzebne jest jeszcze coś: twoja walizeczka z procesorem do sterowania ekranem.

- Wiem - przytaknął Morgan. - Misson latał tym statkiem bogów.

- I co? - niewinnie zapytał Jason. - Dlaczego go nie używacie do walki?

- Walczyć na statku bogów? - Morgan był wstrząśnięty. - Ale przecież on nie zawsze wykonuje rozkazy...

- No właśnie - powiedział Jason. - Latać za pośrednictwem *auksnis zwieris* z planety na planetę to prawie to samo, co okopywać ziemniaki za pomocą ciężkiego czołgu. Posłuchaj uważnie, Henry. Aby skutecznie sterować statkiem międzygwiazdowym klasy Baran, potrzebny jest jeszcze jeden element. Znam planetę, na której on się znajduje, ale nikt tam tego nie sprzeda. Trzeba będzie tę rzecz zdobyć. Razem z całą planetą.

- Jesteś gotów, Morganie? To nie będzie łatwe. Jej mieszkańcy to, być może, najlepsi wojownicy Galaktyki.

- Jestem gotów, Jasonie.

- Cieszę się. To wszystko na dzisiaj.

Ale nagle zapytał:

- Dlaczego Monbar do mnie strzelał?

- To chyba oczywiste - zdziwił się Morgan. - Chłopak zupełnie zwariował od narkotyków. Ubzdurał sobie, że ratuje naszą planetę od wiedzy i złego czarownika.

Morgan spróbował się roześmiać, ale nie bardzo mu to wyszło, tym bardziej że Jason zaczął kaszleć. Przebite płuco jeszcze nie zagoiło się do końca. Może dlatego nikt nie zauważył, że Dolly cicho jęknęła. Nie mogła się już powstrzymać.

Teraz, w szpitalu dziewczyna nie zaryzykowała wyjaśniania czegokolwiek i dopiero następnego dnia, już w domu, Jason dowiedział się, co Dolly wyczytała w myślach flibustiera. Były powody, by się martwić.

Okazało się, że to sam Henry Morgan sprowokował Joego Monbara do zamachu. Jednak - w coś takiego nawet Jason nie od razu uwierzył! - nie po to, by się pozbyć przybysza i młodej branki, a po to by sprawdzić, czy rzeczywiście jest nieśmiertelny. Oł, flibustierska logika.

- Czytałam, że na starej Ziemi mniej więcej w ten sam sposób sprawdzali kobiety, czy nie są wiedźmami - przypomniała sobie Dolly. - Rzucali je do wody: jeżeli utonie, to znaczy, że nie jest czarownicą i można ją godnie pochować; jeżeli nie utonie, to znaczy, że na pewno wiedźma. Wtedy palili ją na stosie.

- Humanitarny zwyczaj - ocenił Jason i dodał po chwili: - Dolly, ty rzeczywiście uważasz siebie za czarownicę?

- Nie wiem, nie jestem pewna - poważnie powiedziała dziewczyna. - Widzicie, jakie mam oczy? Zielone jak kotka...

- Przestańcie gadać bzdury! - wściekła się Meta. - Czy nawet po tym wszystkim, Jasonie, masz zamiar odbyć podróż z Morganem.?

- Ależ oczywiście, kochanie. Tym bardziej! A co innego proponujesz?

- Wezwać tutaj Kerka na „Argo” z całą ekipą i zrobić z tej przeklętej planety nowe słońce.

- To wszystko? - zapytał Jason.

- Wszystko! - odpowiedziała Meta wyzywająco.

- Za dużo minusów - spokojnie zaczął Jason. Miał ochotę zdenerwować trochę ukochaną. - Po pierwsze, nie jest tutaj tak bardzo źle. Po drugie, po prostu się nudzę i mam ochotę na przygodę. Po trzecie, to, co proponujesz, byłoby niebezpieczne. Statków klasy „Argo” tutaj nie mają, ale tuzin podobnych „Konkwistadorowi” to już poważna siła. A jeżeli włączyć nieruchawego, ale bardzo mocnego „Aligatora”. . .

Dolly siedziała w kąciku na fotelu i pilnie coś zapisywała. Robi notatki z mojego wystąpienia, czy co? - przyszła Jasonowi do głowy paradoksalna myśl.

- Streszczaj się - nie wytrzymała wreszcie Meta.

- Krótko mówiąc, udamy się z Morganem na szlak bojowy polecimy całą ogromną eskadrą. Inaczej nie da się zdobyć najważniejszego elementu statku bogów... Mam nadzieję, że domyśliłaś się, na jaką planetę weźmiemy kurs?

- Tak - powiedziała Meta. - Chyba zwariowałeś!

Pistolet już tkwił w jej ręce, wymierzony w Jasona. Jakby w jednej chwili wszystkie lata ich wspólnego życia poszły w zapomnienie, a przed dumną córą Planety Śmierci stał żaloszny, ale pewny siebie i bezczelny przybysz.

- Czyżbyście... ty i wszyscy twoi bracia... odmówili walki z wrogiem?

Jason już dawno zrozumiał, jakimi argumentami należy przekonywać Pyrrusan. Tym razem też się nie pomylił.

- To chyba jasne, że jesteśmy gotowi walczyć. - Ręka z pistoletem powoli opadała. - Przecież powiedziałam, że przylecimy tutaj i rozwalimy ich.

- Nic z tego - powiedział Jason. Na własnym terytorium będziemy mieli więcej szans, by zwyciężyć. Wróg jest zbyt silny, nie wolno ryzykować. Na rodzinnej planecie Pyrrusanie nie potrafią przegrać. Tym bardziej, że zmylimy Morgana poszukiwaniem tak ważnej dla niego rzeczy.

- Myślisz, że długo będzie szukał tego niezbędnego elementu? - mruknęła Meta. Już się uspokoiła.

- Bardzo długo - zapewnił Jason. - Będziemy go dobrze chronić. Możemy na przykład wykorzystać „zionącego ogniem smoka”. Pamiętasz tę zabawkę z planety Egrisi?

- Pamiętam. No i co dalej?

- Jeszcze nie wymyśliłem.

- A widzisz - skarciła go Meta.

- Ale to jedyna słuszna droga. Zabijać ich wszystkich tutaj, i to własnymi rękami... To zbyt honorowe zajęcie!

- Właśnie! - Jakby się obudziła. - Ale jak uprzędzimy swoich?

- To bardzo ważne pytanie. Też już się zastanawiałem.

- Ja też! - niespodziewanie i radośnie ogłosiła Dolly. - Przyszedł do was telepatogram z Pyrrusa.  
- Co?! nie rozumiał Jason. Tele - pato - gram? Co to znaczy?  
- Zobacz, tutaj, zapisałam: „Wiadomość przyjęta. Sytuacja zrozumiana. Czekamy na konkretne wskazówki od Jasona. Kerk”.

- Żartujesz, czy co? Skąd ta wiadomość?

Dolly prawie się obraziła:

- Nie bez powodu nazywano mnie w szkole wiedźmą. Zawsze lubiłam znaleźć gdzieś w kosmosie silnego telepatę i porozmawiać z nim otwarcie. Mam już kilka takich dziewczyn i nawet dwóch chłopaków. Jedna z koleżanek nazywa się Midi. Okazuje się, że mieszka teraz u was, na Pyrrusie. Więc porozmawialiśmy. Opowiedziałam waszym przyjaciółom wszystko, co najważniejsze. O tej planecie, o Morganie, w ogóle o naszych sprawach...

Czekaj, czekaj, a te twoje telepatemy... czy można je przechwycić za pomocą psi-nadajników?

Ależ skąd! - zdziwiła się Dolly. - Tysiące razy sprawdzałam. Nie nauczyliśmy się nawet siebie podsłuchiwać.

Jason chwycił się za głowę i zaczął chodzić po pokoju. Przypomniał sobie, jak kiedyś wszedł w krótki, ale intensywny kontakt telepatyczny z młodą Midi, która wtedy była jeszcze księżniczką na planecie Egrisi. Tak, miała wyraźne zdolności! Ale kto mógł przypuszczać, że aż takie? Po prostu niewiarygodne! Wydarzenia jeszcze raz zrobiły pętlę w czasie i przestrzeni. Trudno to było na razie sobie uświadomić. Jedno było pewne: dzisiaj powodzenie znowu odwróciło się twarzą do nich.

- Meto, to wspaniale - odezwał się Jason. - Widzisz, a ty się bałaś! Wszystko będzie dobrze. A taką okoliczność...

- Jeszcze za wcześnie - ostudziła go Meta. - A palić tutaj nie wolno.

- No to chociaż nalej mi soku - zgodził się Jason. - Tylko żadnej lokalnej egzotyki, po prostu uczciwego jabłkowego, jeżeli można. Wypijemy za nasz sukces.

Meta poszła po sok, a przez otwarte okno niespodziewanie wtargnął wiatr. Podniósł ze stołu cienką kartkę z telepatogramem i zaczął krążyć z nią po pokoju, jakby pokonawszy miliony parseków, rzeczywiście przyleciał tutaj z ich dalekiej rodzinnej planety.

## Część II

### Piekło flibustierów

1

Żółtobiały, jak ludzka czaszka, bezoki i nieprzyjemnie lśniący tuzinóg z niespodziewaną dla niego szybkością wlaźł po fałszburcie i zawisł, czepiając się długim czułkiem, oblepionym ze wszystkich stron ssawkami. Archie trącił go na wszelki wypadek elektrycznym oszczepem, ale uparty morski potwór, wstrząsając się od uderzenia prądem, spadł na pokład zamiast z powrotem do wody. Trzeba było za pomocą tego samego oszczepu zepchnąć głowonoga do dziury portyku sztormowego.

Kerk, obserwując ten proces, cały czas trzymał tuzinoga na muszce. Chyba z trudem powstrzymał się, by nie strzelić.

- Widzisz, Kerk, właśnie o tym ci mówiłem: im bliżej Epicentrum, tym większe są stada tych mięczaków.

- I nie są agresywne?

- Na razie nie. Ten wlaźł na burtę raczej z ciekawości. - Pewnie chciał się dowiedzieć, ile jest krwi w naszych ciałach ponuro zażartował Kerk.

- Gdybyśmy mu pozwolili - zgodził się Archie - oczywiście by się przyssał, ale przecież sam nie atakował.

- Wszyscy jesteście teoretykami - warknął Kerk. - Ile zostało do Epicentrum?

- Z pięć kilometrów, nie więcej - odpowiedział Archie. Pogoda była wspaniała. Na niebie ani jednej chmurki, morze spokojne jak sadzawka. Słońce przygrzewało. Wszystko mogło się zmienić w mgnieniu oka, jak przystało na podstępny pyrrusański klimat, ale na razie warunki sprzyjały i nikt nie chciał przegapić tej chwili.

Po niedawnej zmianie rzeźby terenu w związku z mocnym trzęsieniem ziemi epicentrum telepatycznej aktywności pyrrusańskich organizmów (które nazywano po prostu Epicentrum) znowu znalazło się prawie na lądzie - o dwadzieścia kilometrów od najbliższej dużej wyspy. Dno oceanu podniosło się tutaj na tyle, że wyszkolony człowiek mógł dosięgnąć go bez akwalungu. Ale tylko szalenie zaryzykowałby kąpiel w pyrrusańskim oceanie bez dobrze opancerzonego batyskafu, zwłaszcza w takim miejscu.

A miejsce było doprawdy zadziwiające. Epicentrum, dawno temu wyznaczone przez Jasona za pomocą telepatycznego aparatu pomiarowego własnej roboty, ani razu nie zmieniało swoich graficznych współrzędnych, bez względu na wszystkie kataklizmy. Nie przesunęło się ani na sekundę, jakby było związane z płynnym jądrem planety Pyrrus albo z jakimś magicznym punktem na synchronicznej orbicie w kosmosie. A przecież od tamtej pory dnia się wydarzyło. Najpierw był potężny wybuch nuklearny, który przeprowadzono na rozkaz Kerka w morskiej głębi i który pochował tajemniczą jaskinię razem z całą wyspą. Potem zdarzyło się kilka małych trzęsień ziemi, spowodowanych przez wybuchy wulkanów na sąsiednich wyspach albo pod wodą. Wreszcie nadeszło ostatnie, największe za pamięci większości Pyrrusan trzęsienie ziemi, które spowodowało tsunami i zniszczyło niedawno wybudowany port morski, przeznaczony głównie do celów naukowych. Statek badawczy „Wong” z bezcennymi urządzeniami na pokładzie na szczęście dryfował w tym momencie dość daleko od brzegu i dlatego ocalał.

Właśnie z niego odbili teraz szybkim kutrem z płaskim dnem Kerk i Archie. Duży statek nie miał szans, by zbliżyć się do Epicentrum - skaliste mielizny i rafy koralowe otaczały teraz to miejsce. A Kerk chciał osobiście upewnić się co do rezultatów ostatnich wyliczeń młodego naukowca. Nie zaszkodzi też przywódcy Planety Śmierci jeszcze raz zajrzeć do złowieszczej głębi. Przez przezroczystą cichą wodę będzie mógł dużo



zobaczyć i przynajmniej naładować się nową porcją nienawiści. Ostatnio żyli zbyt spokojnie, co im wcale nie służyło. Co to za zajęcia dla prawdziwych Pyrrusan: postrzelać trochę wokół portu kosmicznego, przeczyścić podziemny tunel transportowy, gdzie przez śluzy i kanały wentylacyjne od czasu do czasu trafia jakieś żywe paskudztwo, albo wreszcie zrobić jeszcze jeden wypad do dżungli w poszukiwaniu nowych gatunków zwierząt. Niepoważne. Naukowców zrobiło się na planecie więcej niż wojowników. A kto nie walczy, ten nigdy nie zwycięża.

Tak myślał weteran pyrrusańskich walk Kerk, kiedy podpływali do Epicentrum, tajemniczego i nieprzystępnego jak zwykle.

Ale nie udało się niczego zobaczyć. Nawet Archie, który intensywnie rozmyślał o stadach głowonogów, nie był gotów do tego, co się wydarzyło.

Jeszcze przed chwilą płynęli po cichej niebieskiej wodzie. w której co jakiś czas pojawiały się białe kule z dwunastoma wyrostkami, kiedy nagle... znaleźli się w bulgocącej zupie pełnej tych potworów.

- Do tyłu! - rozkazał sam sobie Archie. Nie czekając na rozporządzenie Kerka, ruszył do sterów i odwrócił łódź.

To był ostatni moment. I tak nie doczekałby się od Kerka żadnych zrozumiałych rozkazów. Siwy olbrzym nie miał na to czasu. Strzelał do oblepiających statek potworów jednocześnie z dwóch strzelb. Mięczaki rozlatywały się na kawałki, spadały do morza, ale coraz to nowe wślizgiwały się przez burtę na pokład.

- Strzelaj z ochronników! - błagał Archie, który też włączył się do walki. - Zatopisz kuter, Kerk!

Pistolety plazmowe podsmażały nie dobite tuzinogi, ale również przypalały burty na tych odcinkach, gdzie strzelano wyjątkowo gęsto. Wszystko dymilo i traskało; wydawało się, że sam pokład się pali i że nie da się uniknąć katastrofy... Jednak Archie musiał przyznać, że bez tak radykalnych środków nie udałoby się odbić i dotrzeć na spokojne wody. Tuzinogi przestały prześladować nadpalony, okopcony, cały w dziurach kuter dopiero dziesięć kilometrów od Epicentrum.

- No widzisz - podsumował zadowolony z siebie Kerk. Otarł pot z czoła i usiadł na skrzyni pożarowej. - A wy, naukowcy, twierdzicie, że nie trzeba walczyć.

- Nic takiego nie mówimy - obraził się Archie. - Ale sama walka nie wystarczy, trzeba jeszcze myśleć. Wtedy wszystko będzie grało.

- Tak, tak - burknął Kerk - najpierw Jason kładł nam do głowy, że trzeba się zaprzyjaźnić z żądłopiórami, teraz ty... Aha, byłbym zapotniał... co myślisz o wczorajszej wiadomości, przyjętej kanałem łączności telepatycznej?

- Myślę, że to poważna sprawa. Dowiedzieliśmy się ważnych rzeczy o Jasonie i Mecie, o flibustierach i ich szalonej Jamajce, o samym Morganie. Teraz już, na szczęście, nie ma wątpliwości, że Jason i Meta wrócą. Moglibyśmy nawet po nich polecieć.

- A jeżeli to jakiś podstęp? - zasugerował Kerk. - Z takiej łączności nikt dotąd nie korzystał. W ciągu całego swojego życia obleciałem sporo planet i nigdzie nie spotkałem niczego podobnego.

- Dużo jest na świecie rzeczy, przyjacielu mój Horacio, o których nie śniło się nawet filozofom - powiedział Archie w zamyśleniu

- Co to, wiesz? - prawie z przerażeniem zapytał Kerk. Pyrrusanina najbardziej przestraszyło to, że przypomniał sobie, co to jest wiersz.

- Owszem skinął głową Archie. - To Szekspir. Na Uctisie uczą się go w szkołach.

- Nie odpowiedziałeś na moje wątpliwości - przypomniał Kerk.

- Jeżeli ty się z czymś nie spotkałeś, to jeszcze nie oznacza że to nie istnieje...

Pistolet Kerka celował Archiemu prosto w pierś. Tak spostponować pierwszego człowieka na planecie!

- Ojej, przepraszam! Jakoś nie mogę się przyzwyczaić, że każda krytyczna uwaga to dla was akt agresji. Musisz wiedzieć, że na przykład Midi od dzieciństwa korzysta z tego rodzaju łączności. Jednak podobnych jej odbiorców we Wszechświecie nie ma zbyt dużo, więc prawie nikt nie wie o telepatycznej łączności na daleką odległość.

- Zaraz, zaraz - ocknął się Kerk. - Więc dlaczego wcześniej ukrywała swoje zdolności?

- A dlaczego nikt do tej pory nie wie o twojej nieśmiertelności? - pytaniem na pytanie odpowiedział Archie.

Pistolet znowu skoczył do rąk Kerka, ale tym razem tylko odruchowo. Kerk szybko schował ulubioną zabawkę z powrotem do kabury.

- Midi czyta myśli? - domyślił się.

Z łatwością - potwierdził Archie i przymknął oczy, z rozkoszą wystawiając twarz do słońca. Archie, jak wszyscy ludzie z jego planety, miał bardzo jasną prawie białą skórę. Lekarze zabraniali Uctisanom długo przebywać na słońcu.

- Czy Midi potrafiłaby odczytać myśli, które pomogłyby nam zwyciężyć Pyrrusa? Powiedzmy myśli tuzinogów.

- Obawiam się, że te mięczaki nie produkują specjalnie ciekawych myśli, ale... dobrze, że na to wpadłeś, Kerk. Sam jakoś o tym nie pomyślałem.

- A widzisz - powiedział Kerk złośliwie. - Za to cytowałeś mi wiersze. Naukowiec!

Statek badawczy „Wong” pojawił się na horyzoncie. Zbliżał się szybko, a z wysokiego pokładu machali do nich chorągiewkami. pewnie mają dużo do opowiadania.

Kerk przypomniał sobie, że już dawno chciał o coś zapytać.

- Archie, czy twoje nazwisko, Stover, ma coś wspólnego z planetą Stover? Pamiętam, jak Jason karmił nas bajkami o tamtejszych pająkach, potwornych z wyglądu, choć zupełnie nieszkodliwych. Groził, że przywiezie je na Pyrrusa, żeby nam udowodnić, że istnieją stworzenia jak z koszmarnego snu, ale tak naprawdę absolutnie niegroźne.

- Słyszałem o tych pająkach, Kerk. Skoro cię to interesuje, to... jeżeli nasza rodzinna legenda odpowiada prawdzie historycznej... planetę rzeczywiście nazywano tak na cześć mojego pradziadka, Nitka Stovera, który ją odkrył. Ale nigdy tam nie byłem. Jakoś się nie złożyło. Mówią że z tego ulubionego łowiska myśliwych z całej Galaktyki ekolodzy zrobili ogromny rezerwat. Nic dziwnego, skoro żyje tam prawie pół miliona gatunków zwierząt.

- A u nas ile? - zapytał Kerk.

- Tego na razie nikomu nie udało się policzyć. To przez te ciągłe mutacje. Ale myślę, że jednak mniej...

Kuter był już bardzo blisko statku, więc Kerk zdziwił się, dlaczego wezwano ich na kanale pilnej łączności. Odezwał się::

- Coś się stało?

- Owszem, - odpowiedział mu Stan. - Nowa znajoma Jasona, Dolly, znowu skontaktowała się z Midi. Mniej więcej za pół godziny postara się połączyć bezpośrednio Jasona diAlta.

- Nie rozumiem - zdziwił się Kerk.

- Też na razie nie rozumiem - przyznał Stan. - Ale Jason prosił, żebyś był obecny przy tej rozmowie.

- Więc jaki mamy problem? - zapytał Kerk, kiedy już wszedł na statek.

- Musimy natychmiast lecieć do miasta. Tutaj są zbyt duże zakłócenia.

- W porządku - zgodził się Kerk. - Mam już dość pływania na dziś.

Stan spojrzął na jego czarne od sadzy ręce i powiedział: -

- Czulek przyssał ci się do dłoni.

- Co za świństwo - warknął Kerk i zaczął odrywać przyczepiony kawałek.
- Nie warto - poradził Archie. - Niech Teka tym się zajmie, Najlepiej od razu po drodze. Bardzo mi się nie podoba martwy czulek, który tak mocno trzyma się ludzkiej skóry. Można podejrzewać, że nie jest zupełnie martwy. Powinno to zainteresować Brucego.
- Dobra, lecimy - machnął ręką Kerk. - Ależ to świństwo piecze! Jak mogłem nie zauważyć tego wcześniej?
- Zająłeś się rozmową- uśmiechnął się Archie Stover.

2

Midi leżała z przymkniętymi oczami w specjalnie dla niej przyniesionym fotelu. Ten tak zwany biofotel polecano ciężkochorym podczas okresu adaptacyjnego, kiedy potrzebowali całkowitego spokoju i komfortu. Tego samego potrzebowała Midi, żeby osiągnąć maksymalną koncentrację uwagi i efektywnie wykorzystać całą swoją energię telepatyczną. Stan krążył obok psi-reflektora, biedząc się nad jego regulatorami. Chciał jak najdokładniej nastawić go na biopole Midi. Nie mógł się pomylić. Te dwie dziewczyny w różnych stronach Galaktyki zaplanowały śmiały i skomplikowany eksperyment. Licząc na telepatyczne zdolności Jasona, postanowiły zaryzykować i przekazywać na Pyrrusa jego myśli. Jedna miała występować jako wzmacniacz-nadajnik, a druga jako wzmacniacz-odbiornik. W rezultacie wszystko się udało, tylko niezupełnie tak, jak myślały.

Najpierw, jak zwykle, ustawiły stabilną łączność. Midi odbierała to jak pojawienie się w przestrzeni idealnie prostego korytarza z gładkimi błyszczącymi ścianami, który nazywała telekorytarzem. Potem Dolly poprosiła Jasona, by po prostu „mówił do niej jak do mikrofonu”, a dokładniej jak do kamery, bo niezbędny był kontakt wzrokowy - oczy naprzeciwko oczu. Dziewczyna z zdumiewającą łatwością zaczęła przekazywać na tę gigantyczną odległość nie myśli Jasona, nawet nie dźwięki i słowa, lecz cały odbierany przez nią obraz. Dokładnie tak samo, jak przedtem przekazywała własne myśli. Midi, która odbierała sygnał, dorysowywała trochę rozmyty przez lata świetlne odległości obraz Jasona za pomocą swoich własnych wspomnień. W rezultacie, kiedy Stan za pomocą psi-reflektora rzucił na ekran wyraźne, kolorowe i ruchome odbicie Jasona, ani jego głos, ani twarz nie były w jakiś zauważalny sposób zniekształcone.

Nie ma co ukrywać, obecni tu Pyrrusanie bardzo się ucieszyli, kiedy znowu zobaczyli zdrowego i całego przybysza z obcej planety. Był pierwszym w historii obcym, którego nauczyli się uważać za swojego. Nikt nie miał wątpliwości, że teraz Jason ich zaskoczy. Inaczej po prostu nie byłoby sensu zaczynać całego tego skomplikowanego, unikatowego, a może nawet szkodliwego dla zdrowia dziewcząt eksperymentu. Mieszkańcy Planety Śmierci byli przygotowani na niezwykle wiadomości, tym bardziej że sporo się dowiedzieli o planecie Jamajka i o Henrym Morganie z poprzedniego seansu łączności. Ale i tak wystąpienie Jasona przeszło wszelkie oczekiwania.

Musieli go po prostu wysłuchać; nie było żadnej możliwości, żeby mu przerwać i zadać pytanie. Jedno, co mógł zrobić każdy z obecnych, to wyciągnąć pistolet i rozwalić psi-reflektor, a razem z nim Midi. Podczas długiego monologu Jasona pistolety Pyrrusan często wskakiwały z kabur do dłoni i z powrotem, ale do strzelaniny, na szczęście, nie doszło.

Pod koniec Midi zrozumiała zasady transmisji, wymyślone przez jej młodszą przyjaciółkę, i dała Kerkowi szansę, by odpowiedział. Nie wzięła tylko pod uwagę, że na tamtym końcu telekorytarza ludzie stoją po prostu gdzieś w lesie i nie mają odpowiednich urządzeń. Odpowiedź Kerka udźwiękowiła więc sama Dolly. Potem seans łączności trzeba było natychmiast przerwać - Midi straciła przytomność. Już sama międzygwiazdna

rozmowa wyczerpała ją całkowicie, a teraz na jej wrażliwy mózg zaczęła jeszcze oddziaływać trwożna, emocjonalna atmosfera na sali. Pyrrusanie szumieli jak zirytowane pszczoły. Od czasu do czasu wybuchały radosne okrzyki oczekiwania, ale większość obecnych przejawiała silny niepokój, a nawet strach, który zgodnie z pyrrusańską tradycją przeradzał się szybko we wściekłość.

Teca i Brucco zabrali Midi na szczegółową obserwację do szpitala. Poważnie zaniepokojony Archie też pobiegł w tym kierunku. Kiedy najbardziej zrównoważeni i rozsądni ludzie opuścili salę, dyskusja przerodziła się w pyskówkę. Tego dnia mieszkańcy Planety Śmierci mieli dość powodów, by krzyczeć na siebie nawzajem. W końcu Jason, (czyli nie byle kto) zaproponował im nie żaden naukowy eksperyment i nie podróż do piekła, tylko rozpoczęcie wielkiej wojny z pyrrusańskimi potworami.

- Przyjaciele, bardzo się cieszę, że nie możecie mi przerywać - mówił Jason, uśmiechając się promiennie. - Spędziłem prawie dwa miesiące w drodze i na obcych planetach. To dużo czasu. Więc myślałem o naszych problemach, a z dala od domu zawsze wszystko wydaje się łatwiejsze. To, co teraz powiem, jest moją dobrze przemyślaną decyzją. Wysłałem na planetę Pyrrus eskadrę kosmicznych flibustierów... najbardziej zawziętych, najbardziej bezlitosnych i najbardziej utalentowanych wojowników w międzygwiazdnej przestrzeni Galaktyki.

Zrobił pauzę i ciągnął dalej:

- Chcą podbić naszą planetę, bo uważają ją za bardzo bogatą. Będą szukali na niej złóż metali w górach i skarbów schowanych w dżunglach, a także egzemplarzy rzadkich zwierząt. Najważniejsze jest to, że zechcą dostać się do Epicentrum, które kieruje ruchowaniem tych zwierząt. W Epicentrum pragną znaleźć brakujący element do statku kosmicznego „Baran”. To ja im wskazałem planetę Pyrrus i miejsce, gdzie mają szukać. Jednego tylko nie chcieliby znaleźć na Pyrrusie: ludzi. Wy tłumaczyłem flibustierom, że Pyrrusanie to najmądrzejsza rasa we Wszechświecie i uważana za niepokonaną. Zapewniłem, że umiecie walczyć, ale przystąpicie do walki dopiero wtedy, gdy zginą wszystkie wypuszczone przeciwko wrogom drapieżne zwierzęta. A Epicentrum będziecie chronić w wyjątkowy sposób. O tym też uprzedziłem naszych wrogów. Flibustierzy będą więc musieli walczyć z żądłociórami i diabłarogami, szydłomiotaczami i miedzianozębymi kajmanami, ze zdziczałymi dorymami i bezokimi tuzinogami. Wtedy zobaczymy, kto kogo pokona!

Obojętnie, jak to się skończy, zginie wielu piratów i mnóstwo pyrrusańskich potworów. Oczywiście, wiemy, jak szybko się mnożą, więc będziemy ten proces obserwować. Być może potrafimy zrozumieć tajemnicę niezwykłości Planety Śmierci. A może akurat flibustierzy oczyszczą Pyrrusa ze wszystkiego, co wrogie człowiekowi. Wtedy wymyślimy, jak oczyścić planetę z flibustierów. Myślę, że zawrzemy umowę. Najważniejsze, że obiecałem im ten detal statku kosmicznego, magiczny klucz do wszechmocy. Prawdą mówiąc, nie potrzebują tej planety. Mają już jedną, a nawet kilka. Zresztą z natury są gwiazdnymi koczownikami.

Tyle teorii. Przystępuję do wskazówek praktycznych, bo Dolly może się zmęczyć i już nie zdoła przekazywać w eter moich słów. Zadania są następujące. Po pierwsze: znajdźcie, wyproście u Berwicka albo kupcie za każde pieniądze... potem wszystko wam oddam... wystarczająco mocny generator pola ekranowego. Miasto Otwarte i port kosmiczny Welfa nie powinny zostać namierzone przez nikogo, po drugie: zbudujcie byle jaką atrapę portu kosmicznego po drugiej stronie planety, wśród dzikiej dżungli. Właśnie tam będziemy witać naszych gości. Po trzecie: dzieci, chorych, ciężko rannych, starych ewakuujcie na planetę Szczęście. Nie wiadomo, jak potoczą się sprawy Po czwarte: „Argo” i wszystkie inne statki wojskowe doprowadźcie do stanu gotowości i ściągnijcie na orbitę. Po piąte: niech najlepsi aktorzy planety potrenują, jak szczuć miejscowe zwierzęta na obcych. Ten spektakl musi być przekonujący i wykonany z rozmachem. Dla Ludzi przygotujcie drogi ewakuacji na wypadek, gdyby piraci od razu zaczęli strzelać. Po szóste: do ochrony Epicentrum wykorzystajcie najlepszą

broń. Nie powinno tam być ludzi. Przyda się za to robot-ochroniarz, którego na Egrisi nazywali smokiem ziejącym ogniem. Pamiętam, że dałem go Midi w prezencie, ale w tej sytuacji chyba nie pożądał ulubionej zabawki. Po siódme... Nie, to chyba wszystko.

Jason zamilkł i zamyślił się.

- Resztę problemów będziemy rozwiązywać na bieżąco - powiedział po chwili. - Macie trzy tygodnie. Postaram się wykroić więcej, ale może się nie udać. Sprzeciwów nie przyjmuję. Już nie mogę odwrócić biegu wydarzeń, mogę tylko przeciągnąć czas. I jeszcze jedno. Postaram się dotrzeć do was wcześniej niż flibustierzy, by opowiedzieć o wszystkim przy spotkaniu. Ale to będzie niełatwe i niebezpieczne. A teraz czekajcie, przyjaciele, i przygotujcie się.

Potem zwrócił się do przywódcy Pyrrusan i swojego starego przyjaciela:

- Kerk, mam nadzieję, że mnie teraz słuchasz. Wybacz, jeżeli możesz, stary. Wybacz, że podjąłem decyzję ważną dla losu Pyrrusa, nie konsultując tego z tobą. Wiesz, że od dawna uważam tę planetę również za swoją. A że Meta też nie miała nic przeciwko temu. . .

Jason nagle zamilkł; widocznie odwrócił się do Mety i obraz od razu zniknął.

Kerk chciał przygotować się do odpowiedzi, ale myśli mu się plątały. Siwy olbrzym wyprostował się na całą wysokość przed szeroko otwartymi oczami ledwo dyszącej Midi i zaczął, choć nie był pewny, czy od najważniejszego.

- Jasonie, Pyrrusanie nie potrafią toczyć walki obcymi rękami. Nie możemy tak po prostu przyglądać się z boku. Prawdopodobnie, rozpoczniemy wojnę na dwa fronty. Tego się boję. . .

Kerk nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo właśnie w tym momencie Midi straciła przytomność.

- Śmierć Jasonowi! - ryknął Cliff, co zabrzmiało jak wystrzał w męczącej ciszy, panującej na sali.

Od tego zaczęła się dyskusja.

Cliff, kosmiczny artylerzysta, niedawno skończył dwadzieścia lat - w pojęciu Pyrrusan to wcale nie było mało. Mógłby już nauczyć się zachowywać mądrzej. Ale Cliff nie miał zamiaru powstrzymywać emocji.

- Śmierć Jasonowi! Zdradził naszą planetę! Byłem wtedy za młody i o niczym nie mogłem decydować kiedy ten łajdak zjawił się u nas. Ale pamiętam, że świętej pamięci Scop chciał go zabić w decydującym momencie i gdyby nie Meta. . .

- Zamknij się - jeszcze głośniejsze przerwał mu Griff. - Po prostu korzystasz z nieobecności Mety. Nie pozwoliłaby ci mówić w ten sposób!

Griff był młodszy od Cliffa, ale to właśnie on był pierwszym opiekunem Jasona na Pyrrusie, a potem razem ze swoim byłym podopiecznym i Metą przeszedł przez koszmar wojny na planecie Szczęście. Nic tak nie zbliża jak wspólne walki. Młody Griff był pewien, że nie pozwoli skrzywdzić przyjaciół.

- Zamknijcie się obydwaj! - ryknął Kerk. - Starsi jeszcze nie wypowiedzieli swojej opinii. Od kiedy to na Pyrrusie zapominają o subordynacji i dyscyplinie wojskowej? Jeżeli Jason jest czemuś winien, to tylko temu, że dał nam szansę wytchnienia. A my na to nie zasłużyliśmy. Nie zapominajcie, smarkacze, że raz już oddaliśmy planetę wrogowi i pogodziliśmy się z tym. I gdyby nie Jason, nie byłoby nas teraz tutaj...

Kerk zatrzymał się, by złapać oddech i w tej samej chwili wtrącił się Rhes, również człowiek o dużym autorytecie.

- Nie masz do końca racji. Kerk. Jason z jego umysłem i pieniędzmi pomógł nam odbudować miasto, port, uruchomić kopalnie, nie tylko leśni Pyrrusanie, moi bracia, prawdziwi mieszkańcy Planety Śmierci, nigdy nie opuszczali swojej planety. I być może tylko dzięki temu w rezultacie wróciliśmy tutaj wszyscy. Nas, urodzonych i wychowanych w dżunglach, zawsze podtrzymywała na duchu stara, prosta prawda, którą w ślad za naszymi

ojcami, dziadami i pradziadami udowadniamy już od trzystu lat: „Na Pyrrusie da się żyć!” jeżeli można, to znaczy trzeba. Nasza planeta jest nie tylko straszna; jest również piękna. I warta tego, by o nią walczyć. . . oczywiście nie w taki sposób, jak wyście to kiedyś robili. Raczej tak, jak dziś proponuje Jason. W jego idei kryje się wielka mądrość. Zderzyć twarza w twarz dwie najbardziej śmiertelne siły Galaktyki... Czysto matematyczne podejście: dwa minusy dają plus. Zastanówcie się! Zresztą nawet nie musicie się zastanawiać: wszystko, co genialne, jest proste. Słowo daję, gdybyśmy w tamtych czasach mieli takie same możliwości techniczne, osobiście bym zrzucił na Pyrrusa zuchwałych jeźdźców Temudżyna.

- Nie podzielam pana zachwyty, Rhes - niespodziewanie podniósł się Stan. - Nawet się panu dziwię. Warto zadać pytanie: po co ta wojna wam, karczownikom?

Przy słowie „karczownik” wszyscy obecni popatrzyli z niesmakiem. Fala oburzenia ogarnęła salę. Ale Stan kontynuował, niewzruszony:

- Wiem, obraziłem pana, ale nie czuję się winny. Teraz pan myśli nie jak obywatel Pyrrusa, a jak rozzuchwalony karczownik. Niech mieszkańcy miasta znowu zaczną walkę, jeżeli są tacy głupi, niech wymrą po kolei razem z flibustierami, a my przeczekamy w dżungli i wreszcie zamieszkamy po ludzku. To miał pan na myśli?

- Jak ci nie wstyd, Stan! - wrzasnął Naxa, który też nie mógł opanować emocji. - Kto wyciągał was, półżywych, spod gruzów waszego miasta? Kto pomagał wam walczyć z nowymi, strasznymi mutantami? Czyżbyśmy znowu zaczęli mówić „wy” i „my”? Czyżbyś nie zauważył, że Pyrrusanie już od kilku lat wspólnie rozwiązują swoje problemy?

- To wszystko prawda, Naxa - nie ustępował Stan. - Ale jeżeli rozpocznie się wojna, rozwiązywanie wspólnych problemów od razu się skończy. Nie rozumiem, po diabła ścigać tu armadę zdziczałych półgłówek z drugiego końca Galaktyki! Jeśli zależy nam na totalnym zniszczeniu tutejszej biosfery, nic łatwiejszego. Mamy teraz dość pieniędzy, by kupić całą armię robotów-zabójców. Można nawet doprowadzić do minimum szkodliwe wyziewy i rozsądnie utylizować padlinę. Oto cała wojna. Czy nie dyskutowaliśmy na naszych spotkaniach podobnie dziwacznych propozycji? Po co teraz do nich wracać?

- Nic nie zrozumiałeś, Stan - spróbował wytłumaczyć Rhes. Jason proponuje skierować przeciwko pyrrusańskiej przyrodzie nie tyle technikę flibustierów, co ich z niczym nie porównywalną nienawiść

- Więc tym potworom mało było naszej nienawiści? Jakoś im, nie przeszkadzała się płodzić, doskonalić, krzepnąć i z coraz większym zapalem pożerać wszystko, co żyje! Czy nie udowodnił wam tego wasz ukochany Jason?! Nienawiść rodzi tylko nienawiść - trzeźwo zauważył Stan.

- Taka była sytuacja wtedy - stwierdził Rhes filozoficznie - A dzisiaj nie mamy wyboru - skończył za niego Naxa.

- Ależ mamy wybór! - nie zgodził się Kerk.

- Jaki? - zainteresował się Rhes, wyraźnie gotów odrzucić każdy argument.

- Po prostu nie posłuchać, to wszystko! - Nie czekając na odpowiedź Kerka, wciął się ze swoją repliką Stan, już mocno rozochocony.

Ale Kerk nie obraził się, nawet kiwnął mu głową, zachęcając do mówienia.

- Po prostu nie posłuchać. Nie rozgrywać żadnych spektakli, a przywitać ich w kosmosie i tam przyjąć walkę.

- Przyjąć walkę po to, by na pewno ją przegrać - cicho komentował Rhes.

- Co?! - wrzasnął Stan, odruchowo wyciągając pistolet.

- To co słyszysz. - Rhes też już trzymał go na muszce i był zupełnie spokojny. - Powiedz, dużo stoczyłeś walk w kosmosie? - Stan nie odpowiedział na pytanie. Nie mając zamiaru się poddawać, dalej rozważał różne warianty:

- Można wejść w sojusz z innymi planetami, których mieszkańcy są bardziej doświadczeni w walkach galaktycznych.

- Coś takiego-zdziwił się Rhes. - Nając Flotę Kosmiczną Ligi Planet, dodać agenturę i oddziały szturmowe Korpusu Specjalnego, krótko mówiąc, rozpętać kolejną wojnę galaktyczną, zamiast samemu rozwiązywać własne problemy. Coś wspaniałego.

Stan wreszcie skończył. Ciszę przerwał ostry głos ani trochę nie przekonanego C'liffa:

-Uważam, że trzeba przygotować „Argo” i natychmiast lecieć na Jamajkę! Śmierć flibustierom!

Dobrze, że przynajmniej zrezygnował z żądania śmierci Jasona, ale jego propozycja i tak była nie do przyjęcia. Znow zapadła cisza. Po chwili Rhes zapytał Kerka:

- Więc uważasz, bracie, że nie warto słuchać Jasona?

-Nic nie uważam. Rhes odpowiedział poirytowany Kerk. Po prostu nie umiem spokojnie słuchać. Chyba to rozumiecie. Rozkazów też nie oczekujcie ode mnie tak zaraz... Archie! – zawołał, kiedy zobaczył stojącego w drzwiach uczonego. - Co z Midi? - zapytał.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Uctisanin. - Zwyczajne zmęczenie. Teka zapewnia, że dziewczyna w przyszłości potrafi wytrzymać nawet dłuższe seanse. A poza tym... Ale czy ja wam nie przerwałem?

- Wcale nie - powiedział Kerk. Chętnie usłyszemy twoją opinię na temat planów Jasona. To nawet dobrze, że nie słyszałeś dyskusji.

- Rzeczywiście dobrze - zgodził się Archie. - Przecież tu nie ma co dyskutować. Trzeba brać się do roboty. Nie rozumiecie, że to będzie genialny ekologiczny, biotechnologiczny, socjologiczny i diabeł wie jaki jeszcze eksperyment? Nauka kiedyś nawet marzyć o czymś takim nie mogła, a my zostaniemy jego świadkami!

- Głodnemu chleb na myśli - burknął Stan. Kerk dodał takim samym tonem:

- Naprawdę nie myślałem, że przez całe życie walczyłem po to, by na starość stać się królikiem doświadczalnym!

- Dlaczego zaraz królikiem, Kerk?! - roześmiał się Archie, starając się obrócić wszystko w żart. - Przedmiotem doświadczeń są różne rodzaje organizmów, łącznie z komarami, żądłopiórami, gigantycznymi jaszczurami... Nawet takie nietypowe zwierzę, jak człowiek. Zwróćcie uwagę, panowie, że nauka bada te obiekty nie pytając ich o zgodę.

- Demagog - warknął Kerk i wyszedł, trzaskając drzwiami. Kerk podpisał rozporządzenie o stopniowym wprowadzaniu w życie „Inicjatywy Jasona” dopiero następnego dnia pod wieczór, kiedy siedział przy swoim biurku i patrzył w okno na krwawoczerwony o zachodzie słońca ocean, a drżące blade chmurki wydawały mu się skupiskiem obrzydliwych drapieźnych mięczaków.

Ręka jeszcze trochę go bolała po operacji. Razem z przeklętym czułkiem trzeba było wyciąć spory kawałek mięśnia.

3

Jason krążył po obszernym gabinecie Morgana w pałacu królewskim i punkt za punktem powtarzał przywódcy flibustierów wszystko, u czym nie mieli prawa zapomnieć, udając się na tak poważną ekspedycję. Morgan zapisywał, jak dobry uczeń, żeby następnego dnia przekazać niezbędne informacje swoim podwładnym.

Jason, od młodości przyzwyczajony do życia wśród cyganerii, największy przyływ energii intelektualnej odczuwał w nocy. Ostateczny plan lotu opracowywali więc właśnie teraz, pod tajemniczą osłoną ciemności, jak spiskowcy. Tymczasem wykonawcy wysypiali się przed ostatnim, najtrudniejszym dniem przygotowań. Zawsze

najpierw trzeba się nabiegać. Dopiero potem, podczas lotu można będzie się rozluźnić. O tym wiedział każdy desantowiec kosmiczny, każdy wojownik regularnej floty, a tym bardziej każdy pirat.

W ciągu pierwszych dni po starcie nikt nikogo nie atakuje, nawet w wojnach międzyplanetarnych. Trwa przyzwyczajanie się załogi do siebie, sprawdzanie wszystkich systemów statku, wywiad, rekonesans, przecinanie linii radiowych - cokolwiek, tylko nie walka. Tym bardziej w bataliach międzygwiazdnych. Tam, zanim zajmie się pozycję bojową, trzeba jeszcze dolecieć. Czasami prosty nudny lot w zwykłej przestrzeni lub w jump-trybie trwa kilka tygodni.

O tym, w jakim trybie lecieć do Pyrrusa, jeszcze nie postanowiono. Morgan, oczywiście, nie mógł się doczekać. Marzył o tym, by dostać się na upragnioną planetę choćby jutro, co było raczej niemożliwe. Z drugiej strony, chętnie by zбочzył ze dwa czy trzy razy w stronę jakichś bogatszych planet i zapolował na tamtejszy transport. Nie zamierzał się rozpraszać atakując same planety, ale byłoby miło sprawić flibustierskiej załodze trochę radości.

Jason, oczywiście, był przeciwny wszelkim rozbojom. Wspomnienia o napaściach na niewinnych ludzi wywoływały u niego mdłości i jednocześnie wściekły bunt, wyrażający się w odruchowo ściśniętych pięściach. Nie chciał nikogo narażać na niebezpieczeństwo. Z drugiej strony wołał nie ponaglać Morgana. I tak nie uratuje wszystkich niewinnych w całej Galaktyce, a lepiej byłoby dać Pyrrusowi więcej czasu na przygotowania.

Krótko mówiąc, wątpliwości gryzły obydwie wysokie umawiające się strony. W rezultacie podjęto decyzję kompromisową: najpierw polecą, a potem się zobaczy, zależnie od okoliczności.

Wydawało się, że Morgan ufał już teraz Jasonowi bezgranicznie. Byłoby jednak ryzykowne polegać na tym zaufaniu. Morgan wiedział o tym, że Jason ani razu nie skorzystał z systemów zdalnej łączności z Cassylią, Szczęściem czy z innymi planetami. Ale to nie przesądzało, że pirat nie zacznie jakiejś gry, kiedy wreszcie opuszczą Jamajkę. To prawda, Jason był teraz następcą Starego Susa, ale czy to odwróci od niego wszelkie podejrzenia?

Jason stwierdził, że dopóki nie wystartują w przestrzeń, dopóki nie zostawią za sobą nieprzenikalnego ekranu, dopóty Morgan będzie miał nad nimi władzę, którą zapewnia mu dwumilionowe pirackie społeczeństwo. Do tej pory nie należy zadawać zbędnych pytań. Dopiero kiedy wyjdą w kosmos i wciągną w płuca sterylne powietrze pokładowej klimatyzacji, zdecydują, co robić i od czego zacząć. Może nawet zdobędą się na to, by wejść w swobodny lot.

Za to plan działań wojskowych omówili dość dokładnie, łącznie z konkretnymi zadaniami dla każdego statku, z zaopatrzeniem wszystkich jednostek bojowych w specjalne rodzaje broni: lądowe, morskie, podwodne i latające maszyny, specjalne roboty, miotacze ognia, usypiające bomby... Lista była bardzo długa. Oddzielnie załatwiono problem specjalnych ubiorów, niezbędnych w warunkach skrajnie agresywnej natury. W końcu flibustierzy przyzwyczaili się do machania szablami w samych koszulach.

Była jeszcze sprawa pyrrusańskiego podwójnego ciążenia. Jason zalecił, żeby w ciągu lotu pomału zwiększać sztuczne ciążenie statku tak, aby pod koniec lotu sięgało minimum trzech, a jeszcze lepiej czterech wartości ziemskich. Wtedy pyrrusańskie dwa g będą dla flibustierów drobiazgiem. W ten sposób przystosują się do boju w nieludzkich warunkach strasznej planety.

Jason z pamięci odtworzył Morganowi mapę obu półkul Pyrrusa i naniósł na nią główne skupiska różnych potworów, tresowanych przez sprytnych tubylców. Niezbyt zręcznie, ale za to dokładnie narysował najważniejsze gatunki niebezpiecznych zwierząt.



Krótko mówiąc, przygotowanie pirackiej armii szło pełną parą, Miejscem, gdzie kryje się najważniejszy cel ataku, było według Jasona Epicentrum, którego źli Pyrrusanie strzegą z wyjątkową starannością.

Nawet Meta nie mogła nie docenić tego perfidnego pomysłu. Jason wołał nie brać jej ze sobą, kiedy instruował piratów. Po pierwsze, nie chciał, żeby przez przypadek się wydało, że jego żona jest Pyrrusanką; po drugie, istniało ryzyko, że ukochana nie wytrzyma i zacznie się zachowywać niestosownie. Teoretycznie Meta rozumiała, że inaczej nie można, skoro powstawało wspólne z piratami przedsięwzięcie, ale uczucia to co innego. Zarówno tkwiąca w Mecie surowa Pyrrusanka, jak i uczuciowa kobieta, tym razem były wyjątkowo zgodne i nie popierały zdradzieckiej propozycji wobec jej rodzinnej planety.

Początek akcji zbliżał się nieubłaganie. Dolly też czekała na to niecierpliwie. Wreszcie będzie wolna! Co prawda nie miała pojęcia kiedy zdoła się dostać na rodzinny Zunbar, ale wierzyła, że skoro nie zostawiają jej tutaj, powrót do domu jest tylko kwestią czasu. Tak powiedział jej kiedyś Jason.

Sam się nad tym zastanawiał, i to poważnie. Po co brać na wrogiego Pyrrusa młodą zielonooką wiedźmę? To nie ma sensu. Jeżeli uda się to wytłumaczyć Morganowi, zyskają świetny sposób na łączność z zewnętrznym światem. Tylko spokojnie - mówił Jason do siebie. Nie panikować. Wszystko się uda, niech tylko wystartujemy...

Młody Robs czekał na dzień startu z nie mniejszą niecierpliwością i zachwytem. Zakochany chłopak zamierzał udać się ze swoją ukochaną do każdego punktu Galaktyki bez względu na wszystko. Na pytanie, co z tym fantem zrobić, Morgan wytłumaczył Jasonowi, że prawo flibustierskie przewiduje takie przypadki. Kiedy Morgan cytował odpowiedni paragraf, Jason po raz kolejny podziwiał mistrzostwo miejscowych prawników.

„...Jeżeli przed złożeniem przysięgi, to znaczy do wieku szesnastu lat, pełnoprawny obywatel zechce z tego czy innego poważnego powodu opuścić Jamajkę, ma do tego prawo, jeżeli jego rodzice czy opiekunowie nie mają nic przeciwko temu”.

Młody bukanier nie miał opiekunów, a rodzice, oczywiście, nie mieli nic przeciwko temu. Ojca uważano za nieboszczyka, matka miała go w nosie. Na tej dziwnej planecie dzieci kochało się abstrakcyjnie, jak zwierzątko domowe. Do swoich latorośli, szczególnie tych bardziej wyrosniętych, piraci odnosili się obojętnie. Jason jednak wątpił, czy Henry Morgan pozwoliłby każdemu jamajskiemu chłopakowi tak łatwo zrezygnować z flibustierskiej przyszłości tylko na podstawie zapomnianej i dość niezrozumiałej litery prawa. Robs to był wyjątkowy przypadek, bo tak sobie życzył Wielki Jason.

Nad losem chłopca trzeba się będzie zastanowić później na statku. Na start czekali wszyscy. Nawet *auksnis zwieris*, który w ładowni „Konkwistadora” nagle wyemitował sam z siebie dziwną muzyczną frazę. Jason mniej więcej się domyślał, co to było: zadziałała automatyka, sygnalizująca utworzenie mocnego pola magnetycznego i grubego ekranu wokół małego statku. Mogło to jednak oznaczać coś innego. W końcu przy załadowywaniu „Barana” na „Argo” nie grała żadna muzyka.

Ale piraci, którzy byli świadkami dziwnego zjawiska, wpadli w mistyczne przerażenie i długo nie mogli wykrztusić słowa. Nawet Morgan zareagował nietypowo. Skrzywił się jakby z bólu, a po wysłuchaniu tłumaczeń Jasona zapytał nieufnie:

- Sygnalizacja, mówisz? A jeżeli to bogowie są przeciwni naszemu lotowi?
- Opamiętaj się, Henry! - zawstydził go Jason. - Jacy bogowie? Nie ma innego Boga poza Chrystusem. Czy nie tak uczyli cię od dzieciństwa?
- Owszem - zgodził się Morgan. - Ale nie podoba mi się ten śpiewający statek. Może polecimy bez niego?
- To śmieszne i głupie - zdenerwował się Jason. - Po co wtedy w ogóle lecieć? Znaleźć trzeci element, a przedtem zgubić pierwszy? Tutaj nikt go nie dopilnuje, a w podróży „Baran” może się przydać. Uwierz mi, złoty

statek kosmiczny to wyjątkowo przydatna rzecz. Przecież świetnie znasz się na technice, Henry! Poznasz również tę konstrukcję. A może procesor też chcesz tutaj zostawić? Żeby jakiś niedobitek otworzył Jamajkę dla całej Galaktyki?

- Nie, bracie, procesor zawsze wożę ze sobą - zapewnił Morgan, który trochę się uspokoił. - Prawie mnie przekonałeś.

A potem wystartowali i wszystko przebiegło zupełnie normalnie. Statki wzbity się nad planetę i znikły w ciemności kosmosu jeden po drugim, w nieskazitelnym porządku. Jakby nikt nie miał niczego złego na myśli; po prostu ni z tego, ni z owego osiem i pół tysiąca osób zebrało się razem i postanowiło udać się na poszukiwanie tajemnicy.

Jason nagle poczuł, że żał mu opuszczać Jamajkę. Obiecał sobie, że jeszcze kiedyś tu wróci. Tak było z każdą planetą, ale teraz smutek był wyjątkowo dotkliwy. To jasne: im człowiek jest starszy, tym staje się bardziej sentymentalny. Nagle przypomniał sobie pierwszą książkę, na której uczył się czytać i pisać na Porgostorsaandzie. Jakież to było wciągające A jeszcze bardziej fascynujące było czytanie nowych książek, które trzeba było zdobywać na wszelkie sposoby. Kiedyś miał szczęście. Udając wojskowego, farmerski syn Jason znalazł się w domu szlachetnego arystokraty, który zbierał bardzo solidną, zgodnie z pojęciami ich planety, bibliotekę. Nie mniej niż tysiąc tomów ozdabiała półki w starym gabinecie.

- I pan to wszystko przeczytał? - z zachwytem zapytał młody miłośnik książek.

- Prawie wszystko - odpowiedział uczciwie arystokrata - ale czytałem również wiele książek z innych zbiorów.

- To cudowne! - jeszcze raz zachwycił się Jason. A ja marzę o tym, żeby przeczytać wszystkie książki na świecie.

- Młodzieńcze - smutno uśmiechnął się arystokrata - w ciągu całego swojego życia człowiek może przeczytać dziesięć, najwyżej piętnaście takich zbiorów. To jest górna granica.

- A ile jest w takim razie książek na świecie? - zapytał Jason.

- Tyle, ile gwiazd w niebie, drzew w lesie, kropel w oceanie - usłyszał odpowiedź.

Po tym spotkaniu Jason na jakiś czas stracił w ogóle chęć do czytania. Tak samo było z planetami.

Zamieszкана część Wszechświata zawiera ponad trzydzieści tysięcy podobnych do Ziemi planet. Jason policzył kiedyś, że zdoła odwiedzić trzysta. Zrobiło mu się strasznie smutno. Nigdy nie zobaczy wszystkich planet Galaktyki. A tak bardzo tego pragnął! Teraz jest nieśmiertelny, to prawda, ale jeżeli się dobrze zastanowić, to tak naprawdę nic nie zmienia. Prosta arytmetyka podpowiada, że aby poznać całą Galaktykę, trzeba by było żyć ze sto razy tyle, ile żył do tej pory. Może się to okazać zajęciem wyjątkowo nudnym i męczącym. Zresztą za pięć tysięcy lat ludzkość osiedli się na milionach nowych planet i zapewne na innych gwiazdnych wyspach... Nieskończony pościg. Była taka starożytna opowieść o Achillesie, który nie mógł dogonić żółwia... z przyczyn czysto matematycznych.

4

Już w pierwszym dniu lotu Morgan wezwał Jasona na rozmowę, ale nie do sterowni kapitańskiej, a do laboratorium, żeby było cicho i nikt nie przeszkadzał.

- No, opowiadaj - zażądał i zadał niespodziewane pytanie: Dlaczego twoja planeta tak się nazywa?

- Zacznijmy od tego - nie zmieszał się Jason - że to nie jest moja planeta. Już ci mówiłem, że urodziłem się na lolce, ponadto...

- Ponadto Pyrrus był królem Epiru - jeszcze bardziej niespodziewanie oświadczył Morgan, przerywając Jasonowi. - Wojował po stronie miasta Tarent z Rzymianami, jeżeli dobrze pamiętam. Najpierw rozbił ich pod Heraklionem w dwieście osiemdziesiątym roku przed narodzeniem Chrystusa, a potem, rok później, miało miejsce następne zwycięstwo, pod Ausculum. Ale właśnie tam grecki król stracił prawie całe swoje wojsko. Tego rodzaju zwycięstwa zaczęli od tamtej pory nazywać pyrrusowymi. Mam rację?

Kiedy flibustier skończył ten przydługi cytat z podręcznika historii, Jason uśmiechnął się. Od razu pojął sens pytania i czując swoją przewagę, odpowiedział bez namysłu:

- Henry, nic się nie bój! Zapomniałeś o jednym ważnym szczególe. Król Epiry zginął dopiero sześć lat po tym zwycięstwie. To znaczy, że ty też przeżyjesz, miłośniku mistycznych zbiegów okoliczności. A co do twojego wojska... Czy życie poszczególnych ludzi kiedykolwiek cię obchodziło?

- Oho! Brawo, Jasonie! - Morgan klasnął w dłonie. To była dobra odpowiedź, widać, że znasz starożytne legendy.

Ostatnie pytanie Morgan puścił mimo uszu, więc Jason postanowił nie rozwijać tego tematu.

Oczywiście! - powiedział. - Zawsze interesowałem się starożytnością. Pyrrusowe zwycięstwo to wcale nie legenda, lecz fakt historyczny. Założę się, że przed chwilą wydobyłeś tę informację z przenośnej biblioteki typu Mark-dziewięć.

- Mark-dziewięć zero trzy - poprawił Morgan. Ten system jest bardziej nowoczesny.

- A o planecie Pyrrus i jej dzisiejszym stanie nic tam nie ma? - niedbale za pytał Jason, umierając ze strachu.

A jeżeli Morgan po prostu się z nim bawi, jak kot z myszą? Przecież jeżeli jakiś życzliwy kretyń z Ligi Planet bez pozwolenia Kerka wprowadził do bazy danych bibliotek powszechnego użytku pełny pakiet informacji o Planecie Śmierci, cały pomysł Jasona legnie w gruzach już teraz. Co tam pomysł! Nie minie pół godziny, jak jego i Metę, a być może również Dolly i Robsa po prostu posiekają na kawałki, bez względu na wszystkie wróżby Starego Susa i przepowiednie niewiadomych bogów, posiadających tajemnicę statku kosmicznego „Baran”.

- Wyobraź sobie, że ani słowa - powiedział Morgan. - Nie pierwszy raz się z tym spotykam. O niektórych planetach oficjalne służby albo nic nie wiedzą, albo po prostu nie chcą mówić. Przyczyny mogą być różne...

A więc wyrok został odwołany... a może tylko odroczoney. Jason odetchnął z ulgą, ale nie okazał po sobie żadnych emocji.

- Też szukałem tych danych w swoim czasie - poinformował Morgana. - I znalazłem tylko pouczającą historię o greckim królu, który stracił swoje wojsko.

- A kiedy to było? - zapytał Morgan. - W jaki sposób po raz pierwszy znalazłeś się na Pyrrusie?

Pytanie nie było niespodzianką dla Jasona. Miał dawno przygotowaną przekonującą bajeczkę na ten temat, zresztą niezbyt daleką od rzeczywistości. Rzekomo ratował się przed właścicielami kolejnego domu gry, no, powiedzmy, kasyna „Jesienna Mgła” na planecie Mahauta, więc w porcie kosmicznym wskoczył do pierwszego lepszego statku, a tamten okazał się superliniowcem Pyrrusan. Podróżującego bez biletu znaleźli dopiero na planecie, a ponieważ rejsu powrotnego nie planowano zbyt prędko, Jason miał okazję, by połączyć po dżunglach tej ludzko-zwierzęcej cywilizacji. Co prawda, że dwa tygodnie przeleżał ledwo żywy na skutek podwójnegociążenia, za to przez następne dwa zdążył się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy. Później informację o specjalnej roli Pyrrusa we Wszechświecie i o znajdującym się na tej planecie skarbie potwierdzili mu mędrzy z planety w centrum Galaktyki.

W ostatniej części swojej opowieści Jason nie zagłębiał się w szczegóły. Dawał do zrozumienia, że właśnie tu kryje się jego główna tajemnica. Gdyby powiedział Morganowi wszystko, co wie, szybko wyleciałby za burtę.

Flibustier nigdy nie ukrywał swojego podejścia do ludzi: jedni są potrzebni, inni niepotrzebni. Skrajny cynizm był jedną z cech jego charakteru, i kwita.

Tylko stare strachy czasami okazywały się silniejsze. Właśnie to chciał wykorzystać Jason. Czekał na odpowiednią chwilę. Morgan słuchał Jasona uważnie i wyraźnie się zastanawiał, ile jest prawdy w tym natchnionym opowiadaniu. W końcu wpadł w doskonały humor. Zamówił dla nich po kieliszku świętego odemirskiego portwajnu, który od razu przyjechał przez ścianę na wózku. Potem, popijając ciemnoróżowy aromatyczny napój, zaczął wspominać swoją młodość na planecie Kazan. Pod koniec tej wzruszającej rozmowy Jason poruszył ryzykowny temat.

- Powiedz, Henry, jaka jest trasa naszego lotu? Nie jestem chyba byle kim i mam prawo wiedzieć.

- Masz prawo? - zapytał Morgan w zamyśleniu. - Raczej tak, mój drogi Mucharribie. Po raz pierwszy wyjdziemy z krzywoprzestrzeni pojutrze, niedaleko systemu planetarnego Gammy Brontozaura.

Morgan wymieniał nazwy gwiazd zgodnie z barbarzyńską klasyfikacją kosmicznych włóczęgów ostatnich stuleci. Ale Jason zrozumiał, o czym mowa. W ciągu swojego burzliwego życia zdążył poznać najróżniejsze nazewnictwo ciał niebieskich gwiazdozbiorów, skupisk i mgławic. Współcześni kosmonauci już dawno zapomnieli o podstawowych gwiazdnych atlasach, opracowanych jeszcze na Starej Ziemi. Nawet etatowi astronomowie naukowego centrum Ligi Planet nie potrafili w końcu znaleźć wspólnego podejścia do astrometrii i astronomii. Jason od razu sobie przypomniał, że właśnie wokół tej gwiazdy obraca się podobna do Ziemi planeta, piąta z kolei, a nazywa się Zunbar. Serce zabiło mu żywiej, ale o nic nie zapytał. Czekał na dalsze wyjaśnienia Morgana.

- Niezłe miejsce - odezwał się po chwili Henry. - Pięć zamieszkałych planet wokół jednej gwiazdy to rzadki przypadek, no i jeszcze czternaście w niewielkiej odległości. W tych okolicach zawsze coś się dla nas znajdzie. Kopacze uranu z Cyklopa, finansisci z Hartaceny, zuchwali łowcy zwierząt, którzy z różnych stron przylatują na Odemirę, bogaci próżniacy z Zunbaru... - Morgan specjalnie zrobił przerwę. - Nie było przypadku, żebyśmy nie spotkali jakiegoś ciekawego statku na naszej drodze.

Jason nie chciał za wcześnie wykazywać się erudycją, ale dalsza gra w milczenie nie miała sensu.

- Nawet przypominam sobie jeden taki przypadek - powiedział znacząco. Rzeczywiście, fajne miejsce. Nie boisz się wpadki, wracając tutaj tak szybko? Przecież to tak, jakbyś grając w ruletkę stawiał zawsze na tę cyfrę, która wypadła poprzednio.

- Nie, Jasonie, nie boję się. Nie po raz pierwszy robię coś takiego i doszedłem do wniosku, że bezczelność podbija miasta. Jest takie stare powiedzenie, wiesz?

Jason nie zdążył sprostować, że w starożytności powiedzenie brzmiało inaczej, bo Morgan nagle dodał:

- Ale przecież zupełnie nie o to chciałeś mnie zapytać. Bardziej cię interesuje, czy puszczę do domu tę małą, prawda?

Jason skinął głową.

- Na to pytanie nie mam na razie odpowiedzi. Muszę się kogoś poradzić.

- Na statku czy przez radio? - postanowił wyjaśnić Jason, skoro już byli ze sobą tak szczerzy.

- Ani jedno, ani drugie. Muszę osobiście spotkać się z jednym człowiekiem na Odemirze. Nie poznasz jego imienia, ale na rozmowę pójdziesz razem ze mną.

To była bardzo dziwna wiadomość, ale Morgan nie raczył powiedzieć nic więcej. Jason i tak się domyślił, że wyjdą z krzywoprzestrzeni obok Gammy Brontozaura wcale nie dla kolejnego rozboju, a właśnie dla tego spotkania.

- Dostyc tego gadania - podsumował Morgan. - Czas na ćwiczenia. Zaraz je ogłosimy. Poproszę Missona, żeby włączył od razu dwa i pół g. Jak myślisz, wytrzymają tyle w ciągu doby?

- Nie wiem, słowo daję. Ale wiesz co... nie masz racji, Henry - zauważył Jason. - Żeby porządnie trenować, nie można rozdzielać ćwiczeń fizycznych od całej reszty. Powinniśmy byli ze sobą rozmawiać i pić portwajn właśnie przy zwiększonym ciężeniu.

- Uwolnij mnie, bracie, od takich zajęć od razu pierwszego dnia. Niech załoga pracuje, a ja położę się na fotelu przeciwciażeniowym i odeślę wszystkich do diabła. Czy to nie ty opowiadałeś mi, jak przez dwa tygodnie na Pyrrusie leżałeś plackiem?

- Bywało - skłamał Jason. - Teraz też niezbyt dobrze znoszę przeciążenie. Pyrrusańskie ćwiczenia to daleka przeszłość.

- Więc też ci życzę dobrej nocy, Mucharribie. - Tym przezwiskiem Morgan podkreślał swoją życzliwość w stosunku do Jasona. - A dwa i pół g jednak włączę.

Nacisnął przycisk na pulpicie wmontowanym w fotel, otworzył ściany laboratorium i zaproponował gościowi, aby poszedł do siebie, póki jeszcze można iść, a nie pełzać.

5

Planeta Odemira oficjalnie znajdowała się pod protektoratem Zunbaru. Nawet nie miała własnego rządu, miast ani przemysłu, jeżeli nie liczyć sieci małych przedsiębiorstw winiarskich. Odemira słynęła z win, zwłaszcza z portwajnow, kseresów, muszkatelei i brandy. Zunbarczycy wykorzystywali ją jak ogromny park narodowy, gdzie odpoczywali zwolennicy leśnych spacerów, rybołówstwa i różnego rodzaju zbieracze: drzewnych i ziemnych grzybów, owoców, jagód, mchu, szyszek, porostów i wreszcie głównego odemirskiego delikatesu - przepysznej pomarańczowej pleśni z gładkich pni cicholiścia. Przez cały rok polowano tutaj na rozmnażające się błyskawicznie futerkowe zwierzęta, bubuzanty, których skóry bardzo wysoko ceniono w całej Galaktyce. Obowiązywał zakaz wywożenia z Odemiry żywych bubuzantów, ale oczywiście wśród gości planety nie brakowało myśliwych-klusowników. Jedni znajdowali sobie kupców na żywy towar, który „szybko się psuje”, a inni z entuzjazmem wywozili je do rodzinnych krajów i tam próbowali hodować. Jednak odemirskie zwierzęta nie tylko się nie rozmnażały w niewoli, ale z zadziwiającą konsekwencją w żadnych warunkach nie przyjmowały pokarmu, wskutek czego, oczywiście, zdychały. Na razie nauka - ani zunbarska, ani jakkolwiek inna - nie potrafiła wytłumaczyć tego zjawiska.

A mieszkańcy Odemiry mieli obojętny stosunek do nauki. Mieszkali w szałasach, jak dzikusy, prowadzili prymitywne gospodarstwa. Wypiekali chleb i hodowali domowe bydło. Najwyższą kulturą wyróżniali się winiarze, którzy budowali sobie domy z gliny. W przeciwieństwie do innych Odemirian, nie tylko słuchali wiadomości przez radio, ale nawet lubili oglądać wideoprogramy. Połączenie dzikich warunków życia z dopływem informacji z zewnątrz doprowadziło do tego, że na Odemirze nadzwyczaj popularni byli najróżniejsi magowie, szamani, czarownicy, znachorzy i inni szarlatani, którzy zajmowali się okultyzmem, udając przy tym naukowców. W istocie, każdy Odemirianin uważał się trochę za czarodzieja. Zwłaszcza po kubku dobrej brandy albo dwóch kubkach nie mniej dobrego wina.

Od małego portu kosmicznego, zbudowanego, oczywiście przez Zunbarian, szli na piechotę leśną dróżką, wijącą się wśród wysokich pni i gęstych krzewów. Oddychało się tutaj nadzwyczaj lekko, a las działał uspokajająco. Szum liści, głosy ptaków, trzask gałęzi pod czyjąś ciężką łapą, czasami gdzieś blisko warczenie i chrupkanie... Jason wyobraził sobie reakcję Mety. Na pewno zaczęłaby strzelać na prawo i lewo. On sam,

ledwo odeszli od lądowiska, odruchowo wziął do ręki pistolet. Morgan tłumaczył mu, że tutejsze zwierzęta nie atakują przy świetle dziennym, tak że można spokojnie schować broń, ale Jason z pyrrusańskiego przyzwyczajenia reagował czujnością na nieznaną dźwięki w przydrożnych zaroślach.

Morgan maszerował pierwszy, za nim Dolly, dalej Jason. Zamykał ten pochód po wąskiej dróżce Eddie Hook. Morgan wziął Hooka jako pomocnika i może jako osobistego ochroniarza. Ale po co było zabierać Dolly?

Kiedy opuszczali statek, rozegrała się nieprzyjemna scena. Najpierw z trudem udało się przekonać Metę, żeby została, bo Morgan nie wiadomo dlaczego był stanowczo przeciwny jej uczestnictwu w tym dziwnym locie na Odemirę. Kiedy się wyjaśniło, że razem z nimi poleci Dolly, oburzył się z kolei Robs, który nie chciał nigdzie puszczać ukochanej.

Wtedy Jason ryknął: - Milczeć!!

Kiedy zapanowała cisza, dodał złowieszczym głosem:

- Jeżeli coś się stanie Dolly albo mnie i jeżeli ktoś spróbuje podczas naszej nieobecności obrazić Metę czy Robsa, bogowie rozwalą ten statek na kawałki. *Auksnis žwieris* przyjmie tylko nas czworo i będzie kontynuował lot w kosmosie.

W normalnym towarzystwie podobne oświadczenie zostałyby wyśmiane jako głupi żart, ale zebrani przy śluźie startowej liniowca „Konkwistador” zareagowali inaczej. Meta drgnęła, Dolly zamknęła oczy, jakby w oczekiwaniu na cios, a stojący obok piraci, łącznie z Robsem, z przerażeniem się przeżegnali. Nawet zdeklarowany cynik Morgan zrobił znak krzyża, a potem cicho powiedział:

- Ma rację. Tak właśnie będzie.

Po tak poważnym oświadczeniu już nikt nie mógł nic dodać. Wątpliwe, żeby Morgan wierzył w podobne bzdury - po prostu bardzo mu zależało na tym, by znaleźć się na Odemirze właśnie w takim składzie. Po drodze główny flibustier przyznał się, że lecą do jego starego znajomego miejscowego czarodzieja, który już nieraz pomógł Morganowi w poważnych sprawach. Po raz pierwszy stało się to dziesięć lat temu, kiedy wszechwiedzący Odemirianin poradził, by piraci zmienili trasę lotu i dokładnie przepowiedział skutki kolejnej odważnej wyprawy. Trudno było nie uwierzyć w talent czarodzieja. Morgan z reguły radził się go w niecodziennych sytuacjach.

Wódz piratów uprzedził, że należy tytułować starca „Voodoo”. Wyjaśnił, że to nie jest imię, bo imienia nie wolno mu zdradzić. Jason zresztą wiedział, że „voodoo” oznacza szamana albo czarodzieja. Właśnie zbliżali się domu wielkiego Voodoo.

Czarodziej okazał się winiarzem. Wokół jego glinianej chaty wszędzie walały się beczki, a sam właściciel leżał na tapczanie przed ekranem wideo. Popijał coś z drewnianego kubka i wesoło chichotał z żartów zunbarskich aktorów. W pokoju mocno pachniało tytoniem i winnymi oparami. Dolly zmarszczyła się, przestępując próg tego mrocznego i dusznego mieszkania.

Jasonowi wystarczyło piętnaście minut, by zrozumieć, że Voodoo to typowy oszust i szarlatan. Jego wiedza była więcej niż skromna, a umiejętność przepowiadania uzyskał chyba pod wpływem alkoholu. Opowiadanie Morgana o złotym statku kosmicznym i specjalnej misji Jasona nie zrobiło na dziadku dużego wrażenia. Jednak kiedy Jason wymienił nazwy „Barana” w różnych językach, czarodziej niespodziewanie zareagował na słowo „Okrotkawi”. Doprowadziło to Morgana do radosnego podniecenia. Jason szybko się zorientował, że Voodoo nie rozumie żadnych innych słów po egrisjańsku, co oznaczało, że machanie rękami i wywracanie oczu to po prostu spektakl obliczony na głupią publiczność. W tej roli dobrowolnie występował Morgan. Jego cynizm w przedziwny sposób łączył się z prawie dziecięcą naiwnością: skoro Voodoo przepowiedział kiedyś dobrze, będzie to robił zawsze! Jason zresztą nie wykluczał możliwości, że dziesięć lat temu Voodoo był

zupełnie innym człowiekiem. Pod ciężkim odorem alkoholu i bredniami, które plóły, tkwiły żałosne resztki zmarnowanego talentu telepatycznego. Widocznie Dolly poczuła to jeszcze mocniej, bo spróbowała nawiązać kontakt z częścią mózgu Voodoo, która jeszcze nie całkiem się zdegenerowała. Rezultat był natychmiastowy.

- Ta dziewczyna to wiedźma - świszczącym szeptem poinformował Voodoo. - Pozbądź się jej Henry. Nie może znajdować się na jednym statku ze świątynią bogów.

Morganowi pociemniały oczy.

- Ten człowiek też jest dość niezwykły - kontynuował Voodoo, wskazując palcem na Jasona.

Ejże, przyjacielu pomyślał Jason, zaraz wszystko zepsujesz! Wystarczy, dobrze zagrałeś swoją rolę. Teraz odpocznij.

Spróbował to przekazać Voodoo telepatycznie i widocznie się udało. Tamten zamilkł, jakby się zaciął, a Jason, żeby wykorzystać ten sukces, zapytał:

- Czy niezwykły człowiek może się czegoś napić?

Okazało się że nie tylko może, ale nawet powinien. Na tym oficjalna część wizyty się skończyła. Nieoficjalna obejmowała niezbędny toast „za przepowiadających i widzących we mgle”, a potem równie niezbędna degustację kilku wykwintnych rodzajów brandy. Voodoo umiał je robić najlepiej na planecie, z czego był szalenie dumny. Sam staruszek, nie zważając na podeszły wiek, brał najbardziej aktywny udział w degustacji, a wreszcie zasnął, nie czekając na odejście gości. Dobrze, że przynajmniej zdążył wręczyć im w prezencie trzy beczułki swojego specjału. Dwie z nich były skromnych rozmiarów i swobodnie mieściły się pod pachą, za to trzecią - mniej więcej piętnastolitrową - zgodził się zanieść na statek tylko Jason. Było mu nie tyle ciężko, co niewygodnie. Ale własny ciężar nie jest brzemieniem.

Pół drogi lecieli w milczeniu. Po alkoholu chciało im się spać. Za sterem posadzili Hooka, najbardziej trzeźwego. Dolly nie wypła ani kropli, ale nie miała się do kogo odezwać.

Wreszcie Morgan zapytał:

- No to jakie macie dalsze plany?

- Plan są oczywiście, ale mam pytanie. Czy możemy wysłać Robsa razem z Dolly?

- To zrozumiałe, Jasonie. Nawet Metę możesz z nimi wysłać.

- Metę? - Jason ucieszył się z niespodziewanej propozycji.

- Żartuję - wyjaśnił Morgan. - Na razie kombinuję, jakby tu za naszą dziewczynkę dostać solidny okup.

Oczywiście flibustier nie mógł myśleć inaczej, ale Jasonowi coś takiego nie przyszłoby do głowy. Co ma odpowiedzieć? Musi się pospieszyć.

- Henry, pamiętaj, że Voodoo radził pozbyć się wiedźmy, żeby nie było nieszczęścia. Czy ma sens próbować wyciągnąć pieniądze w takiej sytuacji?

- Pieniądze dobrze jest zarabiać w każdej sytuacji - ostro powiedział Morgan. Jason zrozumiał, że dalsza dyskusja na ten temat nie ma sensu.

A Morgan już wsiadł na swojego konika.

- Dziewczyno - zapytał Dolly - ile milionów kredytek będzie gotów wywalić twój tatuś? Ile ty kosztujesz, mała?

Trzeba oddać honor młodej zielonookiej wiedźmie, że potrafiła wziąć się w garść. Miesiąc ciężkich prób nie minął bez śladu. Wydoroślała i uodporniła się psychicznie przez obcowanie z ludźmi, którzy uważali okrucieństwo nie za wadę, lecz za bohaterstwo.

- Myślę, że o tym trzeba porozmawiać z moim ojcem. Mnie zadowoli każda suma.

- Ale mnie nie każda! - roześmiał się Morgan. - Ronald Sane to bogaty drań. Jak myślisz, Jasonie? Może by zacząć targi od trzech miliardów, a w rezultacie zgodzić się na jeden? Pamiętaj, że połowa jest twoja.

Morgan wyraźnie chciał wywołać awanturę. Czekał na lzy dziewczyny, krzyk, może nawet rękoczynny. Po co? Widocznie, pomyślał Jason, Morgan bardzo źle znosi konieczność podporządkowania się woli obcych bogów, a nawet własnemu głosowi wewnętrznemu. Przywódca flibustierów nie był przyzwyczajony do posłuszeństwa. Dlatego się zirytował, dlatego próbował odegrać się na drobiazgach, jeżeli już nie był w stanie zmienić najważniejszego. Jason i Dolly powstrzymywali się ostatkiem sił, wspomagając się nawzajem telepatycznymi impulsami. Teraz potrzebna była stosowna odpowiedź Jasona. Nie należy dyskutować, trzeba osadzić rozzuchwalonego pirata.

- Henry, kiedy żąda się okupu w zamian za zakładników, nie wolno się targować - zaczął spokojnie. - To jest małeostkowe i grupie. W twoich rękach spoczywa życie osoby, która jest dla kogoś bezcenna. Musisz sam wyznaczyć cenę i trzymać się jej do ostatniej chwili. Nie wolno też przesadzać. Im większe żądania, tym wyższe prawdopodobieństwo, że z tamtej strony przysłanie pieniądze, a bombę z opóźnionym zapłonem albo grupę operacyjną, składającą się z robotów-niewidek. Proponuję, żebyś zażądał nie więcej niż pół miliarda. Możesz uznać, że zrzekam się swojej doli w imię wspólnego sukcesu.

- Hej, Jasonie, czy ty zajmowałeś się terroryzmem? - z szacunkiem wykrzyknął Morgan.

- Tak, Henry, i nie takim drobnym, na który mnie teraz namawiasz. I jeszcze jeden warunek: rozmowy prowadzę tylko ja. Chyba zrozumiałeś, że jestem starszy i bardziej doświadczony.

Morgan nie odpowiedział. Odwrócił się do iluminatora i zaczął patrzeć na gwiazdy, wśród których świecił matowym blaskiem szybko się zbliżający korpus „Konkwistadora”.

W swojej kajucie Jason wyjął szpunt z beczułki i starannie nalał ciemne aromatyczne brandy do dwóch szklanek - swojej i Mety. - Wypijmy za naszą dziewczynkę. Możesz uważać, że już jest uratowana. Jutro rano będziemy na orbicie Zunbara.

Dolly, która stała obok, ze zdziwienia zamrugła zielonymi oczami.

- A jeżeli tata... pieniądze... a jeżeli policja? - wyjąkała i zamilkła zmieszana.

- Ja będę prowadził rozmowy - powiedział Jason, kładąc rękę na jej szczupłym ramieniu. - Jakie języki zna twój tata?

- Esperanto, angielski, duński... - zaczęła sobie przypominać Dolly.

- A coś bardziej nietypowego? - Zaraz, zaraz... O! Polski.

- Z polskim to ja nie za bardzo - westchnął Jason.

- A grecki? - zaproponowała Dolly. Trochę umie po grecku.

- Może być - uśmiechnął się Jason - ja też trochę. Spróbujemy porozmawiać konspiracyjnie po grecku. Ze dwa, trzy zdania, więcej nie trzeba, a nawet nie można, żeby nie wywołać podejrzeń. Nie martw się, Dolly, wszystko będzie dobrze.

Od Odemiry do Zunbara jest jedna noc lotu ze średnią międzyplanetarną prędkością. Można dolecieć nawet szybciej, ale Morgan się nie spieszył. Chciał się wyspać przed trudną operacją. Nawet ciążenie na statku zmniejszył z dwóch i pół do półtorej jednostki. Bardzo ich to ucieszyło; pod koniec trzeciego dnia Dolly była strasznie zmęczona przeciążeniem, a przecież też powinna być w dobrej formie. Robs, ze względu na młody wiek, nie narzekał na bezsenność, a prawdziwa królowa przeciążenia Meta, jak Jasonowi się wydawało, mogłaby spać snem niemowlęcia nawet przy dwudziestu g.

Tylko sam Jason nie zmrzął oka tamtej nocy. Pisał długi i bardzo szczegółny list do Ronalda Sane'a. Musiał wytłumaczyć mu wszystko do najmniejszych szczegółów i przekonać zunbarskiego biznesmena o wyjątkowej wadze swojej prośby. Od tego, na ile się to uda, zależało bardzo wiele. Tak, Jason oczywiście bardzo się



cieszył, że ojciec i córka znów będą razem, ale nie to było teraz najważniejsze. Koniec końców, dziewczyna może nawet polecieć na Pyrrusa. A nuż jej się to spodoba. Robs na pewno by się tam nie nudził. A tatuś na Zunbarze łatwo by przeżył jeszcze miesiąc rozłąki z ukochaną Dolly. Jednak szansa, którą zyskał Jason dzięki zbiegowi okoliczności, była tak kusząca, że dla niej warto było zaryzykować.

Nikomu, nawet Mecie, nie powiedział o swoim nowym pomysle, który pojawił się po drodze na Odemirę i z powrotem. Niech wszyscy dowiedzą się o tym później, kiedy najgorsze obawy i zmartwienia zostaną za nimi. Przecież wcale nie był pewny, że poranna operacja skończy się powodzeniem.

Czy można było liczyć na rozsądek Sane'a tylko dlatego, że właśnie tak się tłumaczy jego nazwisko ze staroangielskiego?[\* Sane (ang.) - rozumny, rozsądny.] Liczyć na niewtrącanie się policji, której zwierzchnicy nawet na najbardziej cywilizowanych planetach często okazują się po prostu tępą? Liczyć na konsekwencję i logikę Morgana, który czasami bywał nieprzewidywalny? Nie można było liczyć na nic podobnego. A to znaczy, że na każdym etapie w ślad za rozmową mogła nastąpić strzelanina. Dlaczego Jason jednak się zdecydował? Widocznie intuicja mu to podpowiedziała. Ale przede wszystkim jego ryzykancki charakter szulera wygrywał z nudnymi argumentami rozsądku.

6

Na Zunbar wysłali Eddiego Hooka. Miał dowód tożsamości najbardziej stosowny dla tamtejszych władz - czysty paszport galaktyczny bez żadnych podejrzanych wiz, całkiem niedawno wydany przez Ligę Planet na nazwisko Tumudo Morigo. Laserowy identyfikator pod przezroczystym plastikiem dokumentu został przerobiony na paskudną gębę Hooka przez najlepszego specjalistę od podróbek, jakiego tylko można było znaleźć na Radomie. Na tym tubylcy oczywiście też tam zarabiali. O ile Jason wiedział, dla Radomian nie istniały żadne zakazy.

Eddie poleciał również dlatego, że był jednym z najsprytniejszych flibustierów. A przecież piracki emisariusz miał trudne zadanie do wykonania: znaleźć Ronalda Sane'a, opisać mu sytuację, przekonać o bezsensowności zastosowania wariantów siłowych i zaprosić do osobistego odwiedzenia „Konkwistadora” w celu przeprowadzenia wymiany zgodnie ze wszystkimi regułami. Mogło pojawić się wiele komplikacji i chociaż Eddie miał możliwość połączenia się w każdej chwili ze statkiem, jednak sam też musiał nieźle ruszać głową.

Jason proponował, żeby nikogo nie wysłać na planetę, a po prostu znaleźć Sane'a przez radio i od razu zacząć z nim rozmowy bez wcześniejszych gróźb i środków ostrożności. Morgan odrzucił taką możliwość. Nie chciał wierzyć, co było całkiem zrozumiałe, że człowiek jest zdolny do tego, by po prostu oddać pół miliarda nawet w zamian za ukochaną córeczkę. Jego zdaniem, istniał tylko jeden poważny wariant - prymitywny szantaż i groźba zabójstwa. Cóż, może Morgan miał rację.

Puczali Hooka we dwójkę: Henry wyrażał myśl, Jason szlifował jej formę. Ale przesłanie było to samo - zaszokować Ronalda Sane'a przyznaniem się, że to właśnie oni zniszczyli całą jego rodzinę i cały czas trzymać klienta w szachu możliwością śmierci córki - jedynej, która ocalała.

Eddie Hook zaczął właśnie od tego, kiedy spotkał biznesmena na brzegu puste zatoki, gdzie z wody sterczały rdzawe kadłuby porzuconych rybackich kutrów.

- Ronaldzie, musi pan wiedzieć, że jeżeli pan kogoś przyprowadził ze sobą, jeżeli pan będzie próbował naciskać na mnie albo mnie zatrzymać... cóż, jeśli nie wrócę na statek w wyznaczonym czasie, przedmiot naszych rozmów po prostu przestanie istnieć. Mój szef jest bardzo okrutnym człowiekiem. Oczywiście, potrzebuje pieniędzy, ale nie będzie tolerował braku szacunku dla siebie. I jeszcze jedno: nad moim życiem nie będzie się zastanawiał ani sekundy. Tak więc szantaż z pańskiej strony nie ma sensu. Ma pan tylko jeden

sposób, żeby pomóc córce: bezwzględnie spełnić nasze żądania. Sane słuchał bez komentarzy. Nawet jeżeli ktoś z nim przyjechał, nie było go widać.

- W zamian za dziewczynę żądamy pięciu milionów kredytek. Rozumiemy, że nie jest łatwo zebrać taką sumę w gotówce, dajemy więc panu trzydzieści godzin. Zdaje się, że to jest akurat doba na Zunbarze. I ostatnia rzecz: zamiast pieniędzy może pan zaproponować papiery wartościowe na okaziciela... mamy człowieka, który się na tym zna... a także rozmaite poręczne towary: metale, drogie kamienie, alkohol lub narkotyki... Pan, zdaje się, jest farmaceutą?

- Zrozumiałem pana, panie Morigo - odezwał się Sane zupełnie spokojnie, konwersacyjnym tonem. - Proszę mi zostawić wasze zamiary do nawiązania łączności.

- Oczywiście, zostawię, ale będzie lepiej, jeżeli pan się z nami połączy już w kosmosie, z pieniędzmi na pokładzie, żebyśmy mogli widzieć, że za panem nie leci cała eskadra.

- Zrozumiałem, panie Morigo - jeszcze raz powtórzył Sane - proszę mi dać te zamiary.

Jason przesłuchał później nagranie tej rozmowy i zachwyił się opanowaniem i mądrością życiową tego jeszcze młodego człowieka. Ale jakiego ojca mogła mieć taka wspaniała dziewczyna?

A sama wspaniała dziewczyna strasznie się denerwowała. W głosie ojca usłyszała dużo więcej niż pozostali: ledwie powstrzymaną nienawiść, wyraźną pogardę i ukryty triumf w oczekiwaniu przyszłego zwycięstwa. Była pewna, że wymyślił coś, zanim jeszcze spotkał się z Eddiem Hookiem, to znaczy od razu po telefonie od tego łajdaka, który uprzedził, że chodzi o Dolly. Ojciec z pewnością wie, jak ją uwolnić i jednocześnie zachować pieniądze.

- Ale przecież to jest niemożliwe - powiedział Jason - bez ryzykowania naszym życiem to się nie uda! A w ogóle skąd wiesz, że coś wymyślił?

- Czuję to - odpowiedziała Dolly.

A jej przeczuciom można było ufać. Jasonowi nie bardzo się to podobało.

- Powinniśmy go przekonać, żeby się podporządkował. Inaczej, nawet jeżeli ty jakimś cudem się uratujesz, zginiemy ja i Meta, cały nasz projekt legnie w gruzach, a nikt oprócz nas nie potrafi zemścić się na piratach za twoich bliskich i za wszystkich zabitych i poszkodowanych. Rozumiesz to?

- Rozumiem - szepnęła Dolly na krawędzi płaczu.

- No to zrób coś. Przekaż telepatycznie ojcu wszystko, co o mnie wiesz!

- Tatuś jest wspaniałym człowiekiem - powiedziała Dolly - ale, niestety, w ogóle nie odbiera moich telepatycznych poleceń. Nawet nie potrafię czytać jego myśli. Może to jakieś prawo natury? Może dzieci nie powinny rozkazywać rodzicom?

- O, wysokie gwiazdy, a co to ma do rzeczy? Przecież jest chyba na planecie ktoś, z kim możesz wejść w kontakt telepatyczny?

- Nie - potrząsnęła głową. - Tak naprawdę to nie ma. Wszyscy moi przyjaciele, którzy odbierają sygnały, mieszkają bardzo daleko, nie zdążą nic wskórać.

- W ciągu trzydziestu godzin można wiele zrobić - nie zgodził się z nią Jason. - Nawet pokonać wielkie międzygwiazdne odległości.

- Obawiam się, że mamy dużo mniej czasu - powiedziała Dolly.

- Znowu przeczucie?

- Aha - kiwnęła głową dziewczyna. - Czy to bardzo źle?

Poczucie winy widoczne na jej twarzy było wzruszające. Co tu można odpowiedzieć?

- Ależ nie, Dolly, jakoś z tego wybrniemy.

Nie rozklejaj się, diabol, powiedział sobie w duchu. Nie możesz się tak denerwować. Dolly i tak jest na skraju hysterii. Myśl, myśl, póki jeszcze czas.

Weszła Meta i zaproponowała, by pójść coś przekąsić, bo później może nie być na to czasu. Jason się z nią zgodził. I niespodziewanie wymyślił nowy ruch.

- Dolly, postaram się wytłumaczyć twojemu ojcu po grecku, że na statku jest przyjaciel i że nie wolno go atakować, ale to może nie wystarczyć. Potrzebny jest jeden mały, ale przekonujący dowód. Na pewno jest coś, o czym wiesz tylko ty i ojciec, a czego nie powiedziała byś nikomu oprócz przyjaciół. Coś takiego, czego nie wyciągnięto by z ciebie nawet za pomocą tortur, bo zresztą nikomu nie przyszłoby do głowy pytać o coś podobnego. Rozumiesz, o czym mówię?

Poprosił jeszcze raz:

- Przypomnij sobie, Dolly, co mógłbym mu powiedzieć. To bardzo ważne, bo uratuje nas wszystkich.

Dolly zmarszczyła czoło, walcząc ze swoją pamięcią.

- Masz jeszcze czas, dziewczyno - uspokoił ją Jason. - Chodź, idziemy na obiad.

Sygnal wezwania z Zunbara rzeczywiście rozległ się bardzo szybko. Przecucie nie zawiodło Dolly.

- To może być tylko - on - powiedziała Meta, patrząc na piszczącą bransoletkę Jasona, wewnątrz której w rytm dźwięku pulsował fioletowy płomyk.

Morgan specjalnie wydał mu aparat ze skomplikowanym systemem dyferencjacji sygnałów. Na tej fali załogę „Konkwistadora” rzeczywiście mógł wywołać tylko Ronald Sane.

Jason z Metą, Dolly i Robs siedzieli w kącie kajuty na jednym łóżku, prawie nie oddychając z wrażenia i żegnali się w myślach. Rozstanie było nieuniknione w każdym przypadku. Ta myśl, która jednocześnie przyszła wszystkim do głowy, przeraziła ich. Teraz nie chcieli im się nic mówić.

Jason nagle wstał i powiedział rozkazującym tonem:

- Idziemy.

- Poczekajcie! - zatrzymała ich Dolly. - Przypomniałam sobie.

- No, mów.

- To było jakieś cztery lata temu. Tata zabrał mnie na lodowisko na Przezroczyste Jezioro, a przecież tak rzadko miał na to czas. Był piękny dzień, szaleliśmy, bawiliśmy się w berka, w śnieżki, niczego mi nie zabraniał, a potem kupił mi w bufecie lody, truskawkowe, takie jaskrawoczerwone, chociaż zimą mama nigdy nie pozwalała mi jeść lodów. Wiele razy wspominałam ten wspaniały dzień na lodowisku, nawet gardło mnie nie rozboleło, a mama...

Łzy pojawiły się w oczach dziewczyny, więc Jason przerwał jej te czułe wspomnienia umyślnie ostrym głosem:

- Dzięki, Dolly. Chodź. Teraz kolej na nasze przedstawienie.

Chyba tylko Dolly zrozumiała sens ostatniego zdania - ani Robs, ani nawet Meta nie wiedzieli dokładnie, co to jest teatr i przedstawienie. Ale mniejsza o to; teraz właśnie Dolly powinna zrozumieć stopień swojej odpowiedzialności za los przyjaciół, którzy ją uratowali.

W sterowni kapitańskiej zastali Morgana, Howarda, Hooka, Scorta, Karaccollego i Madame Cin. Duże zebranie. Misson, jak zawsze, tkwił w swoim pokoiku w towarzystwie komputerów, z kościstymi palcami na wszystkich możliwych przyciskach i dźwigniach, gotów w każdej chwili na rozkaz Morgana, a nawet bez rozkazu, przechytryć, zaatakować, zneutralizować albo zniszczyć wroga.

Na co liczył ten pewny siebie, samotny Sane, który zbliżał się do nich na bezbronny kutrze spacerowym? Wszystkie istniejące na „Konkwistadorze” urządzenia wskazywały na to, że w zasięgu strzału z jakiegokolwiek broni nie ma w międzycywilizacyjnej przestrzeni żadnego innego obiektu.

Sprawdzenie łączności już się odbyło i Howard, który teraz stał przy pulpicie, wydał dyspozycje przez radio:

- Proszę zatrzymać się w odległości trzech kilometrów od nas i nie wykonywać żadnych ruchów aż do mojego następnego rozkazu. Celują w was wszystkie działa naszego statku. Nieposłuszeństwo, czyli jakiegokolwiek zagrożenie z waszej strony, spowoduje co najmniej natychmiastowe odejście naszego statku i rezygnację z dalszych rozmów. Jak mnie rozumiano? Odbiór.

Przy nowoczesnej łączności już dawno nie było potrzebne przełączanie trybów „odbiór-przekaz”, ale Howard był wielbicielem tej starożytnej metody, znanej wszystkim radiooperatorom.

- Świetnie pana zrozumiałem - odezwał się Sane. - Co dalej?

Morgan dał znak Jasonowi, żeby przystępował do rozmów.

- Sane, przywiozłeś pieniądze? - zapytał Jason celowo grzecznie.

Brzydził się obłudną uprzejmością Hooka. Szantażysty i zabójcy i tak nikt nie szanuje, nawet jeżeli jest uprzejmy.

- Mam wszystko.

- Jak są zapakowane?

- Pięćdziesiąt paczek, banknoty po sto tysięcy.

- Jesteś sam, Sane?

- Nie, jest ze mną pilot, ale obydwaj nie mamy broni.

- To dobrze. Sane, lecą do ciebie nasi ludzie w małej kanonierce. Przekażesz im pieniądze.

- Czy w tej kanonierce przyleci moja córka?

- Nie, Sane, tam będą tylko nasi ludzie. Najpierw tutaj na statku przeliczymy twoje pieniądze i upewnimy się, że wszystko w porządku. Nasi ludzie są już w drodze.

- Więc jakie mam gwarancje, że...

- Nie masz i nie możesz mieć żadnych gwarancji, Sane - powiedział Jason ostro, a po chwili dodał:

- Chyba że wystarczy ci moje słowo honoru.

- Niewiele bym dał za twoje słowo honoru! - po raz pierwszy Sane nie wytrzymał i pozwolił sobie na emocjonalną wypowiedź. - Czy ty wiesz, miernoto, z kim masz do czynienia?!

- Wiem - odezwał się Jason. - Ojda me uden ejdenaj\*.[\* Wiem, że nic nie wiem (grec.) - znana sentencja Sokratesa.]

- Co ty pleciesz? - warknął Morgan.

- Staram się odwrócić jego uwagę cytatem ze starożytnego filozofa - wytłumaczył Jason, wyłączając na chwilę zewnętrzną łączność. - Jeżeli nie zna łaciny, tym bardziej się zdenerwuje. To ważne. Mam wrażenie, że Sane coś kombinuje.

- Sprytnie - ocenił Morgan.

Sane milczał dość długo. Potem zapytał z wahaniem:

- Czy mogę się zastanowić, póki tu lecą?

- Jeszcze będzie się zastanawiał! - burknął Jason i dodał, jakby kontynuując manewry odwracające uwagę:

- Nie ma o czym myśleć. Przecież panta rei. Autos efe.\*[\* Wszystko płynie. Wielki człowiek powiedział (grec.)]

- To też łacina? - zapytał Morgan z przerażeniem.

- Nie pamiętam dokładnie - udał głupiego Jason. - Tak powiedział Heraklit, to znaczy... to chyba, starogrecki.

Ale to wszystko już było nieważne, bo Sane wrzasnął w odpowiedzi dość porządnym nowogreckim:

- Starczy już tych klasyków, przeklęty piracie! Powiedz coś od siebie!

No, wreszcie dotarło! - ucieszył się Jason i szybko odpowiedział w tym samym języku:

- Nie jestem piratem, jestem przyjacielem. Uwierz mi. Nie sprzeciwiaj się. Oddamy ci twoją córkę, a pieniądze zwrócę ci potem. Co, przekonałeś się, bydlaku?! - dodał w międzyjęzyku.

- Co to za brednie?! - Morgan poczuł, że coś jest nie tak i zapomniał wyłączyć mikrofon. - Co to za brednie, pytam?

- Nie takie znowu brednie - odpowiedział Jason, jakby nic się nie stało, ale przedtem przerwał łączność. - Po prostu Sane próbował zawrócić mi w głowie. Wyobrażasz sobie, obraził mnie po grecku! Pewnie myślał, że nic nie rozumiem. A ja mu odpowiedziałem taką tyradą! No, sam słyszałeś.

Morgan popatrzył na niego nieufnie. Tymczasem z kutra znowu rozległa się grecka mowa:

- Rzeczywiście chcesz mi pomóc? Daj mi jeszcze jakiś sygnał, żebym zrozumiał.

Zuch z tego Sane'a! Wykrzykiwał greckie słowa ostro i ze złością.

- W porządku, dość już tych przekleństw - powiedział Jason do Morgana - zmieniam taktykę. Teraz będę grał na jego uczuciach.

Potem odezwał się do mikrofonu: - Sane, wyobraź sobie, że Dolly wróciła i idziecie na lodowisko, na Przewroczone Jezioro. Dolly bawi się tam, biega, a potem ty kupujesz jej truskawkowe lody, chociaż mama nie pozwala jej jeść lodów na mrozie... Czyżby twoja córka nie była warta nędznych pięciuset milionów?

- Zgadza się na wszystko - cicho powiedział Sane.

- Ależ z ciebie aktor! - zachwycił się Morgan i ze śmiechem poklepał Jasona po ramieniu.

W tym momencie zakończyło się połączenie wojskowej kanonierki z kutrem spacerowym i jeden z flibustierów zameldował: - Mamy worek pieniędzy.

Jaki worek?! - przeleciało Jasonowi przez głowę. Czy to ten podstęp Sana? Nic nie powiedział, kiedy pytali go, jak są zapakowane pieniądze. Czyżby to była podwójna gra? Cały czas mi nie ufa?

- Hej, wy, na kanonierce! - krzyknął Jason. - Worek zostawcie właścicielowi. Biercie tylko paczki. Mamy tu dość swoich worków.

Nastąpiła długa cisza. Może przeładowywali pieniądze, a może w tej złowieszczej ciszy na dwóch połączonych statkach rozgrywała się straszna, niema scena.

- Sane - odezwał się wreszcie Jason, pokonując drżenie głosu. - Co się tam u was dzieje?

- Nic. Wasi ludzie liczą paczki.

- Tak jest! - odezwał się jeden z wojowników.

- Dobra, chłopcy, czekamy na was - powiedział Jason.

- Ładnie - pochwalił Morgan. - Jak uważasz, co mogło być w worku?

- Cokolwiek! Na każdej planecie są inne nowości techniczne. Nigdy nie wiadomo, czego się bać.

Po minucie już liczyli pieniądze. Na chybił trafił otworzyli kilka paczek i sprawdzili każdy banknot, inne paczki tylko nadciąli, a dobrej połowy w ogóle nie ruszyli. I tak było jasne, że ich nie oszukują. Zresztą co z tego, jak się okaże, że brakuje dziesięciu milionów? Co to dla flibustiera dziesięć milionów kredytek? Dwie godziny pracy szablą!

Piraci byli w świetnych humorach, chyba zapomnieli o Sane'ie, Dolly i Jasonie. Pieniądze są na miejscu, reszta nieważna. Morgan patrzył to na swoich zbójów, to na przedni ekran i dziwnie się uśmiechał.

- Może by wałnąć w niego teraz ze wszystkich dział? - wymamrotał pod nosem, najwyraźniej do siebie.

Ale Jason go usłyszał, Dolly też.

- Lepiej nie - mruzczał dalej Morgan. - To byłoby głupie. Ronald Sane jest zbyt cenny. Trzeba go zagarnąć. Za niego dostaniemy jeszcze więcej pieniędzy.

Nagle zwrócił się do Jasona:

- Dobrze mówię? Co o tym myślisz?

Takiego zwrotu sytuacji nawet Jason nie przewidział. Zmieszał się tak bardzo, że ze trzy razy otwierał usta, zanim wymówił chociaż jedno słowo. Pistolet Mety zareagował szybciej, ale nawet Morgan już się przyzwyczaił do tego odruchu. Bystry flibustier rozumiał, że nie będzie strzelała bez pozwolenia męża.

- Oszalałeś, Henry! - wypalił wreszcie Jason. - Nie wolno ci tego robić. Sane nie jest taki głupi, na pewno pomyślał o własnym bezpieczeństwie. W rezultacie nie odlecimy stąd przez twoją chciwość. Zginiemy wszyscy, zamiast lecieć na Pyrrusa, tak jak planowaliśmy, by znaleźć prawdziwą moc.

Ale jego słowa jakby nie docierały do Morgana. Wódz flibustierów lubił pomarzyć o gołębiu na dachu, ale w konkretnej sytuacji wróbel w garści był dla niego wyraźnie cenniejszy. Jason wrzasnął tak głośno, że wszyscy piraci popatrzyli na niego w milczeniu.

- Henry, nie zrobisz tego! To kompletna głupota. Sane panuje nad wszystkim, jest jednym z najbogatszych ludzi systemu planetarnego. Jego ludzie nam tego nie wybaczą! Zginiemy! Oddaj mu dziewczynę! Przypomnij sobie słowa Voodoo! Na pewno zginiemy tutaj!

- Nie masz racji, Jasonie - powiedział Morgan lodowatym tonem. - W twoim słowach nie ma logiki, wyłącznie emocje. Chcę wiedzieć, co myśli reszta.

W sterowni zapadła martwa cisza. Jason spojrzął z ukosa na swoich. Meta nadal trzymała pistolet, na który już nikt nie zwracał uwagi, a Dolly patrzyła na Morgana jeszcze uważniej niż wtedy, w pałacu na Jamajce. W jej zielonych oczach tańczyły złote iskiereki.

Nagle Morgan chwycił się za czoło i zapytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

- Co mi jest? Boli mnie głowa, strasznie boli mnie głowa...

- Nawigatorze! - ruszył ku niemu Hook. - Co się stało, Nawigatorze?!

- Moja głowa... - jęknął Morgan.

Jason wycedził przez zęby:

- To bogowie cię ukarali.

Morgan popatrzył na niego dzikim wzrokiem i coraz słabszym głosem mamrocząc coś o głowie, zwił nieprzytomny na rękach podtrzymujących go flibustierów.

- Co mu jest, Jasonie? - z przerażeniem zapytał Howard, jakby zwracał się do lekarza.

- Może zatruł się czymś wczoraj na Odemirze - zasugerował Jason. - A jeszcze te fatalne przeciążenia!

I dodał z niewinną miną:

- Stary Sus uprzedzał, że coś takiego może się zdarzyć. Przejmij dowodzenie, Howardzie. Ładujcie się wszyscy na statek.

Włączył mikrofon i przekazał na kuter:

- Sane, policzyliśmy pieniądze. Wszystko w porządku, poczekaj na towar. Tylko nie zdziw się, bo dzieciaków będzie dwoje. Razem z twoją córką przybędzie chłopak, który ma na imię Robs.

- Znaleźliśmy ci zięcia! - dodała figlarnie Madame Cin, czym od razu rozładowała atmosferę.

Piraci chichotali i hałasowali. Howard rzucił:

- Przeprowadźcie młodych do słuzy.

Morgan siedział w fotelu i tytał na wszystkie strony nic nie widzącymi oczami, a podwładni cucili go za pomocą rumu.

Na korytarzu Jasonowi udało się szepnąć Dolly:

- Co mu zrobiłaś?

- Nic strasznego, myślę, że dojdzie do siebie. Już dawno wiedziałam, że umiem sprawiać ludziom ból, ale nigdy z tego nie korzystałam. Słowo honoru, Jasonie, nigdy.

- Zuch dziewczyna! O, wysokie gwiazdy, pozwólcie nam się jeszcze kiedyś spotkać! No, naprzód!

Jason pocałował Dolly w czoło, ścisnął dłoń Robsowi na pożegnanie i popchnął ich do wejściowego luku kanonierki, która już stała gotowa przed służą.

Stało się. I udało się uniknąć strzelaniny. Spacerowy kuter w normalnym trybie odchodził poza zasięg wszelkich złowrogich rodzajów broni.

Chyba Dolly zdążyła już coś niecoś opowiedzieć ojcu, pomyślał Jason. Może już otworzył list, a może...

W tym momencie ostry sygnał z osobistego kanału Sane'a wtargnął w zatęchłe powietrze sterowni, gdzie Morgan powoli dochodził do siebie. Howard swoim jedynym okiem tępo obserwował urządzenia, a Madame Cin cicho opowiadała Mecie, jaką sukienkę sobie kupi w drodze powrotnej do domu.

- Jasonie! - zabręczał radosny jak dzwonek głosik Dolly. - Słyszysz mnie?

Ale przez radość przebijał wyraźny lęk.

- Słyszę cię. Co się stało? Są problemy?

- Jakie teraz mogą być problemy?! Po prostu chciałam jeszcze raz pożegnać się ze wszystkimi. Tatuś też dobija się, żeby wam podziękować.

Howard zamruczał z zadowolenia, słysząc to oświadczenie, i w tym momencie w sterowni rozległ się przeraźliwy krzyk w języku greckim:

- Natychmiast wyrzucicie wszystkie plastikowe opakowania paczek z pieniędzmi! Macie tylko trzy minuty!

Coś podobnego! - pomyślał Jason. Dziękuję, przyjacielu! Przecież nie mogę od razu rzucić się do pieniędzy i zacząć zrywać z nich opakowania. Jeszcze, nie daj Boże, mnie zastrzelą, a w najlepszym razie zwiążą jako pełnego wariata. Muszę najpierw wszystko wytłumaczyć przynajmniej Howardowi i Hookowi, a na to trzeba chwilę poczekać. No, dziękuję ci, drogi Ronie!

Myśli krążyły mu po głowie z kosmiczną prędkością. Jason zaczął wykrzykiwać przekleństwa we wszystkich językach, jakie tylko znał, przy czym robił to teraz zupełnie naturalnie i szczerze. Przeklinał dopóty, dopóki Howard nie powiedział mu, że już dawno wyłączył mikrofon.

No cóż, można uważać, że pauza była wystarczająco długa.

Jason postukał się w czoło i oznajmił:

- Moi drodzy, zrozumiałem! Ten człowiek chciał nas otruć za pomocą worka, a kiedy wykryłem ten podstęp, Sane'owi został jeszcze wariant zapasowy: plastikowe opakowania. Chłopcy, natychmiast otwórzcie wszystkie paczki i wyrzucicie do utylizatora cały plastik. Szybko, albo ja sam to zrobię.

Howard patrzył na niego jak na wariata. Ale Hook nagle powiedział:

- Facet słusznie mówi. Bierzcie się do roboty. Nie wiecie, że strzeżonego Pan Bóg strzeże? A ty, niewierny Tomaszu - powiedział do Howarda, - włóż kawałeczek plastiku do hermokonteneru i oddaj Missonowi do analizy.

Zostawało osiem sekund zgodnie z chronometrem Jasona, kiedy za ostatnimi kawałkami śmiercionośnego plastiku zamknął się hermoluk utylizatora.

Misson, oczywiście, potwierdził podejrzenia Jasona. Pod górną, powoli wyparowującą warstwą opakowania znajdowała się mieszanka dwóch składników, które pod wpływem tlenu od razu wstępowały w reakcję chemiczną. W jej wyniku wydzielala się duża ilość śmiercionośnego gazu. Sane był nie tylko utalentowanym biznesmenem, ale również wybitnym chemikiem. Widocznie sam wymyślał podobne sztuczki.

Następnego dnia Morgan nie przeprosił Jasona - w ogóle nie umiał przeproszać - ale wyraźnie czuł się winny. I wyglądał na przestraszonego. Nic dziwnego! O mały włos nie zniszczył siebie i całej załogi. Po raz pierwszy chciwość i arogancja herszta flibustierów nie wyszły im na dobre. I tylko interwencja nieznanymi dalekimi bogów uratowała ich wszystkich. Tak to wyglądało.

7

Jak można poważnie pracować z takim człowiekiem? - ze zdziwieniem i oburzeniem zapytała Meta, kiedy wreszcie zostali sami.

- No właśnie - pokiwał głową Jason. - O takich mówią: właściciel swojego słowa. Jak zechce, to da, a jak zechce, zabierze z powrotem.

- Moim zdaniem, to wcale nie jest śmieszne. Nie mam zamiaru dalej patrzeć, jak popełnia jeden podły czyn za drugim. Czy nie da się stąd uciec już dzisiaj?

- Wiesz, że nie - odpowiedział Jason spokojnie. - Nie można zmienić planów.

- Ale ja nie chcę, rozumiesz, nie chcę znajdować się z tym człowiekiem na jednym statku. Jest gorszy od dzikusa, gorszy od androida, gorszy od Solvitz. To po prostu potwór!

- Meta, kochanie - Jason ją przytulił - ty przecież jesteś specjalistką od potworów. Wiem, że przyzwyczaiłaś się do nich strzelać. Wytrzymaj jeszcze trochę, aż dolecimy do domu. Potwory zaczną pożerać się nawzajem, a my im w tym pomożemy.

Meta zastanowiła się chwilę, a potem zapytała:

- Dokąd teraz lecimy?

- Zdaje się, że Morgan znów ma zamiar skrócić do Radomia. Mówi, że nie kupili wszystkiego.

- Jesteśmy już w krzywoprzestrzeni?

- Nie, ale niedługo wchodzimy.

Okazało się, że nie tak szybko. Po sygnale alarmu bojowego najpierw rozległ się ciężki tupot nóg na korytarzach, a potem nastąpiło gwałtowne zmniejszenie ciężenia aż do całkowitej nieważkości - bez żadnego uprzedzenia. Widocznie Howard wykonywał jakiś szalony i bardzo gwałtowny manewr. Dobrze, że mieli elektromagnesy w podszewkach. Po ich włączeniu można było iść, a nie lecieć.

Howard z Morganem rzeczywiście nie mieli głowy, by cokolwiek ogłaszać. W końcu sygnał alarmu działa automatycznie, a żeby coś powiedzieć, trzeba to najpierw wymyślić. A czy jest czas na zastanawianie się, kiedy nagle zawisa nad tobą obcy statek, który wynurzył się z krzywoprzestrzeni, łamiąc wszystkie dopuszczalne reguły?

Jeżeli, na przykład, rozładował się jump-radar, normalny pilot wybiera punkt jak najdalszy od wszystkich systemów planetarnych. A jeżeli z radarem wszystko jest w porządku, to znaczy... To znaczy, że to napad!

Strzelanina jakoś się nie zaczęła, mimo że liniowiec wyglądał całkiem poważnie. Nie mógłby liczyć na zwycięstwo w boju z całą piracką armadą, ale w przypadku zderzenia z „Konkwistadorem” mógł napsuć flibustierom dużo krwi.

- Za takie dowcipy trzeba wyrzucać bez skafandrów w próżnię międzygwiazdną - warczał Morgan. - Zniszczę drani, kurcz z nich zrobię, bez względu na to, kim są!

- Poczekaj, kapitanie - sprzeciwił się Howard, poprawiając opaskę na oku - a jeżeli tam jest jakiś ciekawy ładunek?

- To na pewno sprawdzimy - zgodził się Morgan. - Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Po wykonaniu niezbędnych manewrów statki zamarły, jakby uważnie badały siebie nawzajem.



W tym momencie Meta, wbrew wszelkiej logice (przecież przed chwilą przysięgała, że nie chce mieć z Morganem nic wspólnego), nagle ogłosiła:

- To nie jest prawdziwy liniowiec bojowy. Wszystkie jego armaty to tylko rekwizyty dla idiotów. Nie może do nas strzelić.

Morgan nawet nie zapytał, jak się tego domyśliła. Już wiedział, że miała rację. Od razu wydał rozkaz:

- Do ataku!

Ale właśnie w tym momencie otworzyły się śluzy nieznanego statku i całe stado lekkich łódek desantowych - Jason naliczył dwanaście - wyleciało w przestrzeń. Nie miały zamiaru atakować, raczej przeciwnie - to pasażerowie pseudoliniowca uciekali w różne strony.

- Złapcie chociaż jednego! - rozkazał Morgan.

Scott, który w tym momencie kierował artylerią, wystrzelił i trafił jedną z małych kanonierek. Po jaskrawym wybuchu została tylko chmurka gazu, a reszta łódeczek nabrała prędkości.

- Idioto! ryknął Morgan. - A jeżeli właśnie tam był najcenniejszy ładunek?! Kretynie! Kiedy nauczysz się myśleć?

- Nigdy - uśmiechnął się Toni Howard. Też nie miał tęgiej głowy, ale obok Scotta czuł się umysłowym gigantem. - Osobiście uważam, że wszystko, co najcenniejsze, zostało na statku.

Misson, który słuchał ich kłótni ze swojego pokoiku komputerowego, zdążył złapać jedną z uciekających kanonierek za pomocą mocnego „paraliżującego” promienia. To był najnowszy, bardzo drogi rodzaj broni - promiennik hamujący reakcje jądrowe. Pod jego działaniem silnik nie zabezpieczonego specjalnie statku natychmiast się wyłączał. Kosmiczna łódź uciekinierów zamieniła się w dryfujący obiekt.

Ale tego, kogo znaleźli wewnątrz, już nie można było uważać za więźnia: człowiek umarł, nie wytrzymując potwornego przeciążenia przy gwałtownym hamowaniu. Był, sądząc po ubraniu, osobą cywilną, a pieniędzy, które miał przy sobie - około tysiąca kredytek - nie można było nazwać inaczej niż kieszonkowym.

Reszta wyjaśniła się, kiedy weszli na statek.

To rzeczywiście był zwyczajny frachtowiec, ucharakteryzowany na wojskowy liniowiec, a całą ładownię miał zapchaną dobrze wyprawionymi skórami bubuzantów. Niezły kąsek - na chwilę przed opuszczeniem systemu. W dodatku wzięty praktycznie bez walki. Nudno, ale przyjemnie.

Cała historia od razu stała się jasna. Przemytnicy oczywiście uciekali przed patrolem celników albo policjantów. Zanurzyli się w krzywoprzestrzeń, wyszli z niej byle gdzie, zacierając ślady, ale mieli pecha. Nie starczyło im czasu na wyjaśnienie, kim są, a zagrożenie wyczuli pewnie instynktownie. Bez takiej intuicji nie warto zajmować się przestępczym biznesem. No i rzucili się do ucieczki, gdzie kto mógł.

Postanowili nie bawić się w przenoszenie towaru ze statku na statek. Morgan kazał holować frachtowiec za „Konkwistadorem”.

- No, teraz już na pewno na Radom - powiedział. - Nie sądzę, żeby na twoim Pyrrusie ktoś potrzebował tych rzeczy. A Radomianie w zamian za skóry bubuzantów zaproponują nam dobrą broń. Tym bardziej że to jest po drodze.

Jason nie zrozumiał ostatniego zdania. Postanowił wyjaśnić, czy przywódca flibustierów nie oszukuje.

- Słuchaj - zapytał Metę - dlaczego Morgan mówi, że Radom jest po drodze na Pyrrusa? Popatrz na mapę Galaktyki, specjalnie zaznaczyłem trasę. Spójrz, gdzie jest Pyrrus, gdzie Darkhan, gdzie Radom, a gdzie Jamajka! Nawet Zunbar to już nadłożenie drogi, co prawda niewielkie.

- Jasonie - powiedziała Meta z wyrzutem. - Przeczytałeś o wiele więcej książek ode mnie, ale z astronawigacji na pewno miałeś same dwóje w szkole letniej na Scoglio. Mapa Galaktyki to prymitywne rzutowanie na płaszczyznę realnego położenia gwiazd, ale najważniejsze jest co innego: przemieszczamy się w krzywoprzestrzeni, a tam już jest zupełnie inna geometria. Morgan ma świętą rację. Gdybyśmy lecieli z Pyrrusa na Zunbar, Radom nie byłby najbliższym światem, ale lecąc odwrotnie, z Zunbara na Pyrrusa, to jest rzeczywiście po drodze. Natomiast do Zunbara i Odemiry w drodze z Jamajki trzeba zrobić łuk, i to spory. Po prostu Morgan bardzo chciał tam lecieć.

- Pożyteczna informacja - przyznał Jason - ale zupełnie nie do przyjęcia. Odmawiam uznania takiej matematyki, w której odległość od A do B nie jest równa odległości od B do A.

- Myślisz, że ja to wszystko rozumiem? - powiedziała Meta. - Po prostu dużo się uczyłam w swoim czasie. Przeczytałam i zapamiętałam.

Rozmowa dwojga studentów, przeleciało Jasonowi przez głowę.

Naturalnym skojarzeniem przypomniał sobie młodzież, która dopiero co ich opuściła i zapytał Metę:

- Nie tęsknisz za dziećmiakami?

- Jasne, że tęsknię - przyznała.

- Ja też. A wiesz dlaczego? Ludzie w naszym wieku powinni mieć rodzinę, dzieci, zajmować się normalną pracą.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Meta - tylko najpierw musimy zniszczyć wszystkie potwory.

- Jakie? - zapytał Jason. - Te czy tamte?

- Wszystkie - zdecydowanie podsumowała Meta.

A na Radomie wszystko się powtórzyło, jak we śnie, który powraca każdej nocy. W realnym życiu nie spotyka się takich sytuacji. Przemieszczali się po ogromnym porcie kosmicznym wzdłuż przystani dla lądujących statków, pasów startowych i doków remontowych i prawie w tym samym miejscu przemknęła im przed oczami mała, zwinna łódeczka. Teraz było na niej namalowane godło Darkhanu, ale łódeczka była ta sama. Jason dałby za to głowę. Przypadkowo zapamiętał ukośne wgłębienie na prawej burcie, a obok niego rozbity spektrolitowy kapturek wideonadajnika. I zupełnie tak samo jak wtedy - gdy wracali, nie było już tajemniczej łódeczki na przystani. Nie ma takich zbiegów okoliczności.

Jason podzielił się swoimi obserwacjami z Metą, która wzruszyła obojętnie ramionami.

- Tak czy inaczej, igramy ze śmiercią. Kogo jeszcze mamy się bać? Jednego nie rozumiem: jeżeli to byli ci sami, dlaczego przez tak długi czas nie zmienili nadajnika?

- Widocznie nie zdążyli - doszedł do wniosku Jason. - Przecież to są szpiegzy, więc cały czas obserwują; zresztą na szpiegowskiej łódce na pewno wszystkie systemy są dublowane.

- Chyba masz rację. Nie przyszło mi to do głowy - powiedziała Meta.

Po chwili przerwy dodała:

- Ciekawe, jak będą nas szpiegować na Pyrrusie.

- Ciekawe - zgodził się Jason.

Potem wydarzył się jeszcze jeden interesujący epizod. Kiedy wszystkie operacje kupna-sprzedaży zakończono, znany już Jasonowi radomski autorytet Gronszyk znów odwiedził sterownię kapitańską, pogawędził ze wszystkimi obecnymi w swoim złodziejskim żargonie, a na koniec Morgan zwrócił mu podarowany podczas poprzedniej wizyty przepiękny pierścień.

Co to mogło oznaczać? Rytuał? Jakiś znak? A może jednak szpiegowskie obyczaje? Nie chciał pytać Morgana wprost - było jasne, że nie usłyszy prawdy, a zbędna ciekawość spowoduje dodatkowe podejrzenia. Chociaż Jason został następcą Starego Susa, lepiej było tego uniknąć. Spróbuje sam się domyślić.

Następny - i ostatni przed Pyrrusem skok w jump-trybie powinien zająć, zgodnie z wyliczeniami, cztery dni. Przez pierwsze dwa załozce pozwolono się upijać, a przez następne mieli doprowadzić się do porządku i przystąpić do przygotowań. Póki wszyscy byli trzeźwi, Morgan ogłosił przez interkom:

- Bracia, czeka was walka z nieznanym i podstępny wrogiem. Pokażcie najwyższą klasę, moi dzielni flibustierzy! Powiedzmy sobie uczciwie, nie wszyscy dożyją zwycięstwa, ale każdy powinien ku temu dążyć. Bo o takim zwycięstwie, jakie mamy przed sobą, nikt z was wcześniej nawet nie marzył. Wzbogacimy się jak w bajce, chłopcy! Każdy z was będzie miał tyle, ile ja mam dzisiaj: własną planetę i własne wojsko. A ja będę właścicielem całych konstelacji. Uwierzcie mi, chłopcy! A teraz pijcie, ile możecie! Ogłaszam dwa dni całkowitego odpoczynku.

Morgan przeprowadzał od czasu do czasu takie pranie mózgu. Sam rozkoszował się własnymi monologami, a załoga słuchała go z przejęciem. Te płomienne mowy odnosiły skutek. A pomysły Jasona poszerzyły horyzonty flibustierskich pojęć o szczęśliwej przyszłości. Nie na próżno się starał życie stało się lepsze dla wszystkich.

Stanęli przy dużym ekranie widokowym, żeby zgodnie z tradycją zachwycać się widokiem nieba przy przejściu do krzywoprzestrzeni.

- Zapomnijmy o wszystkim innym - odezwał się Jason do Mety - i spędźmy te dni tylko we dwoje. Jak za dawnych, dobrych czasów młodości.

- Uważasz, że nasza młodość już minęła? - poważnie zapytała Meta.

- Ależ skąd! To miał być żart - uśmiechnął się Jason. - Piraci na swój sposób przygotowują się do rozpoczęcia walk, ale w jednym na pewno mają rację: przed bojem trzeba się rozluźnić. Napijmy się najlepszej odemirskiej brandy, ale tylko trochę. Dlaczego jesteś dzisiaj smutna?

- Cóż, jeszcze nigdy nie wracałam do domu na pirackim statku, który razem z całą eskadrą ma zamiar atakować moją planetę.

- Ja też - powiedział Jason. - Ale to nie znaczy, że mamy przestać cieszyć się życiem. Spójrz, jak pięknie jest w przestrzeni międzygwiazdnej. Tak było tysiące lat temu i tak będzie jeszcze przez miliony lat. Nie myśl dzisiaj o niczym przykrym, Meto!

- Postaram się - szepnęła. Przytuliła się do piersi Jasona i dodała jeszcze ciszej, ale już bez smutku:

- Chodźmy do kajuty.

8

Na orbicie Pyrrusa było zdecydowanie zbyt tłoczno. Nie minęła godzina, jak wynurzyli się z krzywoprzestrzeni w dokładnie ustalonym miejscu. Zdążyli zrobić zaledwie dwa obroty wokół planety, kiedy trzy międzygwiazdne skutery klasy patrolowej znalazły się w polu widzenia urządzeń śledzących liniowiec „Konkwistador”.

- Kto to, Jasonie?! - zapytał wściekły Morgan. - Czyżby tresowane zwierzęta nauczyły się już kierować statkami kosmicznymi?

- Cenię twoje poczucie humoru, Henry, ale to nie są przedstawiciele miejscowej floty. Zgodnie z przyjętymi regulami...

- Nie uprzedziłeś, że będą nas witać w ten sposób! - Morgan nie słuchał Jasona. Był coraz bardziej wściekły. - Jasonie, czy to pułapka?

- Ależ uspokój się! Nie pozwalasz mi powiedzieć...

- I nie pozwolę! - ryknął Morgan. - Najpierw załatwię te skutery, a potem porozmawiamy.

- Niech Bóg broni, Henry! - przeraził się Jason.

Morgan dobrze wiedział, jaki Jason dinAlt ma stosunek do wszystkich bogów, łącznie z ich flibustierskim Chrystusem, ale za każdym razem wspomnienie boskiego imienia robiło na nim wrażenie. Dzięki temu Jason zyskał kilka sekund.

Nadchodził bardzo ważny moment. Jason doskonale wiedział, co to za skutery. Jeżeli teraz nie uda się uratować ich przed wściekłym gniewem przywódcy flibustierów, cała dobrze zaplanowana przez Jasona operacja potoczy się w niepożądanym kierunku. A to znaczy, że potrzebne są argumenty o zabójczej sile.

- Domyślam się mniej więcej, co za ludzie są w tych skuterach - zaczął Jason ostrożnie i od razu dodał to, co uznał za najważniejsze:

- Stary Sus mnie uprzedzał.

Odkąd Jason stał się następcą półmitycznego bohatera, flibustierski kapitan cały czas wpadał z jednej skrajności w drugą. Niekiedy wyobrażał sobie, że tak jak przedtem jest panem sytuacji, a Jason to tylko więzień; kiedy indziej był gotów pełzać na kolanach przed nieśmiertelnym przedstawicielem innej rasy. Zupełnie jak wtedy, na wyspie Espaniola.

Słyszając święte imię, Morgan popatrzył nieufnie. W jego duszy toczyła się tradycyjna walka: flibustierska duma walczyła z mistycznym strachem przed nieznanymi bogami. Jason zrozumiał, że same słowa teraz nie wystarczą. Przechwycił spojrzenie Nawigatora i ani na sekundę nie odwracając od niego oczu, zaczął mówić cicho, wolno, łagodnym głosem, naśladując ton Starego Susa. Ze wszystkich sił starał się podkreślić wagę każdego słowa.

- Myślę, że ci ludzie trochę się pospieszyli i przybyli tu przed nami. Pozwól, że dam im znak. Nic nie ryzykujemy, bo nikt obcy nie potrafi go zrozumieć. Ten patrol wysłali bogowie.

- O kim ty mówisz, Jasonie? Kim są ci ludzie?!

O, ciemności przestrzeni! Czy przypadkiem nie przesadził?

Morgan przybrał wyraz twarzy dziecka, które zupełnie samo znalazło się w środku nocy na cmentarzu. Wydawało się, że mityczny strach zapanował w jego duszy nad wszystkimi innymi uczuciami.

- Kim są ci ludzie? - powtórzył Jason pytanie w zamyśleniu. - To moi kronikarze.

Zaczął wystukiwać na klawiaturze kod wywołania, bo zrozumiał, że nie będzie żadnego sprzeciwu ze strony Morgana, Myślał przy tym, jakie to szczęście, że nie ma z nimi Mety. Inaczej rozmowa zamieniłaby się w strzelaninę. Bliskość rodzinnej planety mogła podziałać na zmęczoną lenistwem Pyrrusankę tylko w jeden sposób.

Ale Meta w tym momencie razem z Madame Cin przebywała w pokoiku Missona, który zaprosił je, żeby pochwalić się swoimi najnowszymi wynalazkami. Większość tych wynalazków służyła do atakowania, więc nie mogła nie zainteresować Mety. Już nie ukrywała, że się zna na pyrrusańskiej florze i faunie. Razem z Jasonem wymyślili dobrą legendę na ten temat i teraz Meta dawała piratom fachowe rady. Na tyle się wciągnęła w ten proces, że nawet nie zauważyła, jak weszli na orbitę Planety Śmierci.

- Kronikarze, mówisz - tępo powtórzył Morgan, całkowicie zdezorientowany.

Jason już rozpoczął radiowy dialog po duńsku i szybko wyjaśnił, co trzeba. Morgan na tyle dobrze rozumiał duński, że mógł się zorientować, gdyby Jason coś knuł. Teraz się upewnił, że Jason nie planuje nic przeciwko niemu. Jednak mało znany język zirytował flibustiera. Wreszcie nie wytrzymał.

- Jasonie, po co to wszystko?

- Przecież wiesz, że my, nieśmiertelni, lubimy zapisywać swoje czyny. Sam też utrwalasz na dyskach swoje triumfalne ataki. A właśnie, już dawno chciałem zapytać, co potem się dzieje z tymi nagraniami?

- Czasami nic. Po prostu oglądam i cieszę się nimi. Czasami pokazuję przyjaciołom i razem analizujemy popełnione błędy. Uczymy młodzież na przykładzie starszych. No i powiem ci w tajemnicy, że te dyski to bardzo dobry towar. Na przykład Radomianie dają za nie mnóstwo pieniędzy.

- Od razu się domyśliłem - przyznał się Jason. - Już podczas nalotu na konwojentów. Sam jestem próżny i lubię pokazać się przed kamerą. Co prawda, jeszcze nie sprzedawałem filmów, w których uczestniczyłem, ale... to dopiero początek! Prawda?

- To niezły pomysł, Jasonie, ale i tak nie rozumiem, po co ci aż tylu kronikarzy?

- Po prostu myślisz nie na tym poziomie, Henry. Już kiedyś tłumaczyłem, że nasze przedsięwzięcia mają zupełnie inną skalę. Nie zajmujemy się drobiazgami. Dlatego chcę to utrwalić jak najlepiej. Twoje filmy są tak samo amatorskie, jak twoje akcje. A u mnie pracują profesjonaliści. Filmują z kilku punktów jednocześnie: plan ogólny, średni, większy. Potem nastąpi profesjonalny montaż. To będzie prawdziwy film, zrobiony przez fachowców.

- Skąd są ci fachowcy? - zapytał Morgan.

- Z największych kompanii telewizyjnych północnej części Galaktyki. Zapewniam cię, że reprezentują najwyższy stopień profesjonalizmu. Stary Sus pracuje tylko z najlepszymi firmami.

- Też mam tam swoje wejścia. - Morgan był naburmuszony jak mały chłopiec. - Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Dlaczego nie użyłeś moich kanałów?

- Prawdę powiedziawszy, Henry, dlatego, że jesteś nieprzewidywalny. Kto wie, co byś mi odpowiedział? Zresztą chyba byś nie chciał, żeby moi kronikarze filmowali Jamajkę lub statek flibustierów. Czyżbyś miał zamiar odsłonić się za wcześnie? Stary Sus robił to dużo lepiej. Po Pyrrusie nie będziemy się liczyć z nikim i z niczym, ale na razie...

Morgan siedział w wysokim kapitańskim fotelu i wyglądał na zagubionego, stłamszonego atakiem Jasona. DinAlt postanowił zmienić temat.

- Widzę, że wykonujesz lot nad planetą po standardowej spirali. Chyba już najwyższy czas poprosić Missona o rozszyfrowanie danych z obserwacji.

- Nie, jeszcze nie - powiedział Morgan. - Dostałem pierwszy komunikat, kiedy gawędziłeś ze swoimi filmowcami. Nie zawierał nic ciekawego. A do następnego komunikatu trzeba będzie poczekać jeszcze z pół godziny.

- Dobrze - zgodził się Jason. - Ale nie warto za bardzo ociągać się z lądowaniem. Mają tu swoje metody lokacji i im szybciej zrobimy pierwsze rozpoznanie, tym większe mamy szansę na dalsze powodzenie. Rozkaż, żeby przygotowano łodzie desantowe. Na początek wystarczą trzy.

Morgan skinął głową. Jason odezwał się po krótkiej przerwie:

- Może byś puścił Metę za stery pierwszej łodzi? Ona pamięta, gdzie mniej więcej należy lądować. Tu nie ma za wielu portów kosmicznych, a wątpię, żeby gościnni Pyrrusanie przekazali ci namiary, jak upragnionemu gościowi. Raczej użyją artylerii przeciwlotniczej. A Meta jest prawdziwą mistrzynią w unikaniu ognia.

- Dobrze niech prowadzi - kiwnął głową Morgan. Teraz zgadzał się już na wszystko. - Polecimy razem w pierwszej łodzi i po drodze mi wytłumaczysz, od czego najlepiej zacząć.

- Postaram się - obiecał Jason.

Morgan już krzyczał do interkomu:

- Lądowanie na planecie zgodnie ze schematem numer dziewięć. Piętnastominutowa gotowość. Ogłaszam skład załóg...

Podczas kiedy wkładali skafandry, kontrolowali sprawność wszystkich systemów i kompletowali uzbrojenie, Meta zapytała:

- Co to za kronikarze latają po niebie nad Pyrrusem? Czy to Kerk ich zaprosił? Co on, zwariował?

- Nie, Meto, to nie Kerk. Zaprosił ich Ronald Sane. To właśnie jest moja mała niespodzianka.

- To znaczy, że zwariowałeś - stwierdziła Meta.

- Ależ nie, wszystko zrozumiesz w swoim czasie. Po prostu większa niespodzianka jest jeszcze przed nami.

Machnęła ręką, całkowicie tracąc zainteresowanie dziwnymi tajemnicami Jasona. Zapytała o sprawę praktyczną:

- Czy dzisiaj już będziemy walczyć poważnie?

- Myślę, że tak. Trzeba będzie - kiwnął głową Jason i dodał: - Niestety.

Meta tylko błysnęła oczami, powstrzymując się od odpowiedzi. Obydwoje byli już całkowicie wyekwipowani.

- Łodzie są przymocowane do śluz - ogłosił Morgan. - Minutowa gotowość!

Lądowali na zimowej stronie planety i świeży beton lądowiska był gęsto zasypany śniegiem. Dookoła portu kosmicznego, w zasięgu wzroku, ciągnęła się biała równina z czarnymi kępkami zwiędłych krzaczków. Z jednej strony teren wyraźnie się podwyższał, a niewysokie skały były gęsto porośnięte ciemnozielonym lasem iglastym. Właśnie stamtąd mogły pojawić się problemy.

Trzy łodzie desantowe ustawiły się w jedną linię z nosami zwróconymi w stronę najbardziej niebezpiecznego odcinka. Morgan oddał ostrzegawczą salwę z lekkiej broni w stronę lasu. Wybuch rozległ się w zupełnej ciszy. Słysząc go było nawet wewnątrz opancerzonych łodzi, inaczej niż bezgłośnie strzelanie w kosmosie. Ale planeta nie odpowiedziała. Budynek dyspozytorni wyglądał na zupełnie pusty, nigdzie nie było widać domów, a zwierzęta jakby wszystkie zapadły w śpiączkę.

- Trzeba będzie wyjść na zewnątrz - podsumował Jason. - Zimą to nie jest tak bardzo niebezpieczne, przynajmniej nie grożą nam jadowite rośliny i różne obrzydliwe owady.

- A kto nam grozi? - zapytał Howard.

- Zaraz się dowiemy! - rześko odpowiedziała Meta.

Dowiedzieli się o tym szybciej niżby chcieli.

Zostawiając po dwie osoby w każdej łodzi dla wsparcia ogniowego na wypadek większych problemów, flibustierzy ustawili się w tyralierę i niespiesznie ruszyli w stronę lasu.

Było mroźno, sucho i przerażająco cicho, póki nagle prosto ze śniegu nie wyłoniły się pokryte łuskami potwory, podobne do dużych gekonów o wylupiastych oczach, bardzo szybkie, z mnóstwem kolców ze wszystkich stron. Tuż za falą tych obrzydliwych stworzeń ruszyła druga linia ataku - między pniami drzew zamajaczyły kosmate ciała z długimi końskimi pyskami, ale z wojowniczo nastawionymi rogami, jak bizony. A kiedy te potwory otwały drapieżne paszcze, widać było, że zęby mają wcale nie końskie, a raczej krokodyle.

Zaczęli strzelać prawie jednocześnie. Wszyscy chcieli przeżyć, a zamiary potworów nie budziły żadnych wątpliwości. Teraz kilka spalonych ciał dymiło na ziemi, wiele rannych wilo się barwiąc śnieg krwią, ale reszta kontynuowała atak, w dodatku w sposób zorganizowany, z wojskową wręcz dyscypliną. W tym momencie zobaczyli naganiaczy.

Cztery sylwetki powoli przemieszczały się wzdłuż skraju lasu, machając rękami niczym dyrygent na koncercie orkiestry symfonicznej. Jednego z dyrygentów Jason rozpoznał nawet z daleka. To był Kornik - urodzony gawędziarz, najlepszy uczeń Naxy. Inni, oczywiście, byli z tej samej gliny. Jason szczerze zachwycił się rozgrywanym spektaklem. Aktorzy byli wybitnie utalentowani, machali rękami jak w natchnieniu, a za reżysera tego spektaklu, to znaczy autora dzieła, Jason mógł uważać siebie.

- Trzeba zabić tych ludzi! - krzyknął Morgan. - Mam rację?

- Absolutnie nie! - odpowiedział Jason przez grzmot wybuchów, trzask armat i jęki rannych zwierząt. - Oni i tak już swoje zrobili.

- Co znaczy „absolutnie nie”? - oburzył się Morgan. - Przecież to wrogowie. Trzeba się ich pozbyć!

Kaszłąc od dymu, wydał rozkaz:

- Podnieść linię ognia! Cel: czterech dwunogich na skraju lasu!

Nie wszyscy się podporządkowali. Richard Scott wytłumaczył to prostodusznie:

- Jeżeli wszyscy będziemy strzelać do ludzi, te potwory po prostu nas zeżrą. Ludzie są daleko, a te przekłete jaszczury mamy prawie pod nogami.

Scott miał świętą rację; Jason chciał to potwierdzić, ale nie zdążył. Kiedy kule zaczęły się wbijać w pnie drzew, Pyrrusanie-naganiacze szybko się wycofali. Dobrze wiedzieli, gdzie i jak uciekać. Jednak jeden został ranny. Jason widział wyraźnie, że Kornik niósł kogoś na plecach.

- Hurra! - wrzasnął Morgan, który też zauważył trafienie. Za wcześniej się cieszył.

W odpowiedzi na ostrzał ludzi, a może po prostu zgodnie z planem, zaatakowały ich z nieba skrzydlate drapieżniki.

- Czy ptaki też są niebezpieczne? - na wszelki wypadek zapytał Morgan.

- Jakie ptaki? - warknęła Meta, kierując strzelbę do góry. - To żądłopióry.

Jason ocenił sytuację i rozkazał tonem nie dopuszczającym sprzeciwu:

- Odchodzimy, Morganie! Szybko wycofujemy się do statków! Tym razem źle się przygotowaliśmy.

Na łodziach desantowych już zrozumieli, co i jak, i pomogli im uruchamiając bojowe miotacze ognia. Stada żądłopiórów płonęły w chmurze napalmu, który szeroko rozlał się nad polem i powoli opadał na śnieg. Niektóre ptaki, te sprytniejsze, uciekały w różne strony i atakowały samotnie, ale natykały się w pobliżu statków na długie serie rozpryskowych kul. Gekony razem z zębatami kobyłami zostały odcięte od piratów nieprzerwaną linią płonącej ziemi. Niedobitki, które znalazły się po tej stronie, flibustierska piechota zniszczyła podczas odwrotu.

Kiedy wreszcie wszyscy znaleźli się w środku, jeszcze przez jakiś czas z przerażeniem słuchali, jak ostatnie żądłopióry wściekle drapały pazurami iluminatory ze szklanej stali, a wzdłuż całego korpusu w różnych kierunkach biegały chwytny gekony, wbijając we wszystkie wystające przedmioty swoje twarde kolce.

Morgan stanął przy sterze, gwałtownie wystartował i długo krążył nad lasem, wyszukując wśród ocalałych potworów większe skupiska. Jednak zwierzęta rozproszyły się i pochowały. Przez jakiś czas pirackie łodzie desantowe ostrzeliwały zimowy las z najróżniejszych rodzajów broni, ale służyło to raczej uspokojeniu nerwów niż dobieciu wroga. Po dwunogich przeciwnikach dawno nie było śladu.

Kiedy lecieli z powrotem na „Konkwistadora”, Morgan zapytał prostodusznie:

- Uważasz, że tak będzie wszędzie?
- Będzie dużo gorzej, Henry - pocieszył go Jason.
- Wspaniała planeta - jęknął Morgan.
- Uprzedzałem - Jason wzruszył ramionami. - Może tylko zapomniałem wspomnieć o jednym szczególe. Otóż Pyrrusa czasami nazywają Planetą Śmierci.
- Odpowiednia nazwa - przyznał Morgan.
- Musisz wiedzieć, że naganiaczy zazwyczaj nie widać. Dzisiaj pojawili się nie wiadomo dlaczego. Widocznie chcieli poznać zbyt bezczelnych obcych.
- To nic - ryknął Morgan, stopniowo dochodząc do siebie - jeszcze poznamy się bliżej. Zobaczą, kim jesteśmy! Wcale nie uważam, że pierwsza walka skończyła się niepowodzeniem.
- Ilu mamy rannych? - zapytała Meta.
- Sześciu - odpowiedział Morgan. - Ale wszystkie przypadki poza jednym są lekkie.

Meta chciała już powiedzieć, że i pod tym względem wszystko jeszcze przed nimi, ale po krótkim zastanowieniu stwierdziła, że taka uwaga byłaby nie na miejscu.

9

W następnych dniach jeszcze kilka kawaleryjskich nalotów na planetę Pyrrus skończyło się fatalnie: dwanaście ofiar i ponad trzydziestu rannych, w tym dziewięciu ciężko, czyli w najbliższej przyszłości nie można było na nich liczyć. A zwierzęta praktycznie nie ucierpiały, może nawet okrzepli. Gdyby tak miało być dalej, piraci stopniowo, powiedzmy w ciągu roku, mogliby zostawić prawie całe swoje wojsko na tej niezbyt gościnnej ziemi, a potem spokojnie odlecieć w dumnej samotności, nic nie wskórawszy. Ale Morgan nie miał zamiaru dalej postępować tak samo. Jego podwładni w gruncie rzeczy nie umieli nic, poza niszczeniem wszystkiego na swojej drodze. Jednak sam Henry był zdolny do wielu rzeczy. Najważniejsze, że wiedział, jak kierować tą dziką, niepoahamowaną, ale posłuszną siłą.

W ciągu pierwszych dni, bezlitośnie tracąc ludzi, po prostu przechodził niezbędny wstępny etap. Oswajał się, tworzył własną mapę planety, wyliczał najkrótsze i najbardziej efektywne drogi do upragnionego Epicentrum.

Morgan upewnił się szybko, że im bliżej tego zaczarowanego miejsca, tym większy jest opór zwierząt. To szczególnie go podnieciło. Tym bardziej, że sam spróbował przelecieć nad Epicentrum. Ta próba zniesienia się na wysokość skoku bez spadochronu i spojrzenia przez przezroczyście fale na dno, o mały włos nie pozbawiła życia Navigatora. Jego kanonierkę trafiono z nieznanego typu broni. Najbardziej przypominało to wybuch niedużego wulkanu, który przyczał się na płyciźnie. Ponadto, jeżeli wierzyć urządzeniom kontrolnym, z gardzieli tego wulkanu wydobywał się płomień prawdziwej wysokotemperaturowej plazmy.

Jason wcale się nie zdziwił słysząc to. Wytłumaczył, że wulkany na Pyrrusie to normalne zjawisko. A skoro koloniści bez trudu sterują morskimi potworami, łatwo mogli z ich pomocą przedziurawić cienką warstwę na dnie oceanu i wypuścić na wolność piekielną energię tutejszej magmy. Hipoteza, oczywiście, była dość śmiała, ale Morgan i tak już wiedział, że to miejsce pilnie chroniono. Zmasowany atak raketowo-bombowy nie miałby sensu. Epicentrum, w przeciwieństwie do całej reszty, trzeba było „wziąć żywcem”, a nie niszczyć.

Próby podpłynięcia morzem okazały się jeszcze bardziej nieskuteczne - w pobliżu Epicentrum woda stała się aż gęsta od głodnych tuzinogów, lanmarów, wielorekinów. Rozmaite potwory zapelniały swoimi ciałami cały



akwen. Wydawało się, że byłyby w stanie zemleć szczękami plastik, a nawet metal. Na dodatek po niebie krążyły miłe ptaszki, nazywane ptakami-piłami. One też nie chciały czekać na swoją porcję resztek i odważnie atakowały każde świeże jedzenie, które dobrowolnie przybyło do tej szczodrze posolonej, ale niedogotowanej zupy.

Nawiasem mówiąc, pomysł, by nagrzać morze w pobliżu Epicentrum do temperatury wrzenia, wydawał się Morganowi nie najgorszy. Oczywiście, będzie to trochę kosztować, ale może warto spróbować.

Tę metodę zostawili na zapas, a na razie podczas rozpaczliwych walk na morzu flibustierom zaczynało się wydawać, że pyrrusańskie potwory łkają pociski każdego rodzaju. Jakby w ogóle nie wybuchały od kul rozpryskowych, tylko rozpadały się na tuziny nowych, jeszcze bardziej okrutnych organizmów. Od granatów kumulacyjnych nadymały się do gigantycznych rozmiarów i nabierały nowych sił. Po takich drastycznych widowiskach, dziwacznych jak halucynacje, nie każdemu piratowi chciało się znowu iść do boju. Pojawiły się pierwsze kaleki psychiczne.

Szturmowe jednostki flibustierów atakowały planetę w najróżniejszych strefach klimatycznych i geograficznych, w rozmaitych warunkach pogodowych, przy świetle dnia i w nocy, pojedynczymi strzałami i długimi szeregami ludzi i maszyn. Rezultaty były różne, ale zawsze negatywne. Jednak za każdym razem wojownikom dziękowano za dzielną służbę, wystawiano dla nich beczki wina i rumu, uroczyście gratulowano z okazji zwycięstwa - jednym słowem, robiono wszystko, by podtrzymać ducha walki. Tak, to prawda, są ranni, są zabici, ale przecież toczy się wojna, a na wojnie różnie bywa - o tym wiedział każdy flibustier.

Każdy flibustier był też przyzwyczajony do tego, by ślepo wierzyć w powodzenie.

Trochę dziwnie wyglądali kronikarze, fanatycy swojej pracy, którzy niezmiennie krążyli nad wszystkimi miejscami walk, lotów zwiadowczych i wycieczek dywersyjnych. Ale powoli do nich też się przyzwyczajono. Szczególnie ciepło zaczęto ich traktować po tym, jak dwóch z nich runęło ze swoim kutrem filmowym w dżunglę. Nie wiadomo nawet, co ich trafiło. Flibustierzy okazali im pierwszą pomoc na jednym z liniowców, a potem wdzięczni koledzy, którzy zjawili się na statku wojskowym, zabrali do swojego szpitala nieszczęsnych poszkodowanych filmowców.

Morgan odprowadzał ich osobiście i z zadowoleniem odnotował, że żaden z nich nie nosił broni - mieli tylko kamery. Po pierwszej dziwnej rozmowie z Jasonem samo słowo „kronikarze” wywoływało w duszy pirackiego kapitana niewytłumaczalne, nabożne uczucie. A właściwie dlaczego niewytłumaczalne? Przecież kronikarze to posłańcy bogów, a to znaczy, że sami byli prawie bogami.

Morgan cały czas sumował wszystkie informacje, które udawało się zdobyć. Jason dał mu pozwolenie na przeglądanie nagrań zrobionych przez kronikarzy. Nadchodził czas, kiedy przywódca flibustierów wprowadzi do boju wszystkie swoje siły jednocześnie.

- Jak tylko potrafię dokładnie ocenić, z jakim oporem się spotkamy - rozmyślał głośno Morgan - jak tylko porównam ostatnie szczegóły, ich i nasze zapasy, jak odgadnę wszystkie możliwe konsekwencje, wtedy uderzę ze stu pięćdziesięciu punktów jednocześnie. Nazwiemy tę operację „Wielki szturm”.

- Banalna nazwa - zauważył Jason.

Morgan przechylił głowę na bok i zamyślił się.

- Masz rację. Wymyślę coś lepszego. Jak, mówisz, nazywają Pyrrusa? Planeta Śmierci? No więc przeprowadzimy operację „Śmierć Planecie Śmierci”. Jak ci się to podoba?

- Trochę za długie - krytycznie ocenił Jason - niezbyt wojskowo brzmi. Niech będzie po prostu „Śmierć Śmierci”.

- Przyjęte zgodził się Morgan. - Więc, jak mówiłem, zaatakujemy od razu ze stu pięćdziesięciu miejsc. To na pewno zadziała! Taki zmasowany atak musi odwrócić ich uwagę od najważniejszego. Właśnie wtedy specjalnie przygotowany oddział uda się na Epicentrum. Logiczne?

- Właściwie - tak. Ale musimy dokładnie omówić szczegóły.

W ten sposób odsuwali ten dzień, początek wielkiego szturm o strasznej nazwie „Śmierć Śmierci”. Wszyscy mieli wątpliwości. Cały czas myśleli: co będzie, jeżeli nie wzięliśmy czegoś pod uwagę?

Natomiast Jasona nurtowały zupełnie inne problemy.

Zostając we dwójkę z Metą, co zdarzało się teraz częściej, za każdym razem dyskutowali, kiedy i jak odejść od Morgana do swoich. Właśnie tak to teraz określali - odejść, a nie uciec. Na rodzinnej planecie powinno to być bardzo łatwe.

Czasami podczas operacji wojskowych po prostu wjeżdżali opancerzonym samochodem do lasu albo odpływali na szybkim ślizgaczu w morze, niby to atakować kolejne skupisko złośliwych mutantów. Tak naprawdę robili odwrotnie - wybierali ustronne miejsce i tam długo dyskutowali dalsze plany, włączając do dyskusji Kerka, Rhesa, Naxę lub Archiego. Wzywali przyjaciół wyłącznie przez psi-łączęność, bo dobrze wiedzieli, że Morgan nie jest w stanie przechwycić tych rozmów.

Niektóre gorące głowy wśród Pyrrusan, zwłaszcza młodych, żądały, oczywiście, natychmiastowego powrotu Jasona i Mety do Otwartego. Oni nie mieli nic przeciwko temu, ale był jeden mały problem: póki tkwili w obozie wroga, mogli jakoś regulować działalność flibustierów albo przynajmniej w odpowiednim czasie uprzedzać swoich o podstępnych planach agresorów. Ale jak tylko Jason i Meta zostawią kapitana Morgana i znikną z jego pola widzenia - od razu wszystko się zmieni. To prawda, sami przestaną balansować na ostrzu noża, nie będzie im już groziła nagła wpadka i straszna śmierć zadana przez zdziczałych flibustierów. Za to cały proces pójdzie na żywioł i kto wie, czym to wszystko się skończy. Piratów jest nie tylko więcej, ale w dodatku są okrutniejsi od każdego pyrrusańskiego potwora. A Morgan jest nie tylko okrutny, ale jeszcze wyjątkowo bystry... a przynajmniej sprytny.

Postanowili zostać i pełnić rolę szpiegów do ostatniej chwili, to znaczy do rozpoczęcia operacji wojskowych na dużą skalę. W nieustannym grzmocie wystrzałów, wśród płonącej dżungli, rozsypujących się w piasek skał i wrzącego morza łatwo można się zgubić. Morgan nawet nie od razu się domyśli, że odeszli, a nie zginęli, a kiedy zrozumie, to już nie będzie miało znaczenia. Wojna przejdzie w ostatnią fazę - fazę otwartej konfrontacji dwóch sił: tych flibustierów, którzy ocaleli, i wszystkich mieszkańców Pyrrusa, rozumnych i nierozumnych. A jeżeli uda się zawrzeć czasowy sojusz ze zwierzętami? Śmiała myśl przeleciała przez głowę Jasona: w trudnej sytuacji taki chwilowy sojusz może się utrwalić. Czyżby właśnie to była droga do długo oczekiwanego pokoju między odwiecznymi wrogami - człowiekiem a przyrodą Pyrrusa?

Kiedyś Meta poprosiła go:

- Słuchaj, zauważyłam, że mnie filmowali, może nawet w zbliżeniu. Musiałam wyglądać fatalnie: nieuczesana, brudna. W dodatku nie wychodziło mi strzelanie. Jeżeli możesz, poproś swoich kronikarzy, żeby wycięli ten kawałek, kiedy będą montować film.

Jason popatrzył na nią dziwnie i odpowiedział po dłuższej przerwie:

- Proszę bardzo. Jeżeli rzeczywiście zaczną montować film, osobiście dopilnuję, żeby tych kadrów tam nie było.

- A co? - Meta wytłumaczyła to sobie na swój sposób. - Czyżby w ogóle nie mieli robić filmu? Nie jest nikomu potrzebny?

- Ależ nie, oczywiście, że jest potrzebny. Jeszcze wszyscy razem będziemy go oglądać i pokazywać dzieciom.
- Jason przewyciężył zmieszanie i teraz mówił raźnie i wesoło: - Ale najpierw we dwójkę obejrzymy wszystko, co zostało sfilmowane i sami wybierzemy najlepsze kawałki dla przyjaciół i potomków.
- Daj spokój - powiedziała Meta - nie mam czasu na takie bzdury.

Temat się wyczerpał, ale Jason potem długo się zastanawiał, dlaczego nie zaryzykował i nie powiedział Mecie prawdy. Widocznie bał się jej reakcji - w końcu jego amazonka dopiero co wróciła z walk, jeszcze się nie uspokoiła, instynktownie mogła zacząć strzelać.

Powiedział jej prawdę trochę później, kiedy zrozumiał, że dalej nie można już tego ciągnąć. Koniec końców, co to za tajemnica? No dobrze, jest graczem i jak każdy hazardzista, ma swoje przesady... Ale Meta, najbliższa mu osoba, nie może w niczym przeszkodzić, wręcz przeciwnie - pomoże. Co innego inni. Ale Meta niech wie wszystko.

Rozmowa rozpoczęła się niewinnie.

- Słuchaj... - zaczęła Meta i od razu przerwała, ocierając pot z czoła. Była wykończona.

Odruchowo sprawdziła, czy magazynek jest pełny i pogłaskała lufę pistoletu, jeszcze gorącą, niemal dymiącą po rozpaczliwej strzelaninie. Odbili się od stada diabłorogów, przedarli do samochodu pancernego, weszli do środka i teraz leżeli na rozłożonych siedzeniach, wykorzystując krótką, ale niezbędną przerwę.

- Słuchaj - powtórzyła Meta - jak myślisz, kto zwycięży tym razem? Ludzie czy Pyrrus?
- Flibustierzy czy Pyrrus? - sprostował Jason, jakby piraci nie byli do końca ludźmi. - Chcesz wiedzieć, co myślę?

Zapytał i zamilkł. Wyraźnie zwlekał z odpowiedzią.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać? - zapytała naburmuszona Meta.
- Chcę - powiedział Jason. - Nawet bardzo. Tylko się przygotuj, bo dowiesz się czegoś nowego. Wiesz, ja już w ogóle o tym nie myślę. Dawno wszystko przemyślałem, obliczyłem i postawiłem swoją stawkę, dlatego teraz po prostu nie możemy przegrać. Na ten pojedynek „Planeta Śmierci - Flibustierzy” postawiłem wszystko: pieniądze, reputację, pomyślność, życie, może nawet twoją miłość. Dokonałem jednoznacznego wyboru: Pyrrus musi zwyciężyć. Oczywiście, teoretycznie mogą wygrać flibustierzy, taki wariant też istnieje, ale nikt go się nie boi. Stary Kerk wymyśli, jak się zachować. Tak, to Kerk będzie myślał, bo w takim przypadku mnie już nie będzie. Albo nie dopuszczę do zwycięstwa Morgana, albo zginę.
- Co ty pleciesz, Jasonie? - Meta patrzyła na niego w osłupieniu. - Nic nie rozumiem!
- Zaraz zrozumiesz.

Już miał zacząć tłumaczyć jej to, co najważniejsze, kiedy przerwało im niezwykle wydarzenie.

Nie dobiły diabłoróg, który przycupnął na pancerzu, już od jakichś trzech minut metodycznie walił obrzydliwym dziobem w tripleks. Jason zwracał na to nie większą uwagę niż na tykanie zegara. Ale Meta nagle przestała słuchać męża; całą uwagę skupiła na potworze po tamtej stronie grubej ścianki. Na moment przed zwycięstwem straszego dzioba nad najtrwalszym ze znanych nauce przezroczywych materiałów, Pyrrusanka podjęła jedyną słuszną decyzję: otworzyła na oścież górny luk i odrzucając zaporowym ogniem inne zwierzęta, które rzuciły się na nią, celnym strzałem usunęła z pancerza bezczelnego diabłoroga. Tripleks był już jednak dość mocno uszkodzony. Jason nie zdecydował się na strzelaninę wewnątrz samochodu i obserwował, jak w koszmarnym śnie, trzy naraz potworne dzioby, które wcisnęły się do środka, zamieniając okno, które uznawano za nieprzebijalne, w drobne kruszywo. Wtedy zadziałała automatyczna metalowa zasłona, a jej ostry brzeg odciął bojowe wyrostki atakujących zwierząt. Wyłom był zamknięty.

Meta wystrzeliła jeszcze kilka salw we własnej obronie i szczęśliwie wśliznęła się z powrotem do samochodu, nie wpuszczając do środka żadnego potwora.

- Ach, te diabłorożki! - mruknęła. - Diczczą z godziny na godzinę od obcowania z twoimi flibustierami.

- Za to jak chętnie Brucco zbadałby te ostre nasadki! - powiedział Jason marzycielsko, patrząc pod nogi. - Trzeba będzie je zachować do naszego powrotu.

- Zachowaj, proszę bardzo - Meta nie miała nic przeciwko temu. - A na razie opowiadaj. Rzeczywiście nic nie rozumiem.

Więc Jason powiedział jej wszystko.

Nad planetą Pyrrus w dzień i w nocy nie krążyli żadni kronikarze, tylko dziennikarze-reporterzy z pangalaktycznej agencji informacyjnej, z firmy „Zwierciadło Wszechświata” i wreszcie z multimedialnej korporacji „Wieczne czasy”. Właśnie między te trzy firmy Ronald Sane podzielił obowiązki i dochody z transmisji w eter największej w historii walki na straszliwej Planecie Śmierci. Wyłączne prawo na filmowanie wszystkiego, co się działo na Pyrrusie, Jason przekazał w swoim liście Ronaldowi i Dolly Sane. Zrobił to, po pierwsze, w ramach rekompensaty za poniesione przez rodzinę straty (choć oczywiście żadne pieniądze nie zastąpią utraty najbliższych osób - wartości ludzkiego życia nie mierzy się w kredytach). A po drugie, była to korzystna transakcja: możliwość dużego zarobku w zamian za ważną usługę.

Zgodnie z planem opracowanym przez Jasona Sane, oprócz transmisji na całą Galaktykę, zorganizował jeszcze jedną atrakcję, rozrywkę rzeczywiście wyjątkową, pod nazwą „Wszechświatowy totalizator”. Najbogatszym ludziom Galaktyki zaproponowano, by robili zakłady. Firmą, która bez żadnych wątpliwości zgodziła się wziąć ten szalony projekt pod swoje skrzydła, było znane kasyno „Cassylia”. Oczywiście, też z rekomendacji Jasona. Był przekonany, że Rodger Wayne nie odmówi sfinansowania takiej niezwyklej przygody. Jason opisał w szczegółach, jak trzeba zorganizować grę we „Wszechświatowym totalizatorze”, ale Wayne mógł dodać coś od siebie. Też miał twórczy umysł i na pewno zechciał uczestniczyć w rozgrywce. Ronaldowi Sane'owi wystarczyła piętnastominutowa rozmowa, żeby wielki bankowiec i nie koronowany król Cassylii z entuzjazmem zabrał się za tę nową dla siebie sprawę.

Tylko na samej Cassylii znalazło się ponad milion chętnych do robienia zakładów w galaktycznej grze na dużą skalę. W dodatku spryciarz Wayne puścił transmisję z Pyrrusa tylko w kanałach komercyjnych i wyłącznie ci, którzy postawili chociaż minimalną stawkę - czyli wpłacili tysiąc kredytów na specjalne konto w Narodowym Banku Cassylii - mieli prawo oglądać krwawe walki. Reszta zadowalała się reportażami radiowymi i informacją z gazet.

Jednak na innych planetach transmisje z Pyrrusa puszczały na wszystkich kanałach, przerywając je reklamami i też zarabiając na tym fantastyczne sumy. W totalizatorze przewidziano dziesiątki wariantów zakładów. Proponowano zgadnąć, ilu zginie flibustierów, którego dnia od rozpoczęcia walk wszystko się skończy, ilu zginie Pyrrusan, jakie rodzaje zwierząt okażą się najbardziej okrutne i waleczne, ile gatunków weźmie udział w walkach, kto zasłuży na tytuł najbardziej szczęśliwego wojownika wśród flibustierów, ile trzeba będzie zrobić ataków na Epicentrum, broń której planety będzie uznana za najlepszą w pyrrusańskich walkach... i tak dalej, i tak dalej.

Ale, oczywiście, największe pieniądze stawiano na główny zakład: kto zwycięży? Wybór był tutaj niewielki i bardzo prosty: orzeł-reszka, parzyste-nieparzyste, czerwone-czarne. Trzeba było tylko zgadnąć. Byli fantaści, którzy widzieli trzeci wariant: przylecą oddziały szturmowe jakiejś floty wszechgalaktycznej, rozstawią wszystkich po kątach i zrobią porządek. Ale Rodger Wayne i Ronald Sane, których nazwiska tak ładnie się rymowały, zapewnili wszystkich, że nie dopuszczą do czegoś podobnego. Istnieje międzygwiazdowa zasada o

prawie planet do samostanowienia i o niewtrącaniu się Ligi Planet w ich sprawy wewnętrzne. Według stosownych uchwał, żadna wszechgalaktyczna organizacja nie ma prawa naruszać równowagi sił na Pyrrusie i na jego orbicie. Wszystko musi się skończyć w sposób naturalny.

Organizatorzy totalizatora wyjaśniali też, że całkowite zniszczenie flibustierów w rezultacie klęski żywiołowej (trzęsienia ziemi, powodzi, wybuchu wulkanów, gwałtownych zmian klimatu) będzie oznaczało zwycięstwo pyrrusańskiej biosfery. Brano pod uwagę nawet zupełnie abstrakcyjny wypadek - nagłą zmianę słońca, wokół którego obraca się planeta Pyrrus, w supernową. Ogólnie rzecz biorąc, żadnych remisów, żadnych umów separatystycznych - tylko walka! Do całkowitego i ostatecznego zwycięstwa jednej ze stron.

Jason dokonał wyboru i nie miał zamiaru zmieniać decyzji. Postawił na pyrrusańskie potwory wszystkie pieniądze, jakie potrafił zgromadzić. Wygrana w takim przedsięwzięciu mogła być fantastyczna. Trzeba tylko dokładnie się do wszystkiego przygotować. W niezwykłość pyrrusańskiej przyrody Jason nie wątpił. Przecież nie na próżno poświęcił tyle lat na badanie tej sprawy. Wierzył, że prędzej czy później wszystkie problemy Pyrrusa da się jakoś rozwiązać i że planeta przestanie w końcu nosić miano Planety Śmierci. W każdym razie rozwiązania należało szukać nie w sferze sztuki wojennej. Raj, który powstaje na skutek kolejnej obrzydliwej wojny? Ten wariant sami Pyrrusanie przerabiają od trzystu lat, a wyniki są im świetnie znane. To samo czekało flibustierów. Ilość i poziom techniki nie miały tu żadnego znaczenia. Każdy bezpośredni atak na Pyrrusa był od początku skazany na niepowodzenie.

Dlatego głównym zadaniem Sane'a, które zlecił mu Jason, było przekonanie opinii publicznej o czymś wręcz przeciwnym, to znaczy o prawie nieuniknionym powodzeniu piratów. Bardzo tu pomagał brak elementarnej wiedzy wśród wpływowych osób Galaktyki nie tylko na temat historii Pyrrusa, ale nawet całkiem niedawnych wydarzeń z nim związanych.

Czym był Pyrrus w świadomości zbiorowej? Daleką-planetą-legendą z bogatymi złożami metali i potwornym ciężeniem, z klimatem, który nie nadaje się do życia i z piekielnymi potworami, które pożerają wszystko, co chociaż trochę przypomina człowieka. Jednym słowem, nieporozumienie na skalę Wszechświata, latająca fabryka śmierci, zamieszkała przez super-żołnierzy, gdzie nawet kobiety, starcy i dzieci z łatwością wiążą w węzeł stalowe pręty i z marszu trafiają w lecącego komara. Takie bajki krążyły po Galaktyce. Kto mógł traktować je poważnie?

Jeżeli jednak człowiek stawia na jedną kartę pieniądze, i to duże, z reguły sprawdza, czy przyszedł do solidnego kasyna, czy proponują mu grę wartą zachodu, i z kim ma do czynienia. Uczestnicy gry we „Wszechświatowym totalizatorze” niewątpliwie chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o Pyrrusie i Jamajce. I w tym momencie przydały się przygotowania Jasona i Ronalda Sane'a.

Za bardzo przyzwoite pieniądze dziennikarze szybko, ale skutecznie wymyślali wywiady, dyskusje specjalistów i całe wykłady na interesujące wszystkich tematy. Najpopularniejsze kanały galaktycznej interwizji umieszczały w swoich programach specjalne audycje, poświęcone zbliżającej się bitwie tytanów. Wybitni naukowcy, eksperci różnych dziedzin - biologicy, historycy, politolodzy, psychologicy, prowadzili nieskończoną polemikę wokół Planety Śmierci i z nienatrętnym uporem popychali każdego logicznie myślącego człowieka ku oczywistemu i jedynie możliwemu wnioskowi: flibustierzy zwyciężą. Z ich talentem parcia do przodu bez oglądania się na straty, z ich wrodzoną agresją, z technicznym wyposażeniem, z fenomenalnym uporem - na pewno zwyciężą. Jakie argumenty przemawiają za Pyrrusem? Absurdalnie proste prawa doboru naturalnego plus ilościowa przewaga. Zdolność do szybkich mutacji można odrzucić. Przecież flibustierzy mają zamiar użyć taktyki „błyskawicznego ataku”, więc nowe gatunki nie zdążą się wytworzyć w ciągu kilku dni. Ale główny argument dotarł z obozu psychologów. Wy tłumaczyli to w sposób następujący: dziś na Pyrrusie zderzają się

dwa rodzaje nienawiści, doprowadzonej do apogeum - zwierzęca i ludzka. Natura pierwszej jest fizjologiczna, instynktowna, skierowana na naturalne potrzeby, które zadowala się i tłumi raczej lekko. Natomiast ludzka nienawiść, zgodnie z określeniem psychologów, to produkt skomplikowanych funkcji mózgu i jej natura nie jest do końca wyjaśniona. Dlatego tylko ludzka wściekłość jest naprawdę bezgraniczna i nieprzewidywalna.

Słabo wykształcony obywatel siedział przed ekranem, słuchał, wierzył bez zastrzeżeń i obliczał swoją możliwą wygraną.

Naukowcy świetnie umieli przekonywać. Najstarszy specjalista od środowiska biologicznie aktywnych planet, profesor Dwornikow z planety Lada, też dołączył swój głos do wspólnego chóru. Już wiele lat temu, po swojej ekspedycji na Planetę Śmierci, twierdził, że Pyrrusanom po prostu brakuje fizycznych i mentalnych możliwości rozwoju. A taka armada, jak flibustierska, oczywiście w jednej chwili złamie każdy opór. Wojna będzie zakończona raz na zawsze. To brzmiało prosto i zrozumiale.

Kiedy inny uczyony - biochemik Strinn - wspominał swoje doświadczenia na planecie Stovera, którą uważano za najbliższą Pyrrusowi, i tłumaczył elementarne rzeczy zbyt mądrymi słowami, używając niezrozumiałych określeń, też chętnie wierzyli. Strinn udowodniał akurat to samo, o czym miliony widzów wiedziało i bez niego, ale marzyło, by słuchać tego jeszcze i jeszcze.

Oczywiście suma stawek na każdą ze stron była znana tylko właścicielowi kasyna, samemu Rodgerowi Wayne'owi i jeszcze kilku osobom, które dopuszczono do tej tajnej informacji. Jednak, według poufnych danych Roniego Sane'a, na tych niewielu, którzy zaryzykowali i postawili na Planetę Śmierci, czekały naprawdę grube pieniądze. Do tego właśnie dążył Jason.

Opowiedział wszystko swojej ukochanej, której nawet w myślach nie śmiał jeszcze nazywać żoną. Meta najpierw chwyciła za pistolet, potem wycelowiła Jasona; czerwieniła się, bladła, wreszcie chyba zmęczyły ją różnorodne emocje i po prostu przestała słuchać. Jednak Jason czuł, że Meta potrafi zrozumieć i wziąć jego stronę - inaczej nie przyjęłaby tego tak spokojnie, a raczej zrobiłaby dziką awanturę, żądając natychmiastowego odwołania potwornego skandalu. Z pewnością ryzykował, ale... Meta nie była już zwykłą Pyrrusanką. Zmieniła się bardzo i właśnie teraz Jason to zauważył.

- Tak wygląda sytuacja - zakończył. - Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, już za cztery dni nasze ukochane parzystokopytne z miedzianozębymi kajmanami dojedzą na kolację ostatniego z tych, którzy przylecieli tutaj z Jamajki, nie mówiąc już...

- Zaraz, zaraz! - ocknęła się nagle Meta i znów chwyciła za pistolet. - O czym ty mówisz? Więc jednak cała Galaktyka widziała mnie rozczochraną! brudną, i w dodatku wszyscy zauważyli, że dwukrotnie chybiam ptakapiłę? To znaczy, że wszystko szło na antenę?! Co za wstyd!..

Wrócili do obozu, bo Morgan zwołał zebranie obok startującej kanonierki. Jechali w milczeniu i Jason po raz kolejny starał się wyobrazić sobie, jak zaczną się zachowywać w stosunku do ocalałych na planecie ludzi zwycięskie potwory. Czy zauważą różnicę między flibustierami a Pyrrusanami? Jasonowi wydawało się, że zauważą. Był możliwy również inny wariant - flibustierzy wykrwawią pyrrusańską faunę, a mieszkańcy będą tylko dobijać resztki. I taki będzie koniec tej historii. Ciekawe hipotezy, przyjemne marzenia... Ale życie, jak zwykle, wniosło swoje poprawki. Dość znaczące.

10

Toni Howard, który po przylocie na orbitę Pyrrusa stanął na czele J. załogi liniowca „Brigeto” i kierował atakami w innych sektorach Planety Śmierci, niespodziewanie wrócił na okręt flagowy, to znaczy na „Konkwistadora”. Podobno po to, żeby naradzić się z Pierre'em Missonem przed nową serią eksperymentów. Morgan nie widział

w tym nic dziwnego, wręcz się ucieszył. Już trzecią dobę pod rząd nie zamykał oczu i poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Zastanawiał się, kto go zastąpi, i najwierniejszy z jego towarzyszy przyleciał jak na zamówienie. Henry spokojnie poszedł spać. Howard zmienił w sterowni kapitańskiej dyżurującego tam Eddiego Hooka, który też musiał odpocząć, i upewniwszy się, że nikt nie zajrzy tutaj w najbliższym czasie, wezwał do siebie Jasona. Samego, bez Mety.

Światło w sterowni paliło się podejrzenie mętnie. Howard uznał za swój obowiązek wytłumaczyć:

- Nie zwracaj uwagi, Jasonie, że tu tak ciemno. Po prostu na wszelki wypadek wyłączyłem połowę urządzeń. Przynajmniej wiem na pewno, że nikt nas nie słucha i nie nagrywa. Chyba że Misson. Przed tym łajdakiem nigdzie nie można się schować. Ale jest zbyt cwany, żeby donosić na mnie Nawigatorowi. Zawsze prowadzi własną grę.

- Co ty opowiadasz, Toni? - zdziwił Jason. - Czyżby na naszym „Konkwistadorze” przygotowywano się jeszcze jeden spisek? Pozdrowienia z tamtego świata od Francois d’Aulonai i Joego Monbara.

- Nie żartuj, Jasonie. Aha, właśnie... wiesz, kto na Jamajce podrzucił ci przez kapłana paczkę papierosów z nadajnikiem?

- Domyślam się - odpowiedział Jason z godnością.

- Chyba źle się domyślasz. To nie Monbar, był na to za krótki. Nie miał dostępu do waszych skonfiskowanych rzeczy. Morgan nigdy by nie pozwolił temu narkomanowi na coś podobnego. Ale ja mam wszędzie wejścia.

- Rozumiem - bąknął Jason.

- Widzisz, myślałeś, że ktoś chce cię zrobić, a to była tylko próba pomocy.

Howard zamilkł, poprawił opaskę na oku, a potem dodał niespodziewanie:

- Henry Morgan to bardzo silna osobowość. Ale niestety jest neurastenikiem, może nawet psychopatą. Przy nim niczego nie można być pewnym. Żebyś wiedział, Jasonie, jak on mnie wymęczył! Ale odchodzić pod flagą tego idioty d’Aulonai byłoby jeszcze bardziej głupio. Za to pod twoją flagę, Jasonie... Dawno już o tym myślę.

- Rozumiem - powtórzył Jason drwiącym głosem.

Co innego mógł powiedzieć? Propozycja Howarda wyglądała naprawdę kusząco. Wbić klin między dwóch flibustierskich liderów przed decydującą bitwą, to przecież prawdziwy prezent od losu! Stara zasada - dziel i rządź. Jeżeli flibustierzy pokłócą się między sobą, zwycięstwo nastąpi znacznie szybciej. Krótko mówiąc, nie wolno odrzucać takiej propozycji.

Ale zgadzać się na nią też niebezpiecznie. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby Howard był zdolny do tak skomplikowanych projektów. A jeżeli to są intrygi sprytnego Morgana, to właśnie on będzie dzielił i rządził. Jasona wyśmieją i w najlepszym wypadku rzucana pożarcie pyrrusańskim zwierzątkom, a w najgorszym - po prostu zostawią w kosmosie bez skafandra.

Oj, Toni, Toni... takich ludzi jak Jason d’Alto nie da się sprowokować w prymitywny sposób.

- Czuję - ciągnął Howard - że nasz najlepszy przyjaciel Henry załamie się przy tej operacji. A kiedy wszystko zacznie mu się rozsypywać w rękach, przyjdzie czas na ucieczkę. Trzeba będzie zabrać najlepszych ludzi i wszystko, co najcenniejsze. Misson mówi, że statek kosmiczny „Baran” jest bardzo cenny, może nawet droższy od całej planety.

Jason słuchał w milczeniu i nawet nie kiwnął głową, choć wiedział że Howard, powołując się na słowa Missona, mówił prawdę.

- A teraz powiedz, Jasonie, co takiego jest ukryte w Epicentrum?

- Nie powiem, Toni, to jest moja własna tajemnica. Nie powierzyłem jej Morganowi i tobie też nie powiem. W przeciwnym razie mnie zabijecie. Przystanę być dla was interesujący.

- Co ty mówisz, Jasonie? - oburzył się Howard.  
- No to przysięgnij, że tak nie będzie - uśmiechnął się Jason. - Najświętszą flibustierską przysięgą.  
- Przysięgać nie zamierzam - spokojnie odparł Howard - ale powiem ci coś jeszcze. Wiem, że nie wierzysz w szczerłość moich zamiarów. No, proszę, od razu zaczynasz się krzywo uśmiechać. A ja nie chcę ani cię zabić, ani oszukać. Jesteś mi potrzebny, Jasonie, i postaram się to udowodnić. Wiem, że wszyscy Pyrrusanie ukryli się w dobrze chronionym, mocno ekranowanym mieście. Wiem, że bić się w tym mieście byłoby jeszcze bardziej głupie, niż strzelać do tych pierwszych naganiaczy, których widzieliśmy pod lasem. Wiem, że Pyrrusan można pokonać tylko za pomocą sprytu. Powinniśmy wysłać im swoją wtyczkę. To jest jedyna droga do zwycięstwa. Wiem jeszcze jedno: Pyrrusanie szukają spotkania z tobą, Jasonie. Widocznie dużo o tobie słyszeli. To wszystko. Wnioski wyciągnij sam.

Coś podobnego! - myślał Jason. Czyżbym tak nie docenił jednookiego Howarda? Stworzyć własną sieć agentów, niezależnych od Morgana, pracować na wrogiej planecie i to w warunkach ciężkiej wojny! W dodatku z takim sukcesem!.. No, a jeżeli to jednak Morgan? Wymyślić wszystko w takich szczegółach... Jednak nie... Przecież to niemożliwe. Jakiś idiotyzm - napuścić Howarda, by odesłał Jasona do Pyrrusan! Dla przesadnie nieufnego Morgana to było nie do pomyślenia! To znaczy, że jednak Howard prowadzi własną grę? Czyżby nadszedł czas, by się zgodzić?

- Czy muszę odpowiedzieć na twoją propozycję już w tej chwili, Toni?  
- Ależ nic podobnego. Powinieneś się zastanowić. A na zakończenie powiem jeszcze tylko, że wczoraj na Pyrrusie wylądował superstatek klasy Niewidka. Inne nasze statki nie zlokalizowały go, ale u mnie na „Brigeto” przypadkowo jest odpowiedni radar. Krótko mówiąc, nawiązałem kontakt z człowiekiem na pokładzie tego statku. On czeka na spotkanie z tobą, Jasonie. Wydaje mi się, że do Pyrrusan wstąpił po prostu dla porządku. Chce widzieć ciebie, i to w tajemnicy przed Morganem. Musisz więc albo polecieć do Pyrrusan... jakiś powód wymyślimy... albo, co dużo łatwiejsze, porozmawiać z tym człowiekiem. Zaraz, póki Morgan śpi.

- Nie bardzo rozumiem - zdziwił się Jason. - Czy on jest u nas na statku? Tylko nie myśl, Toni, że już się zgodziłem. Pytam z czystej ciekawości.

Howard uśmiechnął się ze zrozumieniem:

- Chyba żartujesz, Jasonie. Jak mógłbym wpuścić go na statek, jeżeli nie chce widzieć Morgana? Jest tu niedaleko, w przestrzeni. Przecież mówię, ma superstatek Niewidkę. A nazywa się Revered Berwick.

- W porządku - powiedział Jason. - Poddaję się.

Szczerze mówiąc, nie oczekiwał czegoś podobnego. Dobrze, że Solvitz osobiście się nie pofatygował.

- Daj mi, Toni, jego namiary, sygnały kontaktowe... Jak masz zamiar zorganizować to spotkanie?

- Bardzo prosto - powiedział Howard. - Wsiądziesz do zwyczajnej łodzi bojowej i polecisz w kosmos. Tamten sam cię znajdzie.

- Dobrze. Ale polecę razem z Metą. Dwiema łodziami.

- Proszę bardzo - zgodził się Howard. - Możecie lecieć nawet trzema. O reszcie porozmawiamy, kiedy wrócisz. Do samego startu Jason podświadomie wątpił, czy wypuszczą ich ze statku. Jeżeli to jest prymitywna pułapka, wszystko powinno być skończyć koło śluzy. A jeżeli nie, to wtedy nadal są dwa warianty. Po pierwsze, rzeczywiście czeka na niego Berwick. Jeżeli tak, to szanowny Gwarant Stabilności sam mu wytłumaczy, co się dzieje. Berwick to siła, która może obronić przed flibustierami. Ale jeżeli okaże się, że nie ma żadnego Berwicka, będzie to oznaczało krótki bój i ucieczkę na Pyrrusa. Trochę za wcześnie, oczywiście, ale co zrobić? Żegnajcie, piraci! Z wami było dobrze, ale w domu jest lepiej.

- Jasonie - zapytała Meta - czy ty w ogóle rozumiesz, co się dzieje?



- Na razie z trudem - uczciwie przyznał się Jason.

Tymczasem dobrze znany głos Berwicka rozległ się w słuchawkach.

- Jasonie, dziesięciosekundowa gotowość, daję sygnał. Idźcie zgodnie z zamiarem na mój węzeł łączności. Jak mnie zrozumieliście?

- Co wy tam wyprawiacie, Jasonie? - padło pierwsze pytanie, kiedy tylko zdjęli hełmy, zrzucili rękawiczki, rozpięli skafandry i usiedli wygodnie w miękkich fotelach wokół stolika z napojami i owocami.

Statek Berwicka był dość skromny, jeżeli chodzi o rozmiary, ale za to systemy bezpieczeństwa i wyposażenie pomieszczeń były ostatnim krzykiem techniki. Wystrój wnętrza można by nawet nazwać luksusowym. Kajuta wyglądała jak eleganckie biuro na rozwiniętej przemysłowo planecie. Sztuczne ciążenie, naturalne zapachy kwiatów, wideookna, ściany oklejone gustownymi tapetami.

- Fantastyczny pokój! - szepnęła Meta, nie kryjąc zachwytu. - Przydałby nam się taki!

Ale Jason nie zareagował. Czuł się instynktownie zaniepokojony, zwłaszcza po pierwszych słowach Berwicka, powiedzianych zamiast powitania...

Nieprzyjemne było nie tyle pytanie, co ton, w jakim zostało zadane.

- W jakim sensie? - agresywnie odpowiedział pytaniem Jason.

- W każdym - trochę spokojniej, ale cały czas z irytacją wyjaśnił Berwick. - Najpierw rozpoczynacie prywatne śledztwo, nie konsultując się z nikim. A przecież do wykrywania przestępstw, zwłaszcza poważnych, w Galaktyce istnieją stosowne służby i organizacje. Czy pan nigdy o tym nie słyszał, Jasonie? Można by jeszcze odpuścić wasze przygody na Darkhanie. Koniec końców, chcieliście znaleźć Morgana, a przy okazji na tym zarobić... to naturalne. Znaleźliście go, ale nagle pieniądze przestały być najważniejsze. Też nie ma w tym nic dziwnego. Jesteście z Morganem zupełnie różni, więc mogę zrozumieć wasze spory i rywalizację. Ale zorganizować ekspedycję przez całą Galaktykę, z Jamajki na Pyrrusa! Zderzyć ze sobą dwie potężne siły! I jeszcze zrobić z tego spektaklu grę hazardową dla całego zamieszkanego Wszechświata. Jak można było wymyślić coś takiego? Zachowuje się pan jak mały chłopiec, który bawi się zapalniczką ojca! Czy pan rozumie, że można wywołać prawdziwy pożar?

- Skończył pan, Berwick?

Jason był już wściekły i nie mógł się doczekać, kiedy odpowie temu zadowolonemu z siebie, nabzdyczonemu indykowi, aż mu w piętę pójdzie. Potem zerknął na Metę i ze zdziwieniem odnotował jej całkowity brak zainteresowania. Widocznie, zgodnie z pyrrusańskimi pojęciami, Berwick nie powiedział nic obraźliwego. Jason poczuł się zdeprymowany: może rzeczywiście to nie było nic takiego?

- No więc jak, przyjacielu? - Berwick pokiwał głową. - Czekam na pana odpowiedź.

- Świetnie. Niech pan uważnie słucha. Otóż mam własną zapalniczkę. - Jason demonstracyjnie wyciągnął ją i zapalił papierosa. - Nie dostałem jej od ojca w prezencie. Nawet jej nie miał... widocznie zgubił na planecie lolk. Sam też gdzieś się zapodział. Pan zresztą dobrze o tym wie. Ale chyba odszedłem od tematu. Cóż, jeśli chodzi o pożar... Nie jestem małym chłopcem, tylko profesjonalnym podpalaczem. I wcale się tego nie wstydzę. Niektóre rzeczy w naszym świecie trzeba niszczyć ogniem w celu dezynfekcji. Żeby uniknąć rozprzestrzeniania się niebezpiecznej zarazy.

Mam wiele szacunku do oficjalnych organizacji, ale nigdy nie przeceniałem ich znaczenia. Propozycję pracy w zorganizowanych strukturach, jeżeli pan pamięta, odrzuciłem. Jestem gotów powtórzyć swoje argumenty. Chociaż niewątpliwie na Darkhanie brakowało nam niektórych atrybutów władzy i bardzo tego żalowaliśmy. Jeżeli to wam nie sprawi trudności, nie mielibyśmy nic przeciwko temu, by w nagrodę za ciężką pracę dostać

stosowne znaczki czy książeczki. Te symbole przynależności do najwyższych sił Galaktyki robią wrażenie na niektórych idiotach, mieszkających na słabo rozwiniętych planetach. A my, jak pokazała praktyka, mamy do czynienia przeważnie z takimi ludźmi. Czy nie za dużo mówię, Berwick?

Jeszcze tylko podkreślę, że nadal nie mamy zamiaru pracować dla Korpusu Specjalnego czy Gwarantów Stabilności. Nie doczekacie się od nas żadnych uroczystych obietnic i umów, podpisanych krwią. Natomiast chętnie udzielimy im pomocy... w miarę możliwości i w rozsądnych granicach.

I ostatnia rzecz. Jestem wolnym człowiekiem, Berwick. Jako obywatel Galaktyki nie jestem pańskim podwładnym. Mogę tylko pana wysłuchać, i to wszystko. A decyzje będę podejmował sam. Dzisiaj i w przyszłości. I właśnie to łączy mnie z sir Henrym Morganem.

- Akurat tutaj pan się myli - zagadkowo odpowiedział Berwick.

Nie było jasne, co ma na myśli. Morgan niewątpliwie uważał się za wolnego osobnika. Czy zatem...

- Niech pan mnie wysłucha, wolny człowieku Jasonie.

- Morgan woli mówić o mnie jako o potrzebnym człowieku - Jason nie odmówił sobie jadowitej repliki.

- Jak pan woli - nie zrozumiał żartu Berwick - ale proszę mnie wysłuchać. Popelnia pan wielki błąd, przygotowując tę potężną bitwę na Pyrrusie. Ale jeszcze nie jest za późno, by ją powstrzymać. Jestem gotów wam pomóc w uregulowaniu konfliktu. Korpus Specjalny wystąpi w roli pośrednika. Zapewniam was, że flibustierzy odstąpią zostawiąw spokoju wasząplanetę. Może to będzie trochę kosztowało, ale pan przecież nie jest biedny, Jasonie.

- Co?! Mielibyśmy płacić flibustierom? - wrzasnęła Meta, wymachując błyszczącą bronią przed nosem Berwicka. - Jasonie, czy ten człowiek w ogóle cokolwiek rozumie?

- Nie wiem - poważnie odpowiedział Jason. - Ale jeżeli rzeczywiście chcesz dostać odpowiedź przynajmniej na jedno z tych pytań, to zrobienie mu dziury w głowie nie jest najlepszym sposobem.

- Moi drodzy - westchnął Berwick ze zmęczeniem - rozumiem wasz bojowy nastrój, ale proszę mi uwierzyć, jeżeli sienie powstrzymacie, już niedługo całej Galaktyce będzie nie do śmiechu.

- Od początku nie mogę zrozumieć, o co tu chodzi - zdenerwował się w końcu Jason. - Czy pan wreszcie coś nam wytłumaczy, czy będzie dalej mówił półsłówkami?

- Chodzi o to, szanowni państwo, że zderzacie w jednym miejscu trzy słabo znane czynniki: przyrodę Pyrrusa, kierowaną z Epicentrum, statek kosmiczny „Baran”, zbudowany nie wiadomo przez kogo i kiedy, i wreszcie flibustierów z ich nieograniczoną agresją.

- Coś takiego! - szczerze zdziwił się Jason. - A jak te trzy elementy trafiły na listę cudów świata? Co mają w sobie takiego fenomenalnego?

- Niech się pan nie wygłupia, Jasonie. Historia pojawienia się flibustierów i ich egzystencja na Jamajce są sprzeczne z prawidłami rozwoju cywilizacji. Od dawna już badamy ten fenomen i na razie nie potrafiliśmy znaleźć przekonującego wytłumaczenia.

- A, o to chodzi! Wy nie potrafiliście, a ja jestem winny.

- Właśnie tak, Jasonie. Jesteście winni, bo wtrącacie się w nie swoje sprawy.

- Ale nigdzie nie znalazłem napisu „Obcym wstęp wzbroniony”. Zresztą, kiedy zabijają niewinnych ludzi, z reguły przestają zwracać uwagę na podobne napisy. Nie mogłem się nie wtrącić, Berwick. Wy prowadzicie na nich badania, a oni mordują dzieci i kobiety. Ładny temat do pracy naukowej, moi nieśmiertelni bracia.

- Nie trzeba się denerwować, Jasonie. Staramy się minimalizować ofiary i generalnie mamy sytuację pod kontrolą.

- A to w jaki sposób?

- Mamy swoich ludzi w środowisku flibustierów.
- Agentura! - ucieszył się Jason. - Czy przypadkiem Toni Howard, o przydomku Jednooki, nie jest waszym pracownikiem?
- Nie tylko on - spokojnie odpowiedział Berwick. - Nie będę ukrywał, że sam Henry Morgan dość dawno pracuje dla Korpusu Specjalnego.

Docierało to do Jasona bardzo powoli. Nawet kiedy już dotarło, nie od razu uwierzył. Więc dlatego przywódca flibustierów nie chciał nawet mówić o Korpusie! Niby że tajemnica wojskowa! Bardzo śmieszne.

- Niech mi pan powie, Berwick, czy w pana departamencie wszyscy lubią gwałcić nieletnie dziewczynki i ciąć szablami staruszki i małych chłopców?

- Nic pan nie zrozumiał, Jasonie. Naprawdę muszę panu tłumaczyć różnicę między tajnym agentem a etatowym oficerem korpusu?

- Nic mi nie trzeba wyjaśniać! - wściekł się Jason. - Odwołuję swoją prośbę o wydanie nam z Metą legitymacji Korpusu Specjalnego. Nawet formalnie nie chcemy być w jednej organizacji z Henrym Morganem.

- Głupio pan postępuje, Jasonie - skarcił go Berwick. - Może jeszcze uciekniecie do innego Wszechświata, jak Solvitz, z powodu głębokiej pogardy dla całej ludzkości?

- Nie, nie uciekniemy - odpowiedziała za niego Meta, demonstracyjnie wstając. - Może rezygnacja ze współpracy z waszym korpusem to nie jest zbyt mądre posunięcie. Ale, moim zdaniem, lepiej postępować głupio niż podle.

- To rzecz do dyskusji, jeżeli popatrzeć na problem filozoficznie. Jednak nie będę się sprzeczał z damą - powiedział szarmancko Berwick. - Rozumiem, że już wychodzicie? Ale nic nie zjedliście ani nie wypiliście...

- Dziękujemy. Pański agent Henry Morgan nieźle nas karmi.

- Już dobrze, Jasonie. Zapiszcie numer mojego psi-nadajnika. Będę niedaleko i w każdej chwili jestem do waszej dyspozycji. Nie zapominajcie, co wam powiedziałem.

- Nie mamy zamiaru zapominać, ale bitwa jednak się odbędzie. A jeżeli pan rzeczywiście jest do naszej dyspozycji, proszę odpowiedzieć jeszcze na dwa pytania. Czy Howard gra przeciwko Morganowi, czy to była prowokacja?

- Howard gra przeciwko Morganowi. Weźcie to pod uwagę. Aha, jeszcze jedno: Misson gra przeciwko im obu.

- Dziękujemy, Berwick. To cenna informacja. A drugie pytanie: czy szpiegowska łódeczka na Radomie z cassylijskim godłem i rozbitym wideonadajnikiem też jest wasza?

Berwick zerknął na niego i odwrócił oczy. Pauza wydawała się Jasonowi trochę za długa, jak na tak krótką odpowiedź, której udzielił ten najsprytniejszy z ludzi:

- Nie, nie nasza.

Jasonowi udało się zauważyć cień paniki w oczach rozmówcy. Nie potrafił jednak zrozumieć, czego dotyczy strach, chociaż uruchomił wszystkie swoje zdolności telepatyczne. Istniały co najmniej dwie możliwości: albo Berwick został złapany za rękę, albo istniała jakaś nieznaną trzecia, a nawet czwarta siła, której on się bał.

- To by było na tyle - zakończył Jason. - Myślę, że spotkamy się ponownie, kiedy już będzie po wszystkim. Wtedy rozstrzygniemy, co jest ważniejsze: pana wiedza czy moja intuicja. A właśnie... nie chciałby pan zrobić zakładu we „Wszechświatowym totalizatorze”? Podpowiem, kto ma więcej szans.

- Niech pan przestanie, Jasonie! Nie zajmuję się takimi bzdurami.

- Bardzo nieśluszenie, dostojny panie. Nawiasem mówiąc, gdzieś wyczytałem, że właśnie tak zwracano się niegdyś do najwyższych rangą duchownych. Pan chyba był biskupem, zgadłem?

Tysiącletni starzec nic nie odpowiedział. Jason wstał.

- Chodź, Meto. Nie zrozumieli nas tutaj. Jeszcze nie daj Boże nasz wspólny przyjaciel Morgan się obudzi i zacznie nas szukać. A pan, Berwick, niech pozdrowi ode mnie Inskipa i Bronsa.

Na tym skończyli i wyszli.

W ciemności, wśród gwiazd, Jason przyglądał się z przyjemnością akrobacjom Mety, która w ten sposób zrzucała narosłe napięcie. Wreszcie szepnął do hełmofonu:

- Meta, słyszysz mnie? Prawda, że w skafandrach łatwiej się oddycha niż w wychuchanym gabinecie tego nieśmiertelnego sucharka?

- Prawda - powiedziała Meta. - Ale Niewidkę ma rzeczywiście super.

11

Ledwo zdążyli zacumować kanonierki, przebrać się i rozluźnić w swojej kajucie, udając, że nigdzie nie odlatywali, kiedy rozległ się alarm. To straszne, ani minuty spokoju! Z Howardem też nie uda im się zobaczyć na osobności. A Jason, szczerze mówiąc, bardzo liczył na tę rozmowę przed kolejną naradą wojenną u Morgana. Teraz takie narady odbywały się codziennie po zakończeniu akcji bojowych i po krótszym lub dłuższym odpoczynku. Ten alarm nie wróżył niczego dobrego, niezależnie od tego, jaki był jego powód.

Kiedy wracali na okręt flagowy, Jason z przerażeniem uświadomił sobie, że operacja „Śmierć Śmierci” musi rozpocząć się jutro. Inaczej Berwick, który nie doczekał się poparcia i zrozumienia z ich strony, po prostu wszystko zepsuje. Zniszczyć coś zawsze jest dużo łatwiej niż stworzyć.

Cały pomysł Jasona opierał się do tej pory na tępotcie wojowników Morgana i ich zadziwiającym braku ciekawości świata, który zbliżał flibustierów do Pyrrusa. Widocznie cechą wszystkich profesjonalnych wojowników jest brak zainteresowania wszelką abstrakcyjną wiedzą. Tylko Morgan był wyjątkiem. Zdumiewające, ile książek przeczytał ten człowiek, nie przestając przy tym szatkować ludzi! A teraz jeszcze Howard, jak się okazało, też swojego rodzaju fenomen. W kwestii książek miał niewiele powodów do dumy, ale okazało się, że głowę ma nie od parady, skoro oszukał samego Nawigatora. To by znaczyło, że w każdej chwili może obudzić się ciekawość, która byłaby w tej sytuacji niepożądana.

Bo w gruncie rzeczy pomysł Jasona opierał się na blokadzie informacyjnej. Namiętności, które wrzały wokół zaplanowanej na Pyrrusie bitwy, jakoś omijały flibustierów, którzy nigdy nie interesowali się specjalnie wiadomościami z Galaktyki. Jamajka żyła własnym życiem, oddzielona od świata wiadomym ekranem, a na pirackich statkach nie było nawet anten przechwytyjących audycje międzygwiazdnych kompanii informacyjnych. Mimo wszystko, podczas przelotu na orbitę Pyrrusa Jason zwrócił na ten szczegół specjalną uwagę.

W całej eskadrze łączność dalekiego zasięgu działała tylko w jedną stronę - jakby w celach oszczędzania energii i konspiracji. Ale każdy flibustier z wyższego kierownictwa, na przykład Howard czy Misson, miał możliwość podłączyć się indywidualnie do każdego kanału galaktycznego, przewyciężając filtr informacyjny zainstalowany przez Jasona. To było tylko jedno z niebezpieczeństw.

Inne tkwiło w obsesyjnym zainteresowaniu Morgana historią. Ten pedant po szczegółowym przestudiowaniu dzisiejszej sytuacji na planecie mógł w całkiem naturalny sposób zainteresować się jej przeszłością. A ta przeszłość była bardzo ciekawa. Legenda wymyślona przez Jasona rozsypałaby się pod jej ciężarem jak domek z kart.

I tutaj pojawiało się trzecie niebezpieczeństwo - Revered Berwick we własnej osobie. Solidny przedstawiciel wszystkich możliwych i niemożliwych organizacji międzygwiazdnych okazał się nagle przyjacielem Morgana i

Howard jednocześnie. Co więcej, chyba także Missona. Przecież to nie przypadek, że stary Pierre, taki wykształcony, nauczył się sterować statkiem kosmicznym „Baran”!

A teraz pomyślmy chwilę: Berwick opowiada swoim przyjaciółom wszystko, co wie o Jasonie i Pyrrusanach, i udostępnia im ostatnie wiadomości, powiedzmy, z Cassylii. Może być wesoło.

Ale czy coś takiego jest w ogóle możliwe? - zadał sobie Jason pytanie i sam na nie odpowiedział: oczywiście, że możliwe. Nie ma na świecie rzeczy niemożliwych. Na przykład ten bojowy alarm ni z tego, ni z owego. Może to sztuczka przemądrego Berwicka?

Okazało się, że nie Berwicka.

Morgana alarm obudził natychmiast, jak przystało na kapitana statku. Tym bardziej że był nie tylko kapitanem, ale także dowódcą, Nawigatorem, przywódcą swojej planety i - już niedługo - właścicielem Wszechświata. Poważnie się do tego przymierzał. Ten alarm bardzo sienie spodobał przyszłemu dyktatorowi Galaktyki. Intuicyjnie, zamiast wrzeszczeć do mikrofonu, od razu pobiegł do sterowni - zobaczyć na własne oczy i zrozumieć, o co chodzi.

Jason cały czas liczył na to, że uda mu się bez świadków zamienić słówko z Howardem i dlatego też się spieszył. W sterowni pojawił się jakieś trzy sekundy przed Nawigatorem.

No cóż, pomyślał, widocznie los tak chciał.

Morgan zatrzymał się, przenosząc spojrzenie z Jasona na Howarda, z Howarda na ekran, z ekranu znowu na Jasona, i nic nie mówiąc, czekał na wyjaśnienia. Howard tylko wzruszył ramionami: o czym tu mówić, kiedy sami nic nie rozumiemy? Jason, korzystając z okazji, chciał wspomnieć o konieczności niezwłocznego przeprowadzenia ataku, ale w tym momencie od dyżurnego nadeszła pierwsza konkretna informacja o tym, co się wydarzyło.

Raportował Scott i z początku Jason był skłonny przypisać wszystko, co usłyszeli, jego wyjątkowej tępcie.

- Melduję posłusznie, sir, stado żądłopiórów zaatakowało liniowiec „Konkwistador” - rozległo się w głośnikach sterowni kapitańskiej.

Stado żądłopiórów. W odległości pięciuset kilometrów od powierzchni planety. W próżni.

- Idź się przespać, Scott - taka była pierwsza odpowiedź kapitana.

Scott się obraził. Był zupełnie trzeźwy, a stado żądłopiórów, zupełnie realne stado agresywnych pyrrusańskich ptaków sfotografowały kamery „Konkwistadora”. Na nagraniu wyraźnie było widać, jak od kuł rozpryskowych dużego kalibru leciały w różne strony brudnozielone kawałki ciała... nie, nie ciała, lecz zwykłej pseudoplazmy, którą wykorzystywano przy konstruowaniu androidów i innych robotów biologicznych.

Cóż, nic w tym dziwnego. Ostatnio tego rodzaju zwierzątka zaczęły pojawiać się na Pyrrusie tu i tam. Jason przypomniał sobie jeszcze o Białych Ptakach Zemsty, które karmił stary wariat Kinney z dalekiej planety Crazyk. Trudno było o tym nie pomyśleć - zbyt oczywiste skojarzenie. Tamte też machały w kosmosie skrzydłami i dziobami.

Jason odwrócił się do Morgana:

- Wiesz, co to są cyborgi, Henry?

- Wiem - odpowiedział kapitan flibustierów.

- Więc zastanów się, czy to dobrze, że doczekaliśmy tutaj pojawienia się cyborgów.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli, Jasonie.

W tym momencie cicho weszła Meta. Też się spieszyła, ale po drodze dosłownie na chwilę wpadła do Missona. Bardzo chciała się upewnić, że skład chemiczny wnętrza cyborgów jest ten sam, co u znanych im

wcześniej egzemplarzy. A taka analiza to dla fachowca kwestia minuty. Misson obejrzał spektrum promieniowania po wybuchu atakujących obiektów i potwierdził przypuszczenie Mety.

- Nie zostaliśmy zaatakowani przez zwyczajne zwierzęta - powiedziała już od progu. To są żądłopióry-cyborgi, czyli produkt cywilizacji na wyższym poziomie niż tutejsza. Tak uważa Misson - dodała dla porządku.

- To kwestia sporna - nie zgodził się Jason. - Słyszałem, że przyroda planety Pyrrus już robiła podobne numery. Pamiętasz, Henry, jak ci mówiłem, że czekają nas nieprzewidziane trudności?

- Ale nie wytłumaczyłeś, jakie konkretnie.

- Bo wtedy sam nie wiedziałem. Ale teraz, gdy zaczynają atakować nowe rodzaje potworów, mogę przewidzieć, co trzeba robić dalej.

Dla Jasona była to znakomita szansa. Jak lepiej przekonać Morgana, żeby przeniósł datę rozpoczęcia głównej bitwy?! Ten doświadczony i utalentowany strateg dobrze wie, że przesadny pośpiech na wojnie może tylko zaszkodzić.

Jason zrobił znaczącą przerwę i zapytał:

- Jak wygląda gotowość twojego wojska do operacji „Śmierć Śmierci”?

- Szczerze mówiąc, planowałem poświęcić jeszcze dwie doby na przygotowania - powiedział Morgan.

- Niedobrze - zmartwił się Jason. - Nie mamy już czasu. Cyborgi go pożarły. Trzeba atakować już jutro, inaczej...

Jason zamilkł, jakby się wahał, czy zdradzić tajemnicę.

- Henry, nie wykluczam, że jeżeli te organizmy... to znaczy urządzenia... rozmnożą się w wystarczającej ilości, mogą zniszczyć całą naszą technikę. Właśnie na to jest skierowana ich energia.

- Niedobrze - odezwał się Morgan jak echo Jasona. - Jestem zmęczony jak pies. Ale myślę, że jeżeli się postaramy, możemy zacząć operację już jutro. Nie rano, oczywiście, raczej pod wieczór.

Wspaniale, pomyślał Jason. Uwierzył. Teraz już nie ma odwrotu. Podczas przygotowań do walki piraci nigdy nie próbują łączyć się z kimkolwiek, nawet nie odpowiadają na pilne wezwania, nie licząc superpilnych, na specjalnych kanałach i na częstotliwości awaryjnej. Ale wątpliwe, żeby Berwick zaryzykował objawić się kierownictwu flibustierów tak po prostu, z podniesioną przyłbicą.

Wszechświatowy zegar odliczał więc już teraz nie tygodnie i nie dni, lecz godziny i minuty czasu „CZ”, do momentu kulminacyjnego, decydującego o losie co najmniej czterech planet, bo przecież Cassylia i Zunbar również postawiły dużo na ten pojedynek. Dziennikarze, zawsze skłonni do przesady, mówili o losach całej Galaktyki. A jak dalecy byli od prawdy, rozstrzygnąć mógł tylko czas.

- Bracia! - ogłosił Morgan przez interkom, kiedy już się upewnił, że jego głos jest transmitowany na wszystkie inne statki eskadry. - Moi wierni chłopcy! Zmieniły się okoliczności. Wielki szturm, który mieliśmy rozpocząć za trzy dni, odbędzie się jutro. Powinniście się cieszyć, bo przecież nie lubicie czekać. Im wcześniej zaczniemy, tym wcześniej zwyciężymy! Kapitanowie statków i dowódcy oddziałów powtórzą jutro każdemu, jakie jest jego zadanie. Najważniejsze, żebyście pamiętali, że przeciwko nam są zwyczajne zwierzęta. Zniszczcie je, a dostaniecie duże pieniądze. Jeżeli pojawią się ludzie, niszczone też ludzi! Są takimi samymi zwierzętami, tyle że na dwóch nogach. Zwyciężymy, chłopcy! Żeby mi od tej chwili nikt nie wypił ani grama! Kapitan, który zobaczy pijanego, ma prawo skrócić go o głowę. Powodzenia, bracia moi! Niech Bóg was błogosławi!

Potem wyłączył dźwięk i cicho odezwał się do Howarda:

- Weź dysk z najdokładniejszą mapą i planem operacji bojowych. Uważaj, żeby to była najnowsza wersja. Ściągnij do sali ogólnej Missona, Korteza, Karaccolę, Davisa, Hooka i Montobara. My troje dotrzemy tam za dziesięć minut. Zaczyna], Toni.

No proszę, powiedział Jason do siebie. Rozmowa odbędzie się nie z Howardem, a z samym Morganem. Cóż, to też ciekawe.

Tylko że temat rozmowy był zupełnie niespodziewany.

- Usiądźcie - poprosił Nawigator Jasona i Metę. - Muszę was o coś zapytać. Jutro wszyscy pójdziemy do ataku, ale już dzisiaj muszę wiedzieć, czy rzeczywiście jesteście nieśmiertelni. A raczej, w jakim sensie jesteście nieśmiertelni.

- Chcesz zapytać, w jakim stopniu? - uściślił Jason.

- Można tak powiedzieć - przyznał Morgan.

- Rozczaruję cię, Henry. Nie wiemy tego - przyznał się Jason prawie uczciwie. - A sprawdzać, sam rozumiesz, nie mam zbytnej ochoty.

- A to, co się zdarzyło na Jamajce?

- Takich przypadków było wiele w moim życiu. Nawet zbyt wiele - lekko przesadził Jason.

Ale tylko lekko. Przecież jeszcze zanim dostał szczepionkę Solvitza, potrafił przeżyć i w lodowatej wodzie, i w płomieniu pożaru, 1 przy koszmarnych przeciążeniach, i wiele dni regularnego bicia, głodowania, i z dziurą od miecza w brzuchu. Innymi słowy, wysoka odporność była jego cechą wrodzoną.

Jason czytał kiedyś książkę o nieśmiertelności, ale do końca nie rozumiał, co to było: praca naukowa czy mistyfikacja. Autor solidnego dzieła twierdził, że nieśmiertelność może być albo naturalna, czyli właśnie wrodzona, albo sztuczna, to znaczy nabyta (za pośrednictwem mutacji lub szczepionki, czyli wprowadzenia specjalnej wakcyny). Niezależnie od sposobu uzyskania nieśmiertelności, autor analizował cztery rodzaje ludzi mających tę cechę biologiczną.

Do pierwszego rodzaju należały osoby, które po prostu żyły w przesuniętym czasie. Proces ich starzenia zwalniał się o setki lub tysiące lat. Niczym innym nie różnili się od zwykłych ludzi.

Drugi typ to ludzie, których komórki, w tym także nerwowe, nie podlegają procesowi starzenia. To znaczy, że teoretycznie mogą żyć wiecznie. Jednak ilość niebezpieczeństw czekających na nich w realnym świecie okazywała się dokładnie taka sama, jak dla wszystkich innych. Najprostszy rachunek prawdopodobieństwa wskazywał, że prędzej czy później śmierć dopadnie takiego człowieka.

Trzecia kategoria nieśmiertelnych była chyba najbardziej logicznym tworem natury (lub naukowców). Aby żyć wiecznie, należy bronić się przed niespodziankami. Ludzie tej kategorii wyróżniali się podwyższoną żywotnością, to znaczy szybkim odbudowywaniem każdej uszkodzonej tkanki, i całką witalną odpornością na wszelkie chorobotwórcze mikroorganizmy. Wewnątrz tej kategorii wyróżniały się jeszcze podgatunki - od takich, którzy w ciągu kilku dni leczą śmiertelne dla zwykłego człowieka rany, do tych, którzy są zdolni do wyhodowania w kilka sekund nowej głowy w miejsce utraconej.

Wreszcie czwarty typ nieśmiertelnych autor warunkowo nazywał niejasnym określeniem „bogowie” i charakteryzował ich jednym słowem - niezniszczalni. Tych ludzi-nieludzi nie można było zabić ani za pomocą plazmy, ani w temperaturze zera absolutnego, ani w próżni. O wysokim promieniowaniu, chemicznych odczynnikach i polach elektromagnetycznych nie warto było nawet wspominać.

Jason zrobił Morganowi krótki wykład na ten temat, wyjaśniając na zakończenie, że on i Meta należą do trzeciej kategorii. Ale ponieważ obydwójce nie mają zielonego pojęcia, kiedy i w jaki sposób stali się nieśmiertelni (tego Morgan z pewnością nie musiał wiedzieć!), Jason nie orientuje się w ich realnych szansach i w rozwoju tych cech wraz z upływem czasu. Z tej książki Jason dowiedział się zresztą, że pod wpływem pewnych czynników niektórzy „częściowo nieśmiertelni” ludzie stopniowo stawali się bogami.

Morgan uśmiechał się pod wąsem. Świetnie wiedział, że Jason coś kręci. Sam też się nie wychylał do pewnego momentu, ale teraz, kiedy miał już wystarczająco dużo informacji, zdecydował się zadać najważniejsze pytanie. Zatwardziałego pragmatyka Morgana przede wszystkim interesowała jego własna nieśmiertelność.

- Nie proszę, żebyś mówił mi wszystko, Jasonie. Odpowiedz tylko na jedno pytanie. Czy w tym elemencie, który leży w Epicentrum, znajdziemy niezbędną dla nas wakcynę?

Przesądnie unikał słowa „nieśmiertelność”. Jason, którego ucieszyło to pytanie, postarał się włożyć w swoją odpowiedź maksymalny ładunek szczerości:

- Tak, Henry. I ty też staniesz się nieśmiertelny. Ale powiem uczciwie, że nie wiem, do jakiego stopnia. To jest zawsze indywidualne.

Dzięki temu sprytnemu zakończeniu bezcelne kłamstwo Jasona wydawało się bliższe prawdy.

Potem jeszcze rozmawiali na różne tematy, ale to już się nie liczyło. Najważniejsze, że Morgan połknął ostatnią przynętę. Teraz popędzi tam, nie oglądając się na nic.

Geniusz zła w Epicentrum zła! Pędzel mistrza wspaniale by oddał taki obrazek.

Jason uznał, że skoro tak szczerze obdarował Morgana, na pożegnanie może zaryzykować pytanie:

- Słuchaj, Henry, szczerość za szczerość. Co to był za pierścionek, który przekazywaliście sobie z Gronszykiem? Trudno nie zauważyć, że kryje się w tym jakiś specjalny sens.

- Oczywiście, Jasonie - uśmiechnął się Morgan. - Kiedyś, dawno temu Gronszyk dał mi go w prezencie. Byłem wtedy biedny i odpowiedziałem, że to zbyt drogi upominek. „Weź, powiedział Gronszyk, to nie jest zwyczajny pierścień. Przynosi powodzenie. Możesz uważać, że ci go pożyczyłem. Kiedy ci się powiedzie, oddasz mi go z powrotem”. Rzeczywiście wtedy mi się poszczęściło. I od tamtej pory tak się utarło: przekazujemy sobie pierścień z wirunhejskim kamieniem w zależności od tego, komu jest bardziej potrzebny. A ostatnio wymieniamy się nim przy każdym spotkaniu. Teraz obydwaj zawsze mamy szczęście.

- I to wszystko? - zapytał Jason, uśmiechając się przebiegle, bo Morgan zrobił podejrzaną przerwę.

- Prawdę mówiąc, nie. Gronszyk w swojej naiwności uważa pierścień za symbol powodzenia. A ja swego czasu wmontowałem w kamień miniaturowe, nie wykrywalne zwykłymi metodami urządzenie, no i podsłuchuję rozmowy Gronszyka. Jest, oczywiście, potrzebnym człowiekiem. A jeżeli dowiaduję się z góry o wszystkich jego podstępach, to staje się po prostu niezastąpiony.

Morgan roześmiał się, zadowolony ze swojego żartu. Po chwili dodał:

- Na przykład teraz dzięki pierścieniowi dowiedziałem się, że ten typiek zadaje się z Rodgerem Wayne'em. I to po tym, jak postawiłem na nogi całą Cassylię. Wyobraź sobie, że pozwolił statkom służb specjalnych Wayne'a na lądowanie w swoim porcie kosmicznym! A przecież przeklęty Rodger nas śledzi, wiem to od dawna. Na Radomie od razu zauważyłem jego łódeczki. Nawet nie bardzo się ukrywały...

W ten sposób w jednej rozmowie postawiono prawie wszystkie kropki nad i.

12

Kerk zorganizował w swoim gabinecie zebranie nadzwyczajne. Do omówienia była tylko jedna kwestia: czy postępować dalej według wskazówek Jasona, czy wreszcie wykazać własną inicjatywę? W przeddzień oszalałe stado diablrogów przebiło ekran ochronny, zbudowany wokół portu kosmicznego. Dyżurujący tam zespół musiał przystąpić do nierównej walki z potworami, które dosłownie wlewały się strumieniem w powstałą szczelinę. Zanim sześciu Pyrrusanom udało się schować za twardym pancerzem statku kosmicznego, który



akurat poddawano testom, jedna osoba zginęła, a dwie zostały ciężko ranne. Ten przypadek można by uznać za banalny, gdyby nie jeden drobny szczegół: diablorogi zachowywały się nietypowo. Były nieprzewidywalne. Przyczyn napadu na port w takiej wielkiej grupie nie potrafił wytłumaczyć nawet wielki Brucco. Zgodnie z logiką ostatnich wydarzeń, flibustierskie ataki miały przyciągać do siebie wszystkie zwierzęta, tak w sensie czysto fizycznym, jak i ukierunkowania telepatycznych fal nienawiści. A tutaj zaobserwowano silny wybuch złości, skierowany odwrotnie - jakby to właśnie flibustierowie, niczym naganiacze Naxy, nauczyli się kierować pyrrusańskimi zwierzętami.

To było nie tylko niepokojące - to było przerażające.

A jak wygląda przerażony Pyrrasanin, każdy wie. To po prostu Pyrrusanin kipiący wściekłością. W ciągu tych lat Jason nauczył mieszkańców Planety Śmierci wielu rzeczy, ale jedno zostało bez zmian: poczucie strachu przeradzało się we wściekłość w ułamku sekundy.

Tylko Archie, który zachowywał jaki taki spokój, próbował wytłumaczyć, że flibustierzy wcale nie szczują zwierząt na Pyrrusan, że coś takiego byłoby ponad ich siły; mówił, że to po prostu naturalne skoki telepatycznej aktywności, wywołane setkami najróżniejszych przyczyn, i łatwo je wytłumaczyć w ramach jego własnej teorii symetrycznych migracji. Ale nikt nie słuchał Archiego. A Kerk przypomniał Uctisaninowi, że pozwolono mu uczestniczyć w ważnym posiedzeniu, w dodatku w krytycznym dla planety momencie, tylko ze względu na szczególny stosunek do niego. Ale opinii przybysza z zewnątrz i tak nie będą brali pod uwagę, kiedy przyjdzie do podejmowania ostatecznej decyzji.

Archie ledwo powstrzymywał łzy, które napływały mu do oczu z poczucia krzywdy i bezsilności. Pocieszał się, przypominając sobie opowieści Jasona o jego pierwszym kontakcie z Pyrrusanami, kiedy ich upór był jeszcze bardziej tępy, a tępota jeszcze większa. Arenie szczerze liczył na zdrowy rozsądek, który w ciągu ostatnich lat zaczęto spotykać na Pyrrusie. Na razie musiał jednak wysłuchać podnieconych mówców. Nic nie zapowiadało, żeby narada miała się skończyć w jakiś konstruktywny sposób.

- Zdjąć ekrany i powitać wrogów zwartą linią ognia! - zaproponował Cliff.

- Zostawić ekrany - sprzeciwił się Stan - a w dżungli i na wybrzeżu wykorzystywać moc ognia naszych statków. Atak z powietrza to najlepsze rozwiązanie.

- Nie rozumiem, co proponujecie próbował się wtrącić Rhes. - Zniszczyć zwierzęta, działając w sojuszu z flibustierami, czy flibustierów, działając w sojuszu ze zwierzętami?

- Zniszczyć wszystkich! - podniecał się Cliff. - Wszystkich jednocześnie!

- Na to nie starczy nam sił - zadziwiająco trzeźwo, jak na swój wiek, wypowiedział się Grif. - Myślę, że mądrze będzie dobijać zwierzęta razem z flibustierami, w końcu to jest nasz podstawowy cel. A kiedy zwyciężymy, jakoś poradzimy sobie z przybyszami.

- Zdaje się, że Jason sugerował zawarcie z nimi umowy pokojowej - przypomniał Rhes.

- Ty byś się tylko godził ze wszystkimi - warknął Kerk. - Jason tłumaczył mi, że żadna umowa z flibustierami praktycznie nie ma sensu. Własną matkę i rodzinną planetę sprzedadzą za pieniądze. A podpiszą się pod czymkolwiek, żeby tylko ukraść więcej.

- Mili chłopcy - podsumował Stan. - To może najpierw ich załatwimy, a potem weźmiemy się znowu za zwierzęta?

- Zaraz, zaraz, przyjaciele, - niespodziewanie wtrącił się Naxa, który zazwyczaj był małomówny, więc zaczęli go słuchać. - Chyba nie w tę stronę zmierzamy. Jason przywiózł nam flibustierów jako nowy rodzaj broni, a wy proponujecie zniszczyć tę broń. Przecież to nie ma sensu! Podają nam pomocną rękę, a my ją gryziemy jak wściekłe psy.

- Ładna mi pomoc! - krzyknął Cliff. - Napuścili na nas diablurogi...

- Dajcie już spokój temu wypadkowi w porcie kosmicznym! - zdenerwował się Rhes. - Co tu mają do rzeczy flibustierzy? Jakbyśmy wcześniej nie mieli takich najazdów! Przejdźmy do rzeczy.

- Właśnie! - poparł go radośnie Stan. - Już najwyższy czas. A wiecie, w czym rzecz? Oni marzą o tym, by zdobyć Epicentrum. Mam nadzieję, że wszyscy o tym pamiętają. Ale czy wszyscy też pamiętają, co się zdarzyło, kiedy rzuciliśmy bombę na Epicentrum? To było dawno temu. Ale tutaj są niektórzy starsi ode mnie. Wtedy miasto z trudem wytrzymało nacisk milionów potworów. Całe to świństwo zaczęło się pchać z potrójną siłą. Tego chcecie?! Flibustierzy są uparci i dotrą do Epicentrum. Może nawet zginą tam wszyscy, co do jednego. Ale nam też nie będzie miło, zapewniam was. I wzywam do wycofania się z tego idiotyzmu, wymyślonego przez Jasona, póki jeszcze nie jest za późno.

- Czy mogę coś wytłumaczyć? - nieśmiało zapytał Archie. - Nie - uciął Kerk.

- To może mnie pozwolisz powiedzieć parę słów? - wystąpił Rhes.

- Mów - burknął Kerk z niezadowoleniem.

- Flibustierzy nie zamierzają niszczyć Epicentrum. Czybyście tego nie zrozumieli? Oni tam szukają jakiejś swojej świątyni. Będą próbowali znaleźć z Epicentrum wspólny język. Przecież to niesłychanie ciekawe! To nam pomoże znaleźć klucz do rozwiązania problemu Pyrrusa.

- Oczywiście, przyjaciele! - nie wytrzymał Archie. - Właśnie to chciałem powiedzieć. Świetnie, że istnieją Pyrrusanie, którzy mnie rozumieją.

Niepotrzebnie się wtrącił. Słowa Archiego stały się dla Kerka ostatnią kroplą.

- Nie! - ryknął. - Obcy nigdy nie będą rozwiązywać naszych problemów! Mogę jeszcze wytrzymać, kiedy Naxa obłaskawia łuskowate psy, dorymy, płazy kopytne... niech mu pójdzie na zdrowie! Ale żeby jacyś bezczelni flibustierzy znajdowali, jak mówisz, wspólny język z tuzinogami i lanmarami... tego po prostu nie pojmuję! Jeżeli okaże się, że potrafią się dogadać z morskimi potworami, jeszcze, nie daj Boże, razem ruszą na nas. Czyżbyście, bracia moi, chcieli po raz drugi pożegnać się z rodzinną planetą? Proponuję skończyć dyskusję i przygotowywać się do bitwy. Czy wszyscy naczelnicy są obecni na sali?

Kerk obrzucił wzrokiem pomieszczenie i zauważył nieznanego z kamerą na ramieniu.

- Przepraszam, a pan skąd się tu wziął? - zapytał z oburzeniem przywódca Pyrrusan.

- Przyszedłem służbowo - spokojnie odpowiedział człowiek z kamerą. - Jestem przedstawicielem kompanii „Wieczne czasy”.

- Kto pozwolił na filmowanie?! - ryknął Kerk i trzema susami przeciął salę.

- Berwick, w imieniu Jasona. Pan sam wczoraj podpisał stosowne papiery - powiedział zmieszany reporter.

- Jakie papiery?! Jaki Berwick?! - Kerk już nic nie chciał rozumieć. - Dawaj pan tę kamerę!

Zabrał operatorowi sprzęt i walnął nim o podłogę.

- Nie będzie żadnych reportaży! Każę zniszczyć wszystkie nagrania! Co oni sobie myślą, ci właściciele kanałów telewizyjnych? Dlaczego uważają, że mogą wtrącać się w życie innej planety?

- To nie było nagranie, tylko bezpośrednia transmisja - szepnęła dziewczyna, która znalazła się obok Kerka. - Niepotrzebnie pan zepsuł kamerę, jest bardzo droga.

Kerk odwrócił się gwałtownie i dziewczyna ledwo zdążyła uniknąć ciosu ogromnej pięści. Na szczęście stojąca obok Pyrrusanka pomogła jej z poczucia kobiecej solidarności.

- Przekleństwo! - ryczał Kerk. - Zabierzcie stąd wszystkich obecnych i przygotujcie się do bitwy. Zdaje się, że wydałem rozkaz. Dlaczego nikt go nie wykonuje?!

Sytuacja stała się napięta. Pyrrusanie byli gotowi iść za swoim przywódcą, ale wielu z nich, może nawet połowa, czuło, że on nie ma racji.

Sygnał alarmu stał się prawdziwym wybawieniem dla wszystkich.

- Flibustierzy zaczęli atak od razu ze wszystkich punktów - poinformował kapitan Dorf z „Argo”. - Sto dwadzieścia sześć statków już wylądowało na naszej planecie. Cały czas lądują następne.

- Jak to się stało? - zapytał wstrząśnięty Kerk.

- Tak, jak pokazują moje urządzenia - bez sensu odpowiedział Dorf.

- Przekleństwo! - powtórzył Kerk, ale teraz już prawie szeptem. - Dlaczego Jason o niczym nas nie powiadomił? Mówił, że masowy atak nastąpi dopiero za dwa dni. Stan! Jak mam połączyć się z Berwickiem? Chwalił się, że może znaleźć Jasona w każdej chwili. Niech szuka, albo przynajmniej niech wytłumaczy, co się dzieje.

- Dobrze, Kerk, zaraz się tym zajmę - zapowiedział Stan. - Tylko chciałbym wiedzieć, czy nadal musimy bronić Epicentrum przy użyciu środków technicznych? I czy można już zabrać stamtąd robota-ochroniarza, którego Midi nazywa „oddychającym ogniem smokiem”? Może się przydać na innych pozycjach.

Kerk długo się zastanawiał. Milczał przez dobrą minutę, a wreszcie powiedział:

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Zapytaj lepiej Rhesa. Niech on decyduje.

To było niezwykle! Nawet chyba bardziej, niż ten pierwszy krok, kiedy wiele lat temu z inicjatywy Jasona blacharze i karczownicy po raz pierwszy potrafili ujrzeć w sobie ludzi i Rhes wyciągnął dłoń do Kerka, a tamten ją uścisnął.

Archie Stover, zasłaniając lewą dłonią usta, żeby nie palnąć czegoś niepotrzebnego, podniósł prawą rękę z kciukiem do góry - i chyba wszyscy zrozumieli sens tego uroczystego i radosnego gestu.

13

Po ciężkiej, ale krótkiej zimie na pomocnej półkuli Pyrrusa przyszła burzliwa wiosna. Śnieg topniał i zmieniał się w rwące potoki brudnej wody na łąkach i leśnych polanach; spod ziemi błyskawicznie wyłaziły pęczniejące pąki, które zaraz rozwijały się w jadowite kwiaty; pojawiały się chmury przebudzonych owadów. Zaczęły się masowe migracje ptaków i innych gatunków zwierząt, wędrujących w poszukiwaniu pożywienia i zbierających się w agresywne grupy. Stosunkowo łatwo było wyśledzić główne ogniska aktywności biologicznej, ale nie dało się przewidzieć wszystkich jej przejawów...

Naiwny Morgan myślał, że wie już wszystko o fenomenach pyrrusańskiej przyrody. Jak bardzo się mylił, wyjaśniło się już po kilku godzinach od rozpoczęcia wielkiego szturm, to znaczy operacji „Śmierć Śmierci”. Ale w tym momencie nie można już było powstrzymać tego procesu ani nawet go spowolnić.

Dwanaście solidnych liniowców, pięćdziesiąt dziewięć kanonierek klasy średniej i siedemdziesiąt dwie lekkie łodzie desantowe wylądowały jednocześnie w stu czterdziestu trzech punktach planety, gdzie akurat zaobserwowano najwyższy poziom koncentracji nienawiści miejscowych organizmów. Nie warto chyba mówić, że niespodziewana agresja piratów wywołała potężną falę zwrotnej aktywności biologicznej, przed którą najczęściej nie ratowały ani najmocniejsze skafandry, ani nawała ognia z broni plazmowej. Zdarzało się, że nie pomagało nawet opancerzenie statków kosmicznych.

W biosferze Pyrrusa znalazły się gatunki zwierząt, które potrafiły przegryzać metal i plastik, rozpuszczać wszystko, co żywe i nieżywe w jadowitej ślinie i żrącym soku żołądkowym, przenikać żądłącymi wyrostkami do mikroskopijnych szczelin, wybuchać jak bomby próżniowe, oblepiać ogromną masą i unieruchamiać nie tylko poszczególnych wojowników, ale nawet całe samochody pancerne, kanonierki i czołgi.

Henry Morgan, który został na orbicie ze swoim okrętem flagowym, obserwował bitwę, patrząc na ogromny widokowy poli-ekran, podzielony na sześćdziesiąt segmentów. Bardzo chciał widzieć wszystko, nie miało jednak sensu rozdrabniać obrazów na jeszcze mniejsze sektory. Gdy tylko główny flibustier dostrzegł coś ważnego, powiększał odpowiedni fragment i starał się wyjaśnić, co tam się dzieje.

Czasami nie było to proste, bo w wielu miejscach działy się rzeczy, które normalnemu (lub nawet niezbyt normalnemu) człowiekowi nie przyśniłyby się w najbardziej koszmarnym śnie.

Oto przed uformowanym oddziałem niespodziewanie wypiętrza się ziemia i spod niej, wijąc się jak żmija, wyłazi stworzenie o rozmiarach i wyglądzie smoka z bajki: pokryte błyszczącą łuską i ohydny, poruszającymi się wyrostkami. Potem skóra smoka pęka od strzałów i teraz widać, że to wcale nie jest skóra, a raczej kora. Tak, to są ogromne korzenie drzewa, tylko puste w środku. Nie, wcale nie puste! Wyłażą z nich niezliczone chmary zębatych, śliskich, jadowitych potworów, jakieś kolczaste szczurojaszczury, robaki z kocimi pyskami... Inne potwory wryły pod ziemią jaskinie, ale tak chytrze, że póki po polanie biegli ludzie - nic się nie działo, ale kiedy razem z nimi ruszyły pojazdy, wszystko razem zapadło się pod ziemię. Na dodatek jama pod spodem była wypełniona gazem błotnym. Wystarczyło jednej iskry od uderzenia metalu o metal, żeby wszystko wybuchło płomieniem. A potem wybuchły również baki z paliwem. Niewielu ocalało z tej masakry...

Oto stada żądłopiórów i szponiastych jastrzębi szybko zbierają się w ogromną czarną chmurę i zaczynają krążyć nad jednym z oddziałów. Nie atakują, po prostu krążą. Ale co się dzieje? Poruszają się coraz prędeziej, zataczają coraz mniejszy krąg. Chmura stopniowo zamienia się w gigantyczną żywą trąbę powietrzną. Odrywa się od ziemi i podnosi nie tylko bojowników, strzelających chaotycznie w różne strony z powodu całkowitej utraty orientacji, ale również broń i samochody pancerne. Wreszcie energia trąby osiąga maksymalną moc i do jej leja trafia nawet liniowiec, który widocznie nie zdążył włączyć silników. Cały ten koszmar powoli przemieszcza się ku morzu, żeby tam, na kilometr od brzegu, rozsypać się nad wodą i ostrymi rafami. A z burzliwych fal wynurzają się ku długo oczekiwanej zdobyczy głodne potwory wodne...

Żywe drzewa zaczynają dusić ludzi i unieruchamiać urządzenia techniczne. Wszystko trzeszczy, skrzypi, pęka: metal i drewno, plastik i sprężyste łądygi, twarde liście i ludzkie ciała...

Gdzie indziej chmary olbrzymich owadów z żądlami, kleszczami i ogonami ząbkowanymi jak piła przyjmują na siebie uderzenia ze wszystkich rodzajów laserowej, rozpryskowej i plazmowej broni, a spod tej zasłony dymnej wyskakują straszne, niepowstrzymane diablorgi. Nie bez powodu nazwano je rogatymi diabłami.

Tam ogromne pokraczne żaby wciągają w chciwe paszcze najstraszniejsze trucizny o błyskawicznym działaniu - bojowe środki trujące, które miały być wykorzystywane przeciwko nim. Zwierzęta pracują jak pompy pneumatyczne - flibustierzy nazwali je nawet żabopompami. Opite trucizną po brzegi, zamykają paszcze i zamierają, zamieniając się w prawdziwe bomby chemiczne. Jeden niezgrabny ruch w pobliżu takiego bąbla - i żabopompa wybucha, a odłamki jej skóry mogą rozciąć skafander i nawet przebić trypleksy w wozach bojowych.

Im dłużej Morgan patrzył, tym wyraźniej widział, że nie mają tutaj do czynienia ze zwyczajną agresywną biosferą. Zderzyli się chyba z jakimś kolektywnym rozumem. Każdy potwór z osobna jest tępy, jak mrówka czy truteń, ale wszystkie razem dokonują cudów przemysłowości.

W jaki sposób tajemniczy Pyrrusanie kierują swoimi potworami? Kto siedzi w Epicentrum? Z jakimi jeszcze zwierzętami będą musieli walczyć? Jaki to ma związek ze statkiem kosmicznym „Baran” i tajemnicą nieśmiertelności?

Morgan bardzo chciałby porozmawiać z Jasonem o tym i o wielu innych rzeczach, ale na razie nie było na to czasu. Jeżeli tylko znajdzie się wolna chwila...

Na razie nie tylko obserwował bitwę, ale również nią kierował; wydawał rozkazy, naprawiał błędy swoich bojowników, wyciągał wnioski. Jakby sam w niej uczestniczył.

Wyliczenia Morgana okazały się prawidłowe. Wszystkie śmiercionośne siły planety zostały rozproszone na półtorej setki punktów, dość oddalonych od Epicentrum.

A „Konkwistador” krążył nad oceanem, stopniowo się zniżając. Metodycznie zakreślał coraz to mniejsze koła wokół zakłętego miejsca. Okręt flagowy już wszedł do atmosfery i teraz powoli przemierzał przestrzeń od wybrzeża do Epicentrum i z powrotem, coraz bardziej zniżając się ku powierzchni wody. Statkiem kierowali Howard i Meta. Jason obserwował wszystko, co się działo, na ekranie w sterowni kapitańskiej, gdzie można było odbierać przekazy również ze wszystkich innych miejsc. Ale w tej chwili miał na ekranie właśnie Epicentrum i ze zdziwieniem stwierdzał, że sytuacja jest zupełnie odwrotna niż ta, którą zastali tam wcześniej. Im bliżej magicznego punktu, tym mniej było drapieżnych potworów w oceanie. Czy mogły nie wyczuć zbliżania się wroga z takiej wysokości, czy rzeczywiście wszystkie siły rzucono do okrutnych walk na peryferiach? W końcu nawet taki fenomen, jak Planeta Śmierci, nie mógł wyprodukować nieskończonej liczby zwierząt. A jeżeli to prawda, to Morgan był blisko swojego pyrrusowego zwycięstwa. Ale nie spieszył się, zmierzał do swojego celu bardzo powoli i czekał na najlepszy moment, zupełnie jakby wiedział, kiedy ten moment nadejdzie.

Krwawe sceny, jedna potworniejsza od drugiej, ukazywały się na wszystkich sześćdziesięciu czterech ekranach. Ale Morgan już się nie martwił z powodu strat; pierwsza panika minęła. Teraz w centralnym, powiększonym punkcie ekranu cały czas majaczyło Epicentrum.

- Proszę podać liczbę ofiar na chwilę obecną - poprosił kapitan, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

Pytanie zabrzmiało na kanałach łączności głosowej. Na pokładzie skrętu flagowego zostało nie więcej niż czterdzieści osób - sami swoi, najpewniejsi, sprawdzeni. Dlatego każda informacja mogła być jawna.

Odezwał się Misson:

- Liczba zabitych przekroczyła tysiąc. Dostarczenie dokładnych danych jest niemożliwe. Sytuacja zmienia się co chwila. Rannych jest poniżej stu. Bardzo trudno ich ewakuować z pola bitwy. Sam rozumiesz, Henry, tutaj panuje prawo dżungli: zwierzęta nie leczą swoich rannych.

- W porządku - odpowiedział Morgan. - Wyślij wsparcie techniczne oddziałowi Madame Cin. Dobrze atakują. Niech się nie zatrzymują w pół drogi.

Potem Morgan połączył się z Richardem Scottem, którego grupa przemieszczała się przez dżunglę z jeszcze większym powodzeniem. Flibustierzy tej jednostki, nie zmniejszając prędkości, palili wszystko la swojej drodze. Scott i jego grupa poruszali się w małych jedno-albo dwuosobowych skuterach na poduszce magnetycznej, wykorzystując do ataku tak zwane aparaty lokalnej anihilacji o działalności sferycznej. Prymitywne pyrrusańskie potwory zbierały się w ogromne stada przeciwko poruszającej się klinem eskadrze dziwnych pojazdów. Zwierzęta leciały jak ómy do płomienia świecy i momentalnie zamieniały się w szary popiół i czarną sadzę, nie docierając do niczego, czemu mogłyby zagrozić. Rośliny spalały się w piekielnym płomieniu jeszcze szybciej. A najlepsze było to, że żadne żywe korzenie, żadne owady ani najbardziej pracowite gryzonie nie mogły się przebić przez szklistą skorupę, którą zostawiała za sobą grupa Scotta.

Lokalne anihilatory były najnowszą tajną bronią flibustierów, którą Misson sam wymyślił, sam doprowadził do doskonałości i zachował na czarnej godzinę. Do tej pory nikomu jej nie pokazywał. Jason i Meta też po raz pierwszy zobaczyli podobny wynalazek w akcji. Pyrrusanka oczywiście nie mogła oderwać błyszczących z zachwytu oczu od tego widowiska.

- Misson - zapytała przez interkom - dlaczego pan nie pokazał mi wcześniej tej broni?

- Nie było rozkazu - odezwał się wynalazca narzędzi śmierci.

Morgan usłyszał tę rozmowę i obiecał żartobliwie:

- Jak tylko zwyciężymy, dam pani w prezencie taki skuter. Załatwi pani każdą planetę, zasobną w żywe organizmy.

Potem zwrócił się do Scotta:

- Dick, słyszysz mnie?

- Tak, proszę pana.

- Czy nie powinniście się zatrzymać i ocenić postępy, zasłaniając się polem ochronnym?

- Nie, proszę pana. Nie jestem przyzwyczajony do tego, by się zatrzymywać podczas ataku.

- Dick, zapominasz, że to nie są ludzie. To bezmózgie potwory, które mnożą się w niesamowitym tempie. Jeżeli zejdzie się ich jeszcze więcej, zabraknie ci energii. A ja nie będę w stanie cię wspomóc promieniem z „Konkwistadora”, bo jesteś już poza zasięgiem bezpośredniej widoczności. A zresztą, czyżbyś zapomniał, ile to wszystko kosztuje?!

Scott milczał, więc poirytowany Morgan upewnił się:

- Zrozumiałeś mnie, Dick?

- Prawdę mówiąc, nie do końca, sir - prostodusznie odpowiedział Scott. - Nie mogę zatrzymać ani siebie, ani moich chłopców. Za bardzo im się to spodobało. Obliczyliśmy sobie, że powinniśmy szczęśliwie dojść do morza, a jak tylko dżungla się skończy, od razu spadnie zużycie energii. Jeszcze trochę, sir, i pozabijamy ich wszystkich.

Naiwny Scott miał szczerą nadzieję, że uda się zlikwidować wszystkie pyrrusańskie potwory za pomocą sił jednego oddziału. To było wzruszające, ale idiotyczne.

Morgan wyłączył się i wrócił do swoich problemów z Epicentrum.

W polu widzenia urządzeń kontrolnych znalazł się nagle nieduży przedmiot, który zawisł w zdumiewającej bliskości od wyliczonego przez Missona punktu Epicentrum, dosłownie nad samą wodą.

- Co to jest, Jasonie? - zapytał zaniepokojony Morgan. - Czy to jakaś ich ochrona? Uderzymy w nią natychmiast!

- Broń Boże, Henry! - wykrzyknął Jason dyżurne zdanie. - Przecież to jeden z moich kronikarzy.

- I może znajdzie się w Epicentrum wcześniej od nas, co? - zapytał Morgan żartobliwie, ale głos miał obrażony.

- Ależ nie! - roześmiał się Jason. - Po prostu chce sfilmować tę uroczystą chwilę. Cały czas staram ci się to wytłumaczyć, Henry: najlepsze obrazki, które obserwujesz na ekranie, filmują najlepsi z moich kronikarzy. Twoje amatorskie kamery, wbudowane w samochody wojskowe, nigdy nie dałyby tak pełnego obrazu bitwy.

- Chcesz powiedzieć, Jasonie, że twoich kronikarzy na planecie jest już więcej niż sześciu?

- Oczywiście, prawie stu. Chcą sfilmować możliwie wszystko, a nasza operacja bardzo się teraz rozrosła. To miała być moja niespodzianka dla ciebie. Pamiętasz, jak wczoraj odleciałem na krótko ze statku?

Morgan ufał Jasonowi. Inaczej nie wypuściłby go samego w kosmos. Od jakiegoś czasu uważał Jasona za prawdziwego sojusznika, walczącego u boku flibustierów na obopólnie korzystnych warunkach. Przecież nie chodzi o wzajemne uprzejmości, tylko o korzyści! Obydwaj to rozumieli. Jednak ta informacja nie wiadomo dlaczego nie spodobała się Navigatorowi. Czy to nie przesada, te tłumy kronikarzy? On, Henry Morgan, traci tysiące ludzi, gubi sławne wojsko, najlepsze w Galaktyce, w imię wielkiego zwycięstwa i nadchodzącej wszechwładzy, a ci cholerni bohaterowie, ani trochę nie współczujący ludziom, którzy przystąpili do walki z dziką przyrodą, włączają wszędzie, do nikogo nie strzelają i ryzykują życiem dla głupich dysków z nagraniami!

Morgana oburzało podobne zachowanie. Pod spojrzemiami bezczelnych, ciekawskich kamer cała bitwa zamieniała się w coś w rodzaju przedstawienia. Kredyt zaufania do posłańców bogów powoli się kończył.

Ale, na szczęście Jasona, Nawigator nie miał czasu, by teraz się nad tym zastanawiać. Trzeba było jak najszybciej zniżyć się ku powierzchni oceanu. Wykorzystać ten moment spokoju i ciszy.

Jason wyczuł nastroj Morgana i pomyślał złośliwie: Gdybyś tylko wiedział, jak jest naprawdę! Nie podoba ci się, że w przyszłości ktoś będzie się delectować śmiercią flibustierów, a może nawet śmiać się z ich niepowodzenia. A tymczasem już teraz na setkach zamieszkanym planet miliardy ludzi na żywo obserwują przebieg pyrrusańskiego Armageddonu. I nie tylko z przyjemnością, nie tylko ze śmiechem, ale, co najważniejsze, dla hazardu!

MAHAUTA. W najstarszym i najpopularniejszym kasynie „Mgławica” było bardzo tłoczno. Nikt nie grał w karty, nikt nie rzucał kości i nawet koło ruletki stało nieruchome już od paru godzin. Spojrzenia wszystkich gości były skierowane tylko na ekrany. Bo jaki prawdziwy gracz nie skorzysta z okazji i nie zrobi zakładu w supergrze? Do tej pory podobne sceny widzieli tylko gapiąc się wieczorami w ekran domowego wideo i przeklinając leniwie tępowych twórców fałszywych epizodów, marną technikę efektów specjalnych, bezsensownie wybrane plenery, kiepskich aktorów... Teraz wszystko było prawdziwe. Trudno w to uwierzyć, ale tam, na dalekim Pyrrusie, dzisiaj, w tej chwili ludzka krew lała się strumieniem i padały miliony okropnych mutantów, stworzonych przez oszalałą florę i faunę.

Tak, tam nie wpuszczano zwykłych gapiów. Przecież nawet jeden chętny, który chciałby się pogapić na żywy koszmara z bliska, mógł zakłócić bieg wydarzeń, gdyby się znalazł w niewłaściwym momencie w samym środku piekła. Co innego dziennikarze. To oni dawali każdemu widzowi złudzenie, że tkwi w ogniu bitwy. A ci najbogatsi, rozwaleni w fotelach kasyna z cygarami i kieliszkami wina w rękach, mogli po prostu uważać się za uczestników walk. Przecież tam spalały się, powstawały z popiołu i znów spalały ich pieniądze! A o pieniądze, zwłaszcza duże, czasami martwisz się bardziej niż o własne życie.

LUSSUOZO. Tutejsi mieszkańcy zawsze słynęli ze spokoju i zadziwiającego opanowania. Też włożyli pieniądze w grę, też nie wyłączali telewizorów i obserwowali ostatnią część bezprecedensowego meczu Jamajka - Pyrrus. Ale nawet najciekawsze wydarzenia na innych planetach nie mogły oderwać tubylców z LUSSUOZO i gości tej rozkosznej planety od przyjemnych zajęć. Znane ośrodki odnowy biologicznej, restauracje, show-kluby, kasyna, plaże, salony masażu, siłownie, trasy wyścigowe dla nukleocyklów - wszystko pracowało w zwyczajnym rytmie. Oczywiście goście tych wszystkich instytucji, obsługa i nawet policja nie zapominali od czasu do czasu zerkać na ekrany. Wszyscy tu byli bogaci i we „Wszechświatowym totalizatorze” postawili duże pieniądze. Jednak atmosfera planety nie sprzyjała nerwowej szarpaninie i rozpalaniu się namiętności. W przerwie między dwoma kuflami piwa lub dwiema kulami w kręgielni niespiesznie wymieniali uwagi o możliwej zagładzie całej cywilizacji. Liczyli zabitych flibustierów, kąpiąc się w chłodnym basenie po saunie i rozkoszowali się widokiem krwawych pojedynków, jednocześnie zerkając drugim okiem na tor wyścigowy, gdzie odbywały się wyścigi kopytnych zwierząt z różnych planet.

ZUNBAR. Na tej planecie interesów nie zaobserwowano masowego zainteresowania „Wszechświatowym totalizatorem”. Ale w jednym z najwyższych i najbardziej luksusowych budynków miasta stołecznego Juntown, w Medical Trade Building, tego dnia nikt nie pracował. Wszystkim, od członków Rady do sekretarek,

pozwolono odłożyć zajęcia aż do zakończenia ostatniego reportażu z planety Pyrrus. Było już wiadomo, że wojna zbliża się ku końcowi, siły obu stron się wyczerpywały. Tylko nie dawało się zrozumieć, kto zwycięży.

Wszyscy pracownicy Medical Trade dobrze wiedzieli, jakie ta bitwa ma znaczenie dla ich zwierzchników, a więc dla nich też. W przypadku wygranej na „Wszechświatowym totalizatorze” ogólny kapitał firmy miał wzrosnąć prawie o dziesięć procent, a to obiecywało wszystkim znaczące podwyżki, nie mówiąc już o tym, że wiele osób na własne ryzyko zrobiło prywatne zakłady. Oczywiście z poczucia solidarności poparli ekstrawagancki pomysł właściciela Medical Trade Ronalda Sane'a - wszyscy kibicowali Planecie Śmierci.

Dolly siedziała razem z Robsem w gabinecie ojca. Ponieważ akurat pokazywali triumfalny marsz Richarda Scotta do morza, zdenerwowała się i zapytała:

- Tato, jak myślisz, czy oni rzeczywiście zwyciężą?

- Ależ oczywiście, moja kochana - z pewnym siebie uśmiechem odpowiedział Sane.

Ale ta pewność i ten uśmiech były wymuszone. Kogo chciał przechytrzyć? Nie udało mu się oszukać nawet samego siebie. Czując fałsz we własnym głosie, Sane postanowił przejąć inicjatywę w rozmowie.

- Czy twoja intuicja coś ci podpowiada?

- Owszem - powiedziała Dolly smutno - Podpowiada mi, że ty sam nie jesteś niczego pewny. A jeżeli chodzi o Pyrrusa... Naprawdę nie wiem, tato. Czytać myśli i zaglądać w przyszłość to nie jest to samo. Ale Jason dzwonił wczoraj i zapewniał, że wszystko idzie zgodnie z planem. A dzisiaj rozmawiałam z Midi... ona po prostu panikuje. Wśród Pyrrusan nastroje są fatalne. Nerwy ledwo wytrzymują. Cały czas rwą się do walki, po prostu nie mogą wytrzymać. Jeżeli to zrobią, zepsują pomysł Jasona. Midi ostatkiem sił powstrzymuje ich od fatalnego kroku.

- Nie rozumiem - powiedział Sane. - W jaki sposób ich powstrzymuje?

- Ona, tak samo jak ja, potrafi przekonywać telepatycznie. Archie zawsze marzył, by wykorzystać jej energię do osvajania zwierząt, jak od wieków robili to na Pyrrusie wróżbici. A przecież biopole Midi jest mocniejsze od biopola wszystkich wróżbitów Planety Śmierci razem wziętych. I widzisz, na co teraz marnuje swój talent!

- A, o to chodzi - tylko tyle mógł powiedzieć Sane.

Wtedy właśnie Robs nie wytrzymał i krzyknął:

- Spójrzcie tylko, co się dzieje!

Grupa Scotta, która szczęśliwie dotarła do wybrzeża, porzuciła swoje skutery, rozstawiła ochronę wzdłuż polanki na skraju dżungli i urządziła tańce. Piraci triumfalnie spoglądali na prostą, szeroką i błyszczącą jak zunbarski highway drogę, która została za nimi. Dorośli, wąsaci faceci skakali jak mali chłopcy, ściskali się nawzajem, tarzali się w piasku, kąpali w zatoce w ubraniach. A samotne ptaki i morskie zwierzęta, które wykazywały jakąkolwiek agresję, załatwiali, nawet nie wyjmując pistoletów - po prostu rąbali szablami.

Ronald Sane nagle powiedział ponuro, ale za to z głębokim przekonaniem:

- Na co oni liczą? Jak tylko załatwią wszystkie zwierzęta, Pyrrusanie ich wykończą. Za nic im tego nie wybaczą.

Ostatnie zdanie zabrzmiało paradoksalnie, ale Sane wyobraził sobie bardzo wyraźnie, ze szczegółami, jak mocni, niezwyciężeni Pyrrusanie rozstrzelują zniechęconych przez niego bandytów. Zobaczył tę scenę z tak przenikliwą jasnością, że aż zabrakło mu tchu od radosnego oczekiwania. Pragnął ich krwi, marzył o tym, by widzieć ich męki. Tak, wiedział, że to nie są dobre uczucia... Ale czy można winić człowieka, któremu miesiąc temu okrutnie zabito całą rodzinę, a jedyna córka ocalała tylko przez przypadek?

- Jason nie pozwoli im opuścić jego planety - dodał, nie wiadomo po co.

Też tak uważam - poparł go Robs.



Praktycznie adoptowany przez Sane'a, Robs od razu przestał uważać się za pirata, chociaż ojciec dla ukochanej jedynaczki był gotów adoptować nawet krokodyla. A Robs nawet mu się spodobał.

W tym momencie, jak na zamówienie zunbarskich widzów, zmienił się obraz na ekranie. Cała trójka z przyjemnością patrzyła, jak kosmate kopytne płazy, które ocalały w swoich siedliskach na niezmiernych bagnach południowo-wschodniego kontynentu, melancholijnie dojadają ostatnich bojowników jednej z najliczniejszych pirackich jednostek - oddziału Paolo Karaccoli.

CASSYLIA. Do pełniejszego kontrolowania szybko zmieniającej się sytuacji Rodger Wayne wykorzystywał ogromny poli-ekran, mniej więcej taki sam jak Morgana. Było, na nim widać nie tylko różne regiony planety Pyrrus, ogarnięte płomieniem wojny, ale również najważniejsze punkty jego własnej planety: giełdę państwową, największe banki, kilka ogromnych fabryk, kasyno „Cassylia”, już całkowicie odremontowane, port kosmiczny Digo...

Wayne przenosił wzrok z jednego fragmentu na drugi i musiał przyznać, że bardzo mu się podoba wszystko, co się dzieje. Zawsze pewny siebie, teraz też nie wątpił w ostateczne zwycięstwo. Owszem, lekko zbladł, kiedy na dziesięciu ekranach naraz okropne potwory wygrywały z ludźmi. Ale odrobina strachu przyprawiała o przyjemny dreszczyk.

Rod, tłumaczył sobie, jeżeli postawisz na flibustierów, to znaczy, że wygrają flibustierzy. Inaczej po prostu być nie może. Zawsze miałeś szczęście, Rod. Bez tego nie zostałbyś tym, kim jesteś. A im więcej ofiar wśród piratów, tym lepiej. Morgan, kiedy straci armię, przestanie się pyszczyć i terroryzować całą Galaktykę, przypełnie na kolanach z prośbą o pieniądze na nowe projekty i afery. A jak myślisz, do kogo przypełnie? Oczywiście do ciebie, Rod!

Rodger Wayne lubił czasami porozmawiać z Rodgerem Wayne'em. W myślach albo nawet na głos. To bardzo uspokajało i wzmacniało jego szacunek do siebie.

- Chank! - wezwał swojego zastępcę. - Pomyśl o transporcie.

- O jakim transporcie, szefie?

- Pieniędzy, Chank. Cały ten bałagan na Pyrrusie niedługo się skończy i przyniesie nam dużo forsy. Wielu z moich szanownych klientów i kontrahentów porobiło zakłady w postaci skryptów dłużnych, ale przypuszczam, że będą płacić gotówką. Więc trzeba się zastanowić, w jaki sposób przewieźć taką ilość pieniędzy, gdzie ją magazynować i jak zapewnić bezpieczeństwo.

- Dobrze, szefie, pomyślimy o wszystkim.

- Zaczynajcie. Wcale nie macie dużo czasu.

Jakże uwielbiał wydawać podobne rozkazy z taką wspaniałą nonszalancją! Jak uwielbiał siebie i swoje niezmiennie udane transakcje!

I tylko jedna mała, ale nieprzyjemna drzazga tkwiła w mózgu Wayne'a - obecność Jasona dinAlta na pokładzie okrętu flagowego eskadry Morgana. Ten bankowiec i faktyczny właściciel jednej z najbogatszych planet, który wiedział i rozumiał dużo więcej niż przeciętny obywatel Galaktyki, nie potrafiłby wytłumaczyć, co właściwie go w tym niepokoi, ale... Wayne też był na swój sposób szulerem i miał przeczucie profesjonalisty, że Jason go przechytrzy. Kiedy? Jak? Co się jeszcze wydarzy? Jak można przeciwdziałać? Nie wiedział. A teraz po prostu czekał na wynik, rozkoszując się masakrą na Pyrrusie i ciesząc się sukcesami obu stron. Tak, właśnie tak - obu.

DARKHAN. Jak wiadomo, na sąsiadującej z Cassylią planecie gry hazardowe były zabronione. Ale zwolennicy Jedynego Boga Ghahaba - wierni Darkhańcy też śledzili to, co się działo na dalekim końcu Galaktyki. Wydarzenia na Pyrrusie podawano im po prostu w postaci ostatnich wiadomości. „W takim widowisku jest trochę za dużo krwi, ale co zrobić, musicie jakoś to wytrzymać, bracia - tłumaczyli kapłani. - Oto jaki marny żywot wiodą niewierni; patrzcie i zapamiętajcie. Na to można, a nawet trzeba patrzeć. Pomyślcie, że gdy zabijają się niewiernych, to nawet nie jest taki wielki grzech, bracia!”

Uranowi królowie Darkhanu wysłali, oczywiście, swoich emisariuszy na Cassylię i pod obcymi nazwiskami wpakowali niemałe sumy we „Wszechświatowy totalizator”. Temu, kto miał dużo pieniędzy, każdy bóg w każdym czasie wybaczał łamanie zakazów i nawet niewiarę.

RADOM. Jeden z najbardziej znanych obywateli planety, autorytet pierwszej rangi Gronszyk, lubił zakręcić kołem fortuny i wypróbować los w dużej grze. O tym, na kogo stawiać, dowiadywał się osobiście od Rodgera Wayne'a, tak że postawił, na kogo trzeba. Ale teraz, patrząc na ekran, gdzie chmary głodnych żądłopiórów kończyły dziobać drgające jeszcze ciała jego przyjaciół piratów, porzrucane na zalanej krwią trawie, Gronszyk poczuł smutek. Nie, nie chodziło o stracone miliony - myślał o przywódcy flibustierów, który był takim dobrym partnerem.

Niepotrzebnie się tam pchałeś, stary! - wyrzucał w myślach Henry'emu Morganowi. Jestem pewien, że niepotrzebnie! Nawet jeżeli cię nie wykończą, już nigdy nie będziesz taki jak kiedyś... A byłeś takim dobrym dostawcą... i kupowałeś zawsze hurtem. Naprawdę żałuję, że przy ostatnim spotkaniu wziąłem od ciebie symbol powodzenia. Teraz naprawdę go potrzebujesz, pal diabli tradycje - rozpaczął Gronszyk.

CLIANDA. Wydarzył się tam zdumiewający wypadek, który pokazywano potem we wszystkich wideoprogramach Galaktyki. Otóż jeden taksówkarz, który wmontował wideoekran w pulpit sterowania, tak się wciągnął w przebieg pyrrusańskiej walki, że praktycznie przestał zwracać uwagę na drogę.

- Niech pani tylko popatrz - ćwierkał radośnie do pasażerki niczym komentator baseballa - niech pani tylko popatrz, jak mu przywalili!

- Komu? - nie zrozumiała pasażerka i to pytanie okazało się fatalne.

- Chodzi o to, proszę pani... no, niech pani tylko spojrzy... widzi pani? - zaczął taksówkarz.

Ale kobieta już nie widziała nic poza szybko zbliżającą się latarnią.

- Hej - wrzasnęła przerażona. - A czy pan widzi, gdzie pan jedzie?!

Pytanie było słuszne, ale trochę spóźnione. Nie udało się uniknąć zderzenia. Dobrze chociaż, że systemy zabezpieczenia zadziałały w sposób idealny: pasażerskie siedzenie od razu katapultowało i w czasie lotu zamieniło się w poduszkę ochronną, tak że dla damy skończyło się na samym strachu, nawet siniaków nie miała. Natomiast kierowca nie miał szczęścia. Złamany na pół słup latarni spadł na nukleomobil akurat wzdłuż osi siedzenia taksówkarza. Jednym słowem, z nieszczęsnego kierowcy mało co zostało.

To była pierwsza ofiara pyrrusowej wojny, która zginęła tysiące parseków od miejsca wydarzeń.

Jason, który zawsze odznaczał się bogatą fantazją, chociaż nie wiedział, kto, gdzie i jak reaguje na tutejszy Armageddon, łatwo wyobrażał sobie dziesiątki planet, na których bywał i rozmaitych ludzi, którzy teraz tak samo wpatrywali się w ekrany. Nadal uważał, że przy całej jezuickiej subtelności wymyślonej przez niego kary, flibustierzy zasłużyli na coś podobnego. Ci, którzy zabijali profesjonalnie, zabijali bezlitośnie, zabijali z radością, są warci tego, by teraz inni nie mieli dla nich litości i cieszyli się z ich śmierci.

Poprzedniego dnia Jason rzeczywiście w tajemnicy opuścił „Konkwistadora”. Tyle że nie dla rozmów z „kronikarzami”. Carte blanche dano dziennikarzom dawno temu, a liczba operatorów i komentatorów telewizyjnych nie została określona w kontrakcie. Jason poleciał w kosmos, żeby wyjść ze strefy podsłuchu i spokojnie połączyć się z Kerkiem.

Póki nie zaczęła się operacja „Śmierć Śmierci”, marzył, że dokona wielu odważnych czynów, ale jednak nie zaryzykował i nie wykonał żadnego kroku, który mógłby wywołać podejrzenia. Bał się wypowiedzieć nawet jedno zbędne słowo. Najważniejsze to nie odstraszyć flibustierów! Kiedy akcja się zaczęła, z każdą minutą stawało się coraz bardziej oczywiste, że już nie można jej zawrócić. Tacy jak Richard Scott dawali na to gwarancję. A planeta Pyrrus mogła wciągnąć w nieskończoną wojnę, jak w bagno, nawet ludzi, którzy nie przepadali aż tak bardzo za krwawymi bójkami i strzelaniną.

Nie minęło nawet pół godziny od wylądowania desantu, a Jason przestał martwić się o załamanie operacji i powiadomił Henry’ego Morgana, że musi na krótko lecieć w kosmos, żeby nawiązać ważny i dyskretny kontakt. Brzmiało to tak, jakby chciał umówić się z kochanką w tajemnicy przed Metą. Jason był przygotowany, że usłyszy w odpowiedzi ostre: „Nie ma mowy!” Liczył się nawet z tym, że przyjdzie mu umykać przed szablą w rękach wściekłego kapitana.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Zaufanie Morgana do Jasona sięgało szczytu właśnie w momencie rozpoczęcia szturm. Zresztą miał zamiar opuścić „Konkwistadora” bez Mety. A niegłupi Morgan już dawno zrozumiał, jak oni traktują swój związek. Wiadomo, że jedno bez drugiego nigdzie się nie rusza.

Jednym słowem, seans łączności odbył się prawie punktualnie i w idealnych warunkach. Na wypadek niepowodzenia Jason uprzedził Metę, żeby uciekła w ślad za nim, tym bardziej że podczas desantu najróżniejszych statków i łódeczek z pokładu okrętu na planetę, bardzo łatwo było się przemknąć.

Ale, na szczęście, nie było to konieczne. Kerk był wściekły. Jasonowi z trudem udało się mu wytłumaczyć, dlaczego szturm zaczął się o dwa dni wcześniej i bez uprzedzenia. Długo musiał błagać pyrrusańskiego przywódcę, żeby nie prowokował działań wojennych w okolicach miasta i portu kosmicznego, tylko przeciwnie, wyprowadził jak najwięcej statków z wojownikami na orbitę. Tym, którzy zostali na planecie, Jason radził ukryć się w dżungli albo w podziemnych dzielnicach Otwartego. Radził odwołać całą ochronę wokół Epicentrum i ucieszył się, że taką decyzję już podjęto i nawet realizowano. Ustalili też, że szybka łódź desantowa z „Argo” zaczeka w stanie gotowości do pilnego wodowania tuż obok Epicentrum, jeżeli to będzie konieczne. Umówili się nawet, jaki sygnał poda Jason, gdy uzna, że już pora. Sprawy przybierały poważny obrót i kontakt przez radio mógł już być utrudniony.

Taką oto rozmowę odbył z Kerkiem w dniu rozpoczęcia Armageddonu. Jasonowi spodobało się takie określenie bitwy.

A potem nie wiadomo kiedy minęło pół doby i teraz obserwowali na wszystkich ekranach straszną rzeź, odważną reporterską łódeczkę i ciche, nienormalnie ciche Epicentrum.

Jason nie miał pojęcia, co mogą tam znaleźć, jeżeli rzeczywiście spuszcza desant i zanurzą się w wodę.

Wiele lat temu zobaczył na moment tajemniczą jaskinię na infraczerwonym obrazku, transmitowanym przez kilka sekund przed wybuchem jądrowym. W tej jaskini bez sufitu i ścian poruszały się zdumiewające, gigantyczne... rośliny - nie rośliny, zwierzęta - nie zwierzęta... potwory. Najlepiej ze wszystkiego pamiętał ból wywołany przez fale nienawiści, które płynęły od tych organizmów (urządzeń? mechanizmów? bogów? istot z innego wszechświata? a może po prostu efemerycznych strzępów czyjejs chorej wyobraźni?)

Wydawało się, że wtedy spłonęło wszystko. Ale Epicentrum zostało. Mieli możliwość przekonać się o tym w chwilę później, kiedy wściekle mutanty o mały włos nie zmiotły miasta z powierzchni planety, i lata później, kiedy już na chłodno, razem z podstarzałym Brucco i młodym, gorącym Archie, który rwał się do walki, ale tylko intelektualnej, robili tutaj eksperymenty na wielką skalę.

Epicentrum, zatopione w oceanie, istniało nadal i nikomu nie pozwalało zbliżyć się do siebie. Nigdy. Ani razu. Czyżby teraz coś się zmieniło? Czyżby Morgan miał być pierwszy? Czyżby okrutny bandyta w swoim prymitywnym podejściu do przyrody Pyrrusa miał więcej racji niż wielu naukowców, którzy w ciągu tych wszystkich lat próbowali zbadać ekologię planety? A przecież coś takiego jest możliwe! Gdy się patrzy na ekrany, człowiek mimo woli zaczyna się zastanawiać, dlaczego im bardziej tępi i okrutni są dowódcy oddziałów, tym skuteczniej poruszają się po Planecie Śmierci.

Oto Richard Scott, który dotarł do wybrzeża i dziarsko ruszył dalej. Nawet energia mu się nie kończy, jakby czerpał ją spod ziemi. A Madame Cin ochoczo rozwala miedzianozębe kajmany i inne kopytne i skrzydlate płazy, stopniowo zdobywając przyczółki na największej pyrrusańskiej rzece...

Morgan wysłał Howarda do dużej sali, żeby obserwował całą planetę przy ekranie widokowym, a sam wrócił do sterowni, do Jasona i Mety, by osobiście kierować statkiem i nie zwracając uwagi na nic innego, skupić się na Epicentrum. Sytuacja stawała się poważna. Byli blisko celu jak nigdy dotąd i Jason odruchowo zadał sobie pytanie: „Czy tamten stary scenariusz się powtórzy? Czy dzisiaj nastąpi wielkie odkrycie?”

Potężny „Konkwistador” wisiał nad oceanem, o mały włos nie zanurzając brzucha w wodzie. Statek wykorzystywał całą moc swoich elektromagnetycznych generatorów i w każdej chwili był gotów uciec przed nieznanym niebezpieczeństwem do stratosfery na biegu powolnym, to znaczy dzięki sile grawitacyjnej. W takiej sytuacji pojawia się gwałtowne przyspieszenie, ale z reaktora jądrowego nie bucha płomień. Nie można było doprowadzić do kolejnego wybuchu nuklearnego albo do czegoś chociaż trochę zbliżonego. Jason świetnie to rozumiał. Morganowi wytłumaczył, że wysadzając w powietrze i podpalając wszystko dookoła, ryzykują zniszczenie tego, co najcenniejsze, w imię czego lecieli tak daleko, w imię czego zginęło tylu ludzi na tej przeklętej planecie. Dlatego mieli atakować wroga wyłącznie bronią o ograniczonym działaniu. Wykorzystania mocniejszych środków Morgan osobiście zabronił.

Wisiele nad wodą przez dwie minuty, pięć, osiem... Nadeszła pora, żeby się przygotować do zejścia na powierzchnię i zanurzenia. Na początek postanowili wykorzystać batyskaf wyposażony w anihilatory, a jeżeli nie zmieści się między ciasno położonymi rafami, ochotnicy pójdą w samych skafandrach. Kto będzie tym „ochotnikiem”? Na razie nie wymawiano imion i nie mówiono o tym. Ado zanurzenia w batyskafie zgłosili się Morgan, Misson, Howard, no i, oczywiście Jason z Metą. Jak mogliby przepuścić taką okazję? Myśleli, że mają szczęście.

Ale nie spotkało ich szczęście. Spotkało ich coś innego.

Nagle z oceanu zaczął wynurzać się tak ogromny kształt, że nawet Morgan, który częściowo zbadał strukturę dna w tym miejscu, nie potrafił zrozumieć, jak coś takiego mogło się tam mieścić. Wszystkich, którzy patrzyli w przedni ekran okrętu flagowego, ogarnął potworny strach. A dziennikarze, którzy nadal nadawali bezpośrednią transmisję, nie rzucili tego zajęcia, jak potem tłumaczyli, tylko dlatego, że skurcz przerażenia unieruchomił im kończyny i nie pozwolił nacisnąć ani na guzik, ani na pedał.

W tym momencie Jason odczuł potworny ból pod czaszką. Ledwo zdążył dużym wysiłkiem woli postawić sobie ekran ochronny. Spodziewał się czegoś podobnego i przed przylotem tutaj wziął końską dawkę ortopsyrocyliny - nowego środka psychotropowego, który nie wywoływał tak drastycznych skutków ubocznych jak zwyczajna

psyrocylina. W każdym razie lekarze nie zaobserwowali niepożądanych skutków u nikogo, kto zaryzykował i wypróbował nowy środek, powiększający moc biopola.

Potwór, który wynurzył się z odmętu, okazał się gigantycznym wielorybem długości około trzystu metrów. Urządzenia kontrolne beznamiętnie konstatowały, że ten nocny koszmar jest całkiem realny. A przez ten czas ta abstrakcja żyła według własnej logiki, dalekiej od tej, do której byli przyzwyczajeni ludzie.

Gigantyczny wieloryb powoli, jakby z olbrzymim wysiłkiem otwierał paszczę. Oczywiście nie dałby rady połknąć liniowca o długości prawie kilometra, ale mógłby na przykład spróbować go nadgryźć w newralgicznym miejscu. Bali się jednak strzelać do cielska tajemniczego pochodzenia, bo nie wiedzieli, co z tego wyniknie. Poza tym strzelać w potwora z broni taktycznej byłoby niepoważne, a zakaz używania środków strategicznych zbyt głęboko tkwił w świadomości wszystkich, żeby tak od razu się przestawili. Wniosek nasuwał się sam: zwiewać, póki jeszcze nie jest za późno. Ale upór, duch bojowy albo zwykła ludzka ciekawość, która mniej lub bardziej charakteryzowała wszystkich obecnych, a może wszystko naraz nie pozwalało na to, by wykonać ten ruch od razu, to znaczy nacisnąć klawisz „start”. Czekali, sami nie wiedząc na co.

No i doczekali się.

Wieloryb wreszcie otworzył paszczę na całą szerokość, a z tej paszczy... I to właśnie była niespodzianka! Gigantyczny wieloryb okazał się składnicą wszystkich znanych Pyrrusanom organizmów. Na dodatek było ich niezmiernie mnóstwo zupełnie jakby zbierały się w ciągu wielu lat w tajemniczych kazamatach Epicentrum, żeby teraz runąć na wroga. Tuzinogi, lanmary, żabopompy, gekony, ahamy, żądłopióry, iguany, diablorogi, urczenoidy, gigantyczne mokrzyce i kosmate robaki - te wszystkie potwory wylazły z łona wieloryba na zewnątrz. Drapieżnie otwierały zębate paszcze, wyrzucały do przodu kleszcze, żądła, trąbki, pazury, ssawki. To wszystko drżało, pełzało, skrzypiało, gwizdało, szczekało, chrumkało... Odrażające widowisko. Ohydne dźwięki. Dobrze, że nie czuli zapachu, ale można było go sobie wyobrazić.

Tutaj broń taktyczna była w sam raz. Potwory rozwalano setkami, kiedy próbowały oblepić statek. Nawet częściowo im się to udało, jednak w rezultacie zwyciężył „Konkwistador”.

Ale okręt i tak odleciał, żeby nie kusić losu. Szok był zbyt wielki. Morgan musiał nabrać tchu, no i przydałaby się chwila zastanowienia nad tym wydarzeniem. Nie mówiąc już o tym, że po śmiertelnej walce ocean zamienił się w coś w rodzaju zupy ze ścierwa i tylko skończony paranoik mógł mieć ochotę, by w czymś takim nurkować. Nie tylko w skafandrach - nawet w batyskafie.

Jason już nie narzekał na ból głowy, chociaż krew jeszcze mu pulsowała w skroniach. Ale Meta nagle chwyciła się za czoło, a potem zaczęła je intensywnie masować.

- Co, ciebie też wzięło? - zapytał Jason.

- Owszem - odpowiedziała. - Daj mi tabletkę. Co tykasz w takich przypadkach?

15

- No i co to było? - zapytał Morgan w przestrzeń, kiedy już byli na orbicie planetarnej.

Jason odpowiedział, udając całkowite opanowanie:

- Ano, nic specjalnego.

- Też tak uważasz? - zapytał Morgan Metę.

- Nie do końca - powiedziała. - Myślę, że w tym cielsku były zebrane ostatnie siły tubylców.

- Tak? To znaczy, że teraz będziemy mieli do czynienia tylko z ludźmi? Cóż, to znacznie łatwiejsze!

- Albo trudniejsze - filozoficznie zauważył Jason.

- Chcesz powiedzieć, że znów będą nas truli wybuchami pseudowulkanów? To po prostu kaszka z mlekiem! - Morgan robił się coraz weselszy. - Na każdy taki wulkan zawsze znajdzie się antywulkan, zwłaszcza u naszego Missona. Nawiasem mówiąc, już wyjaśnił, co to był za system. Wiesz, kto nas tu witał przedtem? Robot-ochroniarz z instalacją plazmową.

Jason po raz kolejny odnotował wysokie kwalifikacje Missona.

- Ale na ustawicznie mutujące zwierzęta nie możemy nastarczyć antyzwierząt - ciągnął Morgan. - Z tego wynika, że jednak teraz będzie łatwiej. Popatrzmy na ekran widokowy.

Morgan był w tak dobrym humorze, że w pewnym momencie Jason rzeczywiście się przeraził, czy przypadkiem Planeta Śmierci zaraz nie zostanie zwyciężona. A jeżeli na innych ekranach też panuje całkowita cisza? Albo nawet radosne krzyki flibustierów, saluty ze wszystkich rodzajów broni i rzucone w powietrze kapelusze...

Do sterowni wrócił posępny Howard, całkowite przeciwieństwo wesołego Morgana i, nie mówiąc ani słowa, przełączył ekran na tryb ogólnego przeglądu. Pozmieniał obrazki.

I co? I nic. Walki o różnym stopniu intensywności trwały dalej. Trudno było dokładnie ocenić sytuację: za szybko zmieniały się kadry. Na pierwszy rzut oka Jasonowi wydawało się, że obie strony były zmęczone mniej więcej jednakowo.

W tym momencie zapiszczał sygnał pilnego wezwania od Madame Cin.

Morgan zidentyfikował ją za pomocą kodu cyfrowego jej grupy i poprosił komputer o powiększony obraz pośrodku ekranu. Komputer odpowiedział coś niewyraźnie, a kapitan ryknął:

- Dajcie obraz!

- Poczekaj, Henry, nie wrzeszcz! - w sterowni rozległ się twardy głos Madame Cin. - Straciliśmy w walce wszystkie kamery, a wasi wspaniali kronikarze zgubili nas. Nie będziesz miał żadnego filmu. Ale niedługo sarna przylece. Na razie melduję, że z czterdziestosobowego składu ocalało nas dwanaście. W tym troje ciężko rannych. Łódź desantowa wyleciała w powietrze. Jeżeli Tom nie naprawi naszej jedynej kanonierki, będziesz musiał wysłać po nas transport. Podaję namiary.

Morgan zapisywał uważnie, w swój ulubiony staroświecki sposób - na kawałku papieru.

- Zetknęliśmy się z grupą Pyrrusan. Zwykłych ludzi, nie potworów. Było ich czworo. Zabiliśmy wszystkich...

Jason rzucił szybkie spojrzenie na Metę. Jej dłoń już ścisnęła pistolet. Jak mogło być inaczej? Na szczęście Morgan nic nie zauważył. Nie miał do tego głowy. Jason zmobilizował całą swoją telepatyczną siłę, by uspokoić ukochaną. Czy mu się udało? Nie wiadomo. Pistolet wskoczył z powrotem do kabury, ale co czeka ich dalej?

- ...żebyś ty wiedział, jak walczą! Każdy zabrał ze sobą na tamten świat co najmniej czworo naszych, nawet mała dziewczynka.

- Mam gdzieś dziewczynkę! Skąd się tam wzięli? Czyżby zabrakło wam zwierząt?

- Nie, jeszcze są, cały czas tu biegają. Co prawda, mniej niż przedtem. Widocznie tamci Pyrrusanie byli naganiaczami.

- W ogóle cię nie rozumiem! - warknął Morgan. - Poszliście ich śladem?

- Tak - raportowała Madame Cin. - Natknęliśmy się na ekran ochronny. Jest bardzo trwały, trudno go przeniknąć nawet wzrokiem. Za nim prawdopodobnie kryje się jakieś osiedle.

- Baza wojskowa?

- Chyba nie. Raczej schowali tam swoje dzieci i kobiety... Przepraszam, Henry. Co mówisz, Tom?.. Słuchaj, Henry, Tom naprawił kanonierkę. Tam jest tylko pięć miejsc, ale jakoś się wciśniemy. Do zobaczenia.

- Jeszcze nie skończyłaś! - krzyknął Morgan.

- Do zobaczenia!

Na tym łączność się urwała.

- Uparta baba - mruknął Morgan. - Toni, odbierz ich. Potem powoli odwrócił się do Jasona. Ciężkie spojrzenie głównego flibustiera nie zwiastowało niczego dobrego.

- Henry - odezwał się Jason, nie czekając na pytanie. - Mam nowy pomysł.

- Czy to nie za dużo jak na jedną godzinę? - ponuro zapytał Morgan.

- To normalne, Henry. Normalne. Właśnie tak powinno być. Finiszujemy. Już giną ludzie, a to znaczy, że niedługo zwyciężymy. Wysłuchaj mnie. Do Epicentrum trzeba lecieć jak najszybciej, ale nie na tym olbrzymie, tylko na statku kosmicznym „Baran”. I trzeba nim nurkować. Pamiętasz, co ci mówiłem o właściwościach tego statku?

Morgan otworzył usta i nagle jakby wszystkie myśli, nie związane z magicznym statkiem kosmicznym, natychmiast opuściły jego głowę. Wyliczenia Jasona okazały się słuszne. Improwizacja się udała. Trzeba było za wszelką cenę odwrócić uwagę Morgana od rozmyślań o Pyrrusanach i Jason nie pomylił się w wyborze tematu.

Od razu się wyjaśniło, że Misson ich słucha, siedząc w swojej norze, którą nazywał laboratorium albo pracownią, a czasami celą. Tak naprawdę mieścił się tam drugi punkt sterowania „Konkwistadorem”. Wynalazca przyłączył się do rozmowy:

- Facet słusznie mówi. Chciałbym z tobą porozmawiać, Henry. Natychmiast.

Morgan wstał, nie mówiąc ani słowa, jak somnambulik wbił wzrok w jeden punkt i opuścił sterownię.

Na trzy minuty, ciągnące się bez końca, Jason i Meta zostali sami. Milcząc spoglądali na siebie. Nie mogli rozmawiać o tym, co w tej chwili rzeczywiście ich gnębiło, a nie chcieli prowadzić błażej rozmowy o niczym.

Potem, głośno przeklinając, wpadła Madame Cin w zakrwawionym kombinezonie, z dwoma pistoletami w rękach i trzecim za pasem, z głębokim zadrapaniem przez całą twarz, ale cały czas piękna, żywiolowa i wściekła. Jak dzika kotka.

- Gdzie Morgan? - wykrztusiła ranna flibustierka.

- U Missona - powiedziała Meta.

- Pójdę do niego. Albo... nie. - Nagle zachwiała się, chwyciła za futrynę i o mało nie upadła. - Chyba lepiej najpierw do lekarza. Do Montobara.

- Pomóc ci? - zapytała Meta lodowatym, nieswoim głosem.

- Nie, dziękuję, sama dojdę. - Madame Cin odwróciła się do wyjścia. - Aha! Weźcie to i obejrzyjcie sobie. Tyle zdążyliśmy sfilmować...

Podążyła mikrodyk z zaginionej kamery i zniknęła w korytarzu.

Najwyraźniej rzeczywiście źle się czuła. Nie wyczuwała cudzych emocji.

Jason położył nagranie na stole ostrożnie, jakby to była bomba, i popatrzył na Metę. Trzeba tylko wbić ten mały krążek do komputera pokładowego i dowiedzą się, kto z Pyrrusan zginął. Nie wiadomo dlaczego takie sformułowanie przyszło Jasonowi do głowy. Wbić, jak nóż w serce. Meta skinęła głową w milczeniu.

Cliffa Jason poznał od razu. Trójka pozostałych to były dzieciaki, dwóch chłopców i jedna dziewczyna, wszyscy w wieku od trzynastu do szesnastu lat. Chociaż według pyrrusańskich pojęć to byli już prawie weterani. Meta знаła całą grupę, ale Jasonowi nawet nie chciało się ich zapamiętywać - najważniejsze, że wśród zabitych nie było Griffa. Uznać tych dzielnych wojowników za naganiaczy mogła tylko zupełnie niedoświadczona w pyrrusańskich sprawach Madame Cin. Oczywiście, Cliffi jego towarzysze nikogo nigdzie

nie zaganiali. Zgodnie z najlepszymi tradycjami Planety Śmierci rozstrzelali wszystkie drapieżne potwory, które stanęły im na drodze. Przy okazji niektóre stada mogły zmienić kierunek, ale kiedy oba oddziały - pyrrusański i flibustierski - zbliżyły się na odległość strzału, między nimi już właściwie nie było zwierząt. Żadnych. Ogień krzyżowy to straszna rzecz. Na leśnej polanie nawet roślin nie zostało zbyt wiele.

Najpierw każda z grup uważała, że spotkała swoich i wszyscy się zdziwili z tego powodu. Potem nadeszło otrzeźwienie i flibustierzy od razu się cofnęli. Pyrrusanie - nie. To byłoby wbrew ich regułom. Siła, prędkość i napór - to miejscowe sekrety walki. Bitwa mogła i musiała zakończyć się zwycięstwem Pyrrusan. Czterech przeciwko trzydziestu to dla nich żaden problem, tym bardziej na rodzinnej planecie. Ale bywało tak w walce wręcz albo w zwyczajnej strzelaninie. A ta strzelanina była nie całkiem zwyczajna.

Madame Cin nie miała zamiaru stracić nawet części swojego zespołu, więc wydała rozkaz, by włączyć miotacze ognia na dwóch flankach jednocześnie. To było dość niespodziewane. Pyrrusanie to oczywiście supermani, ale zalani ogniem napalmu, umierają prawie tak samo szybko, jak wszyscy inni ludzie. Tylko Cliffowi udało się uniknąć tego losu. Jednak gdy przerzucał nowy magazynek z torby do pistoletu, Madame Cin niespiesznie wycelowała i odstrzeliła mu rękę trzymającą broń. W następnej chwili stracił drugą rękę. Potem celownik przemiescił się w dół, na nogi. W takich przypadkach zwyczajni ludzie umierają bardzo szybko z szoku wywołanego bólem i z utraty krwi. Pyrrusanie mogli wytrzymać każdy ból, nawet pozbawieni wszystkich kończyn, potrafiliby rwać przeciwnika zębami albo przynajmniej wyciągnąć zawleczkę z ostatniego granatu. Dla siebie. Cliff nie był w stanie zrobić nawet tego. Umierał długo.

Flibustier, który filmował finałową scenę, ujawnił nieoczekiwane zdolności dobrego reżysera. Cały czas zmieniał kadry, to pokazując wykrwawionego i poruszającego się coraz słabiej Pyrrusanina, to przenosząc kamerę na piękną skośnooką brunetkę, która zamykała oczy z rozkoszy, przechylała głowę do tyłu, oblizywała usta i ciężko oddychała, jakby rzeczywiście uprawiała miłość, a nie mord. Wreszcie jęknęła zupełnie wyczerpana i, obejmując swój automat, upadła na ziemię, wygięta w niesamowitej pozie. W następnej chwili czarny kontur rogatego diabła zasłonił sobą cały ekran, obraz stał się niejasny, popłynął i zniknął. Nie było wiadomo, czy domorosły geniusz wojskowo-erotycznych kadrów ocalał, ale jego kamera została całkowicie zniszczona przez diablóroga.

Meta trzymała pistolet obiema rękami, na jej czole pojawiły się kropelki potu. Jason przyjrzał się uważniej i zobaczył, że jednak trzyma broń tak jak zawsze, tylko prawą dłonią. Pyrrusanie nigdy nie strzelali oburącz. Wystarczyło im okrucieństwa jednej, żeby trafiać w locie jadowite muchy lub strzały wrogów. Lewą ręką Meta po prostu powstrzymywała prawą od naciśnięcia na spust, jakby walczyły w niej dwie różne osoby z zupełnie przeciwnymi uczuciami, zamiarami i celami.

- Kochana - szepnął Jason - nie jesteśmy już w tym wieku, kiedy strzela się do ekranów ze ślepą nienawiścią.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Meta bezbarwnym głosem.

Jason wyczuł coś niedobrego.

- Chodź. Szybko! - powiedział.

Nawet nie zapytała, dokąd. Było jej wszystko jedno. A Jason sam tego jeszcze nie wiedział; po prostu trzeba było opuścić sterownię. Wątpił, żeby Morgan z Missonem podsłuchiwali teraz ich rozmowę - w tej chwili główni stratedzy operacji „Śmierć Śmierci” mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Ale po co ryzykować? Meta mogła zachować się nierozsądnie, albo przynajmniej powiedzieć coś niepotrzebnego.

Poszli wzdłuż długiego korytarza w stronę swojej kajuty. Meta w końcu westchnęła:

- Zabiję ją!



- Dobrze - zgodził się Jason. - Tylko nie teraz, nie dzisiaj. Muszą koniecznie zanurkować do Epicentrum, a potem...

Nagle Jasonowi przyszła do głowy nowa myśl. Zatrzymał się, przypomniał sobie, że zostawił sterownię pustą i wezwał Howarda:

- Toni, tu Jason. Zajmij miejsce kapitana w sterowni, bo wszyscy wyszliśmy. Co prawda, liniowiec nadal stoi w jednym miejscu na autopilocie, ale sam rozumiesz...

- Już idę - odezwał się Howard.

Po tej krótkiej rozmowie Meta ogłosiła jeszcze raz, już trochę spokojniej, ale z nie mniejszym przekonaniem:

- Tak czy inaczej ją zabiję.

- Przecież powiedziałem, że zgoda - powtórzył Jason. - Ale na razie posłuchaj mnie uważnie, póki możemy rozmawiać. Idziemy do Missona. Decyzja o wysłaniu do Epicentrum statku „Baran” przyszła mi do głowy zupełnie niespodziewanie, po prostu chciałem wymyślić coś szokującego. Ale teraz widzą, że to wcale nie był przypadek. Jak zwykle, intuicja podpowiedziała mi jedynie słuszną decyzję.

- I co będzie, jeżeli zaatakują Epicentrum na tym złotym statku?

No, nareszcie! W oczach Mety błysnął płomyk zainteresowania czymś jeszcze, poza natychmiastowym zabiciem Madame Cin.

- Nie jestem w stu procentach pewny - ostrożnie zaczął Jason - ale mniej więcej się domyślam. To nie będzie atak, raczej rozpoznanie. „Baran” to nie statek wojskowy. Nawet nie ma dział.

- Przestań, Jasonie. Dysponujemy czymś, co jest groźniejsze od dział. Podczas naszego pierwszego spotkania z tym Olśniewającym Gwintorogiem Stan zdążył mi pewne rzeczy wyjaśnić. Ta broń jest całkiem nietradycyjna, a Misson na pewno zna się na takich rzeczach! Zobaczysz, oni na pewno zaczną atakować.

- Dlaczego mówisz „oni”? Wydaje mi się, że my też powinniśmy polecieć „Baranem”.

Meta wbiła w niego wzrok. W jej oczach zobaczył ogień prawdziwej wojennej gry. To było rzeczywiście zgodne z duchem Pyrrusan.

- Nie mam nic przeciwko temu - ogłosiła. - Ale powiedz, czego oczekujesz od tego... - zawahała się przez moment - rozpoznania?

- Oczekuję prawdziwego kontaktu z Epicentrum. Kontaktu telepatycznego. Postaram się zrobić to, na co w swoim czasie nie pozwolił mi Kerk. Pamiętasz, wtedy, kiedy się poznaliśmy? A jeżeli mi się to uda, to tylko ja będę dyrygował wszystkimi dalszymi procesami!

Meta popatrzyła na niego prawie z zachwytem, ale jednocześnie z pewną nieufnością. Jednak nie zdążyła nic powiedzieć, bo doszli do celi Missona.

Misson i Morgan wyszli im naprzeciw.

- Bardzo dobrze, Jasonie, że tu jesteś, akurat miałem zamiar cię wezwać - powiedział Henry. - Chodźmy szybko do hangaru specjalnego. Mamy bardzo mało czasu.

- Dlaczego? - nie zrozumiał Jason.

- Zrobiliśmy wyliczenia z Pierre'em. Ogólnie mówiąc, opracowaliśmy twój pomysł. Rzeczywiście trzeba stąd odlecieć jak najszybciej. Za chwilę przekażecie instrukcje Missonowi, ma jeszcze parę pytań na temat konstrukcji tego zwierza.

Jasona przeszedł dreszcz. Henry Morgan po raz pierwszy pozwolił sobie na to, by wymówić - choć niepełną - nazwę magicznego symbolu. Oczywiście, kiedy magiczny symbol staje się bronią, stosunek do niego gwałtownie się zmienia. I chyba jednak Meta ma rację: tych dwóch zaplanowało prawdziwy atak.

- Chwileczkę, Pierre - powiedział Jason, maszerując razem ze wszystkimi korytarzem obwodowym - jeżeli mamy tak mało czasu, to mogę przekazać panu instrukcje po drodze. Jeżeli dobrze pamiętam, umie pan startować statkiem klasy „Baran”.

- Nie tylko startować, przyjacielu - odwrócił się do niego Misson z tajemniczym i złowieszczym uśmiechem. - W ogóle całkiem nieźle prowadzę ten aparat, ale... Wie pan, o co chodzi? Nasz drogi kapitan Henry Morgan wydał rozporządzenie, żeby nie włączać w skład załogi ani pana, ani pańskiej żony.

Jason gwałtownie odwrócił się do idącego obok Morgana:

- Jak to rozumieć, Henry?

- Zwyczajnie. Ja też nie polecę. Gdybym mógł, Missona też bym nie puścił, ale, niestety, tylko on potrafi kierować tym statkiem. Będzie mu towarzyszyło jeszcze trzech ludzi, na wszelki wypadek. Tak ma być, i nie próbujcie mnie przekonywać.

Morgan zamilkł. Pewnie czekał, co powie Jason. Po dłuższej chwili zaczął znowu:

- Myślisz, że ci nie ufam? Myślisz, że się boję puścić cię razem z taką bezcenną maszyną? Bzdury. Nigdzie byś się nie ukrył... nie, kiedy Pierre Misson jest przy sterze. Przyczyna tkwi w czymś innym... Zrozum, Jasonie, jeżeli sytuacja się pogorszy, będziesz mi potrzebny tutaj, a nie wewnątrz puszek, zanurzonej diabeł wie gdzie. Będziemy obserwować bieg wydarzeń stąd.

- Z orbity? - zdziwił się Jason. - To szaleństwo, Henry! Czy ty się czegoś boisz? Nie rozumiem. Jeżeli wysyłamy auksnis zwieris, musimy być blisko niego. Bo inaczej co zrobimy w gorszej, jak mówisz, sytuacji?

Morgan zmrużył oczy, podrapał się w głowę i powiedział:

- Poprawka przyjęta. Polecimy za nim naszą dużą kanonierką.

Weszli do specjalnego hangaru. W ogromnym pomieszczeniu nie było żadnego statku kosmicznego, oprócz błyszczącego cielska przy ścianie naprzeciwko zewnętrznej śluzy. Spiczasty nos, jak w starożytnych samolotach, masywna tylna część, guzowata powierzchnia słynnego nieprzenikalnego pancerza, spiralne rury, których przeznaczenia nikt nie znał - statek kosmiczny rzeczywiście przypominał gigantycznego barana, zwłaszcza teraz, kiedy wznosił się pośrodku hangaru na czterech mocnych stojakach stanowiska kontrolnego, jak zwierzę na nogach.

Jason i Meta nie potrafili odpowiedzieć na wszystkie pytania Missona, ale rozumieli, że wynalazcę najbardziej interesują generatory energetyczne i systemy łączności. Niczego innego nie warto było się spodziewać. Niektóre silniki były uruchomione, ale ani Fell na lolku trzydzieści lat temu, ani później Sulela i Fraks na Egrisi, ani nawet Stan i Archie niedawno na pokładzie „Argo” - nie potrafili dotrzeć do głównego generatora.

Ty też, Misson, nie będziesz mógł pracować z maksymalną mocą, pomyślał Jason. Przepraszam, kolego.

Nie powiedział tego oczywiście na głos. Natomiast razem z Metą pomogli wyregulować systemy łączności. Chcieli przecież widzieć i słyszeć wszystko, co się wydarzy w Epicentrum.

Przygotowania zajęły nie więcej niż godzinę. Trzech flibustierów, których przydzielono Missonowi jako ochronę i pomoc, przybyło dziesięć minut przed startem. Morgan nie miał zamiaru udzielać im dokładnej instrukcji. Jeżeli trzeba będzie walczyć - będą walczyć. Resztę może wiedzieć tylko bardzo wąski krąg szczególnie zaufanych osób.

- Wiesz, Jasonie - marzycielsko odezwał się Morgan - jeżeli Misson wróci ze zdobyczą, nie będę nawet podbijał tej planety. Do diabła z nią! Chociaż pochowaliśmy tutaj wielu naszych, nie będę się mścił. Polecimy zdobywać inne planety. Zupełnie nowe. Zgadzasz się?

- Zgadzam się - odpowiedział Jason i jakby przypadkowo popatrzył na Metę, bojąc się nieoczekiwanej reakcji z jej strony.

A Meta nawet nie słyszała tej wymiany zdań. Z dużym zainteresowaniem badała reaktory „Barana”, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu.

16

Tuzinogi, lanmary i gigantyczne urczenoidy z igłami długości metra zachowywały się dość dziwnie. Na początku instynktownie rzucały się w kierunku nieznanego obiektu, który zakłócał nienaruszalność należącego do nich od wieków akwenu. Ale potem, jakby coś czując, uznawały obcego za swojego i wołały szybko się wycofać. Misson nie robił żadnych wysiłków, by odganiać podwodne stworzenia, o czym otwarcie powiadomił Morgana. Na razie w ogóle zajmował się tylko kierowaniem statkiem; przekazywał mu rozkazy telepatycznie - bo nie miał żadnego steru - i poruszał się ściśle według wskazówek psi-pelengatora, w całkowitej zgodzie z sugestiami Jasona. Często przejścia pomiędzy rafami koralowymi były za wąskie dla dużego statku kosmicznego, ale tutaj też Misson nic nie musiał robić. Urządzenia przeciwko meteorytom włączały się automatycznie i zamieniały kolczaste monolity w nieszkodliwy kurz, który rozchodził się kłębami po dnie. Widoczność była praktycznie zerowa, ale psi-pelengator pomagał im cały czas: źródło telepatycznych fal nienawiści było już całkiem blisko.

Wreszcie Jason poradził, by się zatrzymali. Morgan zamienił tę radę w rozkaz i kiedy męty powoli osiadły, przednie kamery „Barana” zanotowały szerokie wejście do podwodnej jaskini. Wydawało się, że ciemność wewnątrz jest czarniejsza od międzygwiazdnej.

- Panowie - zapytał Misson - jesteście pewni, że wasz złoty stateczek rzeczywiście chroni przed wszystkimi rodzajami promieniowania?

- Jestem całkowicie przekonany - odpowiedział Jason. - Przeprowadzono badania. Powiem więcej: złota pokrywa chroni przed strumieniem najgorętszej plazmy, od wybuchów nuklearnych i bezpośredniego działania molekularnych destruktorów. Na tym statku można dostać się nie tylko do krateru wulkanu, ale nawet do jądra każdej gwiazdy. A więc śmiało, maestro. Włączaj najmocniejszy reflektor i do przodu! Tam dopiero będzie ciekawie.

- Z Bogiem! - powiedział Misson.

Mocny promień światła omiół szorstkie ściany, oblepione muszlami, wodorostami, drobnymi stawonogami. Przed nimi wciąż zionęła straszna czarna otchłań. Tutejsi mieszkańcy byli wyjątkowo okrutni - czy może raczej bezwzględni. Dla nich nie istniało nic świętego. Nawet nieprzebijalną złotą osłonę uważano tutaj za zwykły obiekt ataku. Potwory nadchodziły, wypełniając sobą cały ekran, potem osuwały się, unicestwione przez systemy ochrony, nadpływały ponownie i tylko po dźwiękach można było sądzić, ile ich jest. Ilość była zdumiewająca, a jakość...

Jason nie wiedział, jak nazwać to paskudztwo, bo dotąd nie spotkał czegoś takiego. Być może Brucco z zachwytem wprowadziłby je do swojego klasyfikatora, nad którym pracował od wielu lat: bezokie żmijopodobne ryby z paszczą rekina, bezokie żółwie z czterema zębatymi głowami zamiast nóg i dwiema drapieżnymi ssawkami w miejscu ogona i głowy, bezgłowe stawonogi - potwory, podobne do wszy i mokrzyce o rozmiarach dużego psa... Robiło się ich coraz więcej.

Jason nie zamierzał teraz sprawdzać intensywności telepatycznej fali ich nienawiści - szkoda było sił, jeszcze mogły się przydać. Używając opracowanej przez siebie metody, wytworzył w głowie mocną psi-barierę. W przypadku ewentualnego kontaktu trzeba będzie ją usunąć. Ale tylko wtedy! Zapowiadało się, że próba będzie niełatwa.

Z bulgotem, trzaskiem i skrzypieniem statek kosmiczny przedzierał się przez napływające z ciemności stada bezokiej ohydy. Jason już się domyślał, jak to się skończy. Epicentrum mogło się znajdować pod ziemią, pod wodą, w niebie, nawet w przestrzeni międzygwiazdnej - ale i tak będzie Epicentrum. Ogromna hala z gubiącymi się w ciemności ścianami i stropem, a nad wyjściem z wąskiego korytarza - nieustannie poruszające się gigantyczne łodygi, a może robaki czy macki, wydzielające nienawiść w postaci skoncentrowanej. Potok tej nienawiści będzie na tyle mocny, że bariera, postawiona przez Jasona dla samego siebie, nie wytrzyma tego wszystkiego.

Podczas ruchu wzdłuż tunelu reflektor zataczał kręgi. W pewnym momencie wszystko stało się wyraźnie widoczne: półkola ścian i wejście do wielkiej ciemności, w której zniknie każde, nawet najsilniejsze światło.

- Czego ja mam szukać? - zapytał nagle Misson. W jego głosie brzmiała panika. Wyraźnie nie chciał płynąć dalej.

- Nie wiem, Pierre - odezwał się Morgan z poczuciem winy. Muszę najpierw zobaczyć wszystko do końca.

- A jeżeli nie będzie końca? - nie bez racji zapytał Misson.

Morgana przeszedł dreszcz, kiedy usłyszał to pytanie - jakby z innej rzeczywistości. Odwrócił się do milczącego Jasona:

- Bracie, czego on powinien tam szukać? Wy tłumacz konkretnie.

No, no, pomyślał Jason, jeżeli flibustier nazywa cię bratem i prosi, żebyś wytłumaczył konkretnie, to znaczy, że uznał cię za swojego. Teraz na pewno nie można wykręcić się od odpowiedzi, udając głupca. Zostaje improwizacja. Cóż, nie po raz pierwszy.

- Pierre, czy pan mnie słyszy? Myślę, że teraz powinien pan znaleźć przedmiot o właściwościach ciała czarnego. Musi być tam w głębi, nie może go pan nie zauważyć...

Dlaczego to powiedział? Intuicja? Chyba intuicja...

Tymczasem statek kosmiczny wpłynął do obszernej jaskini. Jego reflektor albo zgasł, albo ginął w czerni. Za to guzowaty pancerz nagle zaśnił żółtopomarańczowym ciepłym światłem, przy którym otaczające go stworzenia wydawały się martwoniebieskie. Grube jak kolumny starożytnej świątyni łodygi skręcały się w spirale, kołysały się, wibrowały, zaczynając od niczego i odchodząc w nicość.

Właśnie wtedy Jason poczuł niesamowite, potworne ciśnienie nienawiści, jakby psi-bariera w jego mózgu i złoty korpus statku kosmicznego na jakiś czas stały się jednością. Napięcie rosło, to nie mogło trwać w nieskończoność. Tym bardziej że „Baran” nadal podążał w głąb jaskini.

- Widzę!!! - krzyknął nagle Misson z zachwytem i przerażeniem. To był głos szaleńca. - Zaraz to złapię...

Ciśnienie na mózg Jasona natychmiast osłabło, prawie zupełnie znikło. Wszystkie kamery jednocześnie zostały unieruchomione. Widocznie ten sam los spotkał anteny radiowe, nadajniki dźwiękowe i nawet psi-przełączniki. Wszelka łączność ze statkiem kosmicznym „Baran” została przerwana.

Trochę później, kiedy przewinęli z Morganem film nagrywany wewnątrz „Barana”, udało się zauważyć, że sekundę przed nastaniem całkowitej ciemności i ciszy Misson pociągnął dźwignię. Jason nic mu o tej dźwigni nie mówił; zresztą nie mógł, bo sam nie wiedział, co to jest. A ostatnie słowa Missona: „Zaraz go złapię...”. Kogo złapie?

Po uważnym obejrzeniu nagrania spróbowali powrócić do zewnętrznych wideonadajników statku kosmicznego. Bez skutku. Całkowity brak jakichkolwiek sygnałów. Wtedy Morgan przełączył się na informację z innych punktów planety. Poliekran kanonierki pozwalał na obejrzenie jednocześnie tylko czterech fragmentów, tak że trzeba było dość długo przerzucać kadry, zanim wszystko stało się całkowicie jasne: działania wojenne zakończyły się jednocześnie na całym Pyrrusie.

Jason nie wierzył własnym oczom, ale fakt pozostawał faktem.

Morgan połączył się z niektórymi dowódcami oddziałów i zapytał, co się dzieje.

- Te potwory przestały atakować - raportował jeden.
- Wszystkie zwierzęta się pochowały - powiadamiali inni.
- To całkowita kapitulacja - odważali się na komentarz następni.

O, wysokie gwiazdy! - jęknął w myślach Jason. Czyżby intuicja tym razem mnie zawiodła? Przecież sam podpowiedziałem piratom drogę do zwycięstwa!

- Jasonie - odezwał się Morgan. - Czy ty w ogóle rozumiesz, co się stało?
- Mam nadzieję, że tak. Zwyciężyliśmy. Dalszy opór planety Pyrrus nie jest możliwy.
- Powiedzmy - skrzywił się Morgan. - Ale gdzie jest Misson? Gdzie auksnis zwieris! Gdzie wreszcie obiecany przez ciebie skarb?
- To wszystko jest tam, w jaskini, - odpowiedział Jason niewzruszony. - Teraz można już wycofać nasz statek na pokład „Konkwistadora”. Nie ma żadnej wątpliwości, że Misson znalazł naszą zdobycz, właśnie dlatego skończył się opór.

Morgan popatrzył nieufnie. Skąd miał wiedzieć, że właśnie teraz Jason mówi prawdę? No, prawie prawdę. Bo w rzeczywistości Jason nie miał zielonego pojęcia, o jaką zdobycz chodzi. Ale związek między czynem Missona a kapitulacją Pyrrusa był zupełnie oczywisty. Rzeczywiście głupotą byłoby rzucanie bomb nuklearnych do Epicentrum; użycie w tym celu czegoś z arsenału „Barana” miało o wiele większy sens.

- To znaczy, że on zaraz wróci? - zapytał Morgan.
- Prawdopodobnie - powiedział Jason.
- To dlaczego go do tej pory nie ma?! W ciągu tego czasu można było trzy razy dotrzeć tam i z powrotem.

Jason popatrzył na zegarek i poprawił:

- Dwa razy.
- Co za różnica?! - wściekł się Morgan. - Jesteś dziwnie spokojny, przyjacielu. Pamiętaj, że jeżeli Pierre nie wróci za pięć minut, osobiście pójdziesz go stamtąd wyciągać.
- Dobrze, pójde - zgodził się Jason. - I tak miałem zamiar tam się udać. Ale wolałbym zrobić to razem z Metą. Nie masz nic przeciwko temu?

Morgan milczał zdziwiony.

- Nie rozumiesz, Henry. Niebezpieczeństwa już nie ma. Ani na lądzie, ani na morzu. Pozwól mi tylko wypić kieliszek brandy i walnąć w niebo z najcięższej broni na tej kanonierce. Był taki starożytny zwyczaj: salut na cześć zwycięstwa.
- Wiem - warknął Morgan. - Zawsze tak robimy, bo szanujemy stare tradycje. Dobra, załatw ten salut! A ja idę po kieliszki.

Jason oddał dziewięć strzałów, wyraźnie przestrzegając odstępów pomiędzy nimi.

To był znak dla Kerka.

17

Morgan zaproponował, żeby zanurkowali w batyskafie, ale Jason był przeciw:

- Najlepiej nurkujmy w skafandrach. Zabezpieczą nas przed normalnymi niebezpieczeństwami, a nienormalne niebezpieczeństwa już się skończyły. Nie rozumiesz tego, Henry? A w ten sposób będziemy bardziej mobilni.
- Nic już nie rozumiem - burknął Morgan. - Rób, jak uważasz.

Tak, pomyślał Jason, kto walczy na Pyrrusie, staje się Pyrrusaninem z ducha. Oto stary Morgan też już nie wyobraża sobie życia bez walki z miejscowymi potworami. Kapitulacja wroga wytrąciła go z utartego trybu życia dużo bardziej niż własne straty.

Kanonierka nie była dostosowana do lądowania na wodzie, więc trzeba było lecieć jednoosobową łódką uniwersalną. Ale zmieścili się z Metą. Jason nawet zażartował:

- Mąż i żona jak kruk i wrona.

- Dlaczego kruk i wrona? - nie rozumiała Meta.

- Za dużo by tłumaczyć - machnął ręką Jason. - Chciałem tylko powiedzieć, że jesteśmy jak jedno ciało.

Meta uśmiechnęła się w odpowiedzi. Byli już w powietrzu i ciasnota nie przeszkadzała im w sterowaniu latającym aparatem.

Kerk pojawił się dokładnie wtedy, kiedy trzeba. Uniwersalna łódeczka usiadła na wodzie jednocześnie z pyrrusańską łodzią desantową.

- Co się dzieje? - rozległ się w słuchawkach głos Morgana. - Przesuń się o sto metrów dalej, to wypalę w niego ze wszystkich dział.

- Nie rób tego, na miłość boską - poprosił Jason. - Spróbujemy nawiązać kontakt z tym Pyrrusaninem. Słyszysz mnie, Henry? Teraz już nie wolno strzelać! Zwyciężyliśmy. Najbardziej wartościowa rzecz jest w naszych rękach, więc to my będziemy dyktować warunki. A każda strzelanina tylko pogorszy szansę.

- Dobrze, Jason - zgodził się niepewnie Morgan. - Ale jak tylko będziesz potrzebował wsparcia ogniowego, daj znać.

- Jasne, jasne - powiedział Jason.

O, ciemności przestrzeni! - pomyślał. Czyżbym nie potrafił uciec od tego łajdaka raz na zawsze? Mam gdzieś, co o mnie pomyśli. Najważniejsze to dowiedzieć się, gdzie jest teraz Misson na Olśniewającym Gwintorogu. Jeżeli go nie znajdziemy, przegram we „Wszechświatowym totalizatorze”, a to by było prawdziwe nieszczęście!

Kiedy otworzył się luk i Kerk wyszedł na zewnątrz, Jason podskoczył ku niemu z wycelowanym pistoletem. To był spektakl na użytek Morgana. Jason mocno ryzykował. Oczywiście, Kerk to całkiem rozsądny facet, ale pyrrusańskie instynkty mogły wziąć górę i wtedy...

Wszystko skończyło się dobrze. Kerk się opanował. Konfrontacja pistoletów i błyszczących nienawiścią oczu skończyła się niczym. Jason i Meta weszli na pokład pyrrusańskiej łodzi, demonstrując Morganowi swoje dyplomatyczne zwycięstwo.

Nie mieli zamiaru długo rozmawiać. Już po minucie Jason i Meta zanurzyli się w fale oceanu, machając Morganowi ręką. Potem połączyli się z nim i Jason oświadczył:

- Henry, ci głupcy Pyrrasanie pozwolili nam dopłynąć do Epicentrum. Nikt nie będzie nam towarzyszył. Wywalczyliśmy swoje prawo do tego. Groziliśmy, że w przeciwnym wypadku zniszczymy zdobyty w Epicentrum przedmiot. Nie przeżyliby tego i są gotowi do następnego etapu rozmów. Obiecaliśmy, że zgodzimy się na ustępstwa. W ogóle obiecaliśmy dużo różnych rzeczy, ale... tak naprawdę będzie już za późno. Oni nic nie wiedzą o złościm gwintorogim statku „3aran”, a wewnątrz niego będziemy naprawdę niewyciężeni.

Jason specjalnie mówił długo i kwieście, bo właśnie w tym momencie Kerk włożył taki sam skafander i zaczął zanurzać się w oceanie z drugiej strony kołyszającej się na falach łodzi desantowej.

Okazało się, że nie tylko Kerk. Przy wejściu do podziemnego korytarza spotkali też Archiego Stovera.

- A ty dokąd, cudaku? - zapytał Jason, nie obawiając się, że Archie się obrazi.

- No, wiesz... nie będę miał drugiej takiej szansy. Aktywność pyrrusańskich organizmów jest teraz zerowa. To coś nieprawdopodobnego. Muszę zrozumieć naturę tego fenomenu. Kerk też był przeciwny, ale prędzej umrę, niż wyrzeknę się wykorzystania tak wyjątkowej okazji.

- Naprzód, chłopcy - polecił Jason. - Czekają na nas ciekawe rzeczy.

- Dokładnie to samo mówiłeś niedawno Missonowi - zauważyła Meta.

- Nic dziwnego - wyjaśnił Jason. - Płyniemy jego śladem. A wszystkich, którzy wierzą w przesady i złe znaki, proszę o natychmiastowy powrót. To jest ekspedycja naukowa, a nie turniej sportowy.

- Sprzeciw - powiedział Kerk. - To Archie ma powody naukowe, a my na razie nie skończyliśmy jeszcze wojny. Jason nie podjął dyskusji, tym bardziej że przepłynęli już przez prawie cały podwodny tunel, nie napotykając żadnego oporu. Zbliżali się ku tej samej strasznej grocie bez ścian i sufitu, którą szturmowali wiele lat temu Pyrrusanie. Stracili wtedy dwadzieścia pięć osób. Dzisiaj to nie był szturm, tylko jakaś paranoja. Kerk czuł się bardzo nieswojo, chociaż cieszyło go długo oczekiwane spotkanie z Jasonem i Metą.

W ciągu ostatnich lat nauczył się ufać Jasonowi, ale ostatnie dziwne zwycięstwo, wywalczone obcymi rękami, wyraźnie niepokoiło Kerka. Nie wierzył w takie zwycięstwa. Pyrrusańskie potwory, które dają się łapać gołymi rękami, bezkarnie zaganiać w sieci, do klatek, topić w wodzie i spalać w ogniu - to jakiś absurd, coś, co nie mieściło się w głowie. Wiadomo, że wszystko, co jest obce, niezrozumiałe i niewytłumaczalne, budzi lęk i nie wróży nic dobrego. Kerk uważał, że po tym zwycięstwie czeka ich nowa rozpaczliwa walka, okrutny atak wroga na wszystkich frontach. Pyrrusaninowi na nic innego nie wystarczało wyobraźni.

- Jasonie - zapytał przyjaciela - myślisz, że to kolejny chwilowy pokój?

- Nie sądzę - powiedział Jason.

- Też myślę, że to niemożliwe. Ta siła, która wprowadziła w trans wszystkie pyrrusańskie organizmy, przeleci jak chmura, która na krótko zasłoniła słońce i wszystko wróci na swoje miejsce.

- To ciekawa hipoteza, ale nie dałeś mi dokończyć. To nie jest chwilowy pokój. Po prostu ktoś znalazł sposób, jak kierować pyrrusańskimi potworami. Pokój może trwać wiecznie. Tylko, niestety, akurat dzisiaj nie jest nam to na rękę. Nie lubię przegrywać, Kerk i znajdę sposób na to, żeby tamci mnie posłuchali.

Jason tak się zagalopował, wyszukując argumenty dla Kerka, że o mały włos nie wygadał niebezpiecznej tajemnicy. Nie można było jeszcze opowiadać przywódcy Pyrrusan o „Wszechświatowym totalizatorze”. Zdążył się o tym dowiedzieć. A na razie niech zrozumie, co jest najważniejsze.

- Powstrzymanie zwierząt nam nie wystarczy - tłumaczył. - Powinniśmy jeszcze poznać mechanizm. O to chodzi. Chcę nauczyć się włączać i wyłączać tę piekielną maszynę, sterować nią. Rozumiesz? I nie mam zamiaru wracać do poprzedniego porządku. Dość już bezsensownych ofiar. Od ilu lat wojujecie z Pyrrusem? Już dawno się w tym pogubiłem.

- Uwaga! - przerwał im Archie i Kerk nie zdążył odpowiedzieć. - Przed nami światło.

- Otóż i on! - prawie jednocześnie zawołała Meta. - Nasz statek kosmiczny „Baran”!

18

Z łatwością dostali się do środka. „Baran” słuchał telepatycznych rozkazów Jasona jak nigdy przedtem. Prawdopodobnie po utracie jednego właściciela ten ni to organizm, ni to mechanizm od razu szukał sobie następnego. A właśnie stracił poprzedniego właściciela.

Misson leżał w fotelu pilota błydy jak kreda; z kącika ust ściekał mu strumyczek krzepnącej krwi. Trzech innych flibustierów wcale nie wyglądało lepiej. Jason postanowił, że nie wyrzucą trupów rybom na pożarcie - niech

piraci pochowają ich zgodnie ze swoimi obyczajami. Wszystkie cztery ciała ułożyli w tylnej części, oddzielonej od głównej kabiny. Potem usiedli przed tajemniczym pulpitem sterowania i patrząc na ekran widokowy zaczęli się zastanawiać.

Co zabiło starego Missona i pozostałych? Można było tylko się domyślać. „Baran” rzeczywiście nie przepuszczał do środka żadnego promieniowania. Tym, którzy znajdowali się w środku, nie groziły nawet przeciążenia. Missona i jego załogę łączyły z zewnętrznym światem tylko psi-przełączniki, przekazujące różnego rodzaju informacje. Widocznie śmierć nadeszła właśnie tymi kanałami. Fale telepatycznej nienawiści, skoncentrowane w jednym punkcie, potrafią zgnieść każdego równie dobrze jak siła fizyczna.

Według pojęć „właścicieli” Epicentrum, Misson zrobił coś absolutnie niedopuszczalnego i zapłacił za to. Chciał kogoś złapać i w tym celu pociągnął dźwignię w wewnętrznej ścianie statku kosmicznego. Po co to zrobił? Przecież, jak jeszcze całkiem niedawno twierdził Stan - znakomity specjalista w dziedzinie elektroniki i systemów łączności - wszystkie dźwignie, wyłączniki i klawisze wewnątrz statku „Baran” były wyłącznie dekoracją.

„Sterowanie tym statkiem to kwestia wyjątkowego mentalnego kontaktu z najbardziej skomplikowanymi systemami drugiej wirtualnej klasy według reguł stochastycznego regulowania procesów relaksacji myśli”. Takie zdanie wypowiedział kiedyś Stan i Archie był szczerze zachwycony jasnością tego sformułowania. Natomiast Jason, który nie zrozumiał ani słowa, poprosił, by to powtórzyć i specjalnie nauczył się na pamięć tej abrakadabry, żeby cytować od czasu do czasu, udając mędrca.

Gdyby chcieć to wyrazić prostym międzyjęzykiem, normalnymi słowami, statek kosmiczny „Baran” był sterowany za pomocą mózgu, a nie rąk. Nie bez powodu Meta tak dokładnie badała wtedy reaktory „Olśniewającego Gwintoroga”. Wydawały się rzeczywiście niezwykle. Wewnętrzna powierzchnia była lśniąca i gładka, jak wypolerowana na wysoki połysk. Albo jeszcze nikt nie korzystał z tego statku, albo jego reaktory to też tylko dekoracja, a maszyna nie lata dzięki spalaniu paliwa chemicznego, lecz działa na zupełnie innej zasadzie. Nawiasem mówiąc, nawet poruszanie się za pomocą ciężenia grawitacyjnego zostawia na powierzchni reaktorów jakieś ślady.

Jednym słowem, przedśmiertny gest Missona można było uznać za czysto odruchowy. Problem tkwił w czymś innym - w rozkazie, który wydał telepatycznie. Misson chciał schwytać kogoś albo coś, co nie chciało być złapane. W ten sposób czwórka śmiazków natknęła się na przeciwny impuls, który dla wszystkich okazał się śmiertelny.

Jason i Meta dobrze pamiętali nagranie ze statku i bez trudu znaleźli tę samą dźwignię, za którą chwycił Misson. Ale to też w niczym im nie pomogło, tylko Archie zauważył sceptycznie:

- Wiecie co, ta dźwignia po prostu znajdowała się najbliżej. Widocznie waszemu Missonowi zrobiło się słabo. Wydając swój ostatni rozkaz, zaczął tracić przytomność i żeby zachować równowagę, chwycił to, co było pod ręką. Wiecie, jak mówią, tonący brzytwy się chwyta.

- Ciekawa hipoteza - sceptycznie zauważyła Meta - ale chciałabym wiedzieć, jaki rozkaz wydał Misson przed śmiercią. Przecież musimy go odwołać. Czyja dobrze rozumiemy?

- Dobrze, Meto - powiedział Archie. - Jednak nie mogę tego odgadnąć z całkowitą pewnością. Mam przypuszczenia, ale boję się pomylić.

- Nie masz się czego bać - pocieszył go Kerk. - Jason powiedział ci wszystko, co najważniejsze. A myśleć potrafisz. No, do roboty.



- Dobrze. Przecież pamiętacie, że ten geniusz techniczny polował na coś o właściwościach ciała zupełnie czarnego. Tak mu poradziłeś, Jasonie, prawda? No i zobaczył to. Zgadnijcie w trzech pytaniach, co zobaczył. Żadnej hipotezy? Idźcie do diabła, profesjonalni wojownicy!

Jason uśmiechnął się. Zrozumiał wszystko wcześniej od Archiego, ale nie chciał powiedzieć tego na głos: niech Meta i Kerk też trochę pogłódkują, niech się przyzwyczajają do myślenia. Przecież potrafią, kiedy zechcą. Jednak ani chwila, ani miejsce nie były stosowne dla burzy mózgów. Meta i Kerk w ogóle nie mieli zamiaru myśleć. Odbywali obchód bojowy, a w takich chwilach trzeba tylko patrzeć, słuchać i czekać. I być gotowym na wszystko.

Jason zrozumiał swój błąd i wzrokiem dał Archiego do zrozumienia, żeby sam im powiedział.

- To był rwanaur, ponadprzestrzenne przejście - poinformował Archie. - Normalni ludzie nurkują do rwanaura albo nie. Ale Misson miał zamiar go złapać, jak zwykły organizm. I ten nierealny pomysł spotkał się z ostrym sprzeciwem wszystkich programów, znajdujących się w pamięci statku kosmicznego. Wtedy cała energia zła wlała się do środka „Olśniewającego Gwintoroga”. Ta nazwa mi się bardziej podoba - wyjaśnił Archie po przerwie, jakby to było w tej chwili najważniejsze. - „Baran” to bardzo pospolite.

- No dobrze - wtrąciła się Meta - ale nadal nie rozumiem jednego: co tu mają do rzeczy pyrrusańskie organizmy?

- Nie wiem dokładnie - odpowiedział Archie - ale najwyraźniej „Olśniewający Gwintoróg” może również sterować pyrrusańskimi potworami.

- Właśnie to próbowałem wam wytłumaczyć ć jeszcze pół godziny temu - powiedział Jason lekko obrażonym tonem bardzo zajętego człowieka, któremu od godziny brzęczą nad uchem i przeszkadzają pracować.

W tym momencie Archie zauważył, że Jason dawno przestał obserwować ekran - wystarczyło, że robili to Meta z Kerkiem - i bardzo uważnie wpatrywał się w jeden z tajemniczych paneli, błyszczący hipnotycznym światłem mnóstwa kolorowych żarówek. Archie też spróbował tam spojrzeć i nagle zrobiło mu się bardzo nieprzyjemnie. Miał takie uczucie, że ktoś wlał do jego podświadomości i zaczął grzebać tam bez pozwolenia. Nagle Jason krzyknął:

- Eureka!

- Co mianowicie znalazłeś? - zapytał Archie, jedyny, który rozumiał znaczenie słowa eureka.

- Znalazłem wspólny język z tym statkiem, a to znaczy, że również z całą planetą - powiedział Jason cichym, ale bardzo uroczystym tonem, a potem ogłosił:

- Trzyminutowa gotowość. Włączam wszystkie pyrrusańskie organizmy na maksymalną moc. Wyobrażacie sobie, z jakim entuzjazmem dojedzą zaraz flibustierów? A z jaką przyjemnością będziemy na to patrzeć!

Jason sam się sobie dziwił: nigdy jeszcze nie zaobserwował u siebie takiej złośliwości i takiego okrucieństwa.

- A jeżeli nic z tego nie wyjdzie? - szepnął Kerk z przerażeniem.

- Wyjdzie - uśmiechnął się Jason. - Po raz pierwszy „Baran” posłuchał mnie, otwierając nam luk zewnętrzną słuzy. Potem zmusiłem go do ruchu i sprawdziłem swoje możliwości na niektórych innych systemach. W końcu zaczął „rozmawiać” ze mną i udostępnił swój najważniejszy skarb: moc, pozwalającą na sterowanie całymi planetami.

Jason wyczytał w twarzach Pyrrusan nieufność i jednocześnie rozczarowanie. Czyżby właśnie ta, jak trafnie określił Morgan, puszka od konserw była przyczyną trzystuletniej tragedii całej planety? Śmierci i okaleczeń tysięcy, a nawet milionów ludzi? Nie chcieli w to wierzyć i chyba mieli rację. Przecież wychodziło na to, że wiele lat temu jacyś dziwni bogowie przylecieli tutaj na takim samym złotym stateczku i uruchomili diabelski mechanizm, pełen nienawiści do ludzi. Pyrrusanie nigdy nie wierzyli w bogów i teraz też nie mieli zamiaru

stawać się zwolennikami jakiejś religii. Chociaż, szczerze mówiąc, Jason sam jeszcze nie zrozumiał wszystkiego do końca. Wszystko, co wymyślił, było na razie tylko hipotezą. Śmiałą, oryginalną, niezwykłą, ale tylko kolejną hipotezą.

- Rzeczywiście już wydałeś rozkaz? - zapytał Archie. - Pamiętaj, że czas leci. Jak się stąd wyniesiemy, jeżeli twoim oszalałym zwierzętom przyjdzie do głowy, żeby nas nie wypuścić?

- Ale przecież siedzimy w statku kosmicznym „Baran”! - Jasona zdziwiły jego wątpliwości. - Na tym statku można przedrzeć się przez całą planetę. Jest zabezpieczony przed wszystkim!

- Oprócz ludzkiej głupoty - włączyła się nagle Meta. - Nie boisz się, że spotka nas los Missona?

Wszyscy troje popatrzyli na nią z szacunkiem i przerażeniem. Każdy myślał o czymś innym, przypominały im się różne głupstwa, które zrobili w życiu. To prawda, nikt nie jest ubezpieczony od błędów, które czasami wywołują fatalne konsekwencje.

Jason zareagował pierwszy.

- Nie, kochana, nie boję się! - powiedział z przekonaniem. - Teraz nie ma czasu na tłumaczenie.

I rzeczywiście nie było już czasu. Telepatyczny rozkaz zadziałał.

Flora i fauna Pyrrusa ocknęły się, otwierając szeroko paszczę, jak człowiek, którego dopiero co obudzili, a on nie ma najmniejszej ochoty porzucić snu, ale dobrze wie, że trzeba wstawać. I zaraz z każdego „niewyspanego” potwora zaczęła się wylewać na zewnątrz tak absolutna nienawiść, jakiej nikt nie mógł sobie wyobrazić.

Na planecie nie zostało żadnego spokojnego miejsca. Żądło-pióry i diablórogi, kopytne płazy i drapieżne jastrzębie, miedzianozębe kajmany i ptaki-piły w strasznym ataku niesamowitej wściekłości, w rozpacznej przedśmiernej agonii rzucały się na wszystko, co żywe i nieżywe. Flibustierzy ginęli dziesiątkami i setkami, czasami nawet nie zdążali wyciągnąć broni.

Tutaj, na dnie oceanu, tuzinogi, lanmary i wszystkie bezgłowe żmije razem z mokrzciami też szybko doszły do siebie i z niesamowitą furią zaczęły taranować „Barana”.

Był najwyższy czas, żeby wydostać się z pieczary. Na zewnątrz jest przynajmniej jasno i w ogóle jakoś przyjemniej bez tych łodyg poruszających się wzdłuż ścian. Ale po pierwsze, Jason jeszcze nie był pewny, czy potrafi wydawać rozkazy pyrrusańskim potworom z każdego miejsca. Może w tym celu trzeba znajdować się właśnie w Epicentrum? A po drugie...

Właśnie w tym momencie w podwodnej ciemności zamajaczyła przed nimi absolutnie czarna plama, czarniejsza od nocy. Była ogromna; w następnej chwili Jason zrozumiał, że sławetny „Olśniewający Gwintoróg” nieubłaganie pędził w tę dziurę. Teraz „Baran” odrzucał wszystkie telepatyczne rozkazy Jasona. Miętko, ale nieustępliwie. Opór był nie do pokonania. Przynajmniej na poziomie fizjologii. Powolnego wciągania statku w ciemność rwanaura nie dawało się zatrzymać, tak samo jak obracania się gwiazd i galaktyk.

Już w następnej sekundzie wszystkie nadajniki zewnętrzne pokazywały, że na zewnątrz jest nie woda, a powietrze, którym można oddychać. Kliknęła osłona luku wewnętrznego, potem zewnętrznego, zapachniało morzem, kwitnącymi drzewami owocowymi i gorącym, rozgrzanym na słońcu piaskiem. Kerk wyskoczył pierwszy, jak zawsze gotów na każdą niespodziankę, za nim szybko wydołała się Meta i... Nie było do kogo strzelać. Nikt nie witał przybyszów - ani wrogowie, ani przyjaciele. Ale Meta poznała planetę, gdzie ich wyrzucono.

- Przecież to Iolk - powiedziała.

To był rzeczywiście Iolk.

- To ta sama planeta, na której się urodziłeś, Jasonie - na wszelki wypadek wyjaśnił Kerk.

Z długiej podróży po centrum Galaktyki na statku „Argo” zostały mu dość chaotyczne wspomnienia i siwy pyrrusański przywódca czasami mylił nazwy tamtejszych planet.

- Właśnie - kiwnął głową Jason. - Tylko nie jestem pewny, czy powinniśmy się tu teraz znajdować. Widocznie „Baran” postanowił uratować nas od jakiegoś strasznego nieszczęścia. Ja właśnie w ten sposób traktuję tę awaryjną ewakuację.

- A ja myślę, że chodzi o coś innego - sprzeciwił się Archie. - Że uciekał, ratując własną skórę. Tak naprawdę, to ma nas gdzieś. Spójrzcie tylko.

Wszyscy się rozejrzeli. Plama rwanaura, jeszcze przed chwilą zadziwiająco szeroka, kurczyła się w oczach.

- Więc to tak? - podsumowała za wszystkich Meta. - Jeżeli chcemy wrócić do domu nie za rok, a już teraz, trzeba po prostu skakać z powrotem. Nie ma się nawet kogo poradzić.

- A co z „Baranem”? - Jason wciąż miał wątpliwości. - Znowu zostaniemy bez niego!

- Owszem, ale widocznie właśnie tak trzeba - rozsądził Archie. Jednak łatwiej będzie przylecieć na Iolk z Pyrrusa niż wydostać się stąd, mając jako środek transportu tylko jeden mało sterowny latający aparat. Innych wariantów nie ma: teraz już widać gołym okiem, że „Gwintoróg” nie zmieści się w tej dziurze.

- Zgadza się - mruknął Jason w zamyśleniu. - Tylko nie ma sensu przylatywać tutaj po niego. Jestem pewien, że już za parę godzin „Baran” przeniesie się gdzie indziej.

- Wszystko jedno, tam też go znajdziemy. Nie martw się, Jasonie - pocieszał go Archie. - Tak czy inaczej, ta rzecz już należy do ciebie, czuj ę to...

- Słuchajcie, o czym wy w ogóle mówicie?! - ryknął od dawna milczący Kerk, który wreszcie nie wytrzymał. - Lepiej zastanówcie się, gdzie się teraz znajdziemy. Nie będzie już przytulnej skorupy waszego niezwykłego statku.

- No i co z tego? - zdziwił się Jason. - Proponujesz, żebyśmy zostali tutaj?

- Ja?! - wrzasnął Kerk jeszcze głośniejszym głosem. - Mamy przecież skafandry najwyższej ochrony. Nie zapomnijcie tylko zamknąć hełmów, panowie uczeni. Meta sama się domyśli, ale wam trzeba przypomnieć. Przecież pokój dawno się skończył. Przygotujcie się do boju, filozofowie!

Potem prawie wpełznął Jasona i Archiego do pionowej czarnej dziury o falujących brzegach, której średnica była już nie większa niż metr.

19

Walka się nie udała. Owszem, postrzelali w różne strony w jaskini i w korytarzu, póki przebijali się w górę, ku słońcu, ku swoim. Ale Jason czuł bardzo wyraźnie, że jakaś nieznana siła pcha ich do przodu. Właśnie tak: nie próbuje zabić, ale łagodnie wypycha, odrzuca od siebie, poświęcając drobne organizmy w rodzaju lanmarów i urczenoidów i wybacząc ludziom bezsensowne zabójstwa.

Kerk wynurzył się pierwszy. Zauważył, że piracka kanonierka cały czas wisi w tym samym miejscu nad morzem i kazał wszystkim cicho wejść na pokład swojej łodzi desantowej.

Tam przywitał ich Stan i poinformował, że pyrrusańskie organizmy, które zastygły na jakiś czas i uspiły czujność wroga, nagle się obudziły i w szalonej wściekłości wybiły flibustierów na planecie do ostatniego człowieka, do ostatniej kanonierki kosmicznej, do ostatniej wojskowej jednostki. Nikomu nawet nie udało się wystartować. - To był ładny widok - opowiadał Stan. - A my byliśmy już gotowi do rozpoczęcia walk z

agresorem. Ale skoro zwierzęta nas wyprzedziły, postanowiliśmy, że nie będziemy się pchać. Tak nakazał Rhes i nawet Brucco go poparł. Na najkrótszej w historii naradzie Pyrrusanie podjęli wspólną decyzję o niewtrącaniu się do walki. Przepraszam, Kerk. Każdy chce żyć. Nawet mieszkańcy Planety Śmierci. Wszyscy żałujemy czterech zabitych na czele z Cliffem, ale mścić się za nich za cenę nowych ofiar nie ma sensu. Zwłaszcza teraz, kiedy zamiast nas walczą nasi byli wrogowie, potwory i mutanty.

Kerk nic nie powiedział, wstrząśnięty taką szczerością Staną, który był nie tylko naukowcem, ale również prawdziwym mieszkańcem miasta, „blacharzem”, jak powiedzieliby wcześniej mieszkańcy dżungli. Wychowany w duchu tradycji, zawsze był uważany za jednego z najbardziej zapalonych zwolenników wojny do ostatecznego końca. Widocznie wiele się zmieniło na Pyrrusie. I nadal się zmienia. Kerk wzruszył ramionami i ze zdumieniem spojrzął na tych, którzy towarzyszyli mu podczas ostatniej, najdziwniejszej w jego życiu operacji wojennej.

- Dokąd teraz polecimy? - zapytał Jason, zwracając się przede wszystkim do najstarszego z obecnych.

Kerk nie zdążył jeszcze nic wymyślić, więc odezwał się Stan:

- Myślę, że do Otwartego.

- Nie - stanowczo sprzeciwił się Jason. - Najpierw chcę porozmawiać z Morganem. Przecież tkwi dwa kroki stąd.

Ale okazało się, że kanonierka już od dawna wisi w trybie automatycznym. Generatory pola grawitacyjnego bezlitośnie pożerały bardzo drogą energię chemiczną, wydzielaną przez tak zwane akumulatory bezodpadowe, które podczas swojej pracy produkowały również mieszkankę azotowo-tlenową. Na statku nie udało się odnaleźć nikogo poza sześcioma trupami flibustierów. Wszyscy zginęli od ukłuc jadowych owadów, które wtargnęły na statek, przenikając przez niedomkniętą śluzę. Czy się to stało w wyniku zaniedbania, czy sabotażu, nie zostało wyjaśnione. Oczywiście było tylko to, że sam Henry Morgan zdążył przedtem opuścić kanonierkę.

Ale Jason i Meta chcieli się spotkać właśnie z Morganem, więc musieli udać się teraz na orbitę, gdzie wokół planety krążył potężny liniowiec „Konkwistador”, który już w jakimś stopniu wydawał im się domem. Kerk od razu oznajmił, że nie zostawi ich w takiej sytuacji. Stan zgodził się z tą opinią. Jason nie miał nic przeciwko temu, Meta - rym bardziej. Archie też zażądał, by wzięli go ze sobą. Dla Uctisanina nowa wiedza zawsze była ważniejsza od własnego bezpieczeństwa. Czasami Jasonowi wydawało się, że dla zaspokojenia naukowej ciekawości Archie był gotów nie jeść, nie pić, nawet nie oddychać. Grzech by było nie zabrać takiego człowieka, tym bardziej że naukowiec słusznie zauważył:

- Przecież nie lecimy walczyć, prawda?

Tego nie byli całkiem pewni, więc postanowili wyruszyć w podróż na pirackiej kanonierce. Własny transport byłby niebezpieczny. Kto wie, co przyjdzie do głowy tym na „Konkwistadorze”, chociaż Stan zapewniał, że flibustierzy całkowicie się poddali i że cała przestrzeń wokół Pyrrusa jest zapchana kutrami patroli policyjnych. Śluzę otwierał Howard, który jeszcze na Jamajce pokochał Jasona jak rodzzonego brata. Naprawdę mieli szczęście.

- Toni, powiedz uczciwie - odezwał się Jason, obejmując jego szerokie ramiona - czy nadal jesteś gotów grać razem ze mną przeciwko Morganowi?

- Gra przeciwko niemu nie jest już nawet ciekawa - oświadczył Howard.

- Nie bądź taki pewien! - uśmiechnął się Jason. - Póki Morgan żyje, jest niebezpieczny. A tak w ogóle, co się tutaj wydarzyło?

- No, coś ty! - Howard nie mógł uwierzyć w jego niewiedzę. - Liniowiec jest faktycznie opanowany przez Korpus Specjalny, jego agenci tkwią we wszystkich najważniejszych punktach.

- To zrozumiałe - powiedział Jason. - Ale czy możesz mi zagwarantować, że ani jeden flibustier nie pryśnie stąd i że statek nie zerwie się z orbity Pyrrusa, zanim nie damy na to pozwolenia?

Howard zamyślił się głęboko, widocznie oceniając swoje możliwości. Potem zapytał z godnością:

- A co będę z tego miał?

- Zobaczymy. Na razie co najmniej gwarantuję, że zostawimy cię przy życiu - powiedział Jason.

- To mi już gwarantował Korpus Specjalny - burknął pod nosem Howard.

- No i co z tego? - zapytał Jason? - Widzisz tych ludzi obok mnie? Jeżeli zechcą cię zabić, żaden Korpus Specjalny nie pomoże. Bo to są Pyrrusanie.

- Przestań - uśmiechnął się sztucznie Howard. - Korpus Specjalny to siła, a twoi przyjaciele to zwyczajni ludzie...

- Czyżbyś jeszcze nie rozumiał, że Pyrrusanie to nadzwyczajni ludzie? - Jason wziął Metę pod rękę i podszedł bardzo blisko. - Morgan zapewniał mnie, że dwoje oczu dla pirata to luksus. Ale zaczynam podejrzewać, że dla ciebie jedno to też za dużo. Meto, przypomnij mu, jak to było...

- Nie trzeba - powiedział Howard, który umiał szybko myśleć. - Zgadzam się. Załatwię, żeby nikt nie wyszedł stąd bez mojego pozwolenia. A przytrzymać statek to żaden problem. Mam tu rzeczywiście poważne możliwości. Uwierz mi, Jasonie, będę pracował tylko dla was.

- Spróbujemy ci zaufać, Toni. Ale jeżeli nas okłamiesz... Nieważne, gdzie cię znajdę, ale umierać będziesz tutaj, na Pyrrusie. A jeżeli chodzi o sposoby śmierci, jest tu ich wielka różnorodność!

- Zrozumiałem, przyjacielu - powiedział Howard i Jason trochę się przeraził, czując coś w rodzaju sympatii do tego okrutnego zabójcy. - Wszystko zrozumiałem. Idźcie teraz do dużej sali. Morgan tam jest. A w ogóle to, czekamy na Berwicka. Za moment tu będzie. Rada Najwyższa udzieliła mu pełnomocnictw do decydowania o naszym losie.

Waszym - podkreślił Jason. - O naszym sami zadecydujemy.

Albo Howard, albo Berwick uprzedzili ochronę statku, że Pyrrusanie mają być traktowani wyjątkowo. Nikt ich nie zatrzymywał i bez żadnych problemów doszli do dużej sali, gdzie w tej chwili przebywał Morgan.

Na ekranie widokowym migotały teraz gwiazdy nocnego pyrrusańskiego nieba. Ich blask przygasł przy bliskim zimnym świetle dwóch dużych księżyców - Samasa i Bessosa. Ekskapitan, jak określił go w myślach Jason, stał tyłem do drzwi i albo rozkoszował się kosmicznym pejzażem, albo zastanawiał się, gdzie lecieć dalej. Całą swoją postawą dawał do zrozumienia, że całkowicie stracił zainteresowanie wszystkim, co się dzieje na tej planecie.

Usłyszawszy kroki, Morgan odwrócił się i obrzucił ich chłodnym spojrzeniem, jakby mówiąc: „Przegrałem, zdarza się. Najważniejsze to, że żyję. Polecę dalej szukać swojego szczęścia”.

Jest podejrzanie spokojny, pomyślał Jason. Chyba nie rozumie, jaki los go czeka albo zbyt dobrze rozumie i przeciwnie, wie więcej ode mnie.

Morgan zrobił parę kroków w ich stronę, zatrzymał się i powiedział:

- Okłamałeś mnie, Mucharribie. Dlaczego?

- Zaraz ci odpowiem - powiedział Jason z godnością i poprosił Pyrrusa:

- Zostawcie nas samych. Tutaj nie ma czego się bać, a nasza rozmowa będzie dość... osobista.

Kerk wzruszył ramionami. Najdłużej ze wszystkich upierała się Meta i w rezultacie Jason pozwolił jej zostać. Jakże może mieć tajemnice przed żoną?

- Henry, jestem szulerem - zaczął Jason od oczywistego zdania. - Musisz o tym pamiętać. Tak, zrobiłem z naszej bitwy wielką atrakcję. No i co z tego? Czy to źle? Każdy zarabia, jak może. Istnieje wiele różnych sposobów, jestem tylko przeciwny rabunkom i rozbojom. A ty, Henry, uważasz to za normalne. Dlatego zmusiłem cię do uczestnictwa w grze, ale według moich reguł. Wyznaczyliśmy ci nie najlepszą rolę, ale cóż, tak wyszło. Przepraszam. Jeżeli według ciebie ciągnięcie zysków z zabijania to normalna rzecz, to zarabiaj na śmierci swoich przyjaciół, nie moich. A właśnie... dlaczego nie grałeś razem ze mną we „Wszechświatowym totalizatorze”? Ach, słusznie! Przecież zapomniałem ci o tym powiedzieć w swoim czasie. Jeszcze raz przepraszam. Ale widzisz trzeba czasami słuchać radia. Audycje transgalaktyczne. Słyszałeś o czymś takim?

- Przestań się wygłupiać, Jasonie - Morgan już zaczynał się denerwować, ale na razie się powstrzymał. - Powiedz lepiej, czy w jaskini znalazłeś nieśmiertelność? Czy tam w ogóle coś było? Czy nabrałeś mnie, jak ostatniego głupca?

- Henry, nigdy nie uważałem cię za głupiego człowieka. Ale tam, w jaskini... Tam było i cały czas jest coś, czego nie potrafisz sobie wyobrazić przy wszystkich swoich zdolnościach. Tam tkwi energia, która jest w stanie zmusić statek kosmiczny „Baran” do pracy pełną mocą. Tam niekiedy otwiera się hiperprzestrzenne przejście, a to jest droga zarówno do wszechmocy, jak do nieśmiertelności. Ale wy, flibustierzy, tak już stępieliście od złości i nienawiści, że nie umiecie ani mówić, ani słuchać. Nie potraficie znaleźć zrozumienia ani u ludzi, ani u innych gatunków. Twój stary przyjaciel Misson próbował ukraść rwanaura, próbował zrobić z hiperprzejścia swoją własność. To jest szaleństwo. I ty, Henry, pewnie zachowałbyś się tak samo. Dlatego nigdy nie staniesz się nieśmiertelnym.

Morgan jeszcze słuchał, ale wydawało się, że jego cierpliwość się wyczerpuje. Jeszcze chwila i szabla, z którą Navigator nigdy się nie rozstawał, wyskoczy z pochwy.

Ale akurat w tym momencie rozległa się skoczna melodyjka - sygnał ogólnego spotkania i cienki głosik Madame Cin ogłosił przez interkom, że Revered Berwick osobiście przybył na statek i chce widzieć wszystkich w dużej sali za dziesięć minut. Następnie z podłogi wysunęły się krzesła dla uczestników posiedzenia, a potem otworzyły się ściany z różnych stron jednocześnie i pomieszczenie wypełnił tłum dziennikarzy, którzy od razu zaczęli montować swoje urządzenia, regulować światło, sprawdzać dźwięk. Wyglądało na to, że szykuje się nie zwyczajna narada, lecz prawdziwa konferencja prasowa, bezpośrednio transmitowana na wszystkie kanały Galaktyki.

- Flibustierzy przegrali z Planetą Śmierci - ogłosił Berwick uroczyście, rozpoczynając spotkanie, jakby potwierdzał dla prasy ogólnogalaktyczną opinię o tym, co się wydarzyło. - Mam więc zaszczyt zaprosić pana Kerka z Pyrrusa na następne plenarne posiedzenie Rady Najwyższej Ligi Planet. O losie Henry'ego Morgana porozmawiamy pod koniec spotkania. Uprzedzając wasze pytania, informuję również, że znaczne i dobrze wyposażone oddziały Kosmicznej Ligi Planet kontrolują sytuację w tym regionie oraz w okolicach planet Jamajka i Cassylia.

Gra się skończyła, stawki w „Wszechświatowym Totalizatorze” zatwierdzono oficjalnie i każdy, kto wygrał, na pewno dostanie swoją należność. Nadzoruje to komisja, specjalnie powołana do tych celów. W imieniu Ligi Planet gwarantuję, że nie pozwolimy na żadne naruszenie prawa.

Problemy Pyrrusa, zgodnie z prośbą miejscowej władzy, pozostaną problemami Pyrrusa. Nikt nie ma prawa wtrącania się w sposoby ich rozwiązywania bez zgody pana Kerka. Inaczej jest z planetą Jamajka, ale o tym również, z ważnych powodów, powiem na końcu. A teraz, możecie zadawać pytania.

- „Zwierciadło Wszechświata” - przedstawił się pierwszy z dziennikarzy. - Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło na Cassylii.

- Nic nadzwyczajnego. Prezes Narodowego Banku Rodger Wayne był przekonany o zwycięstwie flibustierów. Ale taką opinię miało też ze trzysta milionów graczy, czyli absolutna większość. Wayne był więc zmuszony postawić praktycznie cały kapitał banku, a także pieniądze kilku największych na Cassylii struktur komercyjnych, bo tylko w ten sposób jego końcowa wygrana byłaby poważna. Jednak niespodziewany finał wojny jest dziś znany każdemu. Rodger Wayne zbankrutował. Ale ten fakt w żaden sposób nie wpłynie na pomyślność planety Cassylia. Święte miejsce nigdy nie bywa puste.

- Agencja PAN. A jak zwycięzca? To znaczy, co się w końcu stało z florą i fauną Pyrrusa?

- Na to pytanie odpowie nam obecny na spotkaniu Archibald Stover.

Archie wysunął się do przodu i niczym znany aktor czy sportowiec pomachał wszystkim ręką.

- Postaram się mówić krótko. Przedstawię tylko te wnioski, do których zdążyliśmy dojść do tej pory. Istnieje opinia, że tak zwane Epicentrum kieruje zachowaniem biosfery Pyrrusa. Na razie nie jesteśmy w stanie podporządkować go sobie w wystarczającej mierze. Ale już odnotowano znaczny postęp w tym kierunku. Stopniowo zbliżamy się do zrozumienia zasad regulowania biologicznej aktywności. Jej spadek do zera i następnie gwałtowny skok nie minęły bez śladu dla pyrrusańskich organizmów. W obecnej chwili przyroda planety jest wyjątkowo bliska naturalnej równowagi i właśnie dlatego nie przedstawia poważnego zagrożenia dla człowieka. Ale prorokowanie, jak długo ten stan potrwa, byłoby przedwczesne. Jeszcze nie wygraliśmy z tą planetą, ale dziś wiemy o niej dużo, dużo więcej niż przed rozpoczęciem tej strasznej bitwy.

Zadziwiający talent, pomyślał Jason. Tyle nagadać i nic tak naprawdę nie powiedzieć.

- Agencja MAI. Można powiedzieć, że wszyscy byliśmy świadkami kolejnej wojny międzyplanetarnej. Jakie są jej skutki pod względem materialnym?

- Po pierwsze, według przyjętych w Galaktyce zasad, na rzecz planety Pyrrus przechodzą wszystkie ocalałe statki floty flibustierskiej, łącznie z liniowcem „Konkwistador”, krążownikiem „Brigeto” i liniowcem „Aligator”. Można to uznać za dość znaczącą kontrybucję. Po drugie... - Berwick nagle się zmieszał. - Wydaje mi się, że to już wystarczy. Resztę wolałbym omówić z panem Jasonem i panem Kerkiem na posiedzeniu roboczym.

Jason w ogóle się nie wypowiadał. Domyślał się, że chodzi o planetę Jamajka i rozumiał, że jeszcze zdąży potargować się z Berwickiem na ten temat.

- Korporacja „Wieczne Czasy”. Co ma wspólnego z całą tą historią firma Zunbar Medical Trade?

- Prawie nic. Dzisiejszy prezes firmy, Ronald Sane, osobiście został mocno uszkodzony przez flibustierów. Dlatego postanowił wziąć udział w ich zniszczeniu, angażując w to potężne środki finansowe. Jednocześnie zagrał też w totalizatorze.

- Wspaniały eufemizm, panie Berwick! - nie wytrzymał Jason. - „Osobiście został uszkodzony”! Tak naprawdę, panowie reporterzy, jeżeli ktoś z was nie wie albo nie pamięta: flibustierzy pocięli na kawałki całą jego rodzinę. Chcę, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

- Agencja „Gwiazda Barnardu” - podniosła się miła dziewczyna na środku sali. - Pytanie w związku z poprzednim. Czy ktoś z flibustierów stanie przed sądem? Kto konkretnie, gdzie i kiedy?

- To delikatna sprawa - skomentował Berwick. - Dobrze wiecie, jak źle pracuje dzisiaj międzygwiazdny wymiar sprawiedliwości. Nie mamy jeszcze ujednoczonych galaktycznych aktów prawnych i mechanizmów, które realizowałyby postanowienia sądu poza granicami jednej planety. Jeżeli chodzi o flibustierów, to według naszych danych, bezpośrednio winni zabójstw i rabunków, zginęli tutaj, na Pyrrusie. Natomiast ocalałe

kierownictwo floty ma specjalny status i problem ich osądzenia powinien być rozpatrywany razem z innymi problemami planety Jamajka. I nie tutaj.

Ależ namieszał, drań! - pomyślał Jason. Nie szkodzi, poważna rozmowa jeszcze przed nami.

Nie miał już ochoty słuchać, dlaczego Flota Kosmiczna Ligi Planet nie wtrąciła się do sprawy wcześniej i czy nie jest już najwyższy czas, by zabronić gier hazardowych, i jak władze galaktyczne potraktują dzikie obyczaje na planecie Radom... Uczciwych odpowiedzi i tak się nie spodziewał, a jeżeli wziąć pod uwagę, że nawet pododdziały Korpusu Specjalnego dla prasy nazwano Jednostkami specjalnymi Floty Kosmicznej Ligi Planet" - to już w ogóle robiło się smutno.

Teraz Jason czekał tylko na to, kiedy wreszcie powiedzą coś o losie planety Jamajka i jej lidera.

Revered Berwick stwierdził widocznie, że już wystarczająco przygotował audytorium do końcowych wiadomości, więc powiedział:

- Jeżeli chodzi o Jamajkę, Rada Najwyższa postanowiła co następuje. Powołać specjalną komisję. Co roku delegować na planetę grupę obserwatorów. Unieważnić Prawo Flibustierów i wprowadzić zasady życia przyjęte na planetach o wysokim poziomie rozwoju. Rozformować resztki wojennej floty Jamajki. Na planecie, która będzie podlegać bezpośrednio przewodniczącemu komisji przy Lidze Planet, od dziś mianować gubernatora i powołać na to stanowisko pana Henry'ego Morgana, człowieka, który ujawnił talent prawdziwego przywódcy i który lepiej od innych zna specyfikę Jamajki. Zlecimy mu ukaranie wszystkich winnych rabunków, nalotów i bezsensownych zabójstw. W tym wypadku łatwiej będzie realizować wyroki w ramach jednej planety...

Dziennikarzy trochę zdziwiła paradoksalność tej decyzji, ale w rezultacie przyjęli wszystko do wiadomości - po to w końcu są dziennikarzami.

Jason miał swoje zdanie na ten temat. Na razie Morgan znajdował się na orbicie jego planety i nawet liniowiec „Konkwistador”, jak się okazało, należał teraz do Pyrrusa.

Wymownie popatrzył na Metę, a ona odpowiedziała mu długim, rozumiejącym spojrzeniem.

Najpierw salę opuścili dziennikarze, potem reszta publiczności. Davis - jeden z niewielu kapitanów, cudem ocalałych w pyrrusańskim koszarze - sprawnie ustawił flibustierów w szyku i wyprowadził za sobą. Arenie razem ze Stanem pognali poznawać unikalne rozwiązania techniczne „Konkwistadora”, skoro już trzeba będzie latać na tej maszynie. Wreszcie pojawił się Howard, który powiedział coś cicho i wszyscy agenci Korpusu Specjalnego w mundurach oficerów Floty Kosmicznej, stojący wzdłuż ścian, odeszli razem z nim.

Ale Berwick nie chciał wychodzić. Pełen poczucia własnej ważności, czekał na jakieś słowa od Jasona. Bardzo mu zależało na tym, by położyć kres całej sprawie i w pewnym sensie położyć na dole własny podpis. Ale Jason powinien parafować każdą kartkę. Berwick całkowicie zapomniał o Pyrrusanach, nie uwzględnił ich zupełnie innego postrzegania świata i lekkomyślnie odrzucił problem skomplikowanych stosunków między Jasonem a Morganem.

- Panie Berwick - zwrócił się do niego bohater dnia - proszę zostawić nas z Henrym samych. Nazbierało się wiele spraw, o których chcielibyśmy porozmawiać bez prasy i oficjalnych władz.

Berwick zmrużył oczy, pomilczał z pięć sekund dla porządku i okazał wielkoduszność:

- Dobrze, Jasonie. Tylko proszę bez głupstw.

- Czyżby pan jeszcze nie zrozumiał, że głupstwa to nie moja specjalność?

Takie pytanie wyraźnie nie wymagało odpowiedzi. Berwick słabo się uśmiechnął i wyszedł z sali, rzucając na koniec:



- Jeszcze porozmawiamy.

Jason kiwnął głową w milczeniu.

Morgan usiadł na brzegu stołu, przy którym przed chwilą siedział Berwick jako przewodniczący zebrania - usiadł niedbale, jak zwycięzca. Jason, Meta i Kerk stali naprzeciwko w pustej sali na błyszczącej podłodze. Trudno było nawet wyobrazić sobie, że jeszcze kilka minut temu wszędzie tutaj stały krzesła. Howard niepewnie kręcił się z tyłu. Widocznie czekał, że jego też poproszą, by wyszedł. Ale wszyscy milczeli.

Wreszcie Kerk przerwał ciszę.

- Jasonie - zaczął, jakby nie zauważając obecności flibustierów. - Czy wszystko, co tutaj usłyszałem, to prawda?

- Co masz na myśli? - szczerze zdziwił się Jason, ale domyślił się już w następnej chwili.

Dla niego był to już dawno zamknięty temat. Ale Kerk widocznie dopiero teraz do końca uświadomił sobie całą głębię hańby, na jaką narażono jego dumną planetę. Wbrew ich woli Pyrrusan zmuszono do uczestnictwa w ogromnym galaktycznym show dla znudzonych próżniaków. To przecież nie do pomyślenia! W najkoszmarniejszym śnie coś takiego nie mogło mu przyjść do głowy!

- Rzeczywiście obstawiali nas, jak konie czy koguty bojowe? - zapytał Kerk grobowym głosem. - Czy to prawda, Jasonie?

- Prawda - szepnął Jason, ledwie poruszając ustami. I ty to wszystko wymyśliłeś?!

- Tak, Kerk! - Głos Jasona zaczął nabierać pewności. - Wymyśliłem to dla naszego wspólnego dobra. Na podstępne knowania należy odpowiedzieć tym samym.

Dawno już Jason nie widział Kerka w takim stanie. Wydawało się, że przywódca Pyrrusan utracił dar mowy i tylko pistolet co chwila wskakiwał mu do ręki, a siwy olbrzym uparcie zaganiał go z powrotem do kabury.

- Meto - westchnął wreszcie - dlaczego nie zabiłem tego przybysza wiele lat temu?

- Opamiętaj się, Kerk! Wszyscy byliśmy wtedy inni. Zupełnie inni. Dzisiaj już nie zabijamy swoich. A Jason stał się prawdziwym Pyrrusaninem. Musisz wybaczyć mu wszystko. Naprawdę chciał jak najlepiej. To wina flibustierów...

- Nie tylko chciałem jak najlepiej! - rozżłościł się w końcu Jason, który miał dość milczenia w tej dwuznacznej sytuacji. - Rzeczywiście mi się udało. Rozumiecie, udało się! Przecież zwyciężyliśmy.

- To dlaczego ten tutaj jeszcze żyje? - zapytał Kerk wściekłym głosem i wskazał palcem na Morgana, jakby dopiero co go zauważył.

Jason podążył wzrokiem za spojrzeniem pyrrusańskiego weterana i zrozumiał, że niebezpieczeństwo minęło.

- Pytam, dlaczego on dotąd żyje?! - Kerk o mało się nie udusił ze złości.

- Cóż, to taki typ. - Jason bez skrpułów dobijał wroga. - Uciekł przed nami, kiedy rozwaliliśmy Gwiazdną Ordę. Teraz też ma nadzieję, że ucieknie. Jest gotów zarabiać pieniądze na czymkolwiek. Gdyby się dowiedział o totalizatorze, bez mrugnięcia oka zrobiłby zakład. Oczywiście postawiłby na piratów... i przegrał. Ale popatrz na niego, Kerk! Zdaje się, że ten wyskrobek, ten potwór nadal uważa się za zwycięzcę. Stanowisko gubernatora to wyraźny awans w porównaniu ze stanowiskiem szefa szajki bandytów.

- Nie - cicho, ale bardzo pewnie powiedział Kerk. - On nie zostanie gubernatorem. Bo ja go zabiję.

Jason nie zdążył zareagować, kiedy Morgan nagle zaczął wrzeszczeć:

- Chyba nie pozwolisz na to, Jasonie? To niesprawiedliwe!

- Coś ty powiedział, Henry? Niesprawiedliwe? To ty znasz takie słowo? A może umiesz także odróżniać prawdę od kłamstwa? I dobro od zła? Jakoś wcześniej nie zaobserwowałem u ciebie podobnych zdolności. Natomiast zauważyłem wiele innych rzeczy: okrucieństwo, podstępność, wiarołomstwo, zamięłowanie do

szantażu... Pamiętasz, jak chciałeś oddać Dolly swoim pijanym koleśiom, by ją zbeczcęcili? I zrobiłbyś to, gdyby nie Stary Sus. A jak zawładnąłeś nami na Darkhanie? A ilu zabiłeś niewinnych ludzi na Cassylii i w kosmosie, napadając na przypadkowe statki?

Jason podniecał się coraz bardziej, atakując Morgana, jakby chciał załatwić na amen znieawidzonego wroga. Z każdym zdaniem podchodził coraz bliżej i teraz stał już o trzy kroki od przywódcy flibustierów.

- Nie przywykłem do tego, by takich jak ty uważać za ludzi - powiedział w końcu. - Jesteś gorszy od insekta. Nawet nie uduszę cię własnymi rękami, bo się brzydzę. Ale trzeba będzie jakoś to załatwić.

- Najpierw sam zginiesz - syknął Morgan, wyciągając szablę z niewiarygodną szybkością. Stał już na tyle blisko, że groźba zabrzmiała całkiem poważnie.

Ale i tak nie miał szans. Może liczył na poparcie Howarda, ale niepotrzebnie. Toni nawet nie ruszył się z miejsca, natomiast lufa pistoletu Mety już patrzyła prosto w czoło Morgana.

- Tylko nie strzelaj! - krzyknął Kerk. - To nieuczciwie. Przecież on nie ma innej broni, tylko szablę.

W tym momencie Howard, który wreszcie zrozumiał, rzucił Kerkowi swoją szablę, a Jason i Meta odskoczyli w dwie strony.

Udowodnij, że potrafisz siekać na kawałki nie tylko kobiety i dzieci - powiedział Kerk. - Udowodnij.

Morgan postanowił przynajmniej umrzeć z honorem. Bronił się zaciekle i okazał się silniejszy niż można było sądzić. Ale nie silniejszy od Kerka - bo taki człowiek się jeszcze nie urodził. Co prawda we władaniu bronią widać było lekką przewagę flibustiera. Kerk dwukrotnie naciął się na jego szablę, która migąła błyskawicą. Po ramionach siwego giganta przez rozcięty kombinezon popłynęła krew. Jednak to tylko dodało Pyrrusaninowi desperackiej siły. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy Kerk przewidział kolejny sprytny fortel Morgana i, łamiąc przeciwnikowi palce, z brzękiem wybił szablę z jego rąk.

- To wszystko - wychrypiał Pyrrusanin i uniósł nad głowę swoją broń.

W tym momencie rozległ się dźwięczny kobiecy głos:

- Nie, nie wszystko! Broń na podłogę! Ręce na ścianę! Nie ruszać się!

Jason zdążył lekko odwrócić głowę, więc zauważył kątem oka pojawiającą się w drzwiach Madame Cin z dwoma pistoletami. Co za idiotka! - pomyślał. Ich wszystkich gubi pozerstwo. Prawdziwi wojownicy wiedzą, że najpierw trzeba strzelać, a dopiero potem myśleć, czy się przy tym ładnie wygląda...

Nic więcej Jason nie zdążył pomyśleć ani zrobić, bo Madame Cin nagle straciła swoją piękną główkę, za to czerwono-szaro-żółty wzór udekorował drzwi. Meta zawsze wołała ładować swój pistolet kulami rozpryskowymi.

- Przecież mówiłam, że ją zabiję! - radośnie wykrzyknęła Pyrrusanka.

Doświadczony Kerk najpierw pozbawił Morgana głowy, a dopiero potem się odwrócił, żeby sprawdzić, kto strzela.

Berwicka też chyba zaciekawilo, skąd dobiega odgłos strzałów. W towarzystwie oddziału żołnierzy Korpusu Specjalnego wpadł do sali, zadyszany i spocony.

- Co tu się dzieje?

Jason z poczuciem winy rozłożył ręce.

- Pan gubernator Jamajki był trochę nieuprzejmy w stosunku do damy. Nasi ludzie dali mu nauczkę.

Było to oczywiste kłamstwo, ale co za różnica? Jason chciał poznać się nad szanownym przedstawicielem służb specjalnych. I robił to z wielką przyjemnością.

Berwick w milczeniu rozejrzał się po sali i rozpaczliwie chwycił się za głowę.

- Nie rozumiem pańskiego zdenerwowania, Berwick - oznajmił niewzruszony Jason. - Sam pan twierdził, że galaktyczny wymiar sprawiedliwości działa źle. Ale przecież nie jesteśmy jeszcze w przestrzeni galaktycznej, tylko na suwerennym terytorium planety Pyrrus. A tutaj z wymiarem sprawiedliwości jest wszystko w porządku.

20

W nowym centrum badawczym Jason zamontował najlepszy aparat zdalnej łączności i spędził cały dzień na nie kończących się rozmowach. Dużo się nabrało w ciągu ostatnich „powojennych” dni.

Do tego momentu Pyrrusanie już się uspokoili na tyle, na ile mogli. Mecie udało się przekonać prawie wszystkich, że ich najważniejszymi wrogami byli Morgan i Madame Cin, a nie Jason. Akt zemsty, dokonany przez nią i Kerka, a zarejestrowany przez automatyczne kamery „Konkwistadora”, zadowolił mieszkańców Planety Śmierci. Oczywiście duszą Meta nadal była Pyrrusanką, więc nie należało się po niej spodziewać rozsądku, ale widocznie bezgraniczna miłość do Jasona z upływem lat stała się silniejsza od miłości do rodzinnej planety. Rozumiała też, że Jason zrobił wiele dobrego dla całego Pyrrusa.

Co prawda niektórzy nadal uważali, że za samo uczestnictwo we „Wszechświatowym totalizatorze” należy Jasona, jeżeli nie zabić, to przynajmniej deportować z planety na zawsze. Ale w rezultacie zwyciężył zdrowy rozsądek. Ogromne pieniądze, które pojawiły się w wyniku wygranej i zwycięstwa, a także nowe możliwości w walce z miejscowymi potworami - te dwa argumenty nawet najbardziej zatwardziali Pyrrusanie uznali za przyzwoitą rekompensatę z tytułu strat moralnych i materialnych.

A zatem, po uregulowaniu stosunków z rodakami, to znaczy z Pyrrusanami, Jason zajął się czymś w rodzaju polityki zagranicznej. Zaplanował rozmowy z przedstawicielami kilku innych planet Galaktyki.

Najpierw z samego rana, żeby potem nie zapomnieć, złożył życzenia Dolly z okazji jej piętnastych urodzin. Dziewczyna bardzo się ucieszyła. Świetnie zdawała sobie sprawę, ile różnych problemów zaprzęta głowę tego człowieka, więc to, że zapamiętał datę jej urodzin, wydało jej się wzruszające. Jason obiecał też, że przyśle jej prezent, chociaż wolałby wręczyć go osobiście. Zapraszał do siebie na Pyrrusa, bo sam w najbliższym czasie nigdzie się nie wybierał. Zamienił też parę słów z Robsem. Chłopak chciał poważnie zająć się nauką, a Jason życzył mu wielu sukcesów.

Długo rozmawiał z Ronaldem Sane'em - o ewentualnych wspólnych projektach na przyszłość. Obaj mieli ciekawe pomysły.

Potem nie bez trudu znalazł na Cassylii Rodgera Wayne'a. Bankier, przerażony swoją sytuacją, spróbował ukryć się w najbardziej odosobnionym zakątku. Nie chciał nikogo widzieć ani słyszeć.

- Jednak dotarłem do pana - dumnie poinformował Jason. - Pojęcia nie mam, po co pan mnie śledził. Teraz zresztą mało mnie to interesuje. Skoro nie podjął pan konkretnych kroków przeciwko mnie, a ja uważam się za człowieka konkretnego, uroczyście informuję, że: z pieniędzy, który dostałem w ramach wygranej, a w istocie kontrybucji, zwracam panu obiecaną sumę, czyli dwanaście i pół miliarda kredytek. Mógłbym to wysłać kanałami międzybankowymi, ale będzie bardziej elegancko wręczyć osobiście, tym bardziej że Meta niedługo pojawi się na Cassylii. Bardzo chce odzyskać swój ukochany statek „Temudzyn”, który stoi w waszym porcie kosmicznym Dego. Czemu pan milczy, panie Wayne?

- Nie wiem, co powiedzieć. Jestem panu bardzo wdzięczny, dinAlt.

- Nie chcę pańskich podziękowań. Widocznie pan nigdy dotąd nie miał do czynienia z porządnymi ludźmi. Niech pan się nad tym zastanowi, panie Wayne. Dwanaście i pół miliarda to niezła suma na początek. Jest pan jeszcze bardzo młody. Radzę zacząć wszystko od zera, tylko niech się pan nie wiąże ze światem

kryminalnym. Nawiasem mówiąc, ktoś inny na moim miejscu przekazałby przez pana pozdrowienia znanemu autorytetowi Gronszykowi, ale ja tego nie zrobię. Życzę powodzenia, Wayne!

Dużo czasu zeszło Jasonowi na rozmowach z Radą Najwyższą Ligi Planet: z Berwickiem, Bronsem, nawet z samym Inskippem.

Zrobili z Jamajki wielki problem, ale Jason potrafił dopiąć swego. Jamajkę oddano pod protektorat Pyrrusa, mniej więcej według takiego samego schematu, jak Szczęście, niezależnie od zupełnie odmiennego poziomu tamtejszej cywilizacji. Gubernatorem planety musiał więc zostać Pyrrusanin. To też był problem. Kerk nie chciał odsyłać nikogo z Planety Śmierci, bo jak mówił, i bez tego brakuje ludzi. Ale odmawiać przejścia nowej planety nie wypadało. Poza kwestią honoru, było to korzystne pod każdym względem.

W tym momencie, jak już nieraz się zdarzało, rozwiązanie podpowiedziała Meta.

- Jasonie, pamiętasz tego cudaka, który czegoś ode mnie chciał?

- Mniej więcej - powiedział Jason, jeszcze nie rozumiejąc, do czego ona zmierza.

- Obiecałeś ocalić mu życie, prawda? Więc wykorzystajmy to życie jak najefektywniej. Kto może lepiej od Howarda kierować Jamajką?

Jason zachwyił się tym pomysłem. Toni Howard był rzeczywiście jedyną osobą, cieszącą się autorytetem na pirackiej planecie, a jednocześnie zdolną do zaakceptowania kontroli ze strony Pyrrusa. Sam też miał ręce lękliwie od krwi niewinnych ofiar, ale czy można znaleźć czyste ręce wśród ludzi, którzy kierują całymi planetami?

W rezultacie wszyscy doszli do wniosku, że właśnie Toni Howard ma być namiestnikiem Pyrrusa na Jamajce. Mianowali go. Wysłali. Wszystko poszło dobrze.

Od nadmiaru spraw kręciło się w głowie.

W rezultacie, kiedy przez zdalną łączność przyszedł psigram z zupełnie nieczytelnym adresem nadawcy i w prawie niezrozumiałym języku, Jason postanowił, że na dzisiaj dosyć pracy.

List był napisany w hindi albo jakimś równie dziwnym języku, ale Jason nie odpuścił. Znalazł w komputerze odpowiedni słownik i przetłumaczył tekst, który był tego wart:

*Drogi synku, gratulujemy sukcesu. Dziękujemy za pomoc. Mamy nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Nie szukaj „Barana „ na lolku. Zabraliśmy go stamtąd. Powodzenia. Ajzon, Niw-Niw.*

Ależ ja mam szalonych rodziców! - pomyślał Jason. A może to wcale nie rodzice? Po prostu jacyś kawalarze?

Ale już nie chciało mu się zastanawiać nad tym dalej. Z ulicy rozległ się sygnał kanonierki kosmicznej i nagle Jason uświadomił sobie, kto to może być. To Archie wrócił z portu kosmicznego. I wcale nie kanonierką.

- Meto! - przywołał Jason ukochaną, której nie nauczył się nazywać żoną nawet w myślach.

Pracowała razem z Midi w sąsiednim laboratorium.

- Meto, obiecałem ci prezent ślubny, pamiętasz? Bez tego prawdziwy mężczyzna nie może nazywać się mężem. Popatrz w okno.

Sam zerknął pierwszy i upewnił się, że Archie zaparkował kuter elegancko, jak na wystawie modeli eksperymentalnych. Meta podeszła z tyłu i jęknęła:

- „Niewidka”! Ten sam? Wytargowałeś od Berwicka?

- Obrażasz mnie, kochana. Tylko piraci kupują od radomskich handlarzy używane statki. A ja zamówiłem nowy, jeszcze ciepły. Nawiasem mówiąc, jest dużo bardziej nowoczesny i lepszy niż ten, który ma ten fircyk Berwick.

- Kocham cię, Jasonie! - westchnęła Meta i pocałowała męża.

- To się świetnie składa, najmilsza, bo ja też cię kocham. Chodź, polatamy na naszej nowej zabawce.

Wyszli przez podwójną śluzę i pobiegli na ukos przez łąkę do swojej błyszczącej w słońcu superłodzi.